



**camilla grebe
åsa träff
bardziej
gorzka niż
śmierć**



*Naszym dzieciom:
Maksowi, Gustavowi, Callemu i Josephine*

**camilla grebe
åsa träff**

**bardziej
gorzka niż
śmierć**

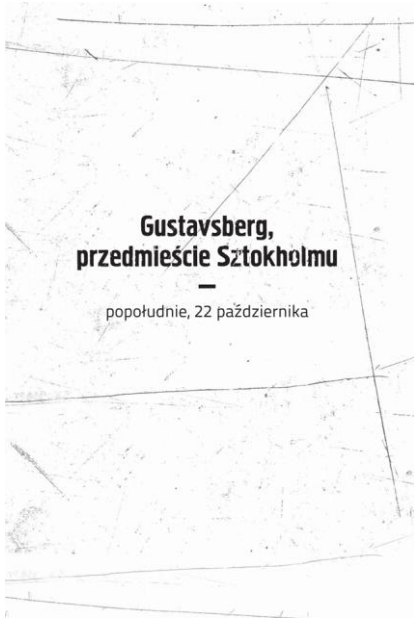
Przełożyła Inga Sawicka



Dom Wydawniczy Rebis

*I przekonałem się,
że bardziej gorzką niż śmierć jest kobieta,
której serce jest pułapką i siecią,
a ręce więzami.
Kto się Bogu podoba, ten ujdzie przed nią,
lecz kto grzeszy, tego ona usidli.*

Księga Koheleta 7,26
Biblia Warszawska (Nowy Przekład)



**Gustavsberg,
przedmieście Sztokholmu**

—
popołudnie, 22 października

Z dołu wszystko wygląda inaczej.

Grube nogi od wielkiego stołu, dębowy blat z wyraźnymi słojami i od spodu nieodkryty jeszcze przez mamę rysunek kredą. Obrus opada miękkimi, kremowymi fałdami, tworząc budkę pod stołem.

Mama też wygląda inaczej, gdy się patrzy z dołu.

Tilde ostrożnie wysuwa głowę ze swojej budki i patrzy na stojącą przy kuchni mamę – jedną ręką upycha w garnku wystające kawałki spaghetti, które wyglądają jak bierki, w drugiej ręce trzyma papierosa.

Pod naciskiem widelca makaron wydaje suche trzaski.

Wytarte dzinsy zjechały mamie na tyłku, widać tatuaż nad pośladkami i różowe majtki.

Oglądany z dołu tyłek mamy jest ogromny, dziewczynka zastanawia się, czy to powiedzieć. Mama często pyta, czy nie ma za dużej pupy, i zmusza Henrika, żeby jej odpowiedział, chociaż on nie chce. Woli patrzeć na konie w telewizji, biegają w kółko, a on pije piwo.

To się nazywa, że ktoś ma zainteresowania.

Mama gasi papierosa w filiżance po kawie, długimi paznokciami chwytła kilka żdźbeł makaronu, które spadły koło garnka, i wkłada do ust, jakby to były słodycze.

Chrupią jej w zębach.

Dziewczynka bierze niebieską kredkę i zaczyna kolorować kawałek kartki, który będzie niebem. Na rysunku jest już domek. To ich dom, a przed nim czerwony samochód, który sobie kupią, gdy mama znów dostanie pracę. Przesączające się przez okno blade przedpołudniowe jesienne światło maluje kuchnię w smutne kolory, ale w jej budce panuje przytulny mrok. Dociera tu w sam raz tyle światła, by widzieć kartkę, która leży przed nią na podłodze, i domyślać się kolorów kredek.

Z radia nieustannie płynie muzyka przerywana reklamami.

Dziewczynka już wie, że reklama jest wtedy, gdy gadają. Gdy Henrik idzie wysikać wypite piwo. Reklama jest też wtedy, gdy mama wychodzi na balkon, żeby zapalić, a gdy Henrika nie ma, pali w domu. Chociaż wtedy nie ma reklam.

Lekkie, delikatne pukanie, jakby ktoś nie tyle pukał, ile przechodząc, w zamyśleniu zabębnił palcami o drewnianą taflę drzwi.

Dziewczynka widzi, jak mama zapala następnego papierosa, wygląda, jakby się zastanawiała.

Pukanie przechodzi w łomot.

Buch, buch, buch.

Nie ma wątpliwości, za drzwiami stoi ktoś, kto domaga się wpuszczenia. Ktoś, komu się śpieszy.

– Już idę! – woła mama i powoli, z papierosem w ręce idzie do drzwi. Jakby miała Bóg wie ile czasu. Tilde wie, że tak jest, bo Henrik musi się nauczyć, że trzeba poczekać. Nie wszystko naraz i nie wszystko na jego warunkach. Mama tak mu powiedziała.

Tilde wyszukuje jasnożółtą kredkę, powinna się nadać do rysowania słońca, i krągłym ruchem kreśli kółko. Papier trochę się marszczy, mała przytrzymuje go drugą ręką i wtedy w prawym rogu powstaje nieduże rozdarcie. Małe pęknięcie w tworzonym przez nią idealnym świecie.

Dziewczynka zastanawia się, zacząć od nowa czy rysować dalej?

Buch, buch, buch.

Henrik chyba złości się jeszcze bardziej niż zwykle. Słysząc chrobot zdejmowanego łańcucha, mama otwiera drzwi.

Tilde szuka wśród kredek, które w mroku pod stołem przypominają szarobrazowe patyczki. Jakby siedziała w lesie pod choinką i bawiła się prawdziwymi patykami. Ciekawe, jak by to było, Tilde nigdy nie była w lesie. Tylko na placu zabaw w centrum, a tam nie ma choinek, same kolczaste krzaki z małutkimi pomarańczowymi jagódkami, dzieci mówią, że są trujące.

W końcu znajduje szarą kredkę. To będzie wielka, ciemna chmura. Taka z deszczem i gradem w brzuchu, którego nabrzmiały kształt i sina barwa budzi u dorosłych lęk.

Z przedpokoju dochodzą rozgniewane głosy i walenie, ale jakieś inne. Głuche odgłosy, jakby raz za razem coś padało na podłogę. Tilde wolałaby, żeby wreszcie skończyli te awantury i żeby mama wyrzuciła złote puszkę po piwie, o które Henrik ciągle się złości.

Tilde wychyla się i wygląda spod obrusa. Teraz krzyczą, coś się stało. Głosy brzmią obco. Henrik mówi jakimś innym głosem.

Przedpokój jest pogrążony w ciemności.

Nic nie widać, można się tylko domyślać, że coś się rusza.

Wrzask.

Ktoś, Tilde widzi, że to mama, bezwładnie pada głową naprzód na podłogę w kuchni. Łąduje na brzuchu, twarzą do podłogi, widać pod nią czerwoną kałużę, która staje się coraz większa. Ręce mamy chwytają chodnik, jakby chciała się przytrzymać, wykonuje ruch w kierunku pokoju i w tym momencie do kuchni toczy się po podłodze coś małego i błyszczącego. Kulka?

Ktoś, mężczyzna, klnie w przedpokoju. Niskim, chrapliwym głosem. Potem słychać kroki. Ciemna postać pochyla się, łapie metalowy przedmiot i już widać, że to pieniążek.

Tilde boi się wystawić głowę, sprawdzić, kto to, widzi tylko czarne buciory i ciemne nogawki, które zatrzymują się koło głowy mamy, sekunda wahania, potem kopią ją w twarz, raz za razem. Aż wydaje się, że cała twarz odpada, jak maska z lalki, a na chodnik wylewa się kałuża czerwonej i różowej brei. Ta breja jest również na czarnych buciorach. Skapuje na podłogę jak roztopione lody.

Robi się cicho, tylko ta muzyka z radia. Tilde dziwi się, jak to możliwe, że muzyka gra i gra, jakby nic się nie stało, chociaż mama leży na podłodze jak kupka brudnej bielizny, a kałuża krwi z każdą chwilą staje się coraz większa.

Oddech mamy brzmi przeciągle, chrapliwie. Jakby się zachłysnęła.

Potem widzi, jak pan ciągnie mamę do przedpokoju, centymetr po centymetrze. Mama wciąż mocno trzyma chodnik, który wyjeżdża razem z nią do ciemnego pomieszczenia.

Na jasnym kuchennym linoleum zostaje tylko morze krwi i różowa breja.

Chwila wahania, potem Tilde wraca do kolorowania szarej chmury gradowej.



Gabinet Vijaya. Olbrzymie biurko, cały blat zavalony papierami. Ciekawe, jak on znajduje potrzebne rzeczy wśród tej góry kartek, skoroszytów i czasopism.

Na stercie papierów, które wyglądają na prace pisemne studentów, króluje laptop. Supercienki mac. Vijay zawsze był fanem maców. Obok filiżanka kawy i niedojedzony banan. Spod pisma od dziekana wysuwa się pudełeczko snusu.

– Zażywasz snus?

Aina patrzy na Vijaya z niedowierzaniem i niesmakiem.

– Mhm... musiałem, Olle nie zgadza się na papierosy, ale na snus owszem.

Vijay uśmiecha się szeroko, Aina kręci głową współczująco.

– Szkoda. Myślałam, że zabierzemy kawę na dwór i tam zapalimy papieroska, wspominając dawne czasy itp., itd.

Śmiejemy się wszyscy troje, gdy przypomina nam się, jak zimą albo wiosną wystawialiśmy na ulewnym deszczu, podczas zamieci śnieżnej i w słonecznym skwarze, częstując się papierosami i kawką. Życie wtedy chyba nie było tak skomplikowane jak dziś, albo tylko się tak wydaje z coraz większego dystansu. Gdy to, co było, stało się odległe, przynależne do przeszłości.

Przez chwilę robi mi się żal tego, co było. Aina, Vijay i ja byliśmy kolegami z roku na wydziale psychologii Uniwersytetu Sztokholmskiego. Po dyplomie obie z Ainą zdecydowałyśmy się na pracę kliniczną, podczas gdy Vijay wybrał karierę akademicką i zrobił doktorat. Dziś, dziesięć lat później, jest profesorem psychologii sądowej na tym samym wydziale, na którym wcześniej studiował.

Przyglądam mu się. Czarne włosy ze śladami siwizny na skroniach. Sumiaste wąsy, pognieciona koszula w biało-niebieskie paski. Nie wygląda jak profesor, chociaż jeśli chodzi o ubiór, to może właśnie brak wspólnego mianownika jest dla nich charakterystyczny. Zresztą, co ja mogę o tym wiedzieć, skoro znam tylko jednego profesora. Niezależnie od tego, czy Vijay wygląda na profesora czy nie, niewątpliwie się postarzał. Tak samo zresztą jak Aina i ja. Jesteśmy starsi, może mądrzejsi, a może tylko bardziej zmęczeni i zdziwieni, że życie potoczyło się niezupełnie tak, jak myśleliśmy.

– Może dam się przekonać i później z tobą zapalę. Olle jest na konferencji w Reykjavíku, więc raczej nie zauważy.

Vijay sięga po pudełko ze snusem i z roztargnieniem skubie etykietkę.

– Jednak nie zaprosiłem was, żeby rozmawiać o moim nałogu tytoniowym.

Obie potakująco kiwamy głową. Wiemy, że Vijay chce omówić z nami pewne zlecenie. Jesteśmy mu wdzięczne, ponieważ psychoterapeuci również odczuwają skutki recesji i cieszą się, gdy zawierają kontrakt z państwowym zleceniodawcą.

– Chodzi o projekt naukowy, a mianowicie badanie skuteczności oddziaływania grup wsparcia dla kobiet, które padły ofiarą przemocy. Projekt jest adresowany do kobiet zagrożonych zespołem stresu pourazowego, które z różnych powodów nie chcą chodzić na tradycyjną terapię.

Vijay jest w swoim żywiole. Oczy mu płoną, ma zarumienione policzki. Pasjonuje się swoim zawodem, który nie jest dla niego pracą czy źródłem utrzymania, tylko sposobem na życie; może również czymś, co nadaje mu sens. Poza tym nie mógłby zaprzeczyć, że pochlebia mu pozycja autorytetu wynikająca z tego, że jest profesorem. Uwielbia swój status eksperta. Człowieka, który wie.

Często występuje w mediach, wypowiadając się o przestępstwach i ich domniemanych przyczynach. Ryzykując, że się popadnie w psychologizowanie, można snuć przypuszczenia, że miał potrzebę odkucia się. Skrzywdzony imigrant, zmarginalizowany zarówno z powodu pochodzenia etnicznego, jak i skłonności seksualnych. Nic bardziej mylnego. Rodzice Vijaya to ludzie dobrze sytuowani, przyjechali do Szwecji na stypendia naukowe i potem zostali na stałe. Rodzina zaakceptowała jego odmienność. Vijay ma jeszcze trzech braci, którzy zapewnili rodzicom upragnione wnuki. Jego postrzegają jako ekscentryka, niemniej udanego.

– Na czym miałyby polegać nasza rola, skoro chodzi o grupy wsparcia? – wtrąca Aina.

Vijay musi przerwać, czego nie lubi.

– Cierpliwości, zaraz do tego dojdę. – Milczy przez chwilę, otwiera pudełko ze snusem,

wkłada prymkę pod wargę i kontynuuje: – Plan jest taki, żebyście poprowadziły badania pilotażowe. Przetestowały podręcznik, zwłaszcza rozdziały o charakterze psychoedukacyjnym, i sprawdziły, co należałoby uzupełnić albo skreślić.

– Nie wydaje mi się, aby psychoedukacja i grupy wsparcia miały wiele wspólnego z terapią poznawczo-behawioralną. – Aina ma na twarzy wyraz powątpiewania, a Vijay uśmiecha się szeroko.

– Bo nie mają, przynajmniej formalnie. Jednak to nie znaczy, że nie dadzą efektu. Zdajecie sobie sprawę, że zapotrzebowanie na wykwalifikowanych psychologów zajmujących się terapią poznawczo-behawioralną znacznie przekracza liczbę terapeutów. To sposób, aby większą liczbę osób objąć pomocą, która, jak wiemy, jest skuteczna przy urazach i zespole stresu pourazowego, po prostu chcemy rozpowszechniać te metody mniejszym kosztem. Poza tym działanie grup wsparcia jest korzystne zwłaszcza w odniesieniu do osób, które same padły ofiarą przemocy. Być może dlatego, że człowiek ma wrażenie, że... kontroluje sytuację. *Empowerment*. No wiecie...

– *Empowerment?*

Aina, z miną nadal wyrażającą lekkie powątpiewanie, patrzy na mnie, jakby czekała na sygnał, co ja na to.

– Jak miałyby to wyglądać praktycznie?

– Osiem spotkań po dwie godziny. Każde zaczynałoby się od części szkoleniowej: reakcje na traumę, przemoc mężczyzn wobec kobiet, najczęstsze objawy zespołu stresu pourazowego, tego rodzaju tematy. W drugiej części uczestniczki mogą opowiedzieć o własnych doświadczeniach i posłuchać koleżanek. Zadaniem prowadzącej będzie tak poprowadzić rozmowę, żeby nie została zdominowana przez żadną z uczestniczek, aby wszystkie mogły się wypowiedzieć. Ostatnia część to zadanie domowe, na przykład zastanowienie się, jak zmieniło się życie po traumie, albo wyznaczenie sobie nowych celów życiowych. Co się straciło, a co można odtworzyć, czy też odzyskać. I jak to zrobić. Otrzymacie szczegółowe wytyczne, ale będziecie mogły wyjść poza nie. Każde spotkanie będzie filmowane, później razem je ocenicie i sformułujecie wnioski. Wszystko będzie dokumentowane. Cały czas trzeba mieć w pamięci, że to grupa wsparcia, czyli poziom powinien być rzeczowy, dostosowany do uczestniczek i umożliwiać zmiany, ale nie może być zbyt skomplikowany. To nie jest psychoterapia i prowadzącymi nie mają być psychoterapeutki, tylko kobiety, które same padły ofiarą męskiej przemocy...

Vijay przerywa, ma speszoną minę. Wiem, co pomyślał i co zaraz powie.

– To znaczy... Siri, nie dlatego poprosiłem cię o wzięcie udziału w tym projekcie, że byłaś ofiarą przemocy, tylko dlatego, że jesteś cholernie kompetentną psycholożką i psychoterapeutką. Obie z Ainą jesteście dobre. Bardzo dobre.

– Ale nie szkodzi, że przy okazji również byłam ofiarą przemocy, prawda?

Obserwuję Vijaya i widzę, że zastanawia się, co powiedzieć. Znam go tak dobrze, że czuję, jakimi torami biegną jego myśli. Powiedzieć, jak jest, czy załagodzić? Udawać, że nic się nie stało i jestem tą samą osobą co przedtem, czy przyznać, że się stało i zmieniłam się wskutek tego, że ktoś próbował mnie zabić.

– Czy to ci przeszkadza? – pyta, patrząc na mnie. Widzę po jego minie, że jest urażony, a jednocześnie, że mu zależy. Czy mi przeszkadza jego przekonanie, że z powodu osobistych doświadczeń nadają się do tego zadania lepiej niż ktokolwiek inny? Uświadamiam sobie, że nie. Owszem, te przeżycia tkwią we mnie, ale nie bolą już jak otwarta rana. Wydaje mi się, że panuję nad swoimi reakcjami i mam wyważony stosunek do tego, co było.

– Nie, nie przeszkadza.

W zagraconym gabinecie Vijaya następuje wyczuwalna zmiana atmosfery. Oboje z Ainą oddychają z ulgą. Domyślam się, że musieli się wcześniej naradzać, ale Aina nie chciała wpływać na moją decyzję, wołała – nie ryzykując utraty twarzy – umożliwić mi odrzucenie jego propozycji. Vijay nachyla się i niespodziewanie tkliwym gestem głaszcze mnie po policzku.

– Siri, przyjaciółko. Tak się cieszę, że tu jesteś.

Zaskakuje, ale jednocześnie ujmuje mnie ta nagła czułość z jego strony. Nie wątpię, że mówi szczerze. Napotykam spojrzenie Ainy, która lekko unosi brwi, muszę uciec wzrokiem, bo

inaczej wybuchnę śmiechem, a nie chciałabym dotknąć Vijaya. Odwracam się do niego i przekrzywiam głowę.

– *Nuff said.* Możemy pogadać o pieniądzach?

Deszcz pada bez końca.

Nie dopuszcza zimy ani mrozu. Siąpi na podmokły grunt wokół mojego domu, rozmywa kontury stojącego pod wodą niedysiejszego trawnika. Tu i ówdzie sterczą pojedyncze kępki trawy, jak zniszczone, żółte kosmyki włosów. Na ścieżce prowadzącej do małego domku, gdzie jest łazienka i składzik, pełno głębokich śladów moich kaloszy wessanych w błoto.

W domu ciepło i sucho. Zawsze, gdy otwieram drzwi, odczuwam ogromną, wręcz pierwotną radość, że wróciłam do mojego domu, a jego pozornie delikatna, jednak solidna konstrukcja zapewnia mi – czasem również Markusowi i moim przyjaciółom – ciepło w sztormowe jesienne noce.

Markus nie mieszka ze mną. Nie chcę z nikim mieszkać, jeszcze do tego nie dojrzałam. Może za bardzo cenię sobie własną przestrzeń, a może nie wierzę, że potrafilibyśmy zdobywać się na kompromisy, nieodzowne do wspólnego życia.

Kogo ja próbuję oszukać?

Prawda jest na tyle bolesna, że rzadko zdobywam się na wyciągnięcie jej na światło dzienne: nie umiem pokochać go naprawdę. Prosić mnie, żebym go pokochała, to jak prosić człowieka bez rąk o zawiązanie sznurówek. Nie ma znaczenia, że chciałabym. Po prostu nie umiem.

Obawiam się, że jeszcze nie ma dla niego miejsca w moim sercu.

Jeszcze nie. Stefan.

Stale jest przy mnie. W dzień i w nocy u mego boku. Gdy pracuję, śpię. Gdy Kocham się z Markusem.

Niewierność?

Większość ludzi uznałaby, że to niedorzeczne. Nie można dopuścić się zdrady wobec kogoś, kto nie żyje. I Bóg świadkiem, że Stefan chciałby, abym była szczęśliwa. Życzyłby mi tego.

Nie.

To tylko i wyłącznie moja niezdolność do przywiązywania się.

Tyle.

Gdy jestem w domu sama, o obecności Markusa w moim życiu świadczy tylko dodatkowa szczoteczka do zębów w łazience, szuflada komody pełna kalesonów i T-shirtów w rozmiarze XL i nieduży laptop, który podobno jest mu potrzebny do pracy. Prawdę mówiąc, nigdy nie widziałam, by robił na nim co innego, niż granie albo surfowanie w sieci.

Spotykamy się prawie od roku i ja wciąż nie potrafię oswoić się z tym, że bardzo się od siebie różnimy. Gdyby wtedy, dawno temu, ktoś mnie spytał, czego szukam u mężczyzny – mojego ideału – mogłabym długo rozwodzić się nad tym, że powinien mieć błyskotliwy intelekt, czytać książki, interesować się sprawami społecznymi.

Mogę tylko stwierdzić na zimno, że znalazłam sobie mężczyznę, który jest zaprzeczeniem tego romantycznego wyobrażenia: jest policjantem, sportowcem i zupełnie nie podziela moich zainteresowań. Nie czyta książek, a jeśli akurat nie trenuje, najchętniej siedzi przed komputerem. Nie wiem na pewno, ale podejrzewam, że głosuje na prawicę, chociaż jest z Norrlandii. Nigdy nie rozmawiamy o takich sprawach. W ogóle niewiele rozmawiamy. Po prostu... jesteśmy ze sobą. Dzielimy ze sobą przestrzeń w moim domku i na skałkach nad morzem. Dzielimy ze sobą życie, które tej jesieni toczy się spokojnie dzień za dniem. I dzielimy się naszymi ciałami z wręcz zatrważającą intensywnością, zwłaszcza w kontraście do naszych powściągliwych rozmów i zwykłej, codziennej krzątaniny.

Czasem myślę sobie, że być może Markus pełni w moim życiu taką samą rolę jak zwierzę domowe. Zawsze milej, gdy w domu jest ktoś jeszcze. Zabrzmiało paskudnie? Równie paskudne byłoby, gdybym oczekiwała, że mężczyzna – jakikolwiek – ma dorównać romantycznemu, idealnemu wyobrażeniu i dzielić moje wszystkie zainteresowania. Błyszcząc intelektem. Nieustannie mnie pożądać. To by dopiero było paskudne. Żądać tego od życia. I od drugiego człowieka.

Na dodatek jest dla mnie stanowczo za młody. Ścisłej mówiąc, o dziesięć lat. Już dawno postanowiłam zignorować ten fakt. Wmawiam sobie, że wiek to rzecz względna. A jeśli mam być

szczera, czerpię przyjemność z tego, że on, taki młody, naprawdę mnie pożąda.

Wczesny ranek, zatoka nadal pogrążona w ciemnościach. Oboje stoimy w ciasnej łazience w małym domku. Markus przyciska do twarzy maszynkę do golenia i jednocześnie przygląda mi się w lustrze. Powoli, z pewnym wyrafinowaniem nacieram olejkami moje świeżo umyte ciało i ukradkiem zerkam na niego, jak pochyla się przed umywalką.

– Właściwie dlaczego trzymasz tu zdjęcia Davida Bowie? Wyklejanie ścian zdjęciami swojego idola wydaje się co najmniej niedojrzałe – mówi Markus, wskazując na kolaż pokrywający całą ścianę w łazience.

Chichocząc, wciągam majtki.

– Kocham się w nim od zawsze.

– Czy przypadkiem nie jest dla ciebie za stary? – Markus śmieje się i przykleja sobie kawałek papieru, chyba się zaciął. Cienki papier nasiąka krwią, widać wielki czerwony wykwit.

– Nie chodzi o dzisiejszego Davida Bowie. Kocham się w jego wersji z lat siedemdziesiątych, wiesz, w tym androginicznym, chudym, punkowym facecie. Tym, który pisał zwariowane teksty i wypożyczał swoją kobietę Mickowi Jaggerowi. A może odwrotnie? Nie, to oni się ze sobą bzykali. Tak było. Chyba?

– Masz coś z głową, wiesz?

– Nigdy nie twierdziłam, że jest inaczej.

Zebranie w poradni. Mamy rozdzielić między siebie nowych pacjentów.

Elin wertuje plik kartek leżących na owalnym stole z brzoźowego drewna. Drapie się w zmierzwiłone włosy.

– Gdzie one się podziały? Przecież dopiero co były. To jest po prostu nienormalne.

Ze speszoną miną wygląda na znacznie mniej niż swoje dwadzieścia pięć lat. Bardzo młodo i krucho mimo ostrego makijażu i dwóch kolczyków, w nosie i na wardze.

Wygląda na niezepsutą.

Może nawet niewinną.

A ubiera się, jakby chciała dowieść czegoś wręcz przeciwnego: króciutkie czarne sukienki z trykotu, siatkowe pończochy, powyciągane swetry, glany, łańcuchy i nity. Czasem nudzi ją ta czerń i wtedy przychodzi w legginsach w różowo-czerwone paski i w bluzie z kapturem. Zdarza się, że pacjenci się skarżą na jej wygląd, chociaż większość nie zwraca uwagi.

Sven chrząka nerwowo. Jak zwykle nie ma do niej cierpliwości. Jakby sama jej obecność działała na niego prowokująco. Do pewnego stopnia chyba tak jest, bo zadanie, przed którym stoi Elin, jest nadludzkie: zapełnić pustkę po Marianne, naszej poprzedniej recepcjonistce, nieodżałowanej i superkompetentnej.

Elin odbywa u nas rodzaj stażu, ponieważ przez dłuższy czas była na zwolnieniu lekarskim z powodu wypalenia zawodowego i trafiła do nas przez urząd pracy. Nikt z nas nie wie, jak długo z nami zostanie, ona też nie i, jak się domyślam, na pewno jest to dla niej kolejny powód do niepokoju.

Obie z Ainą lubimy ją właściwie bez powodu, intuicyjnie. Trzeba przyznać, że nie jest zbyt wydajnym pracownikiem. Nie mogę się nadziwić, ile potrzebuje czasu na wysłanie pacjentom wezwań do zapłaty, wyszukanie kart pacjenta albo choćby wyjście na Götgatan po drożdżówki z cynamonem. W dodatku stale jest rozkojarzona, a nie jest to cecha pożądana u recepcjonistki, która powinna panować nad zarządzaniem poradnią. Ciągłe kładzie notatki nie tam, gdzie trzeba, w poczekalni zostawia poufne dokumenty, jak na przykład karty pacjenta, gubi klucze i zapomina odsłuchać automatycznej sekretarki z informacjami o odwołanych wizytach.

Poza tym jest niezwykle miła i bardzo się stara nas zadowolić, w związku z czym odnosimy się pobłażliwie zarówno do jej bałaganiarstwa, jak i dziwnego sposobu noszenia się.

– A co masz w drugiej ręce? – mówi Sven, wskazując kartkę, którą Elin trzyma w lewej ręce, podczas gdy prawą przewraca stertę papierów na stole.

– Ojej. – Elin czerwieni się pod makijażem i przesuwa kartkę na środek stołu. –

Przepraszam, już sama nie wiem, co robię. W każdym razie jest to skierowanie. Z poradni w Fruängen², okej, okej, kobieta, rocznik 1975, zespół stresu pourazowego, ale ze znakiem zapytania, po wypadku samochodowym, w którym zginęły jej siostra i matka. Niech ja sprawdzę, to było ze trzy lata temu. Bezsenność. Hm, kto się nią zajmie? Sven, ty się chyba świetnie na tym znasz?

Sven zdejmuje okulary i pociera pomarszczoną, ale wciąż bardzo przystojną twarz. Pofalowane włosy, obecnie prawie całkiem siwe, opadają mu na czoło jak zasłona.

Sven Widelius jest bezsprzecznie naszym najbardziej doświadczonym terapeutą, zawsze gotowym dzielić się z nami swoją wiedzą i doświadczeniem.

– Zdaje się, że już ci mówiłem, w ostatni poniedziałek, jak i tydzień wcześniej, że w tej chwili nie mogę brać nowych pacjentów, bo po prostu nie mam czasu. Jestem cholernie zajęty projektem dotyczącym zaburzeń odżywiania.

Mówi ochryplym głosem, w którym słychać źle skrywaną irytację, chociaż przybrał obojętny wyraz twarzy.

– O, przepraszam. Nie wiedziałam...

Elin ma speszoną minę i ciągnie za kolczyk w wardze, co wygląda, jakby miała tam olbrzymią prymkę snusu. Ogarnia mnie złość na Svena, że jak zwykle czepia się Elin. Wiemy, że jest mu ciężko. Birgitta, jego żona, odeszła od niego po przeszło trzydziestu latach małżeństwa, zostawiła mu wielki dom w Bromma i sama zamieszkała w kawalerce na Söder. „Musi mnie naprawdę nienawidzić, skoro woli koczować w takiej norze” – tylko tyle Sven miał do

powiedzenia w tej sprawie.

Wszyscy, którzy go znają, wiedzą jednak, dlaczego Birgitta się wyprowadziła. Sven był zawsze, a przynajmniej odkąd go znam, notorycznie niewierny. Nawet się ludzie dziwili, że tak długo wytrzymała, bo naprawdę nie da się o niej powiedzieć, że jest kobietą uciśnioną; Birgitta jest profesorem gender studies na uniwersytecie w Uppsali. Cieszy się międzynarodowym uznaniem. Często pojawia się w mediach.

Aina patrzy na mnie, w jej spojrzeniu jest coś mrocznego.

Aina. Moja przyjaciółka i współpracowniczka. Bez przesady można stwierdzić, że niejedno razem przeszliśmy. Jak zwykle wiem, co chce powiedzieć, rozumiemy się niemal bez słów.

– Mówiąc poważnie, wszyscy mamy mnóstwo pracy. Wiesz, że w zeszłym miesiącu rozliczyłam się z prawie dwustu godzin. A Siri... Słuchaj, Sven, ty też musisz się jakoś przyczynić.

Wbija w niego wzrok i ze złością ciągnie za swój jasny warkocz.

– Ja ją wezmę! – mówię.

Zapada cisza, Sven, Aina i Elin patrzą na mnie. Wszyscy troje mówią, że za dużo pracuję, co jest faktem. Elin nerwowo przesuwa dłońmi po czarnych dżinsach, szukając jednocześnie jakiejś wskazówki w oczach Ainy.

Chichoczę.

– Korzystajcie z okazji, sama się zgłosiłam.

Aina, nic nie mówiąc, wstaje z krzesła, strzepuje z dżinsów okruchy drożdżówki i obciąga wystrzępiony fioletowy sweter. Kierując się do kuchenki, by dolać sobie kawy, odzywa się mimochodem:

– Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł?

– Nie gorszy niż to ciągle chandryczenie się o podział pracy.

Aina wraca, staje koło stołu i robi zaciętą minę, która prowokuje u mnie uśmiech.

– Okej, to ja powiem, co o tym sądzę. Siri, ty bez przerwy pracujesz, nic innego nie robisz. Powinnaś sobie znaleźć jakieś hobby, czy co. Nie zgadzam się, żebyś brała na siebie jeszcze więcej pacjentów, podczas gdy Sven... W zeszłym tygodniu prawie cię u nas nie było. Nie jest to zbyt koleżeńskie.

– A od kiedy odpowiedzialność za nowych pacjentów należy wyłącznie do mnie?

W zeszłym tygodniu wziąłem obu pacjentów z Maria öppenvård³. I tego faceta z medycyny pracy. Chyba nie mówicie poważnie... Kurwa...

Sven nagle rzuca na stół okulary w przekrzywionej drucianej oprawce, zrywa się z krzesła, łapie brązową sztruksową marynarkę i mrucząc coś pod nosem, wypada z pokoju.

Ainie udaje się opanować śmiech.

– Ale jesteśmy dysfunkcyjni!

Teraz i Elin się uśmiecha. Niepewnie.

– Tak czy inaczej, już nie przyjmuj nowych pacjentów, Siri. Niech Sven weźmie tę kobietę. Elin znów się peszy.

– Powiesz mu to? Bo ja nie potrafię. On się tylko...

– Bądź spokojna, powiem. Nie będzie żadnego problemu.

Ani przez chwilę w to nie wątpię.

Zasadniczo nie prowadzę terapii dla par. Nie wierzę w to, że potrafię pomóc ludziom, którzy mają problemy w związku. Być może dlatego, że mnie samej nie wychodzi w związkach. A jednak prowadzę obecnie pewną parę, która od dawna ma problemy, w dodatku Mia, bo tak ma na imię kobieta, jest od pół roku na zwolnieniu lekarskim z powodu wypalenia zawodowego. Przedtem była copywriterką w małej agencji reklamowej. Lekarz rodzinny doradził jej, by się zgłosiła do naszej poradni. Współpracujemy z niektórymi gabinetami lekarskimi na Söder.

Patrik jest wysokim mężczyzną o słomianych, strąkowatych włosach i kostropatej cerze. Ubrany w czarne dżinsy rurki, T-shirt w paski i rogowe okulary, przypomina mi kogoś z muzyków popowych z lat osiemdziesiątych. Witając się, odsłania w uśmiechu komplet zębów pożółkłych od nikotyny, następnie składa się w harmonijkę i siada na fotelu obitym owczym runem, gdzie zastyga w dziwnej, wychylonej pozycji, jak olbrzymi owad.

Kolosalny konik polny w rurkach.

Ma mocny uścisk dłoni, który jest taki jak on sam: silny, dominujący, pewny siebie. Wie, czego chce, i nie wstydzi się tego.

Mia przez chwilę stoi za nim, a potem siada na krześle. Ostrożnie odgarnia kosmyk brązowych włosów ze spoconej twarzy i poprawia sprany sweter, jakby chciała ukryć obfite piersi.

– Witajcie, jak forma dzisiaj?

Mia zerka na Patrika, jakby uzgadniała z nim odpowiedź.

– Chyba dobra – mówi powoli, niepewnie, patrząc na męża. Brzmi to raczej jak pytanie skierowane do mnie. Albo raczej do niego.

– Patriku, może ty zaczniesz? Co się wydarzyło od poprzedniego spotkania?

– Czy ja wiem, nie wiem, od czego zacząć.

Zakłada nogę na nogę, ukazując wytartą podeszwę buta.

– Dużo się kłóciliście?

Żadne nie odpowiada. Mia spuszcza wzrok na swoje tęgie uda, Patrik zaciska szczęki.

Wzrok ma utkwiony gdzieś w przestrzeni.

– Często?

Patrik chrząka i patrzy na mnie pustym wzrokiem.

– Wiesz, wydaje się, jakby ciągle było tak samo. Mimo że rozmawialiśmy o tym setki razy. Nie ma zmiany na lepsze. W dodatku to takie typowe dla Mii...

– Chwileczkę – przerywam mu – co się nie zmienia na lepsze?

– Ojej, już o tym rozmawialiśmy. Mia jest strasznie... bierna. Całymi dniami tylko leży i ogląda seriale. Nie ma siły zająć się dziećmi. Dom wygląda jak... wracam z pracy i zastaję dom w strasznym stanie. Wczoraj znów się okazało, że Gunnel zjadła karmę dla psa. Pielucha niezmienną od nie wiadomo jak dawna. Miała całą pupę odparzoną. A Lennart znów ugryzł panią w przedszkolu. Dwa razy.

Widzę, że Mia sztywnieje na krześle – fotel jak zwykle został zajęty przez Patrika – pociera dłonie, jakby marzła i chciała się rozgrzać.

– Proszę cię – szepcze ochryple – to chyba nie moja wina, że Lennart gryzie przedszkolankę.

– I o to właśnie chodzi. Ty nigdy nie jesteś za nic odpowiedzialna. Skoro ja mam pracę, jakąś... eee... karierę zawodową, to chyba mam prawo oczekiwać, że zrobisz coś w domu. Zamiast całymi dniami zalegać jak krowa przed telewizorem.

Patrik prowadzi niewielką, niszową firmę muzyczną, która wydaje płyty kilku szwedzkich zespołów rockowych. Domyślam się, że niewiele na niej zarabia, ale praca jest dla niego bardzo ważna, być może jako coś w rodzaju przedłużenia jego osobowości.

Mia odgarnia z twarzy niewidzialne kosmyki włosów i patrzy na mnie z umęczoną miną. W końcu odzywa się, ale do mnie, nie do Patrika.

– Wiem, powinnam dawać z siebie więcej. Być... lepszą matką. Tylko że... Nie mam siły. Ale postaram się.

– Ciągłe tak mówisz, ale już ci nie wierzę. Wiesz co, mam cię dość.

– Ja wiem. Ja się postaram – powtarza Mia bezbarwnym głosem, wciąż patrząc na mnie,

jakby czegoś ode mnie oczekiwała. Obietnicy, że naprawię tę fatalną usterkę powstałą między nimi. Bo przecież za to mi płacą.

– Zaraz, chwilę – przerywam – czy podzieliliście się obowiązkami zgodnie z tym, co ustaliliśmy tydzień temu?

Patrik parska i kiwa nogą w czarnym, zniszczonym bucie.

– Mia miała robić zakupy...

– Przecież zrobiłam – mówi Mia z rezygnacją. – Trzy razy...

– Nie kupiła chleba. Nie kupiła kawy...

– Ale ja nie piję kawy.

– Ty nie, ale ja piję.

– No tak, przepraszam, głupio powiedziałam.

Znów obciąża szary męski sweter i teraz widać, że na przodzie brakuje jednego guzika.

Jakby czytała w moich myślach, bo zakrywa to miejsce. Z zażenowaniem. Jakbym przyłapała ją na wstydlwym uczynku.

– Nie kupiła mleka w proszku... Nie kupiła colgate.

– Kupiłam sensodyne!

– Wiesz, że nie używam tego kitu. I doskonale wiesz, jakiej pasty do zębów używamy. Ile razy mam ci to mówić?

– Przepraszam. Zapomniałam...

– Zaraz, zaczekajcie chwilę. Patriku, po pierwsze, mówiąc o Mii tonem lekceważenia, łamiesz ustalone reguły. Chcę, żebyś ją za to przeprosił.

Patrik wydaje głośne westchnienie, jednym szarpnięciem odchyła w tył swój długi tułów i patrzy na swoją kobietę spod zmarszczonych brwi.

– Przepraszam, to było głupie.

Mówi to tonem obojętnym, nie potrafię ocenić, czy mówi poważnie czy z sarkazmem.

– Po drugie, czy zdajesz sobie sprawę, że kłócicie się o tubkę pasty do zębów?

Milczenie.

– Halo! Jakie ma znaczenie, czy Mia kupi sensodyne czy colgate? O to chodzi? Na tej podstawie oceniasz naszą wzajemną relację?

– Nie o to mi chodzi – mówi Patrik z rozdrażnieniem, ale bez agresji, jakby mu zależało, żeby zrozumiała. Objaśnia mi sytuację. – Nie chodzi o pastę do zębów, tylko że obraża to sytuację, w jakiej znalazł się nasz związek. I Mia. Ona nigdy niczego nie robi... porządnie. Choćbym nie wiem ile razy zwracał jej uwagę.

– Przepraszam, przepraszam. – Mia powtarza to jak mantrę.

Zwracając się do niej, ściszam głos.

– Co czujesz, gdy Patrik to mówi?

Waha się, znów zerka niepewnie na męża.

– Sama nie wiem...

– Podczas poprzedniej sesji wspomniałaś, że czasem czujesz się urażona. Czy teraz też tak jest?

– Sama nie wiem – powtarza Mia.

– Sama widzisz – kontruje Patrik. – Nawet nie wie, co czuje. Okej, skurwiel ze mnie, ale przynajmniej się do tego przyznaję. Wiem, o co mi chodzi.

Nadal nie spuszczam z niej wzroku.

– Mia, jak odbierasz to, co powiedział Patrik?

– Nie wiem, nie wiem, nie wiem... – Mia głośno sapie i kiwa się na krześle. – Ja już nic nie wiem. Poza tym, że... że kocham Patrika i chciałabym, żeby on... też mnie kochał. Żebyśmy znowu... stali się rodziną.

Patrik kręci głową i patrzy na mnie triumfująco.

– A nie mówiłem?

Dziennik Poradni D

badanie okresowe

Ocena rozwoju osiemnastomiesięcznego chłopca. Matka jest zaniepokojona, uważa, że dziecko jest opóźnione pod względem rozwoju mowy, odbiega od rówieśników. Chwilami wydaje jej się, że synek nie rozumie, co do niego mówi. Dziecko nie mówi, ale można z nim nawiązać kontakt, jest też w bliskim kontakcie fizycznym z rodzicami. Matka uważa również, że jest opóźniony pod względem psychomotorycznym, dopiero niedawno nauczył się chodzić. Chłopiec nie ma rodzeństwa, matka przyznaje, że nie ma doświadczenia ani możliwości porównania.

Podczas wizyty chłopiec jest grzeczny i posłuszny. Pod względem somatycznym badanie nie wykazało odstępstw od normy. Chłopiec nawiązuje kontakt wzrokowy, okazuje zainteresowanie otoczeniem. Ruchowo istotnie wydaje się trochę opóźniony, chodzenie bez podparcia sprawia mu problem. Dotyczy to również motoryki małej, nie buduje wieży z klocków ani nie koloruje kredkami, co jednak da się wytłumaczyć brakiem zainteresowania. Niżej podpisany wyjaśnia matce, że dzieci rozwijają się w niejednakowym tempie i poziom zarówno mowy, jak i motoryki może być różny, ale jednocześnie może się mieścić w normie. Matka wydaje się uspokojona, że nie trzeba podejmować żadnych szczególnych działań. Wyzaczyłem dziecku termin szczepienia.

Sture Bengtsson, pediatra

Po czarnych szybach spływają wąskie strużki deszczu. Otwieram okno, wychylam się. Na zespole budynków z żółtej cegły, gdzie mieszczą się baseny Forsgrenska badet i biblioteka dzielnicowa, widzę światła neonów. Odbijają się w mokrej kamiennej powierzchni placu, po której poruszają się sylwetki ludzkie. Jesień zawładnęła miastem na dobre, ciemności wydają się nieuchronne, co na swój sposób jest pocieszające. Krople deszczu padają mi na twarz, chłód i wilgoć przenikają przez ubranie.

Szybko zamykam okno i rozglądam się, sprawdzając, czy wszystko w porządku. Na środku sali konferencyjnej stoi owalny stół. Wokół niego siedem krzeseł, przed pięcioma leżą notatniki i długopisy. Na ścianie starannie wyczyszczona duża, biała tablica. Z boku stolik z kubkami, termosami, herbatą w torebkach i kawą rozpuszczalną. Na miejscu moim i Ainy dwa egzemplarze podręcznika terapii poprzez grupy wsparcia dla kobiet, które doświadczyły przemocy. Chyba jest wszystko. No pewnie, ja niczego nie przeoczę.

Podnoszę wzrok na duży zegar, za kwadrans siódma. Zaraz zasnę się schodzić uczestniczki grupy. Tylko Ainy nie ma. Czuję coraz większą irytację i jednocześnie mam wyrzuty sumienia. Nigdy nie będę potrafiła odwdziżyć jej się za to, co dla mnie zrobiła. Głupio mi, to małostkowe złościć się o piętnastominutowe spóźnienie. W tym momencie Aina wpada przez drzwi, w rękę trzyma klucze, a w zębach papierową torebkę pełną drożdżówek.

– Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać – mówi przez zaciśnięte zęby i oczami wskazuje torebkę.

– Przecież nie chciałaś terapii przy kawie i ciasteczku.

– Kurde, wiem, ale zmieniłam zdanie, bo to nie terapia, tylko grupa wsparcia i mamy tu siedzieć dwie godziny, a już zaraz siódma, więc zgłodniejemy. – Wyjmuje torebkę spomiędzy zębów i balansując na jednej nodze, usiłuje ściągnąć długi but, klnie, siada na progu i zaczyna ciągnąć obiema rękami.

– Wiesz co, od początku byłam za kawą z czymś słodkim...

Unosi dłoń, pokazując, że na tym chce zakończyć tę bezsensowną wymianę zdań, która nosi cechy rytuału. Znajdujemy sobie jakiś drobiazg, o który można się pospierać, aby potem zgodzić się w większych sprawach. Istotnych.

Dzwoni domofon. Aina wstaje, chwytając buty, torebkę z drożdżówkami i biegnie do kuchenki. Ja w tym czasie idę otworzyć.

– A więc jesteśmy w komplecie. Witam serdecznie na spotkaniu kobiet, które doświadczyły przemocy.

Stoimy przy tablicy. Zerkam na Ainę. Jasne włosy upięła w wymyślny węzeł, na ramionach ma piękny szal zrobiony na drutach. Na twarzy skupienie i spokój. Pewność siebie. Wygląda na osobę, której chciałoby się zwierzyć. Ja sama czuję się zmęczona i zapyziała. Moje krótkie, ciemne włosy są w nieładzie od deszczu i wiatru, ubranie pogniecione. Z drugiej strony nie szkodzi, że wyglądam jak byle kto. To nawet łatwiej, kiedy jest się kimś zupełnie zwyczajnym.

Rozglądam się po twarzach. Wokół stołu siedzi pięć kobiet w różnym wieku. Unikając patrzenia na siebie, kierują wzrok na mnie i Ainę albo na stół.

Najbliżej mnie siedzi kobieta, sądząc z wyglądu w moim wieku. Gęste, ciemne włosy związane w koński ogon, wytarte dżinsy i bluza z kapturem. Uderza mnie jej zwyczajny wygląd. Wygląda jak czyjaś siostra albo przyjaciółka. Przedszkolanka albo urzędniczka bankowa. Gdybym spotkała ją na mieście, nigdy bym nie zgadła, że padła ofiarą przemocy. To akurat jest oczywiste – nie ma jednego szablonu dla takich jak one, jak my. Kobieta wierci się na krześle, jakby zauważyła, że ją obserwuję. Odwraca się i napotyka mój wzrok. Oczy ma ciemne, spojrzenie uczciwe. Uśmiecha się niepewnie, potem spuszcza wzrok na dłonie splecione na kolanach.

Aina mówi teraz o celu, w jakim utworzono grupę: „nie terapeutyczną, lecz grupę wsparcia pod profesjonalnym kierunkiem”, oraz o zasadach: „nas obowiązuje tajemnica, a was dyskrecja” i organizacji spotkań: „raz w tygodniu przez osiem tygodni”. Dziwne uczucie, że obie jesteśmy grupowymi. Obserwuję Ainę, oceniam jej udział. Sprawdza się. Jej pewność siebie daje poczucie bezpieczeństwa. Widać, że jest doświadczona. Myślę o mojej, dość niepewnej roli w tym projekcie. Jestem grupową, ale również ofiarą przemocy. Granica między jednym a drugim

jest cieniutka. Grupowa zamiast uczestniczki. Profesjonalistka zamiast ofiary.

– Zaczniemy od wzajemnego przedstawienia się. Sytuacja jest o tyle szczególna, że mieszkacie w tej samej dzielnicy. Może się znacie, choćby z widzenia. Dlatego chcę jeszcze raz przypomnieć o dyskrecji, to bardzo ważne, żebyście się wszystkie czuły tutaj bezpiecznie. Żadna z was nie powinna mieć obaw, że to, co tu powie, zostanie podane dalej. Okej? – Aina rozgląda się po siedzących przy stole, po kolei patrzy w oczy. Wszystkie kiwają głową z poważną miną i mruczą potakująco. – Proszę, żebyście się przedstawiły, wystarczy imię, i krótko powiedziały, dlaczego tu jesteście. Oczywiście nie ma obowiązku mówić więcej, niż uznacie za stosowne. Mogłybyście też dodać, co same sądzą od tym projekcie. W czym grupa mogłaby wam pomóc.

Mówi to z uśmiechem, z wyrazem zainteresowania i jednocześnie empatii.

– Ja mogę zacząć. – Kobieta siedząca koło mnie rozgląda się, uśmiecha nieco nerwowo. – Na imię mam Kattis. Właściwie Katarina, ale wszyscy mówią na mnie Kattis. Pracuję w Arbetscentrum⁴, jestem tam instruktorką. Chociaż może nie powinnam tego mówić. – Przerzywa i kręci głową. – Przepraszam. Denerwuję się. Trudno mi o tym rozmawiać.

Aina napotyka jej spojrzenie i zachęcająco kiwa głową. Kattis nabiera powietrza i podejmuje na nowo.

– Jestem tu, bo mój były facet mnie bił. Mam nadzieję, że grupa pomoże mi zostawić to za sobą. Henrika też. I jeszcze wybaczyć sobie, że byłam taką idiotką i trwałam w tym związku.

Wydech. Cisza. Kattis ma minę, jakby sama nie mogła uwierzyć w to, co powiedziała.

– Witaj, Kattis. Zanotuję cel, jaki sobie postawiłaś.

Aina kiwa głową i pisze coś w notatniku. Potem zwraca się do młodej dziewczyny siedzącej obok Kattis. Chyba nie ma osiemnastu lat. Młoda, szczupła i delikatna. Wygląda, jakby miała się zaraz rozlecieć. Nie przestaje przebierać długimi, szczupłymi palcami. Ciągłe coś skubie. Spódnice. Włosy. Twarz.

– Mam na imię Sofie. Przyszłam tu, bo ojczym mnie bił. Nie molestował, nic z tych rzeczy. Tylko bił. Gdy był pijany, albo w ogóle, gdy zrobiłam coś źle. Jestem tu, bo chciałabym... – Milknie i wpatruje się w podłogę, jakby szukała właściwych słów. – Chciałabym tego samego co ona, znaczy Kattis. – Patrzy na Kattis z zawstydzonym uśmiechem. – Też bym chciała zostawić to za sobą.

Aina notuje, kiwa głową. Pozostałe kobiety również kiwają głową z wyrazem przejęcia i zainteresowania.

Po Sofie mówi młoda kobieta, kilka lat starsza, ale nadal młoda. Wygląda na silną, energiczną. Krótkie, rozjaśnione włosy. Ubrana na sportowo. Chyba musi trenować. Rozgląda się, obejmując wzrokiem całą grupę.

– Mam na imię Malin. Zostałam zgwałcona przez faceta, myślałam, że można mu zaufać. Zgłosiłam się, żeby nie czuć takiej złości. I dlatego, że nie chcę czuć się ofiarą. Myślę, że mi ulży, jeśli o tym opowiem.

Malin ma mocny, jasny głos, patrzy Ainie w oczy, jakby rzucała jej wyzwanie.

Aina zapisuje coś w notesie i zwraca się do kolejnej kobiety. Jest najstarszą uczestniczką grupy. Przepuszczalnie koło sześćdziesiątki. Włosy ufarbowane na rudo, trwała, paznokcie żółte od nikotyny. Twarz pełna zmarszczek, cera z przebarwieniami. Wygląda na uległą, umęczoną. Jakby życie było dla niej mocno niełaskawe. Zastanawiam się przez chwilę, co ja mam wspólnego z tymi kobietami. Pewnie nic. Sama się karcę w myślach, każę się skupić na uczestniczkach grupy, nie na sobie. Czuję się beznadziejną egocentryczką i marzę o tym, żeby wyjść w deszczową ciemność.

– Mam na imię Sirkka – mówi z silnym fińskim akcentem. – Przyszłam, bo bił mnie mąż. Uzmysłowiłam to sobie do głębi dopiero po wielu latach. On umarł zeszłej zimy i od tego czasu zaczęłam się zastanawiać. – Wzdycha ciężko, wszystkie zastygamy, skupiamy się na niej. – Chciałabym... – Zastanawia się. – Chciałabym móc zacząć wszystko od początku. Jak wy, młode dziewczyny. Ale jestem za stara. Jednak mam nadzieję, że może mi się uda... – Znów się zastanawia. – Pogodzić się ze sobą.

Krótkie kiwnięcie głową na znak, że skończyła mówić.

Ostatnia uczestniczka. Piękna kobieta około czterdziestki. Twarz okalają ciemne, krótko

ostrzyżone włosy. Zielone oczy, perfekcyjnie umalowane usta o głębokiej barwie czerwonego wina. Świetnie ubrana. Kobieta zwracająca uwagę. Podnosi wzrok i kieruje go na mnie, zamiast na Ainę.

– Jestem Hillevi, obecnie wraz z moimi dziećmi mieszkam w ośrodku dla ofiar przemocy w rodzinie. Mam trzech synów. – Hillevi uśmiecha się, pewnie na myśl o swoich dzieciach. – Trafiłam do Solgården, bo byłam bita przez ojca moich dzieci, to znaczy mojego męża. – Milknie, co nie wynika z wahania. Jej milczenie jest umiejętnie wyważoną przerwą.

Myślę sobie, że Hillevi jest doświadczoną mówczynią, która dobrze się czuje w tej roli. Rozgląda się po obecnych, potem znów kieruje spojrzenie na mnie.

– Ostatecznie mogłabym pogodzić się z tym, że mnie bił. Wierzę w małżeństwo, tak mnie wychowano. Moi rodzice należeli do Kościoła wolnego⁵ i nauczyli mnie, że małżeństwo jest związkiem na dobre i na złe. Na pogodę i niepogodę. Jakob nie bił mnie często, a jeśli się to zdarzyło, okazywał szczerą skruchę. On nie żywi nienawiści do kobiet. Szanuje mnie. I kocha. Jednak ma bardzo gwałtowny temperament i okropnie się złości. Chodziliśmy na terapię dla małżeństw. Bardzo się starał, pracował nad sobą. Już myślałam, że jest lepiej. – Hillevi zatrzymuje się, zastanawia. – I było lepiej. Naprawdę. Ale potem pobił Lukasa. – Znów milknie. Napotykam jej spojrzenie i dopiero teraz dostrzegam w nim wstyd. – Pobił Lukasa, naszego najstarszego syna, który wkrótce skończy siedem lat. – Pojawiają się łzy. Hillevi pozwala im spływać po policzkach i dalej, na szczupłą, bladą szyję. – Przyszłam tu, bo muszę przyjąć do wiadomości, że nie mogę żyć z mężczyzną, którego kocham. I muszę wybaczyć sobie, że nie potrafiłam ochronić naszych dzieci.

Powoli kiwam głową na potwierdzenie, że słyszałam, rozumiem, że zawałił jej się świat, który trzeba sklecić na nowo.

Głos Ainy przywraca mnie do rzeczywistości, do grupy i porządku spotkania.

– Dobrze – mówi. – Teraz wiemy więcej o sobie. Chciałybyśmy teraz opowiedzieć o reakcjach osób, które padły ofiarą przestępstwa, i o kolejnych fazach kryzysu psychicznego. Nie powinien być to jednak wykład, tylko dialog, więc proszę przerywać.

Chrząkam i odwracając się, chwytam pisak. Teraz moja kolej.

– Mówi się, że kryzys składa się z różnych faz. Może już o tym słyszałyście?

Na tablicy wykres przedstawiający fazy kryzysu. Uczestniczki grupy siedzą w milczeniu, patrzą na mnie i czekają na moje wskazówki. Nagle czuję, że się czerwienię. Nie jestem przyzwyczajona kierować tak dużą grupą ani mówić o przestępstwach przeciwko kobietom. Nie umiem w pracy mówić o własnych lękach.

Wpatruję się w linoleum na podłodze i z uczuciem zażenowania przesuwam dłońmi po czarnej tunice.

– Okej, zostało jeszcze piętnaście minut. Może któraś z was chciałaby podzielić się z nami swoją historią?

Ku mojemu zdziwieniu zgłasza się jedna chętna. Malin bez słowa podnosi rękę, prosi o głos.

– Chętnie zacznę. Dla mnie... jak by to powiedzieć, nie jest mi specjalnie trudno mówić o tym. Bo przede wszystkim jestem... wściekła.

Milknie, napotyka mój wzrok. W sali jest zupełnie cicho, słychać jedynie szum ulicy, po której suną samochody w jesiennych ciemnościach.

– Na kogo jesteś wściekła? – pyta ostrożnie Sofie. Wszystkie spojrzenia zwracają się ku drobnej dziewczynie siedzącej na lewo ode mnie.

– Na siebie. To jasne.

Malin śmieje się krótko, głośno, z otwartymi ustami. Kątem oka widzę, jak Aina kiwa głową, chwytając długopis i coś notuje.

– Mogłabyś zacząć od początku? Co się wydarzyło? – pyta Aina.

– Właściwie to dość... żałowna historia. Poznałam faceta w sieci. Na czacie, ale nie na żadnej podejrzanym stronie z seksem, tylko na stronie dla długodystansowców. Chodzi o to, że biegam. Zresztą wiedziałam, kim on jest, czołówka biegaczy to mały świat, poza tym on również

mieszka na Värmdö. – Głos jej zamiera, zauważam ze zdziwieniem, że zaciska dłonie na nogawkach dżinsów. Z pozoru wygląda na odprężoną, wygadaną, ale najwyraźniej jest jej ciężko opowiadać. Nagle wzdycha głęboko, kręci lekko głową. – Wiem, właściwie nie zna się kogoś poznanego w sieci. No bo to nie real. Jednak często ze sobą czatowaliśmy, a potem, gdy już się wymieniliśmy adresami mailowymi i numerami komórek, zaczęliśmy mailować i esemesować. To chyba było... tak sędzę... coś w rodzaju flirtu. Jednak nic więcej, żadnej pornografii, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Ale okej, flirt z lekkim podtekstem. Jednak żadnych oznak... nic, co by... tłumaczyło późniejsze wydarzenia.

Wszystkie przytakują, patrzą na nią w milczeniu, Malin wyciąga pomadkę ochronną, ale tylko trzyma ją w ręku.

– Pewnego dnia podczas rozmowy przez telefon postanowiliśmy się spotkać. Tak po prostu. U niego. Wiem, to był wielki błąd – mówi Malin, kręcąc głową, jej krótkie, jasne włosy układają się na głowie jak hełm. Odgarnia na bok grzywkę, wykręca pomadkę i z nieobecną miną przeciąga po bladych, pełnych wargach. – To był mój pierwszy błąd, niestety nie ostatni. Był piątek, poszliśmy na piwo z kolegami z pracy, a przedtem dowiedzieliśmy się, że dostaniemy premię; moja praca polega na zdobywaniu ogłoszeń i raz na kwartał dostajemy premię, to znaczy, jeśli nam dobrze szła sprzedaż. Wtedy akurat chyba wszyscy dostali. Premię znaczy. Więc... nastroje były wręcz znakomite. Wszyscy wypili po cztery, pięć piw. Ja też. Problem w tym, że ja rzadko piję. W gruncie rzeczy to nie jest problem, ale... – Malin milknie. Przygląda nam się po kolei, jakby się zastanawiała, czy jesteśmy godne zaufania i w odpowiedni sposób potraktujemy jej zwierzenie. – A więc upiłam się. To takie głupie. – Ponowne westchnienie, Malin spuszcza głowę i splata ręce na kolanach, ze spokojem i powagą, która przywodzi mi na myśl zakonnicę albo diakonisę. Teraz wygląda raczej na zmartwioną niż wściekłą, w jej wyrazie twarzy, w głębokiej zmarszczce między brwiami i twardym rysie koło ust jest coś takiego, co każe myśleć, że chyba musi być starsza, niż sądziłam. Cała emanuje rezygnacją, może też czymś w rodzaju lekkiego cynizmu. – Nie rozumiem, nie rozumiem, nie rozumiem. Jak ja mogłam być taka cholernie głupia? Poszłam do faceta, którego nigdy przedtem nie widziałam. Sama, wstawiona. Co ja, do cholery, myślałam? Potem, gdy już do niego dotarłam, on mieszka w jednym z tych domów czynszowych koło kąpieliska, niedaleko boiska, otworzył mi i już wtedy miałam nieprzyjemne uczucie. Spojrzał na mnie... jakoś dziwnie i lekko się uśmiechnął. Niemiło. Miałam wrażenie, jakby śmiał się ze mnie, jak wtedy, gdy człowiek zachowa się niezdarnie, na przykład upuści pełną szklankę na podłogę albo... Nieważne, mogłam zawrócić na pięcie i wyjść. Przecież nie rzuciłby się na mnie na klatce schodowej. Ale głupio się czułam i weszłam. Co było cholernie idiotyczne.

W sali panuje absolutna cisza. Wszystkie patrzymy na Malin, która kuli się na krześle, obejmując się umięśnionymi ramionami, jakby zmarzła albo szukała pocieszenia we własnym ciele.

– Okej, pewnie nie byłam też najlepiej ubrana. Miałam bardzo... krótką spódnicę. Wiem, tyle się o tym mówi: oczywiście, że to nie ma znaczenia, czy raczej nie powinno mieć znaczenia. Jednak czasem się zastanawiam... Gdybym była trzeźwa. Gdybym miała na sobie coś cholernie nieseksownego. Przyszła nieумыta i była brzydka. Miała nieświeży oddech. Czy miałoby to jakieś znaczenie? Czy sama przyłożyłam rękę... do tego, co on zrobił? Oczywiście wiem, że nie powinno mieć znaczenia, co się ma na sobie... – Malin jeszcze raz wzdycha ciężko, nadal obejmuje się ramionami, jakby miała na sobie kaftan bezpieczeństwa. – Tak czy inaczej. Chwilę gadaliśmy u niego w kuchni. Wypiliśmy trochę piwa. A potem... zaczęliśmy się migdalić, wtedy mi się to podobało. Ale nagle coś się stało, jakby zupełnie się zmienił, zrobił się jakiś dziki. Zresztą może to mnie się odmieniło. W każdym razie poczułam, że już nie chcę, i powiedziałam to. Powiedziałam, żeby przestał, że nie chcę. Mówiłam to wiele razy. Może i krzyczałam, nie bardzo pamiętam. Ale zepchnął mnie na podłogę, przytrzymał mnie, naciskając mi szyję ramieniem, i jednocześnie wciskał we mnie palce. A ja... leżałam, nie mogłam się ruszyć, bo ledwo mogłam oddychać. On był potwornie silny. To znaczy ja jestem silna, ale on był... I jeszcze wydawało mi się, jakby był na mnie wściekły, jakby nagle mnie znenawidził, chciał mnie zabić. Nie potrafię zrozumieć, skąd się wzięła ta złość, co ja mu takiego powiedziałam albo zrobiłam, że był taki wściekły. Dużo się nad tym zastanawiałam. To znaczy po fakcie. Skąd u niego ta furia. I jeszcze ta bezradność. Jestem

przyzwyczajona do tego, że jestem silna, ale tylko leżałam. Kompletnie bezradnie. Patrzyłam pod jego lodówkę, widziałam, ile tam kurzu, że pewnie od wieków nie sprzątał. Kurz, ścinki z sera i papierki po lodach. Dlaczego ja to pamiętam? Dlaczego człowiek myśli o takich rzeczach, gdy... – Malin nagle urywa. Przez chwilę siedzi cicho, z rękoma splecionymi na kolanach. – I potem to zrobił.

– Malin, czasem przynosi ulgę, jeśli się szczegółowo opowie o tym, co się stało. Mówienie o tym jest bardzo nieprzyjemne, ale w dalszej perspektywie może ci pomóc uporać się z tym gwałtem.

Kobieta kiwa głową. Chyba nie uważa, że to dobry pomysł.

– Jeśli dzisiaj masz dość, możemy do tego wrócić innym razem. Nie chciałabym, żebyś odbierała to jako presję.

– Nie. Chcę opowiedzieć. No więc... zgwałcił mnie na tej podłodze w kuchni. Przy tym cały czas krzyczał „kurwa” albo „pizda” i tak dalej. W tym momencie dotarło do mnie, że sprawa jest poważna, to się dzieje naprawdę, bo z początku myślałam, że to żart, może jakaś odjazdowa zabawa. Mimo to... czułam, że to poważne, i jednocześnie miałam wrażenie, że mnie tam nie ma. Jakby bił kogo innego. Inne ciało. Czułam się, jakbym siedziała przy stoliku w kuchni i patrzyła na nas leżących na podłodze. I jeszcze pomyślała: „Niedobrze. Ciekawe, czy uda jej się z tego wywinąć”. Jakbym była jakimś zaszranym komentatorem sportowym. Wyciągnęłam wniosek, że on jest silny i szybki, a ja... pijana i głupia. Innymi słowy kiepskie szanse. Potem, sama nie wiem, czy wskutek bicia czy czegoś innego, może jakiegoś mechanizmu obronnego, ale zrobiłam się zupełnie bierna. Mógł robić ze mną, co chciał. I robił. – Malin mówi to cicho, ochryplym szeptem. Wzrok uparcie wbity w linoleum na podłodze. – Zgwałcił mnie wiele razy. Waginalnie, analnie. Między jednym a drugim gwałtem bił. Nie tak mocno jak na początku, jakby mu już nie starczyło energii. Od czasu do czasu uderzał mnie w twarz, kopał, ciągnął za włosy. Jednak z upływem czasu stracił zainteresowanie. A ja leżałam tak we własnej krwi... i w sikach... i... i...

– Jak długo to wszystko trwało? – pyta Aina zadziwiająco mocnym głosem.

– Jak długo?

Malin wygląda na zdumioną tym pytaniem.

– Jak długo? Parę godzin. Co najmniej.

– *Parę godzin*, to się w głowie nie mieści – odzywa się wzburzona Kattis.

– I co się stało? Udało ci się uciec? – ostrożnie pyta Sirkka.

– Zasnął. Ten skurwysyn zasnął. Wyobrażacie sobie? Po prostu zasnął na podłodze, wystarczyło wstać i wyjść. A ja zachowałam się po prostu klasycznie. Poszłam do domu i weszłam pod prysznic, szorowałam się i splukiwałam, byle tylko pozbyć się go z mojego ciała. Cztery tygodnie później złożyłam doniesienie na policję. Wtedy oczywiście już nie było żadnych śladów biologicznych, widocznych też nie, ale na policji powiedzieli, że sprawa jest ewidentna. Pół roku wcześniej napastował jakąś dziewczynę i policja znalazła u niego... jak to się nazywa... Rohypnol. Podobno stąd ta agresja i to, że tak długo mógł. Że niby Rohypnol w połączeniu z alkoholem daje taki efekt. Jednak ja mam wątpliwości. Co takiego musi w nim siedzieć, żeby zrobić coś takiego drugiemu człowiekowi? Chyba od początku trzeba być potworem, nie? Nie wierzę, że to tylko działanie leku. Myślę, że on... jest zły. Potem, podczas procesu, strasznie dużo truli o tym, że on był w dzieciństwie napastowany przez jakiegoś starszego dzieciaka. Na początku lat dziewięćdziesiątych w Hagsåtra. Jakby to było zaraźliwe. Albo było jakimś usprawiedliwieniem. Mam to gdzieś. Mówili, że dlatego lubi brutalny seks. Bo on tak powiedział, to znaczy, że już przedtem uprawialiśmy seks. Brutalny. I że mnie się to podobało i nawet sama chciałam. Potem jeszcze ci dranie wykorzystali nasze esemesy jako dowód, że łączył nas związek. Nie powiem, był jakiś esemes, w którym napisałam coś z podtekstem seksualnym, jednak... Tak czy inaczej. Stało się to, co nie powinno się stać. Jego kumple zapewnili mu alibi na tamten wieczór, powiedzieli, że wtedy byli z nim w kinie i jeszcze, że wiedzieli o rzekomej relacji między nami. Że się spotykaliśmy, żeby się pieprzyć. Jak można zrobić coś takiego? Jak można kłamać w takich sprawach, osłaniać takiego... potwora? Facet został uniewinniony. Widuję go dość często. Parę miesięcy temu wpadliśmy na siebie w sklepie monopolowym w centrum.

Wyszczerył się i pomachał mi ręką, jakbyśmy się kolegowali albo coś w tym rodzaju. – Malin milknie, po chwili dodaje: – Żałuję, że go nie zabiłam, że go nie powstrzymałam. Albo że on mnie nie zabił.

– Dlaczego tak mówisz? – pyta nieskończenie delikatnie Sofie.

– Bo bezpowrotnie zniszczył coś we mnie. W mojej duszy. Odebrał mi coś, czego nie wolno nikomu odbierać.

Głos jej zamiera.

– Co ci odebrał? Jak ci się wydaje? – odzywa się Sirkka, pochylając w przód. Jej zniszczone rude włosy błyszczą się w świetle lampy jak płomienna aureola.

– Odebrał... – Kręci głową i teraz już płacze, wycierając smarki wierzchem dłoni. – Odebrał tkwiące we mnie w pewnym sensie dziecko. Ufność. Wiarę w ludzi. Zniszczył osobę, którą byłam. I tę, którą chcę być.

Sirkka wzdycha głęboko. Wygląda, jakby dostała w twarz, jest wstrząśnięta i rozgniewana. Ostrożnie, bez słowa, wyciąga chudą, pomarszczoną rękę w stronę Malin, delikatnie dotyka jej kolana.

– Dziecko drogie, cofam to, co powiedziałam, że chętnie bym się zamieniła z wami, młodymi dziewczynami.

Długo siedzimy w ciszy, nie odzywając się. Za oknem nad Södermalmem zaległa ciemność, obojętna na to, co się rozegrało w mojej poradni.

Ciało Markusa na moim, gorące, twarde.

Nie to ciało?

Stefan.

A jednak wydaje się, że to. Jakbym w pewnym sensie odnalazła drogę do domu. Jakby gorące ciało Markusa mogło zagoić wszystkie moje rany.

Uleczyć mnie.

Po południu strasznie się o to pokłóciliśmy. Markus miał głos jak papier ścierny, jakby chciał ze mnie zeszkrobać osłonkę. Zmusić mnie do otwarcia się. Paskudne uczucie, jakbym była owocem, który ktoś obiera, by dotrzeć do wnętrza. I połknąć.

– Nie dopuszczasz mnie do siebie. Pozwalasz tylko być tu, koło ciebie. A ty robisz swoje. Jakby mnie nie było. Jakbym był martwy. Jak twój mąż.

– Markus, kochany...

Mówię cieniem, proszącym głosem.

– Wszystko odbywa się na twoich warunkach.

Zmilczałam. Wiedziałam, że ma rację. Wiedziałam, że on wie, że ja wiem.

– Ty i ten twój cholerny proces...

Mój proces.

Starłam się wyjaśnić mu jak najdelikatniej, że wprawdzie Stefan nie żyje, ale jest nadal w szczególny sposób obecny w moim życiu. Że nie wiem, czy jeszcze będę umiała się z kimś związać. Bo rzecz nie w tym, czybym chciała.

A może jednak w tym?

Widziałam po nim, że go zabolalo, i nawet to rozumiem. Nie zależy mi na nim tak, jak jemu na mnie. On chce, żeby wszystko było w komplecie. Pierścionek na palcu, szeregowiec, zasmarkane dzieci, zebrania w przedszkolu, kredyt na dom, treningi na boisku, grill z sąsiadami.

A ja nie wiem, czego chcę. Moje życie jest jak woda, odbija się w niej to, co mnie otacza, ale nie ma smaku ani koloru. I spływa, chociaż próbuje się ją zatrzymać.

Z drugiej strony: on jest dorosłym mężczyzną. Sam dokonuje wyborów.

Jeśli ci nie pasuje, to spadaj!

Niczego mu nie obiecywałam. To nie ja wysyłałam jednego esemesa za drugim. Noc w noc. Nie ja wysyłałam e-maile z gorącymi wyznaniem miłosnymi. Ja tylko... byłam, kiedy się zjawiał. Za każdym razem. I przyjmowałam go.

Z otwartymi ramionami, głodnymi ustami.

Niczego nie ukrywałam. Sam tak wybrał.

A jednak.

Jego spocone czoło na mojej piersi. Jego oddech na moim karku. Noc w noc. Te ramiona, wciąż lekko opalone po lecie, które trzymają mnie jak w imadle.

Chciałabym nigdy go nie wypuścić. Byłabym gotowa zapłacić za to.

Słabość.

Myślę, że oboje jesteśmy słabi.

Chociaż każde na swój sposób.

Później.

Markus leży w łóżku za moimi plecami. Ciężko oddycha. Palcem rysuje kółka na moim grzbiecie.

Dlaczego faceci robią takie rzeczy? Może on coś pisze?

„Jesteś moja”.

Odsuwam się, moszczę po drugiej stronie wąskiego łóżka.

Ostrożnie.

W obawie, żeby nie odebrał tego jako ostentacyjnego gestu, bo rzeczywiście tak nie jest. Po prostu przez chwilę chcę poczuć, że wokół mojego ciała nic nie ma. Jego spoconej skóry. Jego zabiegów. I oczekiwań.

Na dworze deszcz się wzmacnia. Bębni ogłuszająco o dach. Bezlistne, rozczapierzone gałęzie uginają się na wietrze i trzą o szyby.

Próbowałam mu wyjaśnić, wytłumaczyć się z mojej potrzeby odrębności. Fizycznej i mentalnej. Że na samą myśl o stałym związku, wizytach u teściów i wspólnych obiadkach dostaję gęsiej skórki. Widziałam, że naprawdę stara się mnie zrozumieć, ale nie potrafi. Patrzył na mnie, jakbym była jakąś egzotyczną potrawą, której chciałby popróbować, ale gdy przyjdzie co do czego, to mu nie smakuje.

– Siri?

Markus się przytula, jego wilgotne ciało dopasowuje się do mojego. Otacza mnie ramionami i bierze w posiadanie.

– Mhm...

– W porządku?

Po co te bezsensowne pytania. Co w porządku? Z czym? Że się pieprzyliśmy? Że przytulał mnie mocno, mocno i miałam uczucie, że należymy do siebie. Tak naprawdę. Że potem mi to minęło.

– Mhm, dobrze było.

– Lubię cię.

Całuje mnie w kark. Miętko. Już jest syty.

– Ja ciebie też.

Nie kłamię. Naprawdę go lubię. Bardzo. Tylko nie mogę wytrzymać ciągłego, dusznego bycia we dwoje.

– Dzięki – mruczy i ziewa.

Za co? – myślę. Za to, że pozwoliłam mu zbliżyć się do siebie? Że szczytował we mnie? Że jeszcze nie kazałam mu pójść?

Z zewnątrz dochodzi odgłos fal, które z hukiem rozbijają się o skały. Rytmicznie. Jak jego puls.

Muszę się postarać.

Po raz setny obiecuję sobie, że postaram się być taką normalną kobietą, której on chce. Na którą zasługuje.

Którą chciałabym być.

Patrik podsuwa mi czerwoną, popękaną dłoń. Widzę, co na niej trzyma, chociaż w pomieszczeniu jest ciemnowo. Dwie białe pigułki, nie większe od paznokcia małego palca.

Właściwie miałam się z nimi spotkać dopiero za tydzień, ale Patrik zadzwonił i poprosił o dodatkową sesję.

Coś się stało.

– Domagam się odpowiedzi – mówi, poprawiając okulary drugą ręką. Oczy ma mroczne. – Stałaś się narkomanką, czy co? Moja kobieta. Matka moich dzieci... narkomanką? Czy tak, Mia? Wiesz co... Wiele byłbym w stanie sobie wyobrazić na twój temat, ale coś takiego... O czym ty w ogóle myślałaś? Coś w rodzaju: życie jest nefajne, dzieciaki nieznośne, no to sobie dogodzę, tu, na kanapie. Niech sobie dzieci radzą.

Mia patrzy w podłogę, jej twarz jest całkowicie pozbawiona uczuć, jak niezapisana kartka. Dłonie z obdrapanym fioletowym lakierem na paznokciach trzyma nieruchomo między tęgimi udami. Również dziś ma na sobie męski sweter, niekorzystny dla jej i tak tęgiej figury.

– Zaraz – przerywam Patrikowi. – Możesz mi powiedzieć, co się stało?

Patrik wzdycha głęboko, drapie się po zaczesanych na bok rozjaśnionych włosach i wyciąga nogi przed siebie. Jego dżinsy są tak ciasne, że wyprostowanie nóg przychodzi mu z pewnym trudem. Sięgają prawie moich stóp, w związku z tym odruchowo cofam je pod fotel. Nie zbliżać się do pacjenta.

– Wczoraj wróciłem do domu koło piątej, Mia spała w najlepsze na kanapie. Była zupełnie bez kontaktu. Telewizor włączony. A Gunnel, Boże... Gunnel wyjęła zamrożone mięso mielone z zamrażarki – już umie ją otworzyć – i obgryzała. Wyobrażasz sobie? Mia była... naćpana... a moja córka z głodu obgryzała bryłę zmrożonego mięsa. Całą buzię miała pobrudzoną od krwi. Wyglądało to strasznie, jak w najgorszym horrorze. Ja nawet nie jem mięsa. A Lennart... spał na podłodze w łazience. Znów udało mu się zsunąć pieluchę, więc na podłodze była zaschnięta kupa. W tym czasie Mia, matka moich dzieci, leży i śpi. *Nawalona jak stodoła.*

Mia wciąż siedzi nienaturalnie spokojnie, ale widzę kropelki potu, które wyszły na czoło i teraz spływają po skroniach, a niemal niewidoczne drganie w kąćniku ust zdradza, że jest bardzo spięta. Patrik patrzy na nią ze wstrętem.

– Powinnaś się wstydzić. – Wypluwa z siebie te słowa, jakby miały obrzydliwy smak.

– Ale dlaczego myślisz, że Mia znajdowała się... pod wpływem jakichś środków?

Patrik rzuca mi spojrzenie wyrażające niewiarę w moją inteligencję, obraca w palcach pudełeczko ze snusem.

– Znalazłem je. Pigułki. Leżały w kuchni. Sobril. Całe opakowanie. Wiesz, co to jest, prawda? Benzodiazepina, najgorszy z dragów. Wiem dokładnie, jak to działa. Już to widziałem i nie pozwolę, żeby uderzyło w moją rodzinę.

Patrik zwraca się do Mii, nagle się podnosi i staje rozeźlony między mną a nią. Wygląda jak wielki głaz na środku pola.

– Mam zamiar chronić dzieci. Rozumiesz? Choćby to znaczyło, że będziesz musiała się wyprowadzić. Muszę je ochronić.

Parska, pluje słowami, pryska mi śliną na policzki. Mia siedzi nieruchomo, tylko wielkie, ciężkie łzy spływają jej po policzkach. Pod nosem ma kapkę, coraz dłuższą, nadal siedzi nieruchomo ze zwieszoną głową. Jakby czekała na cios. Albo go dostała.

Myślę, że tak właśnie jest.

– Od jak dawna tak to czujesz? – pytam Patrika.

– Jak to czuję? Chcesz powiedzieć, od jak dawna tak jest? Nie mów od jak dawna tak to czujesz, bo nie chodzi o to, jak ja czuję, tylko jaka jest rzeczywistość. Przestań mnie obarczać winą. Przyszedłem tu, bo naprawdę jestem odpowiedzialnym ojcem i zależy mi, żeby moje dzieci wychowywały się we w miarę bezpiecznych warunkach.

– Okej, od jak dawna jest tak według ciebie?

Stojąc na środku pokoju, Patrik wzdycha. Potem macha mi przed nosem swymi wielkimi rękami, jakby się opędzał przed złośliwym owadem.

– Sam nie wiem. Od dawna. Chyba od urodzenia Lennarta. – Teraz mówi ciszej, trochę

skrzekliwym głosem, słycać w nim rezygnację, osamotnienie, żal i ból, ale również ileś nocy nieprzespanych z powodu dziecięcych kolek. – Nie zawsze tak było. Zanim urodził się Lennart... Mia całymi dniami przesiadywała na Nytorget, popijając latte z innymi babami od Odd Molly. Wtedy było lepiej. Było okej. A wcześniej, gdy się poznaliśmy, przez kilka lat byliśmy niesamowicie zakochani. Po prostu namiętnie. Na samo wspomnienie mam motylki w brzuchu. Mia była... cudowna. Towarzyska, inteligentna, komunikatywna, z mnóstwem zainteresowań, miała zostać współwłaścicielką firmy reklamowej, w której pracuje. Ale potem... Przyszły dzieci, Mia się wypaliła. Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Czuję się, jakbym żył z zupełnie inną osobą. Ona jest jak obca. Nie powiem, że jej nie lubię ani nic w tym rodzaju. Po prostu jej nie poznaję.

Spoglądam na Mię, która wbiła wzrok w podłogę i nadal płacze. Myślę, że mnie też nie było dane poznać osoby opisanej przez Patrika, towarzyskiej, komunikatywnej kobiety, w której się kiedyś zakochał. Po raz pierwszy niepokoję się o nią. Może jej depresja jest tak głęboka, że potrzebuje poważniejszej interwencji od tej, którą ja jej mogę zaoferować. Już mi się zdarzyło stracić pacjenta i nie chciałabym, żeby to się powtórzyło.

– Mia – zaczynam ostrożnie i delikatnie dotykam jej ramienia, na co reaguje wzdrygnięciem. – Co na to powiesz?

Mia kręci głową.

– To nie... tak.

– Co to znaczy nie tak?

Patrik znów wciska długie ciało w niewielki fotel; spojrzenie, jakim obrzuca żonę, wyraża nieufność.

– To nie tak, jak mówi Patrik. Rzeczywiście byłam zmęczona i zasnęłam, ale absolutnie nie brałam żadnych tabletek.

– No to czyje są te tabletki, co? Możesz mi to wyjaśnić? – przeciągle pyta Patrik.

– Moje, oczywiście. Przepisał mi je lekarz rodzinny i dobrze o tym wiesz. Źle sypiam, mam lęki, nie wiem, co począć. Pewnie dlatego jestem taka zmęczona w ciągu dnia. Ale wczoraj nic nie wzięłam. Nic. Tylko byłam... zmęczona.

Mówi cicho, patrząc cały czas w podłogę i głaszcząc się po pełnych udach.

– Nie braałam żaaadnych tabletek – przedrzeźnia ją Patrik piskliwym głosem. – Żałosna jesteś, wiesz? Nie ma ćpuna, który by nie twierdził, że nie jest uzależniony. Nie można ufać ćpunowi, nie wiesz tego? Straciłaś moje zaufanie w momencie, gdy zaczęłaś brać te cholerne pigułki. Rozumiesz?

Widzę, że na moim zegarze ściennym dochodzi trzecia, co nieuchronnie oznacza koniec sesji. Czasem tak jest, trzeba skończyć, gdy właśnie dzieje się coś bolesnego albo ważnego. W końcu płacą mi tylko za to, że przez sześćdziesiąt minut słucham ich spowiedzi. A więc robię to, co wiele razy wcześniej: podsumowuję dzisiejszą sesję, wyznaczam im krótkie zadania na czas do następnego spotkania za tydzień.

Patrik i Mia wychodzą z pokoju – on pierwszy, jego nerwowe ruchy świadczą o hamowanej złości, ona zaraz za nim, pociągając nogami, nadal ze spuszczoną głową.

Jak pies.

Jego pies.

W pokoju został po nich tylko ostry zapach potu. Poza tym panuje absolutny spokój.

– Czyli według ciebie Anette nie jest dostatecznie zajmująca, żebyś chciała się z nią spotykać?

Znowu klócimy się z Markusem.

Beznadziejna sprawa. Obrzucamy się wzajemnie oskarżeniami, jak śnieżkami. Jedyнным celem jest ugodzenie przeciwnika. Jedno twarde, zimne trafienie w czułe miejsce.

Przez drzwi tarasowe sączy się szare światło.

Za nimi morze: zimne i nieprzystępne. Przy brzegu na wodzie unosi się piana i rude liście. Temperatura jest bliska zera, w taką pogodę żaden rozsądny człowiek nie zechce się kąpać ani siedzieć na skałach i podziwiać widoków. Czarne ptaki dziobią w kałużach na trawniku w poszukiwaniu zimnych, śliskich owadów, by zaspokoić głód. Drzewa ogołocone z liści wyciągają się bezwstydnie ku niebu, które ma kolor ołowiu.

– Anette jest w porządku, ale nie mam ochoty spędzać z nią Wigilii.

Kłamstwo.

Siostra Markusa *nie jest* w porządku. Jest nudna jak flaki z olejem.

Policjantka, jak Markus. Mieszka na przedmieściu, w osiedlu składającym się z identycznych domów. Wszędzie ta sama szara farba na drewnianych fasadach, identyczne niebieskie trampoliny w ogródkach, takie same grille Webera stojące na starannie przyszczyżonych trawnikach pod oknem kuchennym. Mąż, dwoje dzieci. Podczas obiadu telewizor nastawiony na program sportowy i dzieciaki, które nudzą, żeby móc odejść od stołu i pograć w gry komputerowe.

Dlaczego miałabym spędzać z nią Wigilię? Nie widzę powodu.

Markus jest teraz na gorszej pozycji. Bo jak miałby mnie przekonać, że powinnam się zadawać z Anette, skoro cały czas uczciwie przyznawałam się do niechęci, by naszą relację nazwać związkiem.

– Cała ty.

Zarzut dość nieokreślony, ale wypowiedziany głosem pociemniałym od gniewu, który wypełnia całą przestrzeń między nami, niczym czarna woda ze ścieku.

– Jesteś. niesprawiedliwa.

Teraz to ja krzyczę:

– Nigdy ci nie obiecywałam, że będziemy ze sobą w tym sensie. I spotykali się z innymi... jako para. Nie w ten sposób. Przykro mi. Chciałabym czuć inaczej, ale nie potrafię.

– A wiesz, jak ja się przez ciebie czuję?

W jego głosie słychać napięcie, ma zaciśnięte szczęki.

Kręcę głową, skąd mam wiedzieć?

– Jak jakaś cholerna prostytutka.

Nic na to nie poradzę, ale jego słowa są tak niedorzeczne, że wywołują u mnie nieopanowany śmiech.

Markus, prostytutka.

Markus, moja kurewka.

Podchodzę i lekko go obejmuję. Całuję w kłujący zarostem policzek.

– Mój kochany, znaczyś dla mnie bardzo dużo, ale żeby kurewka...

Znów chichoczę.

Markus sztywnieje. Odrywa moje ramiona, patrzy bez słowa, odwraca się i wychodzi do przedpokoju zawalonego wierzchnimi okryciami i butami. Wciąga kurtkę, wsuwa zabłocone kalosze i wychodzi w ołowiane, zimne i wilgotne popołudnie. Słyszę chłopot, gdy odchodząc, brodzi przez błotniste kałuże. Drzwi zostawił uchylone. Dżdżyste powietrze przenika aż do dużego pokoju.

Idzie sobie.

Tak po prostu.

A ja zostaję sama.

Poczucie winy wypełnia każdy por mojej skóry, powietrze, którym oddycham, pot pokrywający moje dłonie.

Mam coraz silniejsze przeświadczenie, że Markus zasługuje na kogoś lepszego.

Wypis z dziennika Poradni D

Rozmowa telefoniczna z matką

Matka skontaktowała się z poradnią w związku z niepokojem o syna. Mówi, że od początku wydaje jej się opóźniony, ma kłopoty z mówieniem, jest niezdarny ruchowo, nie potrafi biegać ani się wspinać. W domu i w przedszkolu miewa napady złości, często wtedy, gdy nie potrafi wyrazić, o co mu chodzi. Jednak na ogół jest grzeczny, chociaż dość bierny i uległy wobec innych dzieci. Personel w przedszkolu jest zdania, że chłopiec nieźle sobie radzi i ma kolegów, chociaż łąnie raczej do młodszych dzieci, co prawdopodobnie jest związane z opóźnieniem w rozwoju mowy. Poza tym nie wydaje się, aby miał jakieś problemy.

Tłumaczę matce, że tempo rozwoju dzieci jest bardzo zróżnicowane, jedno robi postępy szybciej, drugie wolniej. Podkreślam również, że jej syn wydaje się miłym dzieckiem, w przedszkolu ma kolegów, co jest bardzo ważne. Rozmowa dotyczy również jej nieumiejętności radzenia sobie z jego napadami złości. Matka mówi, że jest bezradna i zrozpaczona, gdy nie potrafi uspokoić własnego dziecka. Wyjaśniam jej, że o swoich kłopotach może porozmawiać z psychologiem rodzinnym pracującym w naszej poradni. Matka odpowiada, że się zastanowi i zadzwoni, jeśli się zdecyduje.

Ingrid Svensk, pielęgniarka Poradni D

Sztokholmska jesień.

Liście tańczą w promieniach słońca zachodzącego nad Medborgarplatsen. Szare chmury rozstały się, odsłaniając wspaniałą błękit odbijający się w kałużach, które pozostały jeszcze po ostatnich kilkudniowych deszczach. Ludzie pędzą w różnych kierunkach, zmagając się z zimnym wiatrem. Od strony Skanstull dobiega odgłos klaksonów.

Cofam się od okna w głąb salki konferencyjnej. Sprawdzam krzesła ustawione w kole. Na niewielkim stoliku przy drzwiach stoi karafka z wodą i szklanki. Papier, długopisy, kleeneksy. To co zwykle.

Krótkie pukanie w drzwi i Aina zagląda do środka. Włosy zebrała w wysoki, luźny węzeł, workowaty, czerwony sweter sięga jej prawie do łydek.

– Są już. Wszystkie.

– Okej, jedziemy.

Kilka minut później wszystkie siedzimy na twardych krzesłach ustawionych w krąg. Rozlegają się śmiechy i chichoty. Ktoś otwiera butelkę wody mineralnej.

Atmosfera takiego rozbawienia, że aż trudno uwierzyć, że ma się przed sobą grupę ofiar przemocy.

Sirkka reaguje głośnym, ochryplym śmiechem na coś, co powiedziała Malin, jednocześnie gładząc rude włosy pomarszczoną dłonią. Poprawia sprane dzinsy i opada kościstym tyłkiem na krzesło koło mnie; czuję zapach tanich perfum i dymu z papierosów, którym przesiąknięte jest jej ubranie.

Patrzy na mnie. Wszystkie na mnie patrzą, a ja milczę. Ściska mnie w gardle i czuję, że się rumienię.

To wręcz niepojęte.

Moje onieśmielenie jest niezrozumiałe, bo w relacjach z pacjentami jestem pewna siebie. Oczywiście czasem muszę się zastanowić, jak pomóc danej osobie. I nie zawsze znam odpowiedź.

Jednak tym razem chodzi o coś innego. Jakieś nagłe skrępowanie, którego sama nie rozumiem.

Bezradnie patrzę na siedzącą po drugiej stronie Ainę, uśmiecha się, chyba się nie domyśliła, co się dzieje, jednak zaraz orientuje się w sytuacji, bo włącza się i wita wszystkich jak zwykle ciepło i serdecznie. Lekko dotyka siedzącej obok Malin.

– Może byśmy poświęciły parę minut, żeby opowiedzieć, jak minął tydzień? Zaczynasz, Malin?

Malin uśmiecha się szeroko, odsłaniając równy rząd białych zębów. Zupełnie nie przypomina trzęsącej się kobiety, która tydzień temu opowiadała nam, jak została zgwałcona.

– Miałam wspaniały tydzień. Moja starsza siostra we wtorek urodziła dziecko, odwiedzałam ją razem z rodzicami. Poza tym sporo trenowałam. Jesienią będzie dużo różnych zawodów, ćwiczyłam bieg terenowy i podbiegi. Po parę godzin dziennie.

Wzrusza muskularnymi ramionami, jakby chciała pomniejszyć swój wysiłek, i spogląda na siedzącą po lewej stronie Sofie.

Dziewczyna uśmiecha się niepewnie i obciąża sprany top. Mimo grubej warstwy makijażu nie wygląda na więcej niż siedemnaście lat. Odzywa się cienkim, lekko ochryplym głosem:

– Nic szczególnego się nie działo. Przeważnie siedziałam w szkole i tak dalej.

Aina kiwa głową, robi gest w kierunku siedzącej obok Hillevi, która jest ubrana cała na czarno i, tak jak poprzednim razem, przepięknie wygląda. Ciemne, krótko ostrzyżone włosy przylegają do kształtnej głowy, wielkie, czarne oczy rozglądają się spokojnie, Hillevi uśmiecha się lekko.

– Sporo ostatnio myślałam.

– Opowiedz nam o tym – prosi Aina.

– Od naszego poprzedniego spotkania miałam dużo spraw do przemyślenia. Malin, byłaś niezwykle dzielna, że opowiedziałaś nam o gwałcie. Bardzo mnie to wzmocniło. Bo jeśli ciebie było stać, żeby o tym opowiedzieć, ja również sobie poradzę. Poradzimy sobie. Ja i dzieci.

Malin ma lekko zażenowaną minę, patrzy w ziemię, ale lekko się uśmiecha.

Aina coś zapisuje, a ja znów odczuwam zakłopotanie, że nic im nie daję z siebie.

Myślę, że jestem dla nich zbędnym ciężarem.

Patrzę na Sirkkę, która gestykułuje, mówiąc coś, ale jej nie słyszę. Widzę tylko jej rude włosy, chude ręce i poruszające się cienkie wargi otoczone zmarszczkami. Opowiada o wydarzeniach minionego tygodnia.

Kobiety śmieją się z czegoś, co powiedziała. Aina też się śmieje. Spogląda na mnie i pytająco unosi jedną brew.

Uśmiecham się z przymusem, ale nagle przenika mnie chłód. Czy dam radę? Czy potrafię pomóc tym kobietom, skoro sama padłam ofiarą przemocy? Nawet nie potrafię wykrzesać z siebie tyle energii, żeby ich wysłuchać.

Kolej na Kattis. Długie brązowe włosy związała w koński ogon, podobnie jak ostatnim razem, ale dziś wygląda na bardziej zmęczoną. Wyczerpaną. Jakby się postarzała w minionym tygodniu.

– Okej – mówi przeciągle, jakby nie była pewna, czy opowiadać, czy lepiej nie. – Miałam cholernie ciężki tydzień. Henrik, to znaczy mój były, zdobył nowy numer mojej komórki i ciągle do mnie wydzwaniał.

Kattis kuli się na krześle, ogon gęstych włosów opadł jej na twarz, zakrywając oczy.

Aina lekko puka długopisem o notes.

– Kattis, mogłabyś nam opowiedzieć o swoim związku z Henrikiem? Nie miałabyś nic przeciwko temu?

Kattis wzrusza ramionami, nie podnosząc głowy. Czuję dziwną więź z tą siedzącą obok kobietą. Musimy być w tym samym wieku. Kattis jest niska, drobna jak ja, ale ma bladą cerę. W zimnym świetle świetlówek pod cienką jak papier skórą szyi prześwitują żyły. Dzinsy zjeżdżają jej z bioder, jakby ostatnio mocno schudła.

– Poznaliśmy się dwa lata temu, u jego kolegi. To była od pierwszej chwili wielka namiętność.

Kattis się uśmiecha. Podnosi głowę, by się rozejrzeć, i w tym momencie myślę, że jest piękna z tą radością wypisaną na twarzy. Przedtem nie widziałam u niej takiej radości.

– Namiętność? – powtarza Aina, pomagając jej ruszyć z miejsca.

– Tak, kompletne szaleństwo. Zakochaliśmy się w jednej chwili. W łóżku było nam po prostu cudownie. Może brzmi to niepoważnie, ale dla mnie... nigdy dotąd nie przeżyłam niczego podobnego. Po kilku zaledwie tygodniach zamieszkaliśmy razem, a raczej ja wprowadziłam się do niego.

Uśmiecha się jeszcze szerzej. Milczymy, siedząc z rękoma splecionymi na kolanach, czekając na dalszy ciąg. Aina kiwa głową.

Jesienne niebo pociemniało, światło przesączające się przez okno ma niebieskawy odcień. Słychać jedynie odległy szum ulicznego ruchu i świszczący oddech Sirkki. Domyślam się, że to jej płuca dają znać o sobie po latach palenia papierosów.

– Jak by to powiedzieć. – Kattis wydaje się speszona, znów patrzy w podłogę. Milczy.

– Nie śpiesz się – odpowiada Aina. – Mamy czas.

Kattis śmieje się, tym razem jej śmiech brzmi jednak sucho i smutno.

– Trudno powiedzieć, jak to się zaczęło. To jest tak jak z tą zabą, no wiecie, jeśli się ją wrzuci do garnka z gorącą wodą, od razu wyskoczy, ale jeśli włoży się ją do zimnej wody i zacznie powoli podgrzewać... Chcę przez to powiedzieć, że nie wiem, jak to się zaczęło. Próbował mnie kontrolować, co robię, z kim się spotykam. Potem chciał mi zabronić kontaktów z innymi facetami, nawet w pracy. Wybuchał i oskarżał, że go zdradzam, nazywał mnie kurwą. Mówił, że nikt mnie nie zechce, że jestem brzydka, tłusta i głupia. Do niczego. No tak. Gdy uderzył mnie pierwszy raz, nawet się specjalnie... nie dziwiłam. To było całkiem logiczne, a ja już byłam tak zmanipulowana, że w pewnym sensie uznałam, że zasłużyłam na to. Że go sprowokowałam. Że powinnam się zmienić, być lepsza. – Milknie, siedzi nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń gdzieś koło Ainy, ale jakby jej nie widziała. Wzdycha i mówi dalej: – Byliśmy ze sobą przez rok. No i... sama nie wiem. Wydaje mi się, że przez ten rok zupełnie

się zmieniałam. Stałam się inną osobą. Czasem nie pamiętam, jaka byłam przedtem. Przed Henrikiem. Ale tęsknię za tamtą mną, chcę, żeby wróciła. Chcę znów być dawną Kattis.

Kręcąc głową, patrzy w podłogę. Ma zawstydzoną i nieskończenie smutną minę.

– Ale odeszłaś od niego? – Hillevi kładzie rękę na jej kolanie, a Kattis podskakuje jak oparzona.

– No tak, ale najgorsze... – Kattis ciągle patrzy w podłogę, jakby się bała, że w naszych spojrzeniach zobaczy potępienie. – Najgorsze, że ja wcale nie chciałam odejść. Cholera jasna... – Chowa twarz w dłoniach. – Nie ja odeszłam, to on mnie rzucił i to tak cholernie bolało. Przestał mnie kochać, a ja poczułam się tak, jakbym zniknęła, jakbym nie potrafiła istnieć bez niego. Nawet sobie nie wyobrażałam, że to może aż tak boleć. Mam na myśli... patrząc logicznie, wiedziałam, co z niego za świnią, że powinnam się cieszyć, że to koniec, ale wtedy czułam, jakbym umierała. Rozumiecie to? – Ostrożnie podnosi głowę, ledwie muska nas spojrzeniem. Pewnie próbuje odgadnąć nasze reakcje, szuka oznak niedowierzania albo nienawiści. Nagle jakby się uspokoiła, może nie zobaczyła tego, czego się obawiała. – I to jest najgorsze. Nie mogę sobie wybaczyć, że tak naprawdę wcale nie chciałam, żeby to się skończyło, chociaż on był, jaki był.

– A teraz? Jeszcze się w nimkochasz? – Sofie pyta bez oceniania, z ciekawości.

Odważyła się spytać o coś, nad czym wszystkie się zastanawiamy.

– Nie. – Kattis lekko się uśmiecha, wygląda na znużoną. – Nie, teraz jestem bardzo wdzięczna, że to się skończyło. Jak na ironię, teraz z kolei on zaczął mi się narzucać. Dzwoni, gdy sobie wypije, nudzi, że chce się spotkać, i złości się, kiedy odmawiam. Mówi, że mnie zabije i tak dalej. I czasem... nawet mu wierzę. Naprawdę myślę, że kiedyś to zrobi.

– Nie możesz tak myśleć, tak nie wolno. – Hillevi nadal trzyma rękę na kolanie Kattis.

– On teraz ma nową dziewczynę, mówiłam wam? Wydaje mi się, że mieszkają razem i...

Gdy się z nią pokłóci, wtedy dzwoni do mnie. Mówi, jak nam było fajnie ze sobą, o uczuciu, które nas łączyło, że było wyjątkowe, nadzwyczajne. A gdy go proszę, żeby zostawił mnie w spokoju, wtedy robi zwrot, nazywa mnie kurwą i mówi, że zginę. Zaczęło do mnie docierać, że to psychopata, że on do nikogo nic nie czuje, bo kocha tylko siebie i zajmuje się tylko sobą. Jeszcze ta jego nowa dziewczyna. Z jednej strony chciałabym, żeby ich związek się utrzymał, żeby został z nią, bo wtedy mi odpuści. Z drugiej strony, jej też może zrobić krzywdę. Czy ja będę wtedy współwinną?

Hillevi ściska chudą nogę Kattis, ale nic nie mówi.

Aina już wyszła, żeby zająć jakiś stolik. Jestem sama w poradni, zostałam, żeby posprzątać po spotkaniu. Kubki i szklanki trzeba wstawić do zmywarki, zetrzeć tablicę i stół.

Z niewielkiego odtwarzacza CD wydobywa się udręczony głos Jeffa Buckleya. Aina zwykle narzeka, że słucham przegnębiającej muzyki, ale dobrze mi z nią. Chyba pasuje do mojego nastroju. Aż za dobrze.

Podczas sprzątanania nalewam sobie kieliszek wina z kartonu, który został po spotkaniu z zeszłego tygodnia, gdy Sven zaprosił kilku dawnych kolegów z uniwersytetu na kanapki i coś do picia. Wino jest tanie i kwaśne, ale czuję błogość, gdy znajome ciepło rozchodzi się po całym ciele od brzucha aż po zakończenia nerwowe.

Skutek, myślę sobie.

Liczy się skutek.

Raptem przez zasłonę muzyki przedziera się jakiś dziwny odgłos i mimo stanu błogości po winie nagle robi mi się nieprzyjemnie, jak od kopnięcia prądem. Pojawia się strach, czuję, jak włoski jeżą mi się na karku, gdy sobie uprzytamniam, że nie jestem sama. Ktoś tu jest.

Wyłączam muzykę, przerywam rzewną piosenkę Buckleya z płyty *Grace*. Znów ten zduszony odgłos, jakby ktoś ukrywał swoją obecność. Rozglądam się, próbując się domyślić, skąd dochodzi, i jednocześnie wzrokiem szukam wyjścia.

Ucieczka.

Oczywista reakcja u mnie.

Duże okna są czarne, błyszczące. Próbuję sama się uspokajać, przekonać, że to nic groźnego, i nagle już wiem, co to jest. Ktoś płacze.

Toaleta w holu jest zamknięta. Pukam do drzwi, stłumiony szloch cichnie. Drzwi się otwierają, wyglądająca zza nich kobieta ma zaczerwienione oczy.

Kattis.

Makijaż jej się rozmazał, spływa po policzkach w postaci cienkich czarnych strużek, które wyglądają jak delta rzeki na równinie. Oczy ma spuchnięte, włosy w nieładzie i zaczerwienione policzki. Może z bólu i żalu, a może ze wstydu, że została przyłapana w tej intymnej sytuacji.

Otwartymi dłońmi pociera twarz, skutek jest taki, że czarne strużki z tuszu zamieniają się w brudnoszare pola. Patrzy na mnie ostrożnie, badawczo.

– Przepraszam. Nie wiedziałam... Na dziś koniec, tak? Już wychodzisz?

Wyciera nos i pociąga nim. Widzę, że próbuje się pozbierać, odzyskać panowanie nad sobą. Robię coś, czego na ogół unikam, wyciągam rękę, dotykam jej ramienia, jakbym chciała natchnąć ją spokojem.

– Spokojnie. Po prostu sprzątam.

Wydaje się, że odczytała mój gest, bo uśmiecha się z wdzięcznością.

– Przepraszam. Naprawdę. Chyba cię nie przestraszyłam co?

Po raz pierwszy przygląda mi się uważnie, zdaję sobie sprawę, jak muszę wyglądać w jej oczach. Spięta, może wystraszona, z na wpół opróżnionym kieliszkiem wina w ręku. Zerkam na kieliszek, Kattis przytrzymuje mnie spojrzeniem i nagle obie zaczynamy chichotać.

– Raczej nie. A może trochę.

Uśmiecham się i teraz czuję, że moje ciało powoli się rozluźnia, napięcie puszcza.

– Co się dzieje?

Kattis kręci głową, sięga po papier toaletowy w maleńkiej łazience. Znow kładę jej rękę na ramieniu.

– Nie możesz tu stać. Chodź, usiądziemy.

Pierwsza kieruję się do sali, w której pół godziny wcześniej siedziałyśmy naprzeciwko siebie. Znow siadamy, Kattis patrzy pytająco na mój kieliszek.

– Domyślam się, że to nieetyczne albo coś w tym rodzaju, ale proszę, czy mogłabym dostać kieliszek? Jestem... wykończona.

Kattis pociąga nosem i pociera twarz pogniecionym kawałkiem papieru toaletowego. Ma rację, częstowanie pacjentów winem nie wydaje się stosowne, ale wyobrażam sobie, co ona teraz czuje. Idę do kuchenki po drugi kieliszek z winem. Po drodze włączam ponownie muzykę.

– Proszę. Robię wyjątek. W przyszłości może być kawa albo woda mineralna.

Kattis uśmiecha się z wdzięcznością, gdy jej podaję kieliszek. Chciwie wypija kilka łyków, odchyła się w tył i zamyka oczy.

– Cholera... Tak mi przykro. Przepraszam, ale strasznie mi ciężko mówić o tym. Nie przypuszczałam, że aż tak. Wiesz...

Przekrzywia głowę, patrząc mi w oczy i szukając w nich potwierdzenia. Zrozumienia. Już to widziałam, więc tylko kiwam głową i współczująco mruczę coś pod nosem.

– Chyba nigdy... Nigdy tego nie nazwałam. I teraz to wszystko nagle na mnie spadło. Uzmysłowiłam sobie, że jestem koszmarną luzerką. Jak ja mogłam dopuścić, żeby mi się to przydarzyło? Przecież jestem normalną osobą. Już bywałam w związkach, były... zwyczajne. Normalne.

Patrzy błagalnie. Jakby potrzebowała mojego współczucia, mojej aprobaty. Jakby musiała mnie przekonać, że jest zwyczajną, normalną osobą. Nie tylko ofiarą. Jakby fakt, że facet ją bił, przynosił jej wstyd, jakby ona popełniła przestępstwo i była winna.

Szybko odwraca wzrok i pociąga spory łyk z kieliszka.

– Przecież to nie twoja wina – mówię z przekonaniem, bo wiem, że to prawda.

Kattis wpatruje się w kieliszek, obraca go w rękach. Ma na twarzy wyraz niedowierzania.

– Powinam była się domyślić. Odejść od niego. Jednak on nie jest wyłącznie zły.

Rozumiesz? Świat nie jest czarno-biały. Żaden człowiek nie jest wyłącznie dobry lub zły. A Henrik naprawdę mnie kochał. Również. A ja... bardzo chciałam, żeby się między nami ułożyło.

W tym momencie dzwoni moja komórka, patrzę na wyświetlacz. Aina. Unoszę wskazujący

palec w kierunku Kattis, prosząc ją gestem, aby zaczekała, potem odbieram. Aina, zła, że jeszcze nie przyszłam, pyta naburmuszonym tonem, czy ma mi pomóc pozbierać naczynia. Obiecuję, że się pośpieszę, i rozłączam się. Kattis, która słyszała rozmowę, jednym łykiem opróżnia kieliszek i wstaje.

– Nie chcę cię zatrzymywać. Pójdę już, dziękuję, że mnie wysłuchałaś. I za wino. – Obchodzi stół dookoła, spontanicznie mnie obejmuje i powtarza: – Dzięki. Dzięki, że mnie wysłuchałaś.

Aina siedzi przy brązowym drewnianym stoliku, popijając piwo i przeglądając dodatek kulturalny do „Dagens Nyheter”. Widać, że jest zła. W wielkiej hali piwiarni jest gorąco i dość duszno, otacza mnie gwar rozmów. Unosi się zapach jedzenia i czegoś nieokreślonego. Większość stolików jest zajęta, odnoszę wrażenie, jakby goście schronili się tu przed ciemnością i zimnem na dworze. Jak rozbitkowie, którzy uratowali się, dopływając na bezludną wyspę. Podchodzę do Ainy i wślizguję się na krzesło. Przede mną na stole stoi nietknięty kieliszek z winem. Aina podnosi wzrok, wygląda, jakby się wahała, złościć się o moje spóźnienie czy dać spokój.

– Zobacz – kiwa głową, wskazując w gazecie na recenzję nowej książki jakiegoś psychoanalityka, który krytycznie ocenia zachwyty nad modną w ostatnich latach terapią poznawczo-behawioralną i stosowanie w psychiatrii metod opartych na dowodach. – Mam już dość robienia ze mnie maszyny do terapii pozbawionej empatii i zdolności do samodzielnego myślenia – mówi. – Czy oni naprawdę uważają, że da się prowadzić sensowną terapię w oderwaniu od przeszłości pacjenta i jego dotychczasowych doświadczeń? Oni myślą, że człowiek siedzi i zagląda tylko do podręcznika albo... Dziwne, bo kiedy zaczęłam się zajmować terapią poznawczo-behawioralną, uważałam, że to my jesteśmy dobrzy, bo naprawdę słuchamy pacjentów i traktujemy poważnie ich objawy. Zajmujemy się tym, co oni uważają za swój problem. Teraz, kiedy czytam takie rzeczy, widzę, że oni uważają nas za marnych terapeutów, powierzchownych, krótkowzrocznych i zainteresowanych jedynie tym, aby w możliwie najkrótszym czasie osiągać wyniki, nie pytając po co, bo nie dostrzegamy cierpienia...

– Może powinniśmy mieć o to pretensje do siebie? – Testuję tę myśl, ciekawa reakcji Ainy.

– Niby w jakim sensie? Czyżbyś podzielała opinię naszego przyjaciela psychoanalityka?

– Chodzi mi o to, że sami chętnie mówimy o wynikach i długości terapii, dowodach skuteczności i kosztach, natomiast znacznie mniej o łagodzeniu ludzkiego cierpienia...

– Teraz mówisz zupełnie jak oni.

– Wcale nie. Tylko nie lubię czarno-białego myślenia. Ani u psychoanalityków, ani u nas. Aina kręci głowę i odrzuca gazetę.

– Wszystko jedno. Zamówiłam jedzenie, klopsiki. Pewnie zaraz przyniosą. Dlaczego tak późno przyszedłeś? Ile potrzeba czasu na wstawienie naczyń do zmywarki? – Długo, uważnie mi się przygląda. – Piłeś? Masz ślady od wina na wargach.

Odruchowo zasłaniam ręką usta, jakbym chciała ukryć ślad, że zgrzeszyłam. Aina uśmiecha się krzywo.

– Przyłapaną z ręką w konfiturach. Siedziałas w pracy i popijałaś wino. Głupota jakaś. Dlaczego? Sven wpadł, czy co?

Kręcę głowę, nie mam ochoty opowiadać jej o Kattis.

– Po prostu coś mi wypadło. Nieoczekiwanie.

– No i?

– Jedna z dziewczyn z naszej grupy.

– A bliżej? Nie chciałabym wyciągać z ciebie każdego słowa.

Znów wygląda na rozdrażnioną. Muszę ją udobruchać, bo nie wytrzymam, jeśli będzie się boczyć. Opowiem o Kattis, ale pominę wino. Wiem, że Ainie by się to nie spodobało, i słusznie. Poza tym nie mam ochoty słuchać kolejnego wykładu na temat moich nawyków alkoholowych. Wystarczy, że Markus narzeka na moje picie. Szybko opowiadam, co się stało; Aina słucha uważnie z przymkniętymi oczami.

– Okej, rozumiem. Nie mogłaś od razu powiedzieć? Nie za dobrze to wygląda. Myślisz, że ona się załamie?

Zamykam powieki, żeby się zastanowić. Przed oczami staje mi Kattis, jej delikatna postać obejmująca się ramionami, jakby była w kaftanie bezpieczeństwa. W oczach łzy. Ale również bunt, i w spojrzeniu, i w postawie.

– Nie wiem, ale chyba nie. Ona ma w sobie jakąś siłę. Nieugiętość.

Wpada głośna grupka dziewczyn, siadają przy sąsiednim stoliku. Sądząc po dochodzącym od nich zapachu papierosów i wilgotnej wełny, wychodziły zapalić. Patrzymy na siebie z Ainą i zmieniamy temat. Żadnego gadania o pracy, nikt nie może podsłuchiwać.

– Jak ci się układa z Markusem?

O tym akurat nie mam ochoty rozmawiać. Od czasu naszej ostatniej kłótni wciąż mnie uwiera poczucie winy. Cały czas mam wrażenie, że chodzę z jakąś kulą w brzuchu. Z męczącym poczuciem, że nie nadałam albo zrobiłam coś nie tak, choć nie bardzo wiem co. Wystarczy, że coś. Widzę przed sobą twarz Markusa. Jego zmierzwiłone włosy, rzadki, jasny zarost. Pełne wargi. I oczy. Smutny, zraniony wzrok. Mimowolnie wzdycham.

– Aha – mówi Aina, jej spojrzenie wyraża prawdziwe współczucie.

– Nieustannie go rozczarowuję. Nie potrafię mu dać tego, czego ode mnie oczekuje.

– A czego oczekuje?

– Całej tej bajki. No wiesz. Zastranej sielanki rodzinnej jak u jego rodziców w Norrlandii.

Niedobrze mi się robi na myśl o jego rodzinie, o drażniącym, wyidealizowanym przez niego obrazie rodzinnego szczęścia. Jakby to było coś, co każdy może mieć, wystarczy sięgnąć. Albo kupić, jak nowy stół albo kanapę.

– Markus jest młody i czasem bardzo naiwny. – Kręcę głową. Patrzę na mój kieliszek, prawie pusty.

– A może wcale nie jest naiwny? – Aina odgarnia z twarzy jasny kosmyk włosów i patrzy na mnie badawczo. – Może nie dajesz mu szansy, bo się boisz zaryzykować?

Zdziwiła mnie, przeważnie odnosi się sceptycznie do mojej relacji z Markusem.

– Najwyraźniej jesteś w nim zakochana, jednak tchórzysz, jakbyś się bała sama sobie przyzwolić na ten związek. Myślę, że powinnaś się zastanowić, czego ty właściwie chcesz, bo to nie w porządku wobec Markusa.

Nie rozumiem, o co jej chodzi. Zawsze jest taka lojalna. Zawsze stoi po mojej stronie. Już chcę zaoponować, ale przerywa mi pojawienie się uprzejmego kelnera, który stawia przede mną talerz z olbrzymią porcją klopsików. Z westchnieniem patrzę w górę, skupiam wzrok na karcie do gry, która odkąd pamiętam, jest przyklejona do sufitu. Znów napotykam spojrzenie Ainy. Wzruszam ramionami i sięgam po sztućce.

Dyskusja skończona.

Siedzę w pracy sama, podpisuję karty pacjentów i załatwiam papierkową robotę. Jest wieczór, powinnam już jechać do domu, zjeść kolację i pooglądać telewizję z Markusem. Zamiast tego sięgam po żelka. Przez cały dzień miałam lekkie mdłości, jak na kacu, niewielkim, choć wyraźnym, albo jak od zdradzieckiej grypy żołądkowej, która tylko czeka, żeby się rozwinąć.

W poradni jest cicho, ciemno i pusto. Czuję dochodzący skądś zapach starej skórki od banana i aż mnie skręca w żołądku. Po chwili szukania znajduję zbrązowiałą skórkę za koszem od śmieci. Krzywiąc się, wynoszę ją do kuchni i wyrzucam.

Komórka dzwoni akurat w momencie, gdy wracam do gabinetu. To moja starsza siostra, przypomina mi o zbliżających się urodzinach mojego siostrzeńca. Radosnym głosem opowiada o nowej pracy i zbliżającym się urlopie, ale gdy się dowiaduje, że jestem w pracy, od razu zaczyna się niepokoić.

– Przecież już ósma, ile zamierzasz tam jeszcze siedzieć?

Śmieję się, zdziwiona jej troską.

– Tylko do dziewiątej, ani minuty dłużej, karty pacjentów nie wypełnią się same.

– Myślałam, że od tego macie asystentów.

Znów się śmieję, tym razem głośniej. Śmieszy mnie sama myśl, że po poradni kręciliby się jacyś asystenci, prędzej asystentki, gotowe w każdej chwili uzupełniać karty pacjentów.

Wprawdzie jest Elin, ale ona ledwo panuje nad rezerwacją wizyt. Wolę nie wyobrażać sobie, co by było, gdyby miała przepisywać na czysto moje notatki z wizyt. Od razu przychodzą mi na myśl takie słowa jak „błąd w sztuce” i „komisja dyscyplinarna”.

– Rzeczywiście, przydałby się. Najlepiej taki około dwudziestki. Wiesz, zanim zaczniesz się dąsać i odmówiś pójścia po coś słodkiego do kawy albo do pralni chemicznej po moje rzeczy.

Nie widzę jej twarzy, ale czuję, że się uśmiecha.

Oczywiście zostają dłużej i wychodzę dopiero po dziewiątej. Szybko zbiegam ze schodów. Nie lubię ciemnej klatki schodowej, poza tym chcę jak najprędzej wrócić do domu.

Wiatr, który uderza we mnie po otwarciu bramy, jest jeszcze bardziej lodowaty niż przedtem. Nieustanny szum samochodów dochodzący z Götgatan zalega nad placem jak miękki dywan. Jest stale obecny, ale wcale nie przeszkadza. W ciemnościach rysują się sylwetki ludzi poruszających się pozornie bez celu po Medborgarplatsen.

Kulę się przed wiatrem.

Widzę znajdującą się na prawo tajską restaurację. Fioletowy neon mruga w ciemności jak pojedynczy zimny ogień. Na schodach do basenów Forsgrenska siedzi grupka pijaków, z zaciętymi minami podają sobie flaszkę.

Kieruję się do bankomatu, owijając się szczerzej szarym szalikiem, żeby zimne i wilgotne jesienne powietrze nie wpadało pod moje cienkie paletko.

Dostrzegam go niemal natychmiast. Porusza się niepewnym krokiem i ma na sobie tylko T-shirt, musi strasznie marznąć. Ręce w kieszeniach podartych dżinsów, na głowie czerwona czapka.

Skręcam w kierunku restauracji tajskiej, omijając ewidentnie nawalonego faceta. Z nagłym zainteresowaniem wpatruję się w mokry asfalt i ściskam w rękę torebkę.

On chce czegoś ode mnie. Zbliża się spokojnym truchtem i zachodzi mi drogę, zanim zdążę uciec w ciemność.

W końcu muszę na niego spojrzeć. Wzrok ma tak pusty jak to czarne niebo nad naszymi głowami. Kiwa się w przód i w tył, boję się, że zaraz się przewróci.

– Masz dychę na hamburgera?

Robi mi się przykro. Narkomani są coraz młodszy. Domyślam się, że facet w T-shircie ma nie więcej jak piętnaście lat, ale chociaż widok naćpanego dzieciaka budzi we mnie przygnębienie, jeszcze większy lęk odczuwam przed ciemnością i tym wszystkim, do czego, jak wiem, zdolny jest narkoman, który potrzebuje pieniędzy. Niezależnie od tego, czy to dzieciak czy dorosły.

Szybko grzebię w kieszeniach palta. W lewej mam dziurę, przetarła się marna, cienka podszewka. Żadnych drobnych. Zaczynam nieporadnie majstrować przy suwaku torebki, ale mam zeszywniałe palce, nie słuchają mnie.

– Czy on się pani narzuca?

Podnoszę głowę i odwracam wzrok od chudego, zmarzniętego chłopaka. Najpierw dostrzegam tylko zarys sylwetki na tle świateł bijących z hal Söder, potem widzę coraz wyraźniej. Wysoki, potężny, ogolona głowa. Czarna puchowa kurtka, dżinsy, tatuaż wyglądający spod rozpiętej koszulki, w ręku coś w rodzaju torby sportowej. Mógłby być rzemieślnikiem, instruktorem fitnessu albo ochroniarzem. Wbrew swoim gabarytom i zewnętrznym atrybutom wygląda na miłego. Sympatycznego.

– Nie, to znaczy... Chce pieniędzy na hamburgera.

– Na hamburgera? – Mężczyzna uśmiecha się lekko, jakby już nieraz słyszał to kłamstwo. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjmuje skórzany, podniszczony portfel, a z niego pogniecioną pięćdziesiątkę i wręcza zdumionemu chłopakowi, który ma minę, jakby nie wierzył własnym oczom. Chwyta banknot, podnosi wzrok na mężczyznę i mamrocze: „Dziękuję”. W jego oczach pojawia się błysk. Jakaś emocja, refleksja, ale już po chwili twarz jest tak samo gładka i pozbawiona wyrazu jak przedtem. Przechodzi mi przez głowę niejasna myśl, że oni się skądś znają. Coś było w tej porozumiewawczej wymianie spojrzeń, w geście chwytania banknotu.

Chłopak odbiega w kierunku Björns trädgård. Wiatr łapie go za T-shirt, podwiewa na brzuchu, ale on nie reaguje.

– Zaczekaj! – wołam za nim. – Nie jest ci zimno? Dam ci mój szalik, chcesz?

Odwraca się, nasze spojrzenia spotykają się, na jego bladych wargach igra uśmiech.

– Wypchaj się. Takie ohydztwo?

Mężczyzna zaczyna się śmiać. Rozkłada ręce w geście rezygnacji i zwraca się do mnie.

– Pani jest Siri?

Tak mnie zaskoczył, że przytakuję. Skąd on wie, kim jestem?

– Jestem Henrik.

Odruchowo chwytam wyciągniętą rękę. Notuję, że jego dłoń jest ciepła i silna. Nadal się nie domyślam, kim jest, imię nie budzi u mnie żadnych skojarzeń, nie rozpoznaję go. To obcy.

– Nie wie pani, kim jestem, prawda?

Nic nie mówię, tylko kręcę głową. Wzdrygam się, gdy zimny podmuch przenika moje cienkie palto.

– Wydaje mi się, że moja była dziewczyna chodzi do pani na jakieś spotkania kobiet ofiar przemocy.

W tym momencie ogarnia mnie poczucie osamotnienia na tym wielkim, ciemnym placu. To, co Vijay opowiadał o grupie i kierowaniu nią, zupełnie mnie nie przygotowało na coś takiego.

– Nie mogę udzielać takich informacji. Proszę mnie zrozumieć. Obowiązuje mnie tajemnica.

Próbuję przybrać zdecydowaną minę i przydać sobie autorytetu, którego w gruncie rzeczy mi brak. Prawdę mówiąc, nogi mam zupełnie miękkie ze strachu. W ciemnościach na Medborgarplatsen stoi przede mną mężczyzna, który pobił Kattis. Nazwała go psychopatą.

– Przepraszam, oczywiście rozumiem. Ale gdyby rzeczywiście było tak, że Kattis, czysto hipotetycznie, chodziłaby do pani na jakąś terapię, to... Chciałbym z panią porozmawiać.

Patrzy w ziemię i wygląda na lekko zażenowanego.

– Rozumiem, że nie może pani ze mną rozmawiać. Mam rację?

– Tak, zgadza się.

– Przykro mi. Nie chciałem pani zaskakiwać na ulicy, ale pomyślałem, że jeśli zadzwonię, nie zechce pani ze mną rozmawiać. Chciałem tylko... – Przerywa, szuka odpowiednich słów. – Chciałbym wyjaśnić. To wcale nie jest takie proste, jak się zdaje. Powinna pani poznać również moją wersję. Nie mogłaby mnie pani wysłuchać?

– Ja... To niemożliwe, ja nie mogę z panem rozmawiać, musi pan to zrozumieć.

Henrik śmieje się cicho, jakby go rozbawiło to, co powiedziałam, i patrzy na bezludny plac.

– Powinienem się domyślić – mruczy.

– Czego?

Wzdycha głęboko, przesuwa stopą po burym błocku na ziemi.

– Nieważne, już nie będę pani nachodził.

Powoli odwraca się do mnie swoimi szerokimi plecami.

– Proszę zaczekać, skąd pan wiedział, kim jestem? I gdzie pracuję?

Patrzy na mnie przez ramię, wydaje się zdziwiony. Jakby nie rozumiał, dlaczego pytam.

Dlaczego to ważne. Znów się do mnie odwraca.

– Po rozmowie z Kattis wszedłem na waszą stronę internetową. Jest na niej pani zdjęcie.

I adres poradni. Nie było to skomplikowane. Znaleźć kogoś to nic trudnego. – Wzrusza ramionami i robi parę kroków w moim kierunku. Wygląda na zmęczonego. Ma zgaszone spojrzenie, zaczerwienione oczy. – Zdenerwowała się pani? Nie chciałem pani przestraszyć. Chciałem tylko porozmawiać. – Jego twarz znajduje się teraz całkiem blisko. Opalenizna z solarium, cera trochę pomarszczona. Ścisną mi ramię, trochę za mocno i trochę za długo, ale potem jakby się zdecydował, że powinien mnie puścić. – Chcę tylko, żeby pani wiedziała, że jest niezupełnie tak, jak mówi Kattis. Ona ma cholernie bujną wyobraźnię.

– Okej. Rozumiem – mówię słabym, zamierającym głosem.

Już nic nie mówi, pochyla się, chwytając torbę, dłonią przesuwa po ogolonej czaszce, odwraca się i odchodzi w ciemność, jakby śpieszył się na umówione spotkanie.

Cofam się o krok, opieram o ścianę domu i wymiotuję na czarny bruk.

Wypis z protokołu szkolnej grupy wsparcia⁹ szkoły podstawowej i gimnazjum w Älvängen

Laila Molin, wychowawczyni klasy II B, opisuje kłopoty z jednym z uczniów. Chłopiec nie radzi sobie z czytaniem, ma trudności z opanowaniem alfabetu. Potrafi jednak napisać swoje imię i nazwisko. Wychowawczyni podejrzewa, że kłopoty z nauką pisania i czytania mają szczególny charakter, i proponuje, aby popracowała z nim nauczycielka wspomagająca, Gunvor Blomkvist. Pozostali uczestnicy grupy uznają to za dobry pomysł. Wychowawczyni mówi również, że chłopiec miewa napady furii, gdy coś dzieje się nie po jego myśli. Wprawdzie na jej lekcjach zdarza się to nieczęsto, raczej na lekcjach gimnastyki i w relacjach z innymi nauczycielami. Nauczyciel wuefu przypuszcza, że dzieci drażnią się z chłopcem, ponieważ jest niezdarny i gruby, jednak inni nauczyciele tego nie potwierdzają. Podejmujemy decyzję, że chłopiec będzie miał dodatkowe lekcje z nauczycielką wspomagającą, aby nadrobić opóźnienia w nauce czytania.

Protokołowała

Siv Hallin, pedagog szkolny

Sobotni poranek.

W sypialni jest jasno od wpadających przez okno promieni słonecznych, oślepiają mnie, gdy otwieram oczy. Przestało padać. W nocy deszcz mocno bębnił o szyby, przez chwilę myślałam nawet, że to grad, ale teraz panuje cisza. Jestem w łóżku sama. Markus w pracy, w każdym razie tak powiedział. Nie wiem dlaczego, ale do pewnego stopnia cieszę się, że go nie ma.

Owijam się kołdrą i ruszam po zimnej drewnianej podłodze w kierunku okna. Woda w zatoce jest gładka jak lustro. Klony po drugiej stronie są prawie nagie, ale kilka czerwonych i pomarańczowych liści broni się jeszcze dzielnie w koronach drzew przypominających szkielety. Wkrótce i one opadną. Otwieram okno i wdycham czyste powietrze. Wystawiam twarz na muśnięcia delikatnych promieni jesiennego słońca. Zamykam oczy. Oddycham.

Świat jest piękny w tym momencie.

W kuchni jest chyba jeszcze zimniej. Wkładam kilka drewek do starego pieca kuchennego i zgniatam kawałki gazety na podpałkę.

Kawa i kanapka. Piątkowy „Dapens Nyheter” leży nieprzeczytany na stole. Dygocę z zimna i czuję powracające nudności. Może jestem chora? Grypa żołądkowa? A może to tylko zmęczenie.

Powracają wspomnienia wczorajszego wieczoru. Mam przed oczami Henrika. Jego spojrzenie, uparcie wpatrzone we mnie zaczerwienione oczy. Ogoloną głowę, jego postawę. Miał w sobie coś z wojskowego. Uderza mnie myśl, że wyglądał jak gliniarz. Jeden z tych zmęczonych, rozczarowanych, o których czyta się w gazetach albo ogląda w kinie. Taki z oddziałów prewencji, który pałuje łobuzów, ale tak, by nie pozostawiać śladów.

Nie taki jak Markus.

Markusa trudno zaliczyć do określonej kategorii gliniarzy. Nawet słowo glina do niego nie pasuje. Policjant – tak, gliniarz – nie. Nie przypomina pokrytych bliznami weteranów oglądanych w telewizyjnych serialach. Ani młodego z drugiego planu, który jest jeszcze pełen entuzjazmu i od początku wiadomo, że gdzieś w połowie filmu musi mu się stać coś złego.

Markus jest młody, chwilami wydaje się wręcz niedojrzały. Jego nieustanne granie w gry komputerowe, esemesowanie, sprawdzanie Facebooka i czatowanie czasem działa mi na nerwy. Czuję się wtedy stara. Jakbym była jego matką. Złości mnie jego młodzieńcza naiwność i optymizm. Niewzruszona wiara, że wszystko się ułoży. Ale jednocześnie ma autorytet i spokój wewnętrzny, którego mu zazdrozczę. Ciągle jestem zmuszona oceniać go na nowo, przyjąć do wiadomości, że to nie tylko młody chłopak, ale również poważny, mądry człowiek, który chce jak najlepiej. Gdy Markus słucha, człowiek czuje się wysłuchany, a gdy Markus mówi, inni go słuchają. W dodatku rzadko się unosi, panuje nad swoimi emocjami.

Domyślam się, dlaczego ci, którzy kiedyś przyjmowali go do policji, uważali, że będzie dobrym policjantem; rozumiem również, dlaczego trafił do policji kryminalnej, a nie do porządkowej. Myśli analitycznie, dostrzega wzorce i związki przyczynowo-skutkowe. Teraz, gdy go przy mnie nie ma, wyraźnie odczuwam jego brak. Jego ciała, jego ciepła – to oczywiście – również jego towarzystwa.

I co z tym zrobić?

Myślę o tym, co ostatnio powiedziała Aina. Że tchórzę, boję się dać mu szansę. Być może, sama nie wiem. Wiem tylko, że stale porównuję go ze Stefanem, chociaż nie powinnam, bo tego właśnie nie wolno robić. Porównuję jego ciało, jego intelekt, jego duszę. Porównuję, a zwycięzcą tej rywalizacji zawsze jest Stefan. A może pozwalam mu wygrywać tylko dlatego, że go nie ma? Bo dzięki temu nie muszę podejmować decyzji? Bo nie chcę ostatecznie rozstać się ze Stefanem?

Stefan nie żyje, a Markus tak. Wiem, że prędzej czy później będę musiała się do tego odnieść, byle nie teraz.

Wracam myślami do Henrika i naszego dziwnego spotkania. Wprawdzie doszło do niego w publicznym miejscu, dookoła byli ludzie, zachowywał się spokojnie i uprzejmie, jednak odebrałam to jako niewątpliwe zagrożenie. Wzdrygam się na myśl o tym, co zrobił Kattis.

Kobiety z naszej grupy.

Tak różne od siebie.

Nie mają żadnego wspólnego mianownika poza jednym, że padły ofiarą przemocy ze strony człowieka, któremu powinny ufać. Ze strony kolegi, męża, chłopaka czy ojczyma.

Zastanawiam się, po co Henrik się do mnie zwrócił. Czy chciał pokazać, że on tu rządzi? Dać do zrozumienia Kattis, że zna każdy jej krok? Czy robi jej krzywdę? Czy może jej grozić niebezpieczeństwo? Może przesadzam, trudno mi zachować neutralność, skoro sama padłam ofiarą przemocy. Po głowie snują mi się różne myśli, ważę za i przeciw, w końcu wstaję i podchodzę do szafki z dokumentacją pacjentów. Czuję, że muszę porozmawiać o tym z Kattis.

Ma prawo o tym wiedzieć.

W słuchawce rozlega się sygnał za sygnałem, w końcu odbiera. Jej głos brzmi ochryple, chyba ją obudziłam. Umysławiam sobie, że nawet nie wiem, która godzina, i szybko patrzę na zegar przyczepiony magnesem do lodówki. Kwadrans po ósmej. To wcześniej jak na sobotni poranek, może za wcześniej.

– Mówi Siri Bergman, obudziłam cię?

Głupio mi, że tak się rzuciłam dzwonić, ale czuję, że to nie może czekać.

– Siri? – powtarza niepewnie Kattis.

– Tak, Siri. Przepraszam, jeśli cię obudziłam, ale muszę z tobą porozmawiać.

– Stało się coś?

W jej głosie słyszę niepokój, strach przeszywający słowa.

– Przepraszam, słyszę, że cię przestraszyłam. Rzeczywiście, stało się, ale to nic... takiego. Naprawdę, bez obaw. Ale chciałabym o tym z tobą porozmawiać. Raczej nie przez telefon.

– Wiesz co, mogę się z tobą spotkać choćby dziś.

Słyszę, że jej zależy, na pewno chce się dowiedzieć, o co chodzi. Rozumiem ją. Znów zerkam na zegar, zastanawiam się, o której mogłabym się z nią spotkać w mieście. Mam jeszcze mnóstwo pracy do skończenia, w sam raz na sobotę. Mogłybyśmy się spotkać w poradni. Nie będzie tam nikogo.

– Mogłabym się spotkać z tobą w poradni późnym popołudniem. Koło czwartej. Pasuje ci?

– Świetnie! Będę.

Zapada milczenie, domyślam się, że się waha.

– Na pewno nie mam powodu do obaw?

– Oczywiście. Jestem tego pewna.

Rozłączamy się, siedzę jeszcze chwilę. Czuję się jak kłamczucha. Jak mogę ją zapewniać, że nie ma powodu do obaw? Przecież nie wiem, jak jest.

W poradni jest pusto. Zgodnie z moim przypuszczeniem w sobotnie popołudnie nikogo tu nie ma. Aina pewnie beztrąsko migdali się z Carlem-Johanem, swoim ostatnim, nieoczekiwanie długotrwałym podrywem. Sven pewnie pracuje w letnim domku w Roslagen¹⁰. Od rozstania z Birgittą ucieka tam co weekend. Nie mam pojęcia, co w sobotnie popołudnie może porabiać Elin. Prawie nic o niej nie wiem i zdaję sobie sprawę, że wcale mnie to nie obchodzi, chociaż to akurat może być trochę niepokojące.

Brak mi naszej dawnej recepcjonistki. Marianne przebywa w ośrodku rehabilitacyjnym w Dalarnie, gdzie dochodzi do siebie po potrąceniu przez samochód. Wiem, że jeszcze długo tam zostanie, i prawdopodobnie już nigdy nie wróci do naszej poradni. To bardzo smutne i niesprawiedliwe.

Dzwonek do drzwi, idę otworzyć. Kattis staje przede mną, długie brązowe włosy ma ściągnięte w koński ogon. Ubrana w wąskie džinsy, sznurowane wysokie buty i zrobione na drutach poncho. Nagle dostrzegam, że jest bardzo ładna, mimo oznak zmęczenia wokół oczu i ust, czego do tej pory nie zauważyłam, ale teraz widzę wyraźnie.

Zapraszam ją do niewielkiego przedpokoju, jej ruchy są niespokojne, nerwowe. Kattis wkłada niebieskie, plastikowe ochraniacze na buty i zostaje w poncho. Ponieważ w poradni nikogo nie ma, siadamy w salce konferencyjnej, która jednocześnie służy jako nasza jadalnia i gabinet do pracy. Idę do kuchenki, nalewam dwa kubki kawy z maszynki, w szafkach szukam

ciasteczek albo drożdżówek i w końcu znajduję czerwony plastikowy pojemnik z ciasteczkami waniliowymi z cukierni w Vingåker. Wracam, Kattis ze spuszczoną głową kręci palcami kosmyk z końskiego ogona. Podnosi na mnie wzrok.

– Chodzi o Henrika, prawda? Wiem, że o niego. Kurde, coraz gorzej z nim. Wydzwania do mnie bez przerwy, odkąd zdobył mój nowy numer telefonu. – Milknie i patrzy na mnie błagalnie. Jakby chciała, żebym go powstrzymała. Jakbym była w stanie wszystko naprawić. – To Henrik, tak? – powtarza. – Co on zrobił?

Potwierdzam, kiwając głową przeprasząc, jakby to była moja wina.

– Wczoraj wieczorem podszedł do mnie. Tu, na placu. Wyrósł przede mną jak spod ziemi. – Ręką robię nieokreślony gest w kierunku Medborgarplatsen. – Nie był napastliwy. Mówił, że chce tylko porozmawiać, ale... Trudno mi to wyjaśnić, odniosłam wrażenie, jakby bardzo mu zależało, aż za bardzo. Przestraszyłam się.

Kattis mnie obserwuje. Ma nieruchomą twarz. Obojętną, poza nieznaczną, prawie niezauważalną zmarszczką między oczami.

– Przykro mi, Siri. Bardzo mi przykro. To moja wina. Musiałam mu napomknąć, że chodzę tutaj. – Wzdycha głęboko. – Gdybym wiedziała, jaki to będzie miało skutek, nigdy nie zaczęłabym przychodzić na te spotkania. Mam wrażenie, że to go jeszcze bardziej rozjuszyło. Doniesienie na policję też zrobiło swoje.

– Doniesienie na policję? – dziwię się, nic o tym nie słyszałam.

– Doniesienie, że mnie pobił. Złożyłam je na policji kilka miesięcy temu. Przy okazji dowiedziałam się o tej terapii. Wiem, że od tamtej pory minął prawie rok i nie mam dowodów, ale...

– Dobrze zrobiłaś! To znaczy chyba dobrze, co? – Patrzę na nią pytająco, szukając jej wzroku.

– Oczywiście. Ale i nieprzyjemnie. Mam na myśli, że kto wie, co on teraz robi. Poza tym zbliża się termin procesu...

Widzę, że walczy ze sobą, by się nie rozpląkać.

– Powinnaś zadzwonić do policjanta prowadzącego sprawę. Powiedz, co się wydarzyło. Mogą ci pomóc, dać pilota napadowego, który zapewni ci bezpośrednie łącze z policją.

– Wierzysz w to? Może uznają mnie za... histeryczkę albo coś w tym rodzaju. Dotąd nie zauważyłam, żeby się specjalnie przejęli moją sprawą.

– Wierzę, że to najlepsze, co możesz zrobić.

W głowie kłębią mi się myśli.

Rozmowa z Kattis obudziła bolesne wspomnienia. Nie mogę przestać myśleć o tym, jak się zachowywałam i jakie skutki mogła mieć moja uparta niezgoda na ochronę. Zastanawiam się, czy powinnam jej o tym powiedzieć. O tym, co mi się przydarzyło, i wytłumaczyć, dlaczego powinna otrzymać pomoc. W końcu właśnie po to się z nią spotkałam i opowiedziałam o spotkaniu z Henrikiem, aby ją chronić.

– Kattis, nie wiem, czy wiesz, że ja też byłam nękana.

Kiwa głową, patrzy na swoje ręce. Przez chwilę wydaje się nawet lekko zawstydzona.

– Trochę słyszałam. O tym szaleńcu, który omal cię nie zabił w twoim własnym domu. Zresztą gazety o tym pisały.

– Mieszkałam sama, tak jak ty. Sama z kotem, bo Stefan, mój mąż, parę lat temu zginął w wypadku. Wydawało mi się, jakby został mi po nim tylko ten dom, i dlatego tam tkwiłam, chociaż pewnie byłoby lepiej, gdybym się przeprowadziła do miasta. Nie potrafiłam rozstać się z domem, bo to byłoby tak, jakbym zostawiła Stefana. I gdy zaczęły się dziać dziwne rzeczy, wolałam w nie nie wierzyć. Dopiero po dłuższym czasie przyjąłem do wiadomości, że jestem prześladowana, że sprawa jest poważna i nie jest to bynajmniej żadna zabawa. Mimo to nie chciałam zgodzić się na ochronę, bo wydawało mi się, że naruszałoby to moją godność. Uważałam, że nie zrobiłam nic złego, więc nie ma powodu, żebym cokolwiek zmieniała. Mało brakowało, a zapłaciłabym za to własnym życiem. Powinnam była posłuchać policji i od razu się wyprowadzić. Zgodzić się na wszelkie środki ochrony. Rozumiesz? Mówię ci o tym, bo nie chcę,

żeby tobie przydarzyło się to samo.

Kattis nie odrywa ode mnie wzroku. W jej oczach czytam na przemian współczucie, troskę, lęk i żal. Poczucie wspólnoty. Wyjawiłam coś, co nas łączy. To nie tylko więź między pacjentką i terapeutką, również więź wynikająca ze wspólnego doświadczenia. Kattis ostrożnie wyciąga rękę i kładzie na mojej. Miły gest. Pociuszający.

– Nie przeszkadzam?

W drzwiach sali konferencyjnej stoi Aina. Ma zaczerwienione policzki, długie jasne włosy opadają swobodnie na starą skórzaną kurtkę. W jej spojrzeniu widzę zdziwienie i coś nieokreślonego. Może złość. Cofam rękę i chowam pod stołem. Czerwienię się, ogarnia mnie zawstydzenie, które błyskawicznie rozchodzi się po całym ciele.

– Właśnie skończyliśmy. Po prostu coś się stało.

– Aha. Co takiego?

Aina opiera się o framugę, ramiona krzyżuje na piersi.

– No więc... chyba już pójdę.

Kattis bierze torebkę, wstaje i przeciskając się koło Ainy, wychodzi do przedpokoju. Ściąga niebieskie ochraniacze z butów i wrzuca do ustawionego w tym celu kosza. Chwyta za klamkę, ale odwraca się i szuka mojego spojrzenia, świadoma, że Aina nie widzi jej twarzy. Wywraca oczami i uśmiecha się konspiracyjnie. Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Po chwili już jej nie ma.

– Co to za historia? – Aina wciąż stoi w drzwiach z poirytowaną, ale i zaciekawioną miną. – Siedzisz w pustej poradni, trzymając się za rękę z pacjentką? Ma ci zastąpić Markusa, czy co?

Mówi to z lekkim uśmiechem, ale na jej twarzy nie ma radości. Raczej złość i coś, czego nie umiem nazwać.

– To nie tak, jak myślisz.

Mój głos brzmi nieoczekiwanie głośno, krzykliwie. Tak samo jak podczas kłótni z Markusem. Przez chwilę patrzę na siebie z zewnątrz. Najwyraźniej już nie potrafię z nikim żyć w zgodzie.

– A jak? – mówi Aina z lekko drwiącą miną. Zupełnie jakbyśmy grały w jakimś przedstawieniu. – Po prostu powiedz, jak jest. Mówię poważnie, Siri. Zastaję cię, jak trzymacie się z Kattis za ręce. Tu, w poradni. Zrozum, trochę mnie to dziwi. W zeszłym tygodniu zostałaś po spotkaniu grupy, żeby ją pocieszać. Co tu się właściwie dzieje?

Nagle już wiem, co to za reakcja, z którą dotąd się u niej nie spotkałam, trochę nieuchwytna, bo schowana za fasadą słów. Uczucie, które Aina próbuje ukryć. Zatuszować.

Ona jest zazdrosna.

1 Snus – popularny w Skandynawii rodzaj tytoniu do żucia, prymkę wkłada się za górną lub dolną wargę. (Wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumaczki).

2 Fruängen – dzielnica na południowych obrzeżach Sztokholmu.

3 Maria öppenvård – poradnia dla dorosłych alkoholików i narkomanów w dzielnicy Söder.

4 Arbetscentrum – ośrodek aktywizacji zawodowej długotrwale bezrobotnych, przygotowujący do powrotu na rynek pracy.

5 Kościół wolny – określenie stosowane w Szwecji wobec chrześcijańskich wspólnot protestanckich, niezależnych od Kościoła ewangelickiego, który do 2000 roku miał status Kościoła państwowego.

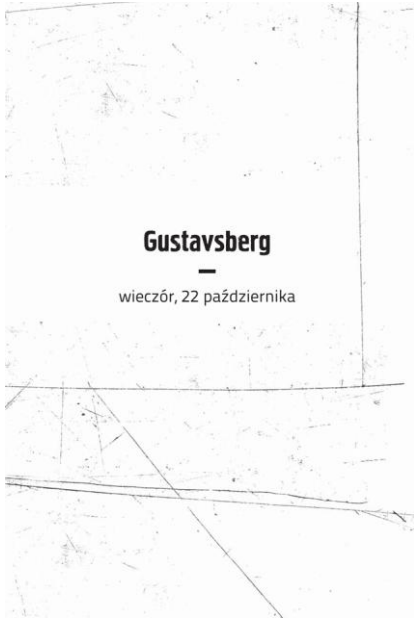
6 Värmdö – wyspa i gmina na wschód od centrum Sztokholmu.

7 Värmdö – wyspa i gmina na wschód od centrum Sztokholmu.

8 Björns trädgård – niewielki park w sztokholmskiej dzielnicy Söder.

9 Szkolna grupa wsparcia działająca w większości szwedzkich gmin składa się z dyrektora szkoły bądź dyrektora miejscowego kuratorium, psychologa, wychowawcy, pielęgniarki szkolnej i pedagoga szkolnego.

10 Roslagen – część wybrzeża prowincji Uppland i rozciągającego się wzdłuż niego archipelagu.



Marek zbiega obdrapaną klatką schodową. Jego chude, żylaste nogi niestrudzenie tłuką o stopnie. Nie znają zmęczenia. Nogi piłkarza, drobnego złodziejaszka, potrafią biec całymi godzinami, uciekając przed gangiem motorowerzystów nad jeziorem.

W uszach słuchawki iPod'a, w rękach pełno ulotek reklamowych. Stojąca przy wejściu przyczepka do roweru jest wypełniona po brzegi gazetkami reklamowymi. Dziś są to gazetki ze sklepów Ica z ofertą promocyjnych cen na falukorv¹¹ i pieluchy oraz reklamą Szwedzkiego Pośrednictwa Nieruchomości, jakby ktokolwiek mógł interesować się kupnem mieszkania w tym przygnębiającym, zdewastowanym domu. W przyczepce jest też czarno-biały arkusik formatu A5 z ofertą firmy H-I-A Kompletnie Usługi, oferującej sprzątanie, roboty stolarskie i malowanie. Tę ulotkę rozdaje za darmo. Firma należy do Bogdana, kuzyna taty, i zdarza się, że Marek również wykonuje reklamowane usługi. Bogdan zawsze mu dobrze płaci, więc Marek nie widzi problemu, żeby mu pomóc.

Svensson, Holopainen, Skogsjö.

Za zarobione pieniądze kupi sobie komputer i zagra z kumplami w World of Warcraft. Na razie musi korzystać z komputera w bibliotece szkolnej, ale na nim nie da się grać ani surfować po stronach z gołymi babami.

Już trzecie piętro. Na ścianach w kolorze pistacji znajdują się miliony białych i czarnych kropeczek, jakby cała ta cholerna klatka schodowa została oprószona jakąś posypką.

Uzgur, Johansson, Rashid...

Na drzwiach Johanssonów niewielka tabliczka „Proszę nie wrzucać reklam”. Marek odgarnia z twarzy kosmyk spoconych włosów, bierze trzy komplety reklam, zwija w trąbkę i wciska w otwór wrzutowy, którego klapka zatrzaskuje się z hukiem. Jak są tacy ważni, że nie chcą reklam, to dostaną dwa razy tyle i jeszcze trochę. Tak już jest.

Drugie piętro.

Żarówka się przepaliła i tylko trochę światła wpada z trzeciego piętra i zepsutego, mrugającego na zielono neonu przy sklepie monopolowym akurat naprzeciw okna.

W ciemnościach klatki schodowej drzwi do mieszkań przypominają czarne dziury. Trudno odczytać nazwiska na klapkach otworów wrzutowych.

Lanto, Tarek, Olsson...

A to co?

Drzwi Olssonów są niezamknięte, przez wąską szparę pada na podest cieniutki strumień światła.

Marek popycha drzwi. Łańcuch nie jest założony.

Pierwsza myśl: może w mieszkaniu są pieniądze, biżuteria, sprzęt elektroniczny albo jeszcze coś, co da się łatwo sprzedać. A potem: drobna kradzież w Ica to jedno, włamanie do mieszkania to zupełnie co innego. Marek uzmysławia sobie, że nie mógłby tego zrobić. W każdym razie nie sam, może razem z Kevinem i Muhammedem, ale nie sam.

Ścisną w rękę papiery. Gdzie je włożyć? Do wrzutu na pocztę, a może po prostu uchylić drzwi i położyć na podłodze w przedpokoju?

Decyduje się na to drugie. Jeśli wrzuci je przez otwór, drzwi mogłyby się zatrzasnąć, a tego z jakiegoś powodu nie chce. Najwyraźniej ktoś specjalnie zostawił je otwarte. Może wyszedł po zakupy i boi się, że potem nie otworzy?

O jedenastej w nocy?

Powoli uchyla drzwi, ze środka bije słaby zapach dymu z papierosów i czegoś jeszcze. Słodkawy, organiczny, trudny do zidentyfikowania.

Marek patrzy na nieoświetlony przedpokój, światło pada z pomieszczenia znajdującego się w głębi po lewej. Kuchnia? Koło wycieraczki w kwiatki coś majaczy w półmroku: torebka. Z wierzchu portfel. Otwarty jak książka, wygląda na grubego, jakby w środku było pełno banknotów.

Działa bardziej pod wpływem impulsu niż jakiegoś planu. Miętko kuca i podnosi portfel. Wszystko dzieje się automatycznie. Jakby sięgnął do gałęzi i zerwał jabłko. Nic trudnego.

Shit, ale ciężki. Ile w nim jest? Wystarczy na odrobinę trawki od Nica? Może na komputer?

Albo coś jeszcze?

Aż nim telepie z napięcia.

Wpycha portfel do kieszeni bluzy i w tym momencie dostrzega stopy.

Gazetki reklamowe szybują jak papierowe jaskółki i bezgłośnie opadają na linoleum, biały arkusik z H-I-A Kompleksowe Usługi powoli barwi się na czerwono.

Marek cofa się odruchowo, robi mu się zimno w środku, wrywa słuchawki z uszu i wtedy słyszy. Słabe szuranie, jakby ktoś drapał paznokciem o drewno. Odgłos dochodzi z rozświetlonego pomieszczenia. Marek wie, że nie powinien, całe jego ciało wie, że ma stąd uciekać, korzystając z błogosławieństwa, jakim są jego silne nogi.

Już wie, że stało się tu coś strasznego, że kobieta leży u jego nóg jak bezkształtny worek nie dlatego, że się przewróciła albo miała atak padaczki. Mimo to nie waha się, spogląda na swoje nowe, śnieżnobiałe tenisówki i ostrożnie przełazi przez ciało, unikając wielkiej kałuży czegoś czerwonego, lepkiego. Wchodzi do kuchni. Muzyka ze słuchawek iPod'a brzmi jak suchy trzask, na który nakłada się coraz głośniejszy odgłos drapania.

Mała siedzi pod stołem, jest pobrudzona krwią. Wokół rozrzucone kredki, przed nią rysunek, który starannie koloruje niebieską kredką. Uderza go myśl, że pokolorowała cały papier, co do milimetra. Od jak dawna to robi?

Ile ona może mieć lat?

Sądząc ze wzrostu, cztery, pięć. Marek potrafi to ocenić dzięki temu, że ma czwórkę młodszego rodzeństwa. Jest mniej więcej wzrostu Tomka, który ma cztery lata.

Marek ostrożnie wyciąga rękę, gładzi ją po ramieniu, ich oczy się spotykają. Dziewczynka nie ucieka wzrokiem.

– Cześć, mała. Pójdiesz ze mną.

11 Falukorv – szwedzka kiełbasa serdelowa.



Nie wygląda na ofiarę.

Głos zabiera Hillevi.

Siedzi wyprostowana, ubrana w prostą, czarną sukienkę, grube rajstopy i brązowe, męskie półbuty. W krótko ostrzyżonych, czarnych włosach tu i ówdzie widać kropelki wody, usta pomalowane szminką w kolorze wina.

Jest piękna. Idealnie. Jak lalka.

Mimo to bił ją. Ma na imię Jakob i jest jej mężem. Ona mówi, że go kocha i tęskni za nim. Mówi również, że go szanuje.

W pochmurne jesienne popołudnie ponownie spotykamy się w poradni. Jak zwykle siedzimy w kole, przyglądając się sobie ciekawie, w lekkim podnieceniu. Nakryłyśmy z Ainą do kawy, postawiłyśmy butelki z wodą mineralną i struclę cynamonową z cukierni w Halach Söder.

Jedno krzesło pozostało niepokojąco puste.

Krzesło Kattis.

Staram się nie martwić, że nie przyszła, i nie zastanawiać, co mogło jej się przydarzyć. Nie myślę o mężczyźnie z ogoloną głową, który ma na imię Henrik.

Hillevi zaproponowała, że opowie nam swoją historię. Nie tyle zaproponowała, ile wręcz nalegała. Uparła się, jak ktoś, kto wie, czego chce, i zwykle to osiąga.

Ręce na kolanach, żadnej nerwowości. Zielone oczy spokojnie patrzą na Ainę.

– Poznaliśmy się jako nastolatki w kościelnej organizacji młodzieżowej. Byłam – Hillevi myśli przez chwilę, wpatrując się w świetlówkę, rzucającą zimne, białe światło – młoda. Bardzo. – Uśmiecha się bez goryczy. Jest to uśmiech ciepły, piękny, idealny, jak ona cała. – Spędziliśmy ze sobą, praktycznie rzecz biorąc, całe życie. Dorośliśmy, pobraliśmy się, założyliśmy rodzinę.

Milknie, jakby szukała czegoś w pamięci, ale bez powodzenia.

– Jak wam się układało na początku? – pyta Aina.

Hillevi śmieje się miękko i patrzy na swoje zadbane dłonie, na czerwone, krótkie paznokcie. Prosty, spory pierścionek.

– Fantastycznie. Czy nie zawsze jest tak na początku? Byliśmy bardzo zakochani. Nadal *jesteśmy* bardzo zakochani.

Na mgnienie oka ogarnia ją lekki smutek, ale zaraz powraca spokojne skupienie.

Aina kiwa głową i pyta:

– A więc kiedy zaczęło się między wami psuć?

– Po tym jak się urodził Lukas, nasz starszy syn. Wydaje mi się, że wtedy uruchamia się mnóstwo różnych rzeczy, przywołuje się wspomnienia z dzieciństwa. Kiedy zostaje się rodzicem, człowiek przewartościowuje własne dzieciństwo. Rodzicielstwo swoich rodziców. Prawda? Jakob był bity jako dziecko. Pochodzi z rodziny, która dobrze funkcjonuje społecznie, ale jest niesłychanie tradycjonalistyczna. Dzieci miały być wychowywane „w karności i napominaniu pańskim”¹².

Widzę, że siedząca obok niej Malin się uśmiecha. Hillevi też to dostrzega i odwracając się, mówi spokojnie:

– Śmiejesz się, domyślam się dlaczego. To niezgodne z duchem dzisiejszych czasów, prawda?

Malin jest zażenowana. Zerka na swoje znoszone dżinsy, krzyżuje przed sobą umięśnione, opalone ramiona. Jednak Hillevi nie wydaje się oburzona.

– W porządku, Malin. Ja też wiem, że to brzmi idiotycznie. Ale wśród wiernych należących do wolnych Kościołów jest sporo ludzi, którzy tak myślą, chociaż większość to zupełnie zwyczajne osoby. Na przykład ja wychowałam się w dość przeciętnej rodzinie. Tak czy inaczej, mniej więcej w tym samym czasie Jakob stracił pracę. Zarządzał kapitałem spółki, która zbankrutowała, i z dnia na dzień został bez pracy. Wydaje mi się, że oprócz zarobków stracił coś ze swojej tożsamości. Zaczął wieczorami popijać. Niedużo. Nie jest alkohikiem, ale źle reaguje na alkohol, który ujawnia jego destrukcyjne cechy.

– A ty czym się zajmujesz, Hillevi?

Wiem, że w tym momencie to jest nieważne, ale Hillevi zaciękaowała mnie od pierwszej chwili. Jestem zafascynowana, wręcz oczarowana tą silną, piękną istotą.

– Jestem onkologiem dziecięcym. Pracuję w szpitalu dziecięcym imienia Astrid Lindgren. Właściwie jesteśmy częścią Karolinska¹³.

Kiwam głową, jeśli to możliwe, z jeszcze większym zaciękawieniem niż przedtem.

– Był trzeźwy, gdy uderzył mnie po raz pierwszy. Mieliśmy wtedy trudny okres. Lukas często chorował na uszy, ja miałam sporo nocnych dyżurów. Jakob był bez pracy, czuł się nieudacznikiem i całymi dniami tylko oglądał seriale. Pokłóciliśmy się, nie pamiętam już o co, więc pewnie o nic ważnego. To było jedno uderzenie. W twarz. Ale złamał mi przegrodę nosową. Potem wpadł w rozpacz, płakał w moich objęciach. Ja też. Razem płakaliśmy.

Hillevi milknie, robi się cicho.

Sirkka kaszle ochryple i przesuwa ręką po suchych, rudych włosach z siwym odrostem na centymetr. Kręci głową i mówi:

– Powinnaś była od razu odejść.

Hillevi patrzy na nią w milczeniu. Uśmiecha się tym swoim niezmaconym, miłym uśmiechem.

– Nie rozumiesz.

– Kochanie, a co tu rozumieć? Facet cię bił.

Hillevi nadal się uśmiecha i kręci głową.

– Jakob i ja...

Urywa, po raz pierwszy dostrzegam na jej twarzy niepewność, którą odczytuję jako dowód, że może mimo wszystko przyzna rację Sirce.

– Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, żebyś mnie dobrze zrozumiała. I wam. Dla Jakoba i dla mnie węzeł małżeński jest święty. Nie wolno się rozwodzić. To kwestia wiary.

W sali zapada cisza. Nawet Aina nie wie, co powiedzieć, tylko kiwa głową, jak zwykle, gdy coś jest dla niej naprawdę niepojęte.

Znów zerkam na puste krzesło Kattis. Zastanawiam się, czy Henrik ją odnalazł i dlatego jej tu nie ma. Czy ona również leży gdzieś ze złamaną przegrodą nosową i zakrwawioną twarzą.

– Okej, ale jeśli przemoc nie jest wystarczającą przyczyną do wystąpienia o rozwód, to co nią jest? – pyta prowokacyjnie Malin, co świadczy, że raczej nie podziela poglądu Hillevi na małżeństwo.

– Myślę, że kryzys da się przezwyciężyć, i wiem, że Jakob uważa tak samo. Każdy człowiek może się zmienić na lepsze. Zresztą Jakob nie jest złym człowiekiem, na pewno. Tylko nie panuje nad sobą. I dopóki tak jest, nie możemy razem żyć. Nie podoba mi się sposób, w jaki media przedstawiają mężczyzn, sprawców przemocy domowej. Istnieje tendencja, aby ich demonizować bez wnikania, co skłania mężczyznę, albo kobietę, do stosowania przemocy. Najłatwiej jest upraszczać, zrobić z nich potworów. Jednak z takiego wyjaśnienia nic nie wynika. W każdym razie dla mnie. Zarówno dlatego, że jest niewystarczające, jak i dlatego, że jest niezgodne z moją wiarą.

– Więc co zrobiliście? – pyta Sirkka, starając się złagodzić zarówno wymowę pytania, jak i ton swego chrapliwego głosu.

– Poszliśmy na rozmowę do naszego pastora. Jesteśmy z nim bardzo życzliwi, oboje mamy do niego duże zaufanie. Pomodliliśmy się razem. Przez jakiś czas było lepiej, ale potem znów wszystko wróciło. Jakob poszedł do psychologa, który specjalizuje się w takich sprawach. Już myślałam, że zaczął się kontrolować, ale pewnego dnia wróciłam z pracy i zobaczyłam, że zbił Lukasa za to, że upuścił na podłogę karton z sokiem. Lukas był cały mokry... od soku i od krwi. Musiałam mu założyć na wargę dwa szwy. W następnym tygodniu posikał się ze strachu, gdy mu powiedziałam, że tata odbierze go ze szkoły. Nie mogę sobie wybaczyć, że do tego dopuściłam.

– Pomodliliście się razem? – pyta Malin tonem powątpiewania.

Hillevi potakuje, nie patrząc na nią.

– Nie żądam, żebyś rozumiała. Modlitwa to nie jest lista życzeń do Świętego Mikołaja, tylko rozmowa z Bogiem.

Cisza. Słyszeć tylko szum samochodów dochodzący z zewnątrz. Za oknem przelatuje samotny liść gnany wiatrem.

Hillevi siedzi nieruchomo z dłońmi na kolanach, zielone oczy utkwiała we mnie. Mam wrażenie, jakby jej wzrok mnie przeszywał, przenikał ścianę i sięgał aż do piekła, w którym, jak się domyślam, przebywa.

Piekła zwanego małżeństwem.

Przez ścianę dobiegają zduszone dźwięki. Głos Svena w recepcji.

Głuche odgłosy.

Ostry głos kobiety. Potem znów niski głos Svena.

Uparty.

Prowadzą jakąś rozmowę. Klótnię? Kobieta wydaje się zdenerwowana.

Hillevi odwraca się do Ainy i patrzy na nią pytająco. Sirkka wierci się na swoim krześle.

Drzwi otwierają się z hukiem i wbiega kobieta w czarnym płaszczu, w ręku trzyma niebieskie plastikowe ochraniacze na buty. Wiem, że Sven próbował ją zmusić, aby je włożyła.

To Kattis.

– Zamordował ją!

Wykrzykuje te słowa, następnie przeciska się przez krąg z takim impetem, że Sofie prawie spada z krzesła, potem nogą zawadza o stół, glazurowany na niebiesko wazonik, który moja siostra wytoczyła na kursie garncarskim, spada z trzaskiem na podłogę.

– Ojej! – Rękoma zakrywa usta. – Co ja zrobiłam. – Pada na kolana i zbiera odłamki.

Trzyma ostrożnie na dłoni, przesuwając palcem po lazurowej, szklawionej powierzchni. – Przepraszam. Boże, ja nie chciałam.

Napotykam wzrok Ainy, podnoszę się i kucam koło Kattis.

– Kattis, to tylko wazonik, w dodatku brzydki. Naprawdę nic się nie stało.

Twarz ma mokrą od łez.

– Nie trzeba było tu przychodzić – mamrocze pod nosem. – Wszystko psuję, czego tylko dotknę... Lepiej by było, gdyby mnie wykończył.

– Posłuchaj, to tylko wazonik, nic się nie stało. Najważniejsze, że tobie nic nie jest. Usiądź i opowiedz...

– Kto nie żyje? – pyta Hillevi, chyba jako jedyna jest na tyle pozbierana, aby zadać to pytanie.

Kattis nie odpowiada, opada na puste krzesło, zakrywa ręką twarz i głośno szlocha.

– Zabił ją. Zamordował. Na oczach jej dziecka!

Aina wstaje i podchodzi do Kattis. Zdecydowanie kładzie rękę na jej przedramieniu.

– Kattis, opowiedz wszystko od początku.

– Nie! – wrzeszczy Kattis zrywając się z krzesła. Strąca rękę Ainy. – Ja już tego nie wytrzymam. Zrozumcie. On ją zabił i teraz ma zamiar zabić mnie. Wiem, że tak jest.

Aina sadza Kattis i ściąga z niej palto, jakby była małym dzieckiem. Przytrzymuje ją za ramiona i zmusza do spojrzenia w oczy.

– Musisz powiedzieć, co się stało.

– Henrik. To Henrik. Nie rozumiecie? Zamordował swoją nową partnerkę i teraz chce mnie zabić!

– Henrik, twój były?

Kattis potakuje i po raz pierwszy podnosi na nas wzrok. Robi głęboki wdech.

– Rano była policja. Facet roznoszący reklamy znalazł partnerkę Henrika. Zamordowaną. Jej córeczka, która ma pięć lat, siedziała po stołem w kałuży krwi koło swojej mamy i rysowała. On teraz mnie zabije! – Wyje jak ranne dzikie zwierzę.

– Ale złapali go? – pyta Sirkka.

Kattis kręci głową i wpatrując się w podłogę, szepcze:

– Ja już nie mam siły.

Sven jednak ma swoje zalety.

Pod obszerną sztruksową marynarką i luźnymi błękitnymi koszulami kryje się ciało empatycznego mężczyzny, jego sfatygowane sandały Birkenstock przemierzyły wiele dziesiątków kilometrów i niejedno widziały.

Popycha mnie delikatnie i sadza na jednym z niewygodnych plastikowych krzeseł stojących w kuchence, podaje kawę, wprawdzie wystygłą i za słabą, ale i tak smakuje lepiej niż kiedykolwiek. Słucha mojego chaotycznego opisu dzisiejszej sesji terapeutycznej, pozwalając mi rozładować złość i frustrację. Nie przerywa, majstruje przy swojej fajce, ale nie pali. Niechby spróbował. Lada chwila Aina wróci z Hal Söder, dokąd poszła kupić jakieś jedzenie na wynos.

– W pewnym sensie doskonale wiem, co ona czuje. Mam na myśli Kattis. Wiem, jak to jest, gdy ktoś na ciebie poluje. Stale się zastanawiasz, kto może się ukrywać w cieniu drzew w parku, zawsze idziesz oświetloną stroną ulicy, podczepiasz się pod ludzi spacerujących z psami albo grupki młodzieży, byle uniknąć wystawienia się na cios, poczucia samotności i bezbronności.

– Rozumiem.

– A i tak się przegrywa. Zawsze cię dopadnie.

– Rozumiem.

Zerkam na Svena, powtarza się, wygląda to, jakby rzeczywiście rozumiał.

Za oknem jest ciemno. W poradni nie ma nikogo poza nami. Kobiety z grupy wsparcia poszły już do domu. Część rozmawiała głośno, wzburzonymi głosami, inne, jak Sofie, milczały, wyraźnie poruszone, jak zawsze, gdy dopada nas rzeczywistość.

Reality bites. Chyba tak to się nazywa.

– Strasznie się boję, że ją też zabije.

– Rozumiem.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– Wiesz, kiedy tak mówisz, mam wrażenie, jakbym była jedną z twoich pacjentek.

Jego dłoń na mojej. Wielka, ciepła, sucha. Jak dłoń mojego taty, gdy byłam mała. Taka dłoń daje człowiekowi poczucie bezpieczeństwa, można się zatracić w jej dotyku.

Sven nie odpowiada uśmiechem.

Zerkam na niego. Siwiejące włosy zaczesane do tyłu odsłaniają wysokie, opalone czoło. Zmarszczki wokół oczu są głębsze niż zwykle. Wzrok wyraża znużenie. Może apatię.

Widzę steranego życiem pięćdziesięciolatka, opuszczonego niedawno przez żonę, który potrafi odłożyć swoje sprawy na bok, żeby słuchać mojego międlenia.

Zaczynam się zastanawiać, co on czuje, i głupio mi, że tak się zafiksowałam na własnych problemach. Nigdy go nie spytałam, jak przeżył fakt, że Birgitta zostawiła go po tylu latach. Jak sobie radzi z samotnością i jesiennym mrokiem.

– Właściwie co u ciebie słyszać? – pytam, podnosząc na niego wzrok. Jak na sygnał sięga po papierosy leżące na stole koło fajki. Wyjmuje jednego, powoli umieszcza w kąciку ust i pochyla się nad zapalką.

– Nie powinienes tu palić. Wiesz, że Aina się wścieknie.

Sven kręci głową, jakby wolał nie słyszeć, bo zaprzęta go co innego.

– Co mam ci powiedzieć? Dno.

Kiwam głową w milczeniu, czuję, że szykuje się do zwierzeń.

– Dokuczają ci samotność?

Przytakuje skinieniem, patrząc na swoje palce żółte od nikotyny, jakby studiował własne paznokcie.

– Kiedy to się stało? – pytam ostrożnie.

– Wyprowadziła się miesiąc temu.

– Co się stało?

– Powiedziała, że ma dosyć. Że dłużej nie wytrzyma moich kłamstw.

– Kłamstw? Przyłapała cię?

Znów przytakuje i zaciąga się głęboko, w ciemnym pomieszczeniu jego papieros jarzy się jak zimny ogień.

– Z kim?

– Jak to, z kim? O co ci chodzi?

Sven patrzy na mnie rozkojarzonym wzrokiem, jakby nie rozumiał pytania, a mnie opadają wątpliwości.

– Z kim cię przyłapała?

– Kurwa, dlaczego wszyscy wszystko wiedzą z góry?

Zrywa się z krzesła i z papierosem w ręce zaczyna chodzić po pomieszczeniu. Nie wiem, czy złości się na mnie, czy jest wzburzony całą sytuacją.

– Powiedziałam coś głupiego?

– Ja... nie, sam nie wiem. I tak wszyscy myślą, że odeszła z powodu moich romansów.

– A nie tak było?

– Miałem romanse, to prawda, ale ona też. Mieliśmy związek otwarty. Poliamorię. To trudne do przyjęcia dla innych, ludzie są przywiązani do stereotypowego obrazu miłości. Do heteronormatywnej rodziny. No wiesz.

Milknie i przygląda mi się z drugiego końca kuchenki, jakby się zastanawiał, czy jestem dostatecznie liberalna, żeby przyjąć, co mi powiedział.

– Zdziwiłeś mnie. Nie oceniam tego, co powiedziałeś, ale naprawdę nigdy bym się... nie domyśliła.

– Nie zawsze jest tak, jak się wydaje.

– Pewnie masz rację.

– W latach naszego małżeństwa Birgitta miała wielu kochanków. I kochanek.

– Aha – mówię. Mam przed oczami pulchną siwą kobietę o pełnych ustach i pomarszczonej twarzy. W lnianej garsonce i zwracającej uwagę srebrnej biżuterii. Promieniującą autorytetem. Gdziekolwiek się pojawiła, od razu wypełniała całe pomieszczenie swoją silną, niekwestionowaną osobowością.

Dlaczego miałyby nie mieć kochanków? I kochanek.

Sven wraca na krzesło koło mnie, chyba się uspokoił. Gasi papierosa w puszcze po ciasteczkach, mieszając popiół z okruszkami „cytrynowych marzeń” z cukierni na Götgatan.

Spod lekko podwinętego w pasie, znoszonego rdzawego swetra wychodzi zwiotczała fałda tłuszczu. Widzę, że Sven się starzeje. Czy człowiek chce się starzeć sam? Czy ja też będę się starzeć sama, skoro tak trudno mi zaakceptować bliskość z drugim człowiekiem?

– Nie rozumiem – mówię. – Powiedziałeś, że cię przyłapała?

Sven śmieje się smutno, kręci głową i chowa twarz w dłoniach. Jego potężnym ciałem wstrząsa szloch.

– Przyłapała.

– Ale...?

– Przyłapała mnie na picciu. Zastała mnie wśród butelek. Tylko tego mi zabroniła. Obiecałem jej, że już nigdy więcej. Cholerna wóda. Pamiętasz, jak się zalałem u ciebie na przyjęciu rakowym zeszłego lata? Musiałem jej potem przyrzec, że już nigdy nie będę pił, bo zagroziła, że mnie zostawi. Zupełnie jej nie ruszały moje romanse z innymi kobietami, za to wódka... Nawet ją rozumiem. Dwadzieścia lat temu o mało nie przepiłem naszego domu i całej reszty. Byłem pijany w pracy. Pacjenci złożyli na mnie skargę. Pewnie się bała, że to się powtórzy. Rozumiesz?

Nie odpowiadam. Tego się nie spodziewałam. Wszyscy uznali, że Birgitta zostawiła Svena, bo ją zdradzał. Jego romanse są wręcz legendarne. Natomiast nie miałam pojęcia, że pije. Owszem, wspomniał kiedyś, że dawniej pił za dużo, ale jakoś to zbyłam, uznawszy, że to grzechy młodości, i nie domyśliłam się, że nadal ma problem.

Nic nie jest takie, jak się wydaje.

Sven, zawsze taki skrupulatny w pracy, lubiany przez pacjentów, do którego obie z Ainą zwracamy się o radę i wskazówki.

Alkoholik? Trudno mi w to uwierzyć.

– A teraz? – pytam delikatnie. Nie chcę, by czuł się zmuszony do odpowiedzi, jeśli nie ma na to ochoty. To bardzo osobiste, co mi do tej pory powiedział.

– Teraz okropnie mi się chce gołnąć – mówi, patrząc na mnie nieprzeniknionym wzrokiem.
– Ale z tym już koniec. Z miłością też, jeśli o mnie chodzi. Koniec.

Uśmiecham się, pochylam i przez chybotliwy stół delikatnie głaszczę zmechacony sweter. Czuję jego oddech przesycony dymem z papierosów.

– Nie wydaje ci się, że przesadzasz? Może kiedyś zmienisz zdanie.

Sven chwytą mnie za rękę i patrzy głęboko w oczy.

– Nie.

– Na pewno?

– Skończyłem z miłością. Już nie chcę. Nie jest tego warta. Za dużo cierpienia...

Milcząco przytakuję, bo co mam powiedzieć?

Siedzimy tak dłuższą chwilę, trzymając się za ręce, za oknem gęstnieje ciemność. W końcu Sven patrzy na mnie i stwierdza:

– No i siedzimy sobie, dwoje pijaków w jednej poradni.

Ściska mi lekko rękę, na jego twarzy majaczy uśmiech i nie potrafię się na niego gniewać.

Mimo że wspomniał o czymś, o czym nie wolno mówić, poruszył niedozwolony temat.

Odpowiadam słabym uśmiechem i wzruszeniem ramion.

Sven podnosi wzrok na drzwi. Stoi tam Aina, w rękach trzyma białe torby z Hali Söder.

Jeszcze nie zdjęła skórzanej kurtki, pasiastej czapki i zdecydowanie za dużych czerwonych, dzianych rękawiczek. Patrzy na mnie spokojnie, a ja zastanawiam się, od jak dawna przysłuchuje się naszej rozmowie.

– Falafel? – pyta miękko.

– A więc jej były facet zabił swoją obecną partnerkę?

Vijay siedzi w fotelu.

Jego ciało ułożeniem przypomina worek drewna na opał. Papieros w kąciku ust, z przyciasnej pomarańczowej koszulki wystają owłosione ramiona. Zrzucone tenisówki leżą koło drzwi, na nogach ma futrzane kapcie, koło kostek wystaje puchate futerko. Faktycznie robi się z niego ekscentryk, jak nasi dawni profesorowie. Bezkarne uchodził im niedostatek kompetencji społecznych, sypianie ze studentkami czy głośny dialog z samym sobą na korytarzu.

– Tak, zabił ją – odpowiada szeptem Aina, szybko, jakby chciała mnie ubiec albo pomyślała, że nie dam rady odpowiedzieć na to proste, choć ważne pytanie.

Odbywamy u Vijaya coś w rodzaju narady kryzysowej. Obie jesteśmy wstrząśnięte tym, co się stało, rzeczywistość wdarła się do naszej grupki, gdy dopiero co zaczęłyśmy się wzajemnie poznawać, i przypomniała, po co się spotykamy. Nie są to babskie pogaduszki, tylko spotkania grupy wsparcia dla bitych i gwałconych kobiet.

Za oknem siąpi deszcz. Szare chmury zalegają nad miastem, lodowaty wiatr hula nad namokłymi trawnikami wokół zwalistego gmachu wydziału psychologii. Jest piątek, budynki uniwersyteckie już pustoszeją, choć dopiero trzecia po południu.

Rzuciłyśmy w kąt nasze grube, wilgotne okrycia. Vijay nie jest z tych, którzy by się tym przejmowali, ale żyje pod jednym dachem z pedantem. Ollemu, jego partnerowi, trudno się pogodzić z bałaganiarstwem Vijaya. On z kolei należy do tych, którzy nawet T-shirty wieszają w szafie na równych wieszakach, a do butów sportowych wkładają prawidła z drewna cedrowego i mają specjalne miejsce na kable, żeby nie szpeciły mieszkania.

– Niech to cholera – mamrocze Vijay, zapalając następnego papierosa.

– Co mamy robić?

– Nic, a raczej to, co dotychczas. Spotkania grupy są teraz jeszcze ważniejsze niż dotąd. Nie tylko dla tej dziewczyny, również dla pozostałych. Natomiast gdyby tej... Kattis naprawdę coś groziło, to sprawa dla policji. Załatwię, żeby w poradni założyli wam alarm napadowy. Powinienem być o tym wcześniej pomyśleć. – Milknie i przyglądając nam się, wydmuchuje zasłonę z dymu, a robi to w sposób, który przez osobę nieznaną go zostałby odczytany jako ostentacyjny. Jednak znam go i wiem, że zastanawia się nad tym, co mu opowiedziałyśmy.

– No i co? – pytam.

Vijay lekko bębni palcami o blat stołu, zaciąga się głęboko. Wydaje się zakłopotany.

– Zastanawiam się, jak się czujecie po tym wszystkim? Dacie radę?

Chwila ciszy, Aina próbuje odpowiedzieć:

– Właściwie... okej. Tak uważam. Wcześniej, zanim się to stało, te spotkania zaczęły mi się nawet podobać. Konfrontowanie się z losami tych kobiet jest niesłychanie ciekawe. Są takie różne, wszystko je dzieli, poza tą jedną rzeczą, czyli doświadczeniem przemocy. Wydaje mi się, że moje wyobrażenie o tym, czym jest przemoc wobec kobiet, jest teraz znacznie bliższe prawdy niż przedtem.

Vijay śmieje się miękko.

– Faktem jest, że one nie są typowe.

– W jakim sensie? – pyta Aina.

– Chodzi mi o to, że grupka, z którą pracujecie, nie jest reprezentatywna dla kobiet w tym kraju. Zaczniemy od tego, że jest bardziej jednorodna etnicznie niż w rzeczywistości. Jest w niej zaledwie jedna kobieta pochodzenia cudzoziemskiego. I to fińskiego, czyli bliskiego kulturowo. Wszystkie pozostałe to Szwedki. Dlatego grupa jest nierepresentatywna, bo imigrantki są bardziej narażone na przemoc niż Szwedki. To samo dotyczy grup wykluczonych społecznie: różnego rodzaju nałogowców, bezdomnych i niepełnosprawnych. Do tego dochodzą wojny i konflikty zbrojne, w których szczególnie narażone są dziewczyny i kobiety. Standardowo gwałcone są żołnierki, w stosunku do innych kobiet gwałty i okaleczanie są elementem prowadzenia wojny.

– Przecież u nas, w Szwecji, nie ma konfliktów zbrojnych... – wymyka mi się.

Od razu dostrzegam u niego lekkie znużenie moją naiwnością. Gasi papierosa w butelce

włoskiej wody mineralnej, nachyla się do mnie i mówi powoli, wyraźnie jak do dziecka:

– Ale mieszka u nas wiele dziewczyn i kobiet, które pochodzą z takich rejonów świata. Dlatego jest to również nasz problem. Nie tylko na płaszczyźnie moralnej, również praktycznej. To my musimy im pomóc.

Kiwam głową. Głupio mi z powodu własnej niewiedzy; bez namysłu przyjąłem, że przemoc wobec kobiet dotyczy Szwedek bitych przez ich facetów na jakimś przedmieściu, gdzie wypasione domy wyrastają z żyznej ziemi Skandynawii jak grzyby po deszczu.

Vijay jakby słyszał moje myśli, bo mówi:

– To nie jest takie proste, jak by się mogło zdawać. Definicja przemocy wobec kobiet nie jest jednoznaczna. Obejmuje nie tylko fizyczną przemoc domową, ale również groźby, przemoc psychiczną i nadmierną kontrolę. Małżeństwa dzieci, świadome niedożywianie dziewcząt, sprawdzanie dziewictwa. Wiecie.

– Czy jest wspólny mianownik? – pyta Aina.

Vijay kiwa głową, gładząc swój czarny zarost, w którym z upływem lat pojawia się coraz więcej siwizny.

– Żądza władzy – mówi. – Władzy i kontroli nad innymi. W ostatecznym rachunku zawsze o to chodzi.

Patrzę w niewielkie, dawno niemyte okno, które prawie nie wpuszcza brudnoszarego jesiennego światła.

Władza.

Czy to aż tak proste?

Zastanawiam się, czy to samo rozpałało mężczyznę, który kiedyś mnie prześladował i chciał mojej śmierci. Dążenie do wszechwładzy, do wymierzania sprawiedliwości, decydowania o życiu i śmierci.

– Widziała to jej córka – mówi cicho Aina.

– Ile ma lat? – natychmiast pyta Vijay.

– Pięć.

– Nie uda im się wyciągnąć z niej nic sensownego. Wiesz, jak trudno przesłuchać pięcioletnie dziecko? Nie mówiąc o tym, jak ciężko wydobyć coś, co potem obroniłoby się w sądzie.

Vijay kręci głową, patrząc na deszcz i błotniste pola za oknem. Słysząc szczekanie psa. Po niebie przelatuje klucz czarnych ptaków, może udają się w jakieś cieplejsze miejsce.

– Pewien jesteś? – pytam.

Vijay wzdycha i patrzy na mnie ze znużeniem w oczach.

– Oczywiście zatrudnię eksperta w dziedzinie psychologii zeznań albo z policyjnej izby dziecka. Będą ją przesłuchiwać, ale nic sensownego nie usłyszą. Badania pokazują, że niezwykle trudno jest uzyskać wiarygodne zeznania od dzieci poniżej pięciu lat. Nie mają takiego poczucia czasu jak dorośli i mieszają rzeczywistość z fantazją. Pamiętają szczegóły, ale nie całość. Poza tym przypuszczalnie doznała urazu, co dodatkowo utrudni dobranie się do jej wspomnień. Zapewne nie chce pamiętać, co się stało. Czy mała ma jakieś obrażenia?

– Nie wydaje się. Policjanci zastali ją siedzącą w kałuży krwi pod stołem w kuchni. Trzymała w ręku kredki i rysunek.

– Czy miejsce zbrodni to kuchnia?

– Zdaje się, że tak – odpowiadam.

– I tak nie ma pewności, czy cokolwiek widziała, prawda? Mogła być w innym pokoju i szukając mamy, poszła do kuchni, tam się przestraszyła i weszła pod stół, nieprawdaż?

– Mogło tak być.

Aina nagle blednie, przesuwa po udach dłońmi, jakby chciała coś zetrzeć. Ma obgryzione paznokcie, na których dostrzegam resztki ciemnoczerwonego lakieru.

– Jak można do tego stopnia zidiociec, żeby zabić osobę, którą się kocha, a przynajmniej mówi się, że się kocha?

Vijay pomija pytanie. Ciągnie dalej z niezmaconym zapalem. Analizowanie patologicznych

przejawów ludzkiej psychiki, pobudek, którymi kierują się przestępcy i sprawcy gwałtów, źródła zła, to jego popisowy numer.

– Niezwykłe jest to, że ci mężczyźni rzeczywiście zabijają. W zeszłym roku doszło w Szwecji do około dwóch tysięcy siedmiuset przypadków przemocy domowej i przestępstw na tle seksualnym, chociaż ta liczba jest na pewno w ogromnym stopniu niedoszacowana. Ale średnio siedemnaście kobiet rocznie ginie z ręki bliskiego mężczyzny. Jest to zatem dość wyjątkowa sytuacja. Jeśli z kolei przyjrzeć się sprawcom, u osiemdziesięciu procent z nich stwierdza się zaburzenia psychiczne, sześćdziesiąt procent to osobnicy już karani więzieniem, a pięćdziesiąt procent to alkoholicy. Nic nie wiem o tym człowieku, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że spełnia przynajmniej jedno z tych kryteriów.

Nie wspominam, że poznałam Henrika, że przyszedł do mnie. Wolę, aby Vijay i Aina nie zaczęli się znów o mnie martwić.

Aina wzrusza ramionami.

– Nie wydaje mi się, że to pijak ani żeby już siedział, ale skąd ja mogę wiedzieć? Według Kattis facet jest bardzo porywczy. Podobno był w niej bardzo zakochany i nie potrafił jej odpuścić, żyć bez niej. Zresztą ona chyba też tego nie potrafiła.

Vijay ze śmiechem nachyla się do Ainy. Delikatnie odgarnia długi, jasny kosmyk, który wysunął jej się z byle jak upiętych włosów, i zakłada jej za uchem. Jego gest jest bardzo ciepły i czuły.

– Tu nie chodzi o żadną miłość, kochana. Chodzi o władzę nad drugą osobą. Nie zapominaj o tym.

Wypis ze szkolnego dziennika zdrowia, szkoła podstawowa i gimnazjum w Älvängen

W godzinach wyznaczonych do kontaktów telefonicznych dzwoni matka bardzo zaniepokojona sytuacją syna, ucznia trzeciej klasy. Chłopiec coraz częściej skarży się na bóle brzucha i głowy, mówi, że jest chory. Matka musi go długo przekonywać, aby jednak poszedł do szkoły. Według matki chłopiec jest w szkole prześladowany przez inne dzieci, ponieważ jest powolny i gruby. Pewnego razu został przez kilku starszych chłopców namówiony do zjedzenia króliczych odchodów jako rzekomych słodczy. Matka się boi, że syn będzie wykorzystywany przez inne dzieci, ponieważ jest uległy i łatwowski. Podejrzewa, że koledzy skłonili go do drobnych kradzieży w sklepie osiedlowym, obiecując w zamian słodczy i gazetki.

Matka jest bardzo wzburzona i przez większą część rozmowy płacze. Nie wie, co robić, bardzo chce pomóc synowi, ale nie umie do niego dotrzeć. Skutkiem tej sytuacji są również coraz częstsze konflikty domowe, mąż zarzuca jej zbyt dużą uległość i brak zainteresowania dzieckiem.

Uzgadniamy, że chłopiec razem z nią przyjdzie do mnie na rozmowę. Doradzam jej również, aby zrobiła synowi morfologię, by wykluczyć ewentualną anemię itp.

Sara Solberg, pielęgniarka szkolna

Idziemy z Ainą po Götgatan, ciasno przytulone pod małą czerwoną parasolką. Grube swetry, szalik i ciężkie buty nie chronią przed wilgotnym chłodem.

– Cholera jasna, jak zimno – mówi Aina, zakładając na siebie poły cienkiej, skórzanej kurteczki.

– Może powinnaś kupić sobie cieplejsze ubranie, co?

Patrzy na mnie z szerokim, lekko pobłażliwym uśmiechem.

– Raczej nie będę jeszcze chodzić w ocieplaczach i kominiarce, prawda? Poza tym – poważnie i spuszcza głowę, jakby przyglądała się wilgotnemu chodnikowi – w tym miesiącu mnie nie stać.

– Chcesz pożyczyć?

Przecząco kręci głową i odgarnia z twarzy wilgotne kosmyki włosów.

– Nie, od czego jest kredyt.

Pod koniec miesiąca Ainie prawie zawsze brakuje pieniędzy. Wprawdzie pensje, które sobie wypłacamy, nie są zbyt wysokie, ale wiem również, że czynsz za jej mieszkanie jest naprawdę niski, a innych znaczących opłat właściwie nie ma, więc nie powinna mieć problemów finansowych. Zdarza się, że pożyczam jej jakąś sumę, którą zawsze zwraca na początku następnego miesiąca. Może powinnam porozmawiać z nią na ten temat, powiedzieć, co sędzę o tym, jak gospodaruje pieniędzmi, ale nie bardzo widzę sens. Aina jest moją przyjaciółką. Jest dorosła i sama potrafi decydować o sobie.

Mijający nas szybko samochód przejeżdża przez kałużę, obryzgując jej nogi kaskadą brudnoszarej wody.

– Kretyn! – krzyczy Aina, pokazując kierowcy środkowy palec.

– Przestań... – Łapię ją za rękę i opuszczam w dół. – Chcesz się z nim bić, czy co?

– Nie widziałaś, jak mnie oblał?

– Widziałam, ale teraz nie mamy czasu. Będiesz mogła wyładować swoją złość na macie do jogi albo coś w tym rodzaju. Miałyśmy tam być dwadzieścia minut temu.

Aina wzdycha, wzrusza ramionami i znów zaciąga poły kurtki bliżej ciała.

– Wszystkie będą?

– Hillevi nie mogła. Ma dyżur.

Spotykamy się w Pelikanie, żeby coś zjeść i jednocześnie porozmawiać o tym, co się stało. O tym, że były facet Kattis zabił swoją partnerkę. Z zimną krwią skopał ją na śmierć w jej własnej kuchni. Jesteśmy cywilizowane, spotykamy się w restauracji. Jakbyśmy chciały się trochę rozerwać.

Mogłyśmy omówić to podczas następnej sesji, ale gdy Malin zaproponowała spotkanie w knajpie, a Sofie i Sirkka uznały za oczywiste, że my również mamy tam przyjść, chociaż jesteśmy kierowniczkami grupy, postanowiłyśmy uszanować ich decyzję. W końcu jest to grupa wsparcia, a nie terapeutyczna. W pewnym sensie będzie przyjemnie wyjść gdzieś, odprężyć się.

W słabo oświetlonym lokalu unosi się woń smażeniny i wilgotnej wełny. Jest wyjątkowo dużo ludzi, cieszę się, że zamówiłam stolik. W jednej z wnęk przebłyskują rude włosy, ktoś macha ręką. Sirkka.

– Tam – mówię. – Wszystkie już są.

Przepychamy się wśród pijących piwo, ubranych na czarno mieszkańców Söder. Na sekundę musimy się zatrzymać, by przepuścić kelnerkę niosącą kilka talerzy z klopsikami i ziemniakami purée.

Dookoła gwar rozmów prowadzonych przez nieznaną nam ludzi, którzy tak jak my przyszedli tu w ten ciemny jesienny wieczór. Na wszystkich stolikach palą się świece, płomienie migoczą w przewiewie od ciągle otwieranych na oścież drzwi wejściowych.

– Cześć, dziewczyny. – Sirkka odsłania żółte zęby w szerokim uśmiechu.

Aina obejmuje ją i zanurzając nos w rude włosy, mamrocze słowa powitania. Witam się z Malin, ubraną w T-shirt z długimi rękawami i napisem „Team Bosön 2009”. Pachnie, jakby właśnie wyszła spod prysznica. Malin się śmieje i mierzwi mi krótkie włosy. W jej geście jest coś tak intymnego, że czuję się zażenowana. W tym momencie podchodzi Sofie, również z otwartymi

ramionami. Obejmuje mnie delikatnie, bez słowa, ale wyraźnie cieszy się na mój widok. Odwracam się i staje przede mną Kattis. Jej widok wstrząsa mną. Nieumyte włosy opadają w strąkach na ramiona. Oczy zapuchnięte, usta w wąską kreskę. Na policzkach czerwone plamy, jakby się zdenerwowała albo długo płakała.

– Kattis – tylko tyle jestem w stanie z siebie wydusić.

– Wiem. – Kręci głową. – Wyglądam koszmarnie.

– Nie to miałam na myśli. Ja...

Krótki śmiech, ucieka wzrokiem w kierunku baru i tłoczących się grup ludzi, którzy śmieją się, głośno rozmawiają, gestykułując z ożywieniem. Profil jej bladej, zaciętej twarzy odcina się na tle popijających piwo klientów baru. Kontrast jest uderzający. Z taką miną pasowałaby raczej do pogrzebu niż zatłoczonej piwiarni na Söder.

Ostrożnie kładę rękę na jej ramieniu, Kattis wstrząsa się, jakby poraził ją prąd. Patrzy mi w oczy i krótko kiwa głową, porozumiewawczo – nie potrzebujemy słów, bo obie wiemy, o co chodzi – potem opada na krzesło.

Siadam koło niej i przyglądam się pozostałym. Sofie, Sirce, Malin, wydaje się, jakby nic nie zauważyły. Aina natomiast zauważyła, przygląda mi się przez stół, między wyraźnie zarysowanymi brwiami pojawia się pionowa zmarszczka. Zgaduję, że martwi się o Kattis, może również o mnie.

W tym momencie Sirkka przełamuje lody.

– Dziecko kochane, kto by pomyślał, że to się tak potoczy.

Kattis nie odpowiada, siedzi sztywna, dłonie splecione przed sobą, wzrok utkwiony w świeczce palącej się na stole.

– Czytałam o tym w gazecie... – odzywa się ostrożnie Sofie. – Miałam cholernie dziwne uczucie, to nie do uwierzenia, że coś takiego mogło się zdarzyć tutaj, u nas. Chora sprawa, nie?

– Nie tak chora jak to, że twój były facet kogoś zabił – szepcze Kattis, nie podnosząc wzroku.

– Przepraszam, nie to chciałam...

– Oczywiście, że nie chciałaś – mruczy Kattis, tocząc po nas wzrokiem. W jej spojrzeniu jest rezygnacja. Spuchnięte, przekrwione oczy wyrażają obojętność, która mnie bardziej przeraża niż jej płacz w tamten wieczór w poradni. – To nie do pojęcia, prawda? Nawet dla mnie, chociaż wiedziałam, do czego jest zdolny.

– Musisz teraz być silna – odzywa się Sirkka, patrząc jej w oczy.

– A co to pomoże?

– Pomoże. Przede wszystkim tobie.

– A ona? Susanne nie żyje, cokolwiek bym zrobiła i tak...

– Jej już nie pomożesz, pomoc możesz tylko sobie – odpowiada Sirkka, jakby dokładnie wiedziała, o czym mówi. – I od tego zacznij, bo dopóki sobie nie pomożesz, innych tym bardziej nie uratujesz.

– A niby jak?

Kattis mówi to miękkiem szeptem, jednak słyszę każde jej słowo, jakby szeptała mi prosto do ucha.

– Dziecko. – Sirkka ściska bladą dłoń Kattis. – Musisz zapomnieć o tym mężczyźnie. Zostawić go za sobą.

– Łatwo powiedzieć.

– Wiesz, że tak trzeba – mówi Sirkka nalegającym tonem. – Nie będziesz wolna, dopóki się od niego nie uwolnisz.

Kattis cofa rękę, podnosi się i przez chwilę stoi przy stole, waha się, jakby zamierzała wygłosić jakąś mowę.

– Ja tylko... Przepraszam, zaraz wracam. – I odchodzi w kierunku toalety.

Patrzemy na siebie w milczeniu.

– Czy byłam dla niej zbyt twarda? – pyta Sirkka.

– Nie sądzę – odpowiada Aina. – Chyba po prostu potrzebuje побыć chwilę sama. A wy?

Dużo o tym myślałyście?

– Tak – zaczyna Sirkka. – Gustavsberg to w końcu niewielka gmina. Ludzie się znają, chociażby z widzenia. I gadają.

– Ta zamordowana, Susanne... Jej syn chodził do liceum z moimi koleżankami – mówi z westchnieniem Sofie.

– Myślałam, że ona miała córeczkę – odzywa się Malin.

– Miała również starszego syna. Podobno był nie do wytrzymania. W każdym razie gdy chodził do szkoły. Zdaje się, że teraz jest w jakimś ośrodku.

– W ośrodku? – pyta Aina.

– Tak, dla narkomanów albo kryminalistów, czy coś takiego. Nie wiem dokładnie.

– Dla narkomanów albo kryminalistów – powtarza Aina pod nosem, rozglądając się w zamyśleniu, jakby się zastanawiała nad czymś.

– O niej też się sporo gada – mówi Sirkka. – Nie chcę powtarzać plotek, ale ona podobno...
– Przerzywa i z nieobecną miną toczy wzrokiem po lokalu.

– Podobno co? – pyta Malin.

– To nie moje słowa – mocnym głosem mówi Sirkka, pocierając ręce, jakby zmarzła – ale mówi się, że była z niej prawdziwa... puszczańska. Jeden facet jeszcze nie zdążył wyjść, a już pojawiał się następny. Jakby w tym mieszkaniu na Blåsippevägen miała obrotowe drzwi. To może nic dziwnego, że jej syn tak skończył? Dzieci potrzebują jakiejś takiej stabilności, tak mi się zdaje.

Malin wierci się na krześle.

– Sirkka, nie miej mi za złe, ale nie podoba mi się, gdy na kobietę mówi się puszczańska, bo miała wielu facetów. Mężczyzna może się pieprzyć ile chce i wcale mu to nie psuje opinii. Niby dlaczego? Uważam, że kobiety muszą trzymać ze sobą, jedna drugiej nie powinna nazywać puszczańską. Dla mnie to najgorsza rzecz, gdy kobiety się nawzajem podkopują. To szczyt... niesolidarności. Za to powinna być kara śmierci. Mówię serio.

– Zgadza się z tobą – odpowiada spokojnie Sirkka. – Powtórzyłam tylko, co słyszałam.
Poza tym uważam, że faceci też się puszczają. I tyle.

W tym momencie na stole pojawiają się spotniałe szklanki pieniącego się piwa.

– Cola jest dla mnie – mówi Malin. – Nie piję... przestałam.

Nikt nic nie mówi. Aina siorbie ze swojej szklanki, a ja nie mogę się nadziwić, że chociaż jest dorosła, cmokta jak przedszkolak. Wierzchem dłoni wyciera usta i rozgląda się po zatłoczonej sali.

– Może pójde sprawdzic, co z Kattis? – odzywa się Sofie.

– Poradzi sobie – mówi Aina. – A ty jak? W porządku?

– Co masz na myśli? – pyta Sofie znad swojej szklanki i rumieni się.

– Nie masz oporów, żeby kontynuować nasze spotkania mimo tego... co się wydarzyło?

– Absolutnie – odpowiedź pada natychmiast, bez cienia wahania. – Dla mnie te spotkania to bardzo dobra rzecz. Poza tym... – Sofie dłubie przy rzemyku z niebieskimi koralikami, który nosi na ręce. – Wydaje mi się, że Kattis nas teraz potrzebuje.

To ostatnie wypowiada jak pytanie. Zdziwia mnie jej delikatność i spolegliwość, Sofie jest zawsze gotowa słuchać innych i dopasować się do grupy.

– Też tak uważam – mówi Malin. – Musimy teraz pomóc Kattis. Jestem taka wściekła na tego faceta, że mogłabym go zamordować. Naprawdę.

– Jesteś... taka wściekła? – pytam.

Malin uśmiecha się szeroko.

– Opuść sobie. Mówisz jak wiesz kto?

– No kto? Jak twoja terapeutka?

Malin się śmieje, ale jej śmiech brzmi mechanicznie, pusto, nie ma w nim wesołości.

– Właśnie, a skoro nią jesteś, to może rozumiesz, dlaczego jestem wściekła?

– Naturalnie. Inna rzecz, że nie wiem...

– Czego? – Malin rozkłada ręce.

– Nie wiem, czy taka wściekłość jest konstruktywna.

– Lepiej się wściekać niż bać – mówi Malin. – Lepiej być silnym niż słabym. Z tym się chyba zgodzisz?

– Chciałabym być taka silna jak ty.

Mówi to Kattis. Nagle się okazuje, że stoi koło stołu. Nie widziałam, jak wróciła, i zastanawiam się, od jak dawna przysłuchuje się naszej rozmowie.

– Jesteś silna – mówi Malin, wypijając łyk coli. – Każdy jest w środku silny, tylko trzeba dotrzeć do własnej siły. To kwestia treningu.

Kattis uśmiecha się z wahaniem i siada na swoim miejscu. Podnosi szklankę i patrzy przez nią na płomień świecy, lekko kręci głową, włosy opadają jej ciężko na ramię. Wypija łyk piwa ostrożnie, jakby bała się oparzyć.

– Treningu? Czy to coś takiego jak chodzenie na siłownię?

Chichoczymy wszystkie.

Malin ma poirytowaną minę.

– Oczywiście. Siła fizyczna czy psychiczna, to bez różnicy. Wytrzymałość psychiczną też można wyćwiczyć, mózg jest jak mięsień. A kiedy już to osiągniesz, nie pozwolisz żadnemu skurwysynowi wsiąść na siebie.

– Nauczysz mnie?

Kattis uśmiecha się ostrożnie.

– No pewnie, a kiedy już z tobą skończę, siostró, będziesz twarda jak kamień. Oczywiście najpierw musisz ciężko poćwiczyć. Wszystko ma swoją cenę. Jeśli chcesz wzmocnić ciało albo umysł, musisz być gotowa na duże poświęcenia. Musisz przeznaczyć na to część swego czasu, część swojego życia.

– Pytanie tylko, czy chcesz być taka? – odzywa się Sirkka.

Malin sztywnieje, odstawia szklankę i dłonią przesuwając po krótkich, prawie białych włosach. Zapada krótkie milczenie.

– To znaczy jaka?

– Jak mężczyzna. Wielka, umięśniona. I twarda do głębi. Jesteśmy w końcu kobietami – mruczy Sirkka i znów pociera ręce.

Nagle dociera do mnie, że muszą ją boleć. Dziwne, że wcześniej nie zwróciłam uwagi na jej wykręcone palce, opuchnięte stawy. Na twarzy ma lekki uśmiech, wygładzający niezliczone drobne zmarszczki wokół ust, przez co teraz wygląda młodziej. Można się domyślać, jaka była kiedyś.

Dawniej.

Przedtem.

Malin skrzyżowała ramiona na piersi. W oczach ma coś mrocznego.

– Lepsze to, niż być ofiarą.

– Ale czy tak musi być? – mówi Sirkka. – Czy musimy przerobić się na mężczyzn, żeby uniknąć przemocy z ich strony? Musimy stać się takie jak oni? To ma być rozwiązanie? Nie możemy zostać takie, jak jesteśmy, bez narażania się na gwałt, bicie i... upokarzanie? Czy to za wielkie wymagania?

– A ja myślę tak – odzywa się nagle Aina, odstawia pustą szklankę z głośnym stuknięciem, od którego prawie podskakujemy – że Sirkka ma zupełną rację, że nie musimy się zmieniać. Chodzi o to, żebyśmy mogły chodzić w mini i nie były gwałcone. Żebyśmy mogły rozstać się z facetem bez strachu, że zostaniemy zamordowane. Żadna dziewczyna nie powinna być nazywana kurwą, gdy afirmuje swoją seksualność. Ale... zanim tak się stanie, bardzo chętnie pójdę na kurs samoobrony. Zgadza się?

– A ja mam wątpliwości. Czy kurs samoobrony uratowałby życie Susanne Olsson? – mamrocze Sirkka.

– Susanne Olsson? Nazywała się Olsson? – Malin zastyga ze szklanką uniesioną do ust.

Kattis w milczeniu potakuje.

– Gdzie mieszkała?

– Przy Blåsippevägen, zdaje się – mówi Sirkka.

– Bo co, znasz ją? – pyta Kattis.

Malin gwałtownie kręci głową i odstawia szklanę.

– Nie, skąd, tylko... Nie, nic.

Przynoszą jedzenie. Wybucho żywa dyskusja na temat Gustavsbergu, zalet i wad mieszkania w tak małej miejscowości i tej dość niezwykłej okoliczności, że prawie wszystkie pośrednio zetknęliśmy się z Susanne. Sirkka gestykuluje, unosząc chude, pomarszczone ręce. Malin siedzi w postawie defensywnej, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Sofie rozgląda się z poważnym wyrazem twarzy, jakby usiłowała ocenić sytuację i zrozumieć, co się dzieje. Zdecydować, jak i gdzie ma się dopasować. Aina nagle wybucho głośnym, perlistym śmiechem, jak tylko ona potrafi, odchylając głowę do tyłu.

Kattis patrzy na mnie wielkimi, czarnymi i pustymi oczami. Tamte znikają, rozmywają się w tej sali pełnej wrzawy i stapiają się z pijącą piwo publiką. Nagle robi się cicho. Widzę tylko jej bladą twarz i czarne oczy, chciałabym ją pocieszyć, stać przy niej, pomóc jej nieść to brzmie, które z jakiegoś powodu przypadło jej w udziale.

Kattis oblizuje cienkie, spękane wargi. Przymierza się do uśmiechu, ale wychodzi krzywy, sztywny.

– Będzie dobrze – mówię.

Znów się uśmiecha i nagle staje się piękna. Nieważne, że włosy opadają jej na ramiona w postaci tłustych strąków ani że ma przekrwione oczy. Jest piękna.

Kropka.

– Nie wiesz tego – mówi ochryple.

– Właśnie, że wiem – odpowiadam. W tej sekundzie naprawdę tak myślę. Intuicyjnie wiem, że Kattis zawsze da sobie radę. Zawsze przetrwa. Ona jest z tych, którzy potrafią w ciemności wypłynąć na powierzchnię i zawsze spadają na cztery łapy.

Których się kocha i którzy potrafią kochać.

Nie to co ja.

Migrena ściska mi głowę jak żelazna obręcz, pcha w dół, gdy przebiegam po tym, co było trawnikiem, a dziś przypomina błotniste bajorko, z którego tu i ówdzie wystają pojedyncze kępki trawy. Fale smagane wiatrem pienia się, rozbijając o skały, gdzie zostają po nich maziste kałuże szarej piany. Krople deszczu kłują w policzki jak igły.

Piąta godzina i już ciemno.

I po co, po co urządziliśmy łazienkę w osobnym budynku? Kto wpadł na ten pomysł?

Stefan. Jak zawsze.

Pomysł Stefana: dom nad morzem. Tylko my. Blisko przyrody. Blisko do nurkowania.

Pomysł Stefana: Jeśli łazienkę zrobimy w małym domku, to w dużym będzie miejsce na salon.

Gdzieś nad morza dobiega przeciągły, żaloszny krzyk, jak od umierającego zwierzęcia albo rannego ptaka. Na sekundę się zatrzymuję, ściskając szeleszczącą plastikową torebkę z apteki. Jej zawartość spoczywa lekko, podstępnie na mojej zmarzniętej dłoni i nic nie poradzę na myśl, która pojawia się w mojej głowie. Tylko nie to. Dziecko, które umarło, które zabiliśmy. Wiem, mówiąc poprawnie, ciąża została przedwcześnie zakończona. W dodatku z istotnych powodów. Poważne uszkodzenie płodu ucięło nasze ambicje stworzenia komórki rodzinnej.

A jednak.

Nagle mam wrażenie, jakbym się przeniosła w czasie i wróciła do dnia, gdy zrobiłam test ciążowy i tą samą drogą co dziś szłam podzielić się ze Stefanem radosną nowiną. Gdy moje wnętrze wypełniało ciepłe, jasne uczucie, które najlepiej dałoby się określić jako ufność. Do Stefana. A może ogólnie do życia.

Teraz natomiast całym ciałem czuję ssący niepokój. Jeśli w moim mrocznym wnętrzu rzeczywiście coś rośnie, nie wiem, jak to przyjąć. Nie jestem pewna, czy znów potrafię doświadczyć tamtej ufności.

W ciepłe małego domku siadam na sedesie, ściągam plastik z przedmiotu, który wygląda jak termometr, ale mierzy coś zupełnie innego.

Siusiam.

Patrzę w oczy Davidowi Bowie. Wyzywający jak zawsze stoi nonszalancko wychylony w tył, jego wężowate ciało wciśnięte w srebrny kombinezon. Buty na platformie. Rude włosy. Mocno umalowany.

Mruga do mnie porozumiewawczo, nabieram tchu i odczytuję wynik testu.

12 List św. Pawła do Efezjan, Biblia Gdańska.

13 Karolinska – jeden z największych szpitali uniwersyteckich w Europie.

**komenda policji,
Värdö**

—
paždziernik

Sonja Askenfeldt chowa papierosy do torebki i zastanawia się w cichości ducha, czy przypadkiem nie za długo jest policjantką. Ma przesłuchiwać małą dziewczynkę, która prawdopodobnie była świadkiem zamordowania swojej mamy, a tymczasem potrafi myśleć tylko o jednym, czy zdąży wpaść do Polarn O. Pyret¹⁴ i zrealizować kupon rabatowy przed upływem jego ważności. Dziesięć lat temu na myśl o takim przesłuchaniu od wielu dni bolały ją brzuch.

Wie, że później, gdy już zacznie przesłuchanie, będzie je przeżywać jak zwykle, ciężko jej będzie słuchać opowiadania dziecka, ale na razie wszystko jest jak zwykle.

Po prostu kolejny dzień w pracy.

Sonja wita się z biegłą psycholożką śledczo-sądową.

– Cześć, jestem Carin von Essen. Myśmy się już chyba kiedyś spotkały, prawda?

Sonja kiwa głową i uśmiecha się.

Pewnie, że tak. Carin z krzaczkiem w krzaczku. Poprzedniej wiosny poprowadziła wykład z techniki przesłuchania. Sonja pamięta ją również z firmowej imprezy rakowej zeszłego lata.

Tamtej imprezy.

Pamięta jednak zupełnie inną Carin, nie tę oficjalną, poważną kobietę, która stoi przed nią, tylko podpitą, rozchichotaną, przysadziłą czterdziestolatkę w papierowej czapeczce, za dużym dekoltem i pończochach z oczkami. Należała do tych, którzy najgłośniej śpiewali i tańczyli frywolne przytulanki. Potem plotkowano, że wysiusiała się pod krzaczkiem na podjeździe przed lokalem. Bardzo małym krzaczkiem. Tak małym, że nie zakrył najbardziej intymnych części jej ciała. I dlatego przylgnęła do niej ksywa Carin z krzaczkiem w krzaczku.

A teraz stoi przed nią inna Carin, starannie uczesane jasne włosy, biała koszulka polo zapięta pod szyję, czyściutka i matczyzna jak przedszkolanka. Jak większość psycholożek dziecięcych. To widocznie zaraźliwe.

Carin wita się z kolegą Sonji, Rogerem, który na tę okazję włożył buty kowbojskie i pasek z wielką mosiężną klamrą w kształcie orła. Roger rozjaśnia się na jej widok, a Sonja czuje przypływ irytacji i czegoś w rodzaju zawstydenia.

Wstydzi się Rogera? Chodzi o to idiotyczne przebranie? Może o jego żalodne zalecanki do Carin von Essen, których Sonja nie powinna widzieć?

Szybko dochodzi do wniosku, że to bez sensu. Przecież ona nie ma nic wspólnego ani z jego sposobem ubierania się, ani z jego seksistowskimi wypowiedziami, ani z szerokim, końskim uśmiechem.

Pracuje z nim od wielu lat. Roger jest raczej dobrym policjantem. Tyle że już przestał się przejmować. Zaangażowanie, które cechowało go dziesięć lat temu, wyparowało z niego jak woda z sadzawki; na dnie został jedynie osad mówiący, co było przedtem. Jest wydrenowany z emocji i energii. Została tylko cienka patyna empatii i czynnej postawy. Do pracy chodzi dlatego, że musi, bo trzeba spłacić kredyt, a zimą chciałby znów pojechać z żoną i bliźniętami na Teneryfę. Uczciwie rzecz biorąc, czy można mu robić z tego zarzut? W tym zawodzie pewnie nie ma nikogo, kto długo potrafi pozostać idealistą. Albo się ginie, albo... twardnieje. Człowiek uzbraja się w pancerz, który ma go chronić przed codzienną konfrontacją z rzeczywistością. Uczy się dowcipkować o śmierci, rzygowinach i ćpających nastolatkach. I jeszcze cenić takie żarty.

A jednak.

Jej rozdrażnienie bierze się stąd, że kolega przekroczył cienką linię oddzielającą rezygnację od zwykłego lenistwa. Sonja coraz częściej zostaje po godzinach, żeby za niego napisać raport, gdy w tym czasie powinna odebrać córki z zajęć pozaszkolnych albo sama pójść poćwiczyć czy choćby usiąść z książką i papierosem.

Mówi sobie, że niedługo musi odbyć rozmowę z Rogerem, powiedzieć mu, że nie ma już ochoty prostować jego ścieżek, jakby był jej trzecim dzieckiem, którego Sonja nie ma i nie chce mieć.

Carin wita się teraz z ojcem dziewczynki. Obecność rodziców podczas przesłuchania małych dzieci jest powszechnie przyjęta. Ojciec wydaje się zdenerwowany. Ma potargane włosy, zapuchnięte i zaczerwienione oczy, jakby dopiero co się obudził. Wytarty, wełniany sweter opina brzuch, który nie wróży nic dobrego.

– Dlaczego będziecie filmować przesłuchanie? – Sonja słyszy w jego pytaniu niepewność, może także niechęć.

– Zawsze filmujemy przesłuchania dzieci w wieku poniżej pięciu lat – cierpliwie tłumaczy Carin. – Dzięki temu nie będą musiały zeznawać w sądzie, gdzie wykorzystana zostanie nagranie. Proszę teraz pójść po Tilde i zaprowadzić ją do pokoju przesłuchań.

Mężczyzna kiwa głową, przesuując dłońią po podbródku, nie wygląda na przekonanego.

– Ale mnie nie wolno być tam razem z nią?

– Nie, jak już wyjaśniałam panu wczoraj, w środku będzie tylko córka i osoba prowadząca przesłuchanie. Chodzi o to, aby dziecko mogło się skupić i samo odpowiadać na pytania. Rodzice często chcą pomóc dziecku wysławić się, a wtedy zachodzi ryzyko, że wpłynie to na treść odpowiedzi. Zaczeka pan tutaj z... Rogerem i...?

– Sonja – wtrąca Sonja. – Zajmiemy się panem. Zresztą przez szybę będzie pan mógł obserwować przesłuchanie i słyszeć każde słowo. Gdyby w którymś momencie małej było ciężko, po prostu zrobimy przerwę. Dobrze?

– Dobrze – odpowiada niepewnie, odwraca się i idzie po Tilde.

– A więc zaczynamy – mówi Carin z krzaczkiem w krzaczku i bezgłośnym krokiem wychodzi z pokoju.

Sonja rozmyśla nad tym, co usłyszała od Rogera, który wcześniej omawiał przesłuchanie z Carin. Opowiadała mu o problemach z przesłuchaniem dziecka, które ma się czuć bezpiecznie, a zadawane mu pytania muszą być proste, otwarte i zrozumiałe, ponieważ dziecko ma ograniczony zasób słów. Tilde, która właśnie skończyła pięć lat, prawdopodobnie zna tysiąc do tysiąca pięciuset słów. Poza tym dopiero u dziecka pięcioletniego rozwija się pamięć semantyczna, powiązana z językiem i procesem kojarzenia faktów. Wcześniej dziecko w bardzo ograniczonym stopniu zapamiętuje pojęcia abstrakcyjne. Pamięta, co się zdarzyło, zwłaszcza jeśli uczestniczyło w traumatycznym wydarzeniu, ale nie potrafi wyrazić tego słowami. Dzieci poniżej trzech lat w ogóle się nie przesłuchuje, ponieważ wartość dowodowa informacji uzyskanych tą drogą jest znikoma.

Tilde i Carin siedzą przy stole. Sonja widzi, że pokój przesłuchań zmienił się nie do poznania. Biegła psychologka przyniosła poduszki, kwiatki i arkusze papieru oraz książki, aby stworzyć przyjemny nastrój.

Dziewczynka siedzi bez ruchu. Brązowe włosy ma związane w luźny ogonek, dzinsowa sukieneczka wisi na chudym ciałku jak worek. Po chwili zaczyna machać nogami, które nie mają szans, by dosięgnąć podłogi.

– Tilde, nazywam się Carin von Essen i jestem policjantką. Czy wiesz, co robi policjant? Mała powoli kiwa głową, ale nic nie mówi.

– Łapię ludzi, którzy robią złe rzeczy. Na przykład takich, którzy biją albo kradną.

Chciałabym z tobą porozmawiać o tym, co się stało z twoją mamą.

Tilde znów kiwa głową, jakby rzeczywiście zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji. Carin uśmiecha się lekko i mówi dalej:

– Świetnie. Zrobimy tak. Zadam ci kilka pytań o to, co się stało, i chciałabym, żebyś na nie odpowiedziała. Jeśli nie będziesz wiedziała, powiedz „nie wiem”. Rozumiesz?

– Tak.

Głosik Tilde brzmi ledwo słyszalnie, mimo to Sonja czuje, jak włosy jeżą jej się na karku. Przestępstwa, w które zamieszane są dzieci, mają w sobie coś szczególnego. Po tylu latach pracy w policji jest to właściwie jedyna rzecz, która naprawdę porusza ją do głębi. Są rzeczy, których dzieci nie powinny przeżywać ani oglądać. Bywały sytuacje, że wolałyby zamienić się z nimi miejscami.

Przyjrzyj się obrazkom, pokaż na lalce, gdzie cię dotykał niedobry pan, pokaż, który chłopiec na obrazku wydłubał oko twojemu braciszкови, opowiedz o dniu, gdy twoja mama została przejechana przez pociąg.

– Więc jeśli na przykład spytam: Jakiego koloru jest mój kot? Co wtedy odpowiesz?

Tilde waha się kilka sekund, skubiąc sukienkę, zastanawia się.

– Nie wiem?

– No właśnie. Bo ty przecież nie widziałas mojego kota, prawda?

– Nie widziałam – potwierdza dziewczynka i patrzy w dół.

– Dobrze, czyli wiesz, jak to będzie wyglądało. Jeśli powiem coś, czego nie zrozumiesz, to masz zapytać. Okej?

– Tak – mówi Tilde cichutko, prawie szeptem.

– Tilde, co się stało twojej mamie?

Dziewczynka milczy, namyśla się i kiedy zaczyna opowiadać, jej głos nagle brzmi mocno, jasno. Wcale nie cichutko i piskliwie jak przedtem.

– Pan pobił mamę.

– A jak on wszedł do mieszkania, Tilde?

– Przez drzwi.

– Przez które?

– Drzwi na dwór.

– Przez drzwi wejściowe?

– Tak, najpierw okropnie walił w drzwi, więc mama musiała otworzyć. Nie wolno tak walić w drzwi, bo wtedy robi się hałas.

– I co było potem?

– Pan bił mamę.

– Widziałas to?

Tilde nie odpowiada, ale z poważną miną przytakuje.

– Możesz opowiedzieć, co robił?

– Pan bił mamę.

– W jaki sposób?

– Bił i kopał, i kopał, i kopał.

Przerwa. Carin przesuwa palcami po rękawach, jakby zmarzła.

– I co się stało?

– Mama upadła i leciało jej dużo krwi, i dywan się pobrudził, nie wolno brudzić dywanu. Ale był pobrudzony, a on i tak nie przestawał. Chociaż było brudno i mama się przewróciła. A on nic, tylko kopał i kopał. I nie przestawał. Chociaż... mama... chociaż... Tak nie wolno robić.

Tilde mówi teraz bardzo głośno, zaciska pięstki na kolanach. Przestała machać nóżkami, siedzi nieruchomo, sztywna jak patyk. Włosy jej się rozwiązały i opadają miękko na chudziutkie ramionka.

– Tilde, a co się potem stało?

Głos Carin jest spokojny, na pozór obojętny. Nagle mała zsuwa się ze swego krzesła, staje na podłodze koło stołu, rękoma zakrywa uszy i krzyczy wprost przed siebie:

– Nie mówić więcej, nie mówić więcej, nie mówić więcej.

Carin podchodzi do niej, kładzie jej rękę na ramieniu i czeka, aż dziewczynka się uspokoi. Potem ujmuje jej rączki w swoje dłonie i przykuca, by jej oczy znalazły się na tej samej wysokości co oczy Tilde.

– Może byśmy razem porysowały? Potem porozmawiamy jeszcze o twojej mamie.

Tilde kiwa głową. Siadają znów przy stole. Carin wyjmuje kredki i papier.

– Narysować ci mój dom?

Mała kiwa głową.

– Okej, to dość mały dom. O, taki. – Carin płynnymi ruchami rysuje coś na papierze.

– A gdzie kot?

Carin się śmieje.

– Pamiętasz, że ma być kot? Oczywiście, nie zapominajmy o Adolfie. – Teraz Carin rysuje coś małego, sięga po pomarańczową kredkę i wypełnia nią kontur. – O, tak wygląda. Jest jeszcze drzewo. Tylko jedno, bo mój ogródek jest maciupęńki, ale drzewo jest dobre, bo co roku rodzi mnóstwo jabłek. Można się na nie również wspinać, bo ma wspaniałe gałęzie do wspinaczki.

– U mojej mamy nie ma ogrodu.

Jej głos znów brzmi spokojnie.

– Rzeczywiście, nie wszystkie domy mają ogród. Ale może jest coś innego fajnego?

– Mamy wielki telewizor. Wisi na ścianie i jest prawie płaski, jak naleśnik.

– Ojej, to świetnie. Pamiętasz, co robiłaś tamtego wieczoru, zanim ktoś zaczął walić do drzwi?

Tilde znów patrzy w dół, zaciska piąstki i kręci się. Powoli macha nogami.

– Ja... nie pamiętam.

– W porządku. Tak masz mówić, gdy czegoś nie wiesz. Czy pamiętasz, jak wyglądał ten pan, który bił mamę?

– Nie wiem.

– Znasz albo widziałaś już tego pana?

Dziewczynka znów się kręci, jakby pytanie sprawiło jej przykrość.

– Nie wiem.

– Ten pan coś mówił?

– Pan i mama krzyczeli.

– A pamiętasz co?

Chwila zastanowienia.

– Okropnie dużo krzyczeli.

– Słyszałaś, co wtedy mówili?

– Nie wiem.

– Okej, bardzo dobrze, Tilde. Jesteś bardzo dzielna. Słyszałaś już głos tego pana?

– Nie wiem.

– Ale wydaje ci się, że to był pan, nie pani ani dziewczyna?

– On był... czarodziejem.

– A skąd wiesz, że był czarodziejem?

Dziewczynka znów milczy, jest poważna, bez słowa przypatruje się Carin.

– Tilde, dlaczego myślisz, że on był czarodziejem?

– Bo wziął pieniądze.

– Co takiego wziął?

– Pieniązek.

Cisza.

– Wziął pieniądze?

– Tak.

Carin rzuca szybkie spojrzenie przez szybę.

– Czy to było przedtem, czy po tym, jak pobił mamę?

– Najpierw bił mamę, potem to zrobił.

– Najpierw zbił mamę, a potem wziął pieniądze?

– Tak.

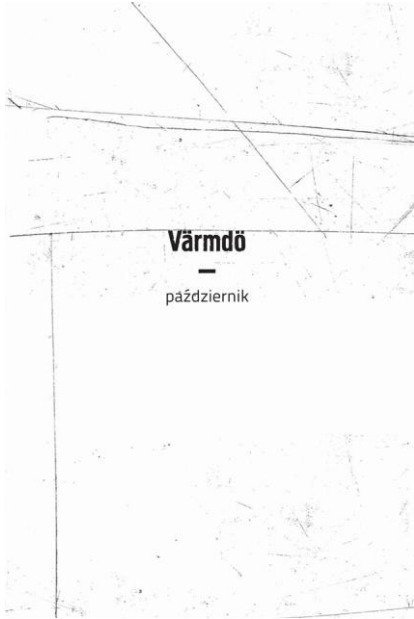
Sonja wydaje z siebie westchnienie. Nie przypuszczałyby, że chodzi o morderstwo na tle rabunkowym. Za dużo przemocy jak na rabunek. Bardzo smutne, jeśli rzeczywiście tak było. Samotna matka skopana na śmierć w obecności własnego dziecka, bo jakiś ćpun potrzebował na działkę. W sumie całkiem prawdopodobne, ciągle się to zdarza.

Roger nachyla się do Sonji i szepcze przez zęby:

– Nieźle. Krzaczek urósł w moich oczach.

Sonja wbrew sobie uśmiecha się, czuje przyływ czułości dla swego nieznośnego, leniwego i seksistowskiego kolegi. Szturcha go przyjaźnie w bok i niespokojnie zerka na ojca Tilde, czy zarejestrował ich niestosowny żart, ale mężczyzna jak zahipnotyzowany patrzy w szybę oddzielającą go od pokoju przesłuchań, strużki potu spływają mu ze skroni.

14 Polarn O. Pyret – szwedzka firma szyjąca konfekcję dla mam i dzieci, działająca w dziesięciu krajach.



Sobota. Dzień jest idealny.

Długi spacer brzegiem morza, które próbuje doskoczyć do naszych stóp.

Grube czapki. Rękawice. Pod kurtkami wełniane swetry. Niebo szare, ciężkie jak beton.

Czarne ptaki krążą nam nad głowami, jakbyśmy byli zapowiedzią posiłku.

Potem siedzimy na mojej kanapie, popijając gorącą czekoladę. W kącie pokoju na kominku trzaska ogień, w radiu mówią o powodzi, kawałek E1815 po prostu odpłynął jak barka z dwoma samochodami na pokładzie. Obaj kierowcy zginęli. Jedna pasażerka ocalała, wydostała się przez rozbitą szybę i wdrapała na dach kiosku z kiełbaskami. W 2004 roku wyszła cało z tsunami w Tajlandii, ale – jak powiedziała piskliwym ze zdenerwowania głosem – teraz było jeszcze gorzej. Jej mąż Rune nie wypłynął. Pokonała raka i ocalała z tsunami, aby po czterdziestu latach małżeństwa stracić miłość swego życia w grząskim błocie na E18.

Patrzę na siedzącego naprzeciw mnie Markusa. Jest w dżinsach i bluzie z kapturem, twarz ma gładką jak u dziecka. W jasnych oczach dostrzegam niepokój. Zastanawiam się, czy zdobędę się na to, by dopuścić go blisko, narażając na zranienie.

Jak ta kobieta w radiu.

– Wszystko w porządku? – pyta z charakterystycznym norrländzkim zaśpiewem, a ja kładę stopy na jego kolanach.

– No pewnie.

– Wolałbym, żebyś się nie zajmowała takimi rzeczami.

– Jakimi?

– Przemocą i podobnymi gównami. Tym, czym ja się ciągle zajmuję.

– I co miałabym według ciebie robić? Zajmować się jedynie arachnofobią i zakupoholizmem? Te kobiety naprawdę potrzebują pomocy. Obie z Ainą robimy coś istotnego, a Vijay, Boże, on wręcz poświęca temu całe swoje życie.

– Ale ten gość sprawia wrażenie ponadprzeciętnie zaburzonego.

– Masz na myśli przeciętnego faceta czy przeciętnego przemocowca?

Urażony odsuwa moje stopy.

– Bardzo śmieszne.

Chichoczę, wypijam łyk czekolady i nachylam się nad nim. Całuję jego miękkie usta, przesuвам językiem po wargach.

– Boczysz się na mnie?

Markus mięknie, obejmuje mnie w pasie.

– Nie boczę, tylko martwię się o ciebie.

– Nie chcę, żebyś się o mnie martwił. Ani nikt. Mam tego powyżej uszu.

– Wiem, ale tym razem chyba mam powód. Rozmawiałem z babką, która prowadzi wstępne dochodzenie w sprawie tego obrzydliwego morderstwa w Gustavsbergu. Absolutnie wyjątkowe. Chodzi o skalę przemocy, której użył. Facet tak ją skopał, że twarz... jakby odpadła i leżała obok. Wyobrazasz sobie? I to wszystko przy dziecku.

Robi mi się nieprzyjemnie. Kolejny łyk gorącej czekolady.

– Mała coś widziała?

– Nie wiem, mieli ją wczoraj przesłuchać.

– Vijay mówi, że nie da się przesłuchać tak małego dziecka.

Markus wzrusza ramionami.

– Naprawdę nie wiem. Na pewno skorzystają z pomocy biegłego psychologa.

– Zatrzymaliście go? Jej partnera.

– Nie, nie można nikogo zatrzymywać tak sobie, nie ma pewności, że to on.

– Oczywiście, że on. Zawsze tak jest.

– Nie, prawie zawsze.

– Wszystko jedno.

– Ale nie w sensie prawnym.

– Jak możesz tak mówić? Facet skopał kobietę na śmierć na oczach dziecka, a ty jeszcze...

– Siri, o co chodzi? Od kiedy ta sprawa ma dla ciebie charakter tak osobisty? – Markus

patrzy na mnie ze zdumieniem.

Nagle robi mi się niedobrze, filiżanka prawie wypada mi z ręki na kanapę, gdy zrywam się i biegnę do przedpokoju. Ledwo zdążam otworzyć liche drewniane drzwi, wymiotuję na schodkach przed domem. Zimne powietrze przenika cienkie ubranie i studzi mdłości. Oddycham ciężko.

W tym momencie czuję jego dłoń na ramieniu.

– Siri, co się dzieje? Chora jesteś?

Opieram czoło o zimną fasadę domu i czuję, jak szron się topi od mojego ciepła.

– Myślę... to od gadania o tym morderstwie. Możemy porozmawiać o czymś innym?

Markus nie odpowiada, tylko prowadzi mnie delikatnie z powrotem do wnętrza domu.

Odgłosy nocy za oknem naszej sypialni: wiatr pędzący nad szkierami, skrobanie gałązek o fasadę, deszcz bębniący o dach z eternitu. W pokoju unosi się jeszcze zapach dymu z kominka.

Markus podnosi mnie i sadza na sobie, pieści moje piersi. Przesuwa ręce na biodra. Potem gładzi mnie swymi szerokimi dłońmi po brzuchu i pupie.

– Czyżbyś trochę przytyła?

Mówi to lekko złośliwym tonem.

Odsuwam się, wycofuję na drugą stronę łóżka i chowam głębo pod kołdrą, jakby można było ukryć prawdę.

Której nie da się wypowiedzieć.

Wiem, że muszę to zrobić, ale nie znajduję odpowiednich słów. Jak powiedzieć coś takiego?

Chcę twojego dziecka, ale nie ciebie.

Poranek czarny jak noc.

Jest bezwietrznie.

Gdy po omacku wytaczam się z domu i zmierzam do małego domku, ubrana jedynie w wielką puchową kurtkę Markusa i gumowe kalosze, panuje absolutna cisza. W nocy temperatura musiała spaść poniżej zera, bo kałuże pokrywa milimetrowa warstewka lodu, która pęka jak cienkie szkło, gdy człapię przed siebie, nie zważając na cud natury, jakim jest krucha, mlecznobiała osłonka, którą mróz pokrył ziemię.

Tak mnie mdli, że czuję to całą sobą, aż po czubki palców.

Ale dziś udaje mi się zdążyć. Klękam i wymiotuję żółcią do sedesu w małym domku.

– Wychodziłaś? – szepcze zaspany Markus, kiedy wracam do ciepłego łóżka i wsuwam stopy zmarznięte na lód między jego mocne nogi.

– Mhm. Robiłam siku.

Przyciąga mnie do siebie, czuję jego suche ciepło, takie w sam raz. Od początku fascynowało mnie jego ciało, umięśnione, pokryte suchą, miękką skórą, i jego ręce, które dokładnie wiedzą, jak mnie dotykać, gdzie i jak mocno.

Markus gładzi mnie po brzuchu, całuje w kark.

– Naprawdę przytyłaś.

Mówi to ochryple, jakby nie był do końca rozbudzony. Delikatnie odsuwam się na drugą stronę łóżka, na ile to możliwe, bo to cholerne łóżko jest beznadziejnie wąskie. Mam nadzieję, że jeszcze przyśnie, i wpatruję się w czerń za oknem. Ranek nie jest żadnym rankiem, tylko głuchą, zimną ciemnością otaczającą mój dom.

Wrażenie, że jesteśmy sami na świecie. Nie ma przyjaciół. Nie ma pacjentów. Rodziny też. Tylko ja i Markus, moje łóżko stanowi centrum wszechświata.

Czy to dobrze, czy źle?

Słyszę, że unosi się na łokciu. Znów się przysuwa. Budzi do życia.

Czuję, o co spyta, zanim jeszcze otwiera usta.

– Siri, czy jest coś, o czym... powinnaś mi powiedzieć?

I co mam na to odpowiedzieć? Prawdę?

– Już wiesz? – mówię głosem cieniutkim, bardziej kruchym od tego lodu przed domem.

– Czy to prawda? – Markus po omacku szuka w ciemności mojej ręki, a potem ścisną mocno, mocno. – Czy to prawda?

Mówi to z takim zapalem jak dziecko, gdy dostanie prezent, który zaraz trzeba otworzyć, obejrzeć i wypróbować.

Nie ma sensu odkładać tego, co nieuniknione.

– Tak, jestem w ciąży. Bardzo chcę urodzić to dziecko, ale... chcę... mieszkać sama.

– Co? Co ty mówisz? Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć. Jak to sama?

– Chcę mieszkać sama. Tu, w tym domu. Czego nie rozumiesz?

– A ja? Przecież mam... zostać ojcem. Nie rozumiem. Gdzie w tym miejsce dla mnie?

Dla ciebie nie ma w tym miejsca.

Wzdycham.

– Nie wiem. Czuję się rozdarta. Nie wiem, czy jestem gotowa, żeby z tobą zamieszkać.

– Czyżby? Ale jesteś gotowa wydać na świat dziecko? Bez ojca?

Jest zdenerwowany. Nic dziwnego, zdaję sobie sprawę, że wychodzę w jego oczach na ostatnią świnię.

– Przecież to nie tak, że nie będzie miało ojca. Będziesz gdzieś i...

– Niby GDZIE?! – krzyczy Markus, wyskakując z łóżka. – Powiedz, ale dokładnie, GDZIE? Jak wyobrażasz sobie rolę, którą pozwolisz mi grać w twoim życiu? W życiu mojego dziecka?

– Proszę, nie złość się tak. Nie wiem. Nic na to nie poradzę. Nie o to chodzi, że cię nie kocham. Ja tylko nie chcę... nie potrafię... no wiesz. Mieszkać z kimś.

– Siri, mam dość nieustannego pochylania się nad twoimi obsesjami. Nie możesz mieszkać ze mną. Nie możesz spotykać się z moją rodziną. Nie chcę mieć z tobą dziecka, jeśli nie pozwolisz mi uczestniczyć. Na moich warunkach.

– Tylko że to nie od ciebie zależy, prawda?

Pod każdym względem niepotrzebna uwaga. Musiałam go nokautować? Uzmysłować mu jego bezsilność wobec decyzji, którą podjęłam na własną rękę?

Markus ubiera się zaskakująco spokojnie. Sięga po plecak i wychodzi do przedpokoju. Słyszę, jak wkłada kurtkę i buty, otwiera i zamyka drzwi. Potem jego oddalające się kroki i odgłos jakby kruszącego się szkła, gdy delikatny lód przed domem łamie się pod jego stopami. Myślę, że może łamie się nie tylko lód.

Mój gabinet. Jasny, ale niezbyt przytulny. Można powiedzieć bezosobowy. I według mnie taki powinien być. Moi pacjenci przychodzą do terapeutki Siri, nie do znajomej, która gustuje w pelargonjach, kilimach albo fotografii artystycznej. Przychodzą do zawodowca, do osoby, przed którą mogą się wygadać, uwalniając od lęków i bez obowiązku odwzajemnienia przysługi.

Na fotelach pokrytych szarym owczym runem Mia i Patrik. Dziś ja usiadłam na krześle; doszłam do wniosku, że nie wytrzymam, jeśli będzie miała na nim siedzieć Mia, bo Patrik znów zajmie fotel.

Oboje wyglądają na wyczerpanych, wypranych z energii. W zimnym świetle lampy błada zwykle twarz Patrika pobłyskuje odcieniami bieli i zieleni. Wśród ciemnego zarostu lśnią kropelki wody. Mia wygląda, jakby wyszła prosto z łóżka: nieforemny dres, wokół nalanej, bladej twarzy kosmyki nieumytych, przetłuszczonych włosów. Nad prawym uchem dziwny wicherek, jakby długo spała na boku i się nie uczesała.

– Nie jest dobrze. Nawet bardzo niedobrze.

Patrik kręci głową, ale smutno. Znikła gdzieś cała złość, która biła od niego podczas poprzednich spotkań.

– Opowiesz o tym?

– Sam nie wiem – mówi z ociąganiem Patrik. – Nie wiem, czy to się w ogóle uda.

Znów milknie i patrzy na mnie nieprzeniknionym wzrokiem, mocno zacisnął szczęki, jak w skurczu.

– Mia, a ty? W jakim punkcie jesteś?

– Jak to?

Jest zdezorientowana, patrzę jej w oczy i odnoszę wrażenie, jakbym spoglądała w mgłę; widać tylko wilgotną, bezkształtną i zawoalowaną pustkę, bezkresną nicłość.

– Pytam, jak się dziś czujesz?

Na chwilę zapada cisza.

– Dziękuję, dobrze.

Wypowiada to powoli i mechanicznie.

– Na pewno? Jeśli dobrze rozumiem Patrika, on nie wierzy, że wam się uda.

Mia nie odpowiada, patrzy w okno, ale dziś, w odróżnieniu od poprzednich sesji, siedzi spokojnie. Nieruchomo. Nie ma drżenia w kącikach ust ani kropelek potu na czole. Jest nieruchoma jak moje fotele. Chrząkam.

– Mia... wiem, że byłaś w złej formie psychicznej, ale postaraj się powiedzieć, co czujesz, jeśli terapia ma przynieść jakiś skutek. Inaczej do niczego nie dojdziemy, nie będę mogła wam pomóc. Nie zrobię tego za ciebie, jeśli tak się będziesz zamykać. Rozumiesz?

– Tak... oczywiście.

Kiwa głową i tak samo pustym wzrokiem nadal patrzy w okno.

– Więc jak się czujesz?

– Dobrze... Naprawdę, już dobrze.

Mia mówi powoli, dobitnie, jakby czytała bardzo małemu dziecku. Starannie wymawia każdą zgłoskę.

– Lepiej niż poprzednim razem?

– Oczywiście.

Milknie, ja czekam na ciąg dalszy. Bez skutku.

– A co jest lepiej?

– Uważam, że jest dobrze, i już.

Ten sam pewny głos, ta sama mimika pozbawiona emocji. To samo puste spojrzenie i błada twarz. Nagle z drugiego fotela słyszę przeciągły szloch. Patrik, zgiąwszy wpół swoją długą, chudą postać, chowa twarz w dłoniach. Kurczowo przesuwając palcami po głowie i cały dży.

– Mia! – wyje. W jego głosie słychać desperację. – Kurwa, przecież ja naprawdę chcę, żeby było dobrze. Wiem, że mówiłem okropne rzeczy, że cię zawiodłem, zrzuciłem na ciebie odpowiedzialność za dzieci. Ale teraz nie da się nawet... porozmawiać z tobą. Jakbyś się wylogowała. Kurwa, nie wiem, gdzie ty jesteś. Rozumiesz?

– Proszę. – Nie patrząc, podsuwam mu pudełko kleeneksów, ale Patrik nie widzi, nie słyszy.

– Co jest ze mną nie tak? Dlaczego się przede mną zamknęłaś? Czemu to musi być takie trudne?

Patrzę znów na Mię, która nadal siedzi w tej samej pozycji ze wzrokiem skierowanym za okno, gdzie już jest ciemno. Nagle, z kamienną miną, kładzie ciężką dłoń na jego rękę. Ten mechaniczny gest ma w sobie coś szalonego i przerażającego. Jej dłoń leży nieruchomo jak kawał mięsa. Patrik ściska ją mocno.

– Mia, zacznijmy wszystko od nowa. Obiecuję, będzie lepiej. Będę ci... pomagał. Słowo.

Mia niezdarnie klepie go po owłosionym grzbiecie dłoni i odpowiada jak gdyby nigdy nic:

– No pewnie, że zaczniemy.

Siedzimy z kieliszkiem wina na gładkich skałkach nad wodą. Jest zimno, ale bezwietrznie, chociaż niebo nad naszymi głowami poszarzało złowieszczo, a na horyzoncie mającą czarne chmury. Oprócz tego, że mamy na sobie grube swetry, kurtki i porządne buty, to jeszcze owinęliśmy się pledami.

Tak sobie siedzimy, milczymy i patrzymy na morze.

Markus trzyma kieliszek. Lekko go obraca, jakby miał degustować wino. Rzadko pije, ale domyślam się, że dziś tego potrzebuje, wyobrażam sobie, że chce się podeprzeć kieliszkiem jak kulą. Chrząka i ostrożnie odstawia go w rowek skalny wypełniony zbrązowiałym igliwem.

Patrzę w czarną wodę, widzę dawno pożółkłe liście, których kupki zalegają wzdłuż skalnego brzegu, śliskie wodorosty prześwitują zjadliwą zielenią pod lśniąca czernią wody, wyobrażam sobie wędrówki ryb pod powierzchnią, w zimnej, ciemnej i bezkresnej przestrzeni.

Stefan, pośród tego zimna. Jego głowa na poduszce splątanych wodorostów. Ciekawskie stworzenia morskie badające blade, miękkie ciało. Czułkami, przyssawkami, może jeszcze czymś?

Może go próbują?

Dość. Wystarczy.

Stefan, stale obecny. Mimo upływu czasu, który leczy wszystkie rany.

Jestem psychologiem, mam pomagać ludziom w odzyskaniu kontroli nad własnym życiem, ale sama nie potrafię zostawić za sobą przeszłości. Aina mówi, że to bardzo ludzkie. „Jesteś taka sama jak inni. Niedoskonała. Słaba. Nieporadna”.

– Muszę cię o coś spytać – mówi Markus, patrząc na mnie swoimi błękitnymi oczami. – Długo się nad tym zastanawiałem.

Przygląda mi się z miną wyrażającą zadziwienie pomieszane z powątpiewaniem i... obrzydzeniem. Jakbym była właśnie odkrytym przez niego nowym rodzajem owada wijącego się na powierzchni wody.

– Słucham – mówię ochrypłym głosem, bezsilna od poczucia winy.

– Czy ty mnie kiedykolwiek kochałaś? Tak naprawdę?

– Dziwne pytanie. Przecież wiesz, że cię kocham. I dlaczego mówisz w czasie przeszłym?

Markus marszczy brwi. Nie wierzy mi.

– Tak tylko mówisz.

Urywa.

– Ale...

– Co takiego?

– Zastanawiam się, czy ty w ogóle wiesz, co to miłość.

Zaczynam się kręcić. Nie podoba mi się ta rozmowa, ale ze względu na niego nie przerywam jej.

– O co ci chodzi? Jak to, nie wiem, co to miłość.

– O to. Jeśli kochasz mnie naprawdę, tak jak ja ciebie, to nie możesz zrobić mi czegoś takiego. Odebrać mi mojego dziecka i...

– Przestań. Przecież ja nie chcę ci odbierać żadnego dziecka. Jest tak samo twoje, jak i moje. Tylko że chcę mieszkać sama. Jak teraz. Jak dotąd. To wszystko.

Markus skręca frędzle pledu i robi to tak mocno, że palce mu bieleją.

– Nie zrobiłabyś mi czegoś takiego, gdybyś mnie kochała. Tak jak ja ciebie.

– Aha, więc widocznie kocham cię inaczej. Na mój sposób. Nie wolno mi? Dlaczego twój sposób miałby być tym jedynym właściwym? I dlaczego nie może być tak jak dotąd? Nie moglibyśmy po prostu nadal...

– No co? Życ w zawieszaniu? Być parą i zarazem dwojgiem singli? Mieszkać razem i osobno jednocześnie? Być wszystkim naraz, a w ostateczności niczym? Trzeba się na coś zdecydować, Siri. Brak decyzji to też decyzja.

– No to już – mówię.

– Jakie już? – pyta Markus.

– Już się zdecydowałam.

Widać po nim, że zaraz wybuchnie, ma kurczowo zaciśnięte szczęki i rumieniec, który

rozprzestrzenia się po zazwyczaj bladej skórze. Widzę, jak wstaje, sztywno, ale zachowując całkowitą kontrolę nad ruchami.

– Jesteś *kompletnie nienormalna!* Nienawidzę cię. Wolałbym cię nie poznać. Zniszczyłaś mi życie. Rozumiesz? Rozumiesz?

Jego słowa są jak cios w splot słoneczny, nie mogę złapać tchu, robi mi się niedobrze. Odruchowo się od niego odwracam. Ku morzu. Jest spokojne, nieskończone, nie stawia żadnych warunków. Wita mnie. Napętnia swoistym spokojem.

– Jesteś zupełnie... otępiała. Czy ty w ogóle masz jakiegokolwiek uczucia?! – wrzeszczy mi do ucha.

Zwijam się w kłębek jak dziecko, które chce uniknąć uderzenia. Jednak cios nie pada. Kątem oka widzę, jak Markus zrzuca kraciasty pled, który trzepocze jak liść w lekkim podmuchu wiatru, potem opada na ciemną powierzchnię wody, lekko się na niej kołysze i zaczyna tonąć.

Wypis z protokołu szkolnej grupy wsparcia szkoły podstawowej i gimnazjum w Älvängen

W klasie V B ciąg dalszy kłopotów z uczniem, o którym wychowawca Morgan Söderberg mówił podczas poprzedniego zebrania. Chłopiec nadal ma dużo nieobecności, a jeśli już przyjdzie do szkoły, chodzi najczęściej w pojedynkę. Zachowuje się agresywnie, gdy nauczyciel stawia mu wymagania, i nie słucha poleceń. Ze względu na wysoką absencję trudno ocenić jego wiedzę. Ma udokumentowane kłopoty z czytaniem i pisaniem. W zeszłym tygodniu wdał się w bójkę z dwoma chłopcami, jeden z nich doznał tak ciężkiego urazu twarzy, że trafił do szpitala. Szkoła skontaktowała się z rodzicami ucznia; utrzymują, że obaj chłopcy od dłuższego czasu prześladowali ich syna, a bójka została spowodowana tym, że w obecności kilku dziewczynek z klasy ściągnęli mu spodnie i majtki. Pobici zdecydowanie zaprzeczają. Rodzice żądają, aby szkoła zajęła się problemem mobbingu. Żaden z nauczycieli nie potwierdza, aby problem występował w szkole. Uważają chłopca za samotnika, niemniej decydujemy o powołaniu zespołu antymobbingowego, który wyjaśni, co się stało. Rodzicom ucznia doradzamy skontaktowanie się z poradnią psychiatryczną dla dzieci i młodzieży.

Protokołowała

Siv Hallin, pedagog szkolny

Poradnia jest pogrążona w ciemnościach.

Okna lśnią czernią.

Widać w nich odbicie pomieszczenia, w którym się znajdujemy. Perspektywa jest odwrócona, widzę krzesła stojące dookoła owalnego stołu konferencyjnego i sylwetki siedzących na nich. Panuje cisza. Żadnych rozmów, śmiechów. Jakby cała sala wstrzymała oddech w oczekiwaniu na stosowny moment. Zamykam oczy i zbieram siły, by poprowadzić kolejną sesję. Słyszę, jak Aina chrząka, kieruję na nią wzrok.

– Pewnie po tym, co się stało w zeszłym tygodniu, macie wiele przemyśleń. Przemoc w bliskim otoczeniu to straszne przeżycie. Dobrze, że spotkałyśmy się wtedy w Pelikanie, żeby porozmawiać. Hillevi, wielka szkoda, że nie mogłaś być z nami.

Aina jest spokojna, opanowana. W obszernym swetrze i wytartych dżinsach wygląda jak dziewczynka, która przebrała się w ciuchy taty, ale kiedy się odzywa, jej autorytet jest tak oczywisty, że napięcie w sali natychmiast opada. Czuję dla niej wielką wdzięczność; za jej ufność i przewidywalność. Umiejętność zapanowania nad sytuacją.

– Aino, przepraszam, że ci przerywam, ale myślałam o czymś i po prostu muszę to powiedzieć. – Kattis ma lekko zaróżowione policzki i gestykuluje, jakby chciała dodać wagi swoim słowom. – Naprawdę nie rozumiem. Henrik zabił tę... Susanne, a policja nic nie robi. Dlaczego go nie łapią, nie wsadzą do aresztu? To nie do pojęcia – mówi zamierającym głosem, który przechodzi w ochryply szept.

– A skąd wiesz, że policja nic nie robi? – Malin patrzy na nią uważnie.

– Skąd wiem? Choćby stąd, że umiem czytać. To oczywiste, że dotychczas nikogo nie zatrzymali, bo byłoby w gazecie. – Kattis macha przyniesionym egzemplarzem „Metra”. – Poza tym wczoraj widziałam Henrika w spożywczaku w centrum Gustavsbergu. Kupował klopsiki jakby nigdy nic. Nie rozumiem, jak to możliwe – mówi z przygnębieniem i rozgląda się po nas, jakby oczekiwała poparcia, a może tylko współczucia. Szuka mojego spojrzenia, staram się nim wyrazić, że jestem po jej stronie, co nie jest trudne, bo mnie również to oburza.

– A może spotkało ją to, na co zasłużyła? – mówi pod nosem Malin.

Zapada cisza, próbujemy przetrwać, co powiedziała.

Kattis patrzy w oczy Malin, w jej spojrzeniu pojawia się przeblysł niedowierzania, zdumienia, może nawet odrazy. Sirkka otworzyła usta, jakby miała coś powiedzieć, ale nie wydobywa się z nich żadne słowo.

– Co ty opowiadasz? – szepcze Aina, wyraźnie wytrącona z równowagi; pierwszy raz ją widzę taką w sytuacji zawodowej. Aina, zawsze taka opanowana, znająca odpowiedź na każde pytanie, wiedząca instynktownie, jak radzić sobie z każdym kłopotem.

– Nieważne, przepraszam – mamrocze Malin.

Żadna z nas nie jest w stanie nic powiedzieć.

– Mówię, że nieważne. Źle się wyraziłam. Zrobiłam głupią uwagę, i tyle. Możemy o tym zapomnieć? – W obronnym geście krzyżuje ramiona na piersi.

Aina patrzy na mnie pytająco, jestem bezradna, zupełnie nie wiem, jak się do tego odnieść.

– Wiem, że macie rację, na pewno policja zajmuje się tą sprawą, ale cholernie to przeżywam i tak się boję... – Kattis zacina się, powoli kręci głową.

Siedząca obok Hillevi pochyła się do niej.

– Wszystko się ułoży. Zobaczysz. – Miętko uśmiecha się do Kattis, potem rzuca szybkie spojrzenie na Malin.

Wydaje mi się, że jest w nim coś mrocznego i pytającego jednocześnie. Ale jej łagodny głos brzmi tak pewnie i spokojnie, że jej wierzę. Może wszystko będzie dobrze. Może uwaga Malin wynikała z jakiegoś nieporozumienia, może Henrika dziś aresztują i znów pocujemy się bezpieczne, silne i szczęśliwe.

Może to naprawdę jest realne.

Kattis wzdycha i czerwonymi oczami patrzy w sufit.

– Myślę, że go niedługo zamkną – ostrożnie, przeciągle odzywa się szorstkim głosem Sirkka. – Inaczej byłoby nie w porządku. Po prostu nie w porządku. – Wzdycha i patrzy na

swoje dłonie, pociera powykrzywiane palce.

– Czytałam w gazecie, że była tak pobita, że trudno było ją zidentyfikować. Jak można zrobić coś takiego? Jeszcze ta mała. Przecież to dziecko wszystko widziało.

Sofie rozgląda się po nas, szukając wyjaśnienia. Chciałabym powiedzieć coś mądrego, wystąpić jako godna przedstawicielka świata dorosłych. Oczywiście wiem, że Sofie jest dorosła, ale trudno traktować ją inaczej niż jak dziecko. Kuli się, chciałoby się ją utulić, osłonić i obiecać, że nic złego jej się nie przydarzy.

– Oczywiście, to koszmarnie, ale nie rozumiem, jak możecie być takie pewne, że to Henrik? – Malin z irytacją rozgląda się po nas. – Owszem, wydaje się najbardziej prawdopodobny jako sprawca, ale... nie wiemy tego. Rzecz nie zawsze przedstawia się tak, jak wygląda.

– Co jest takie trudne do zrozumienia? – Kattis zwraca się do Malin. Wygląda na spokojną, ale jej głos brzmi ostro, wyczuwam w nim gniew, gdy mówi dalej: – Ten drań omal mnie nie zabił. Jest zdolny do wszystkiego. Czasem jest dokładnie tak, jak wygląda. Był jej facetem, jest przemocowcem, ona poniosła śmierć. Gdzie tu komplikacja?

– Mam na myśli tylko to, że nie wolno nikogo osądzać, dopóki nie pozna się wszystkich faktów. Nie wysłuchawszy czyichś racji. Nie miałam zamiaru podważać tego, co ci zrobił. Przykro mi, jeśli tak wyszło. – Malin unosi obie ręce w geście, który ma zatrzymać rodzący się konflikt. – Niezależnie od tego, kto ją zabił, jest to straszne i budzi przerażenie. Boję się, że to samo mogłoby przydarzyć się mnie albo którejś z was. A najważniejsze w tym momencie, że jesteśmy tutaj... i usiłujemy zmienić coś w naszym życiu.

Hillevi uśmiecha się ostrożnie. Myślę sobie, że wzięła na siebie rolę mamy, która przywraca porządek i godzi skłóconych. Dba, żeby wszyscy się dobrze czuli. Tylko kto się nią zaopiekuje? Kiedy to ona będzie mogła poczuć się mała i słaba?

Do rozmowy włącza się Aina.

– Wydaje mi się, że Hillevi wyraziła to, co wszystkie czujemy. Lęk. Ale twoja konkluzja też jest słuszna. Nie da się odwrócić tego, co się stało, ale możemy zmienić własne życie. I to jest jeden z najważniejszych powodów, dla których się tu spotykamy. Mamy sobie pomóc znaleźć odpowiednie narzędzia i siłę, aby odejść od człowieka, który stosuje przemoc. Skończyć z niewiarą w siebie, poczuciem bezsilności i poniżenia, nawzajem natchnąć się siłą, by iść dalej.

Kiedy to mówi, aż blask od niej bije. Jej włosy lśnią w świetle lampy, oczy błyszczą. Zdziwiam się. Aina nie należy do tych, którzy wygłaszają płomienne przemówienia, ale jest autentycznie przejęta. Widzę, że po tylu latach jeszcze nie znam wszystkich stron jej charakteru. Musiała wyczuć mój wzrok, bo patrzy na mnie i przez sekundę się uśmiecha.

– Porozmawiamy jeszcze o pomocy, którą społeczeństwo może zaoferować kobietom, ofiarom przemocy. Siri opowie o tym, ale najpierw chciałabym zapytać, czy macie jakieś refleksje na temat naszego ostatniego spotkania? Oprócz tego, o czym już mówiłyśmy.

Rozgląda się po siedzących w kręgu. Kobiety milczą. Nagle Sofie podnosi rękę, co jest i dziecinne, i wzruszające. Tym wyraźniej widać jej młodość i wrażliwość.

– Proszę, Sofie.

Aina uśmiecha się zachęcająco, Sofie zbiera się w sobie. Opuszcza rękę, która drży ze zdenerwowania albo napięcia. Ma mlecznobiałą cerę, ale na policzkach pojawiły się wypieki. Kropelki potu mieniają się na czole jak brylanciki w diademie.

– No więc... wracając do tego, o czym mówiłyśmy w zeszłym tygodniu. O czym opowiadała Hillevi. O jej dziecku. Chciałabym jej coś powiedzieć.

Hillevi patrzy na nią uważnie, widzi jej zdenerwowanie i powoli kiwa głową.

– Chętnie posłucham, co masz mi do powiedzenia. Mów, Sofie.

Pani doktor, matka trójki dzieci, pochyla się i z szacunkiem słucha dziewczyny, która ma zaledwie osiemnaście lat. Uderza mnie myśl, że tutaj wszystkie jesteśmy równe. Nieważne, gdzie pracujemy. Jakie mamy wykształcenie. Gdzie znajduje się nasz dom. Tutaj ważne jest to, co nas łączy, jednoczy. Nie to, co dzieli.

– Opowiadałaś o dziecku i mężu, jak twój mąż zabił synka... – Sofie ucieka wzrokiem przed spojrzeniem Hillevi, wpatruje się w leżący przed nią na stole wyświechtany notes. – Ze mną

też tak było. Mój ojczym mnie bił. Od zawsze. Od kiedy pamiętam.

Hillevi kiwa głową, Aina mruczy, zachęcając Sofie do mówienia, i dziewczyna kontynuuje, pociągając nosem.

– Moja mama i on zawsze bardzo się kochali. Nadal się kochają. Wychowywałam się z takim obrazem przed oczami: moja mama i mój ojczym, niczym postaci... z jakiejś bajki. Mama ciągle opowiadała, jak poznała Andersa w kawiarni. Jak tata podszedł do mamy, która czytała sobie, gdy ja leżałam obok w wózku, i zagadał do niej. O tym, jak się zakochali. Z miejsca. Paf! Miłość od pierwszego wejrzenia. Od razu zamieszkali razem. Należą do tych, którzy nie mogą się powstrzymać, żeby się nie dotykać, chociaż są ze sobą od siedemnastu lat czy coś koło tego.

– Tak? To dlaczego tu jesteś? Skoro wszystko jest takie *hunky-dory*?

W głosie Malin jest tyle sarkazmu i złości, że ze zdumienia aż się wzdrygam, ale zanim zdążę zareagować, Aina odwraca się i lekko unosi brwi. Malin natychmiast ucieka wzrokiem i przeprosza Sofie, mruczając pod nosem. Co się z nią dzieje? Po sesji muszę z nią porozmawiać. Trzeba wyjaśnić, dlaczego Malin zachowuje się w ten sposób.

– Ojej, właśnie próbuję to wytłumaczyć – mówi Sofie, zirytowana, że się jej przerywa. – No więc Anders jest złoźnikiem, ale nigdy nie gniewa się na mamę. Jej by nigdy nie tknął, ani nic takiego. Wyładowuje się na mnie. Nie pamiętam, ile miałam lat, gdy pierwszy raz mnie zbił. Mam wrażenie, że zawsze tak było. Długo myślałam, że wszyscy ojcowie biją swoje dzieci. Że tak po prostu jest. Dopiero w szkole, kiedy dowiedziałam się, że jest ustawa o zakazie bicia dzieci, zrozumiałam, że tak nie wolno. Nie bił mocno. Najczęściej był policzek albo szturchnięcie. Kiedy się spóźniłam, nie posprzątałam albo nie odrobiłam lekcji. Mama mówiła tylko: „Anders, daj jej spokój”, ale nic z tym nie robiła. Nie powstrzymywała go ani nic. Zostawiała to tak, jak było, więc się powtarzało. I zawsze go tłumaczyła. „Anders ma teraz trudny okres, ma kłopoty w pracy”, „Anders jest zmęczony”, „Bola go plecy”. Ciągle znajdowała jakieś wytłumaczenia. Zawsze stawała po jego stronie. Ich dwoje przeciwko mnie. Czułam się, jakbym była jakimś obcym dzieckiem, które im przeszkadza, zakłóca ich wspaniałą miłość. Dla mojej własnej matki jej facet był... ważniejszy ode mnie.

– Dziecko kochane. – Sirkka pociera pomarszczone dłonie i kręci głową, rzadkie włosy podskakują nad chudymi ramionami. – Nie rozumiałaś, że tak nie wolno? To wbrew naturze robić dziecku coś takiego.

– Na pewno? – Sofie patrzy jej prosto w oczy. – A może właśnie wynika z natury?

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pyta zdezorientowana Sirkka.

– Często myślę o tym, jak jest u lwów – mówi Sofie łamiącym się głosem, który nagle przechodzi w szept.

– U lwów? – odzywa się Aina.

– Tak, wiecie, gdy lew poznaje nową lwicę, zawsze zabija jej młode. No bo miała je z innym samcem. I często myślę, że właśnie tak jest. Nie jestem jego dzieckiem, więc mnie odtrąca. Sama... natura.

Zapada cisza. Sofie w milczeniu wpatruje się w linoleum na podłodze, ale wydaje mi się, jakbym dosłyszała zduszony szloch.

– I co było dalej, Sofie? – pyta miękko Aina.

– Anders coraz bardziej pił. Zawsze popijał, urządzali z mamą mnóstwo przyjęć i tak dalej, ale było tego coraz więcej. A im więcej pił, tym częściej się wściekał. I zawsze była moja wina. Wtedy zaczął mnie bić naprawdę.

Sofie milknie. Ma szkliste oczy, twarz napiętą, nieruchomą, przebija z niej ból. Wszystkie przeżywamy jej opowieść. To źle, gdy mężczyzna bije kobietę, ale bicie dziecka godzi w nasz najgłębszy instynkt. Widzę, jak Sirkka dyskretnie wyciera twarz, a Malin powoli zaciska i otwiera dłonie, jakby chciała rzucić się na ojczyma Sofie.

Hillevi pobladła i nie spuszcza wzroku z Sofie. Twarz ma poważną. Powoli kiwa głową, jakby nagle coś do niej dotarło.

– Raz tak mnie popchnął, że spadłam ze schodów i złamałam rękę. Za to, że w sobotni

wieczór później przyszedłam do domu. Szalał, kiedy się spotykałam z moim chłopakiem. Mówił, że Viktor to oferma, powinnam znaleźć sobie kogoś lepszego, nie takiego obiboka z przedmieścia. Jednak najgorsze nie było bicie ani to, że złamał mi rękę, ani nawet to, że mnie wyzywał od kurew. Najgorsze było, że mama zawsze stawiała po jego stronie. Zawsze go broniła i zawsze znajdowała wytłumaczenie, dlaczego tak się zachowuje. Mówiąc szczerze, mam gdzieś, że mnie bił, ale że moja mama mnie zawiodła... – Sofie urywa i patrzy na Hillevi. – I dlatego musisz od niego odejść. Ze względu na dzieci. Muszą wiedzieć, że jako mama jesteś po ich stronie i że nie wolno bić. I już. Tylko to ci chciałam powiedzieć.

Hillevi powolnym ruchem wyciąga rękę do Sofie. Twarz ma białą jak kreda, oczy pełne łez. Muska dłoń Sofie.

– Słyszę, co mówisz, kochana. Obiecuję, że nigdy nie zawiodę moich dzieci.

Dyskretne pukanie przerywa niemal hipnotyczną atmosferę. Elin uchyla drzwi i zagląda przez szparę.

– Ojej, cześć wszystkim!

Jest wyraźnie speszona, ja i Aina zerkamy na siebie dyskretnie. Aina przewraca oczami, ja zagryzam usta, żeby się nie roześmiać. Elin jest przemiła, ale brak jej wyczucia. Powinna wiedzieć, że jesteśmy w trakcie sesji i że to jest święta rzecz.

Nic nie usprawiedliwia tego, że nam przeszkadza. Albo prawie nic.

Elin stoi z zakłopotaną miną, najwyraźniej nie wie, co zrobić. Czarne włosy ma dziś kunsztownie upięte, twarz jak zwykle umalowana na najbielszą biel i najczarniejszą czern.

– Przyszedł jeden facet. Chce tu wejść.

Z zakłopotaniem zerka za siebie, dostrzegam za nią jakiś cień.

– Niestety nie możemy teraz nikogo wpuścić. Jesteśmy w trakcie sesji. Przykro mi, ale musisz poprosić, żeby przyszedł później albo zadzwonił.

Elin kiwa głową i chce zamknąć drzwi. Teraz wszystko dzieje się bardzo szybko. Cień odrywa się od ściany i gwałtownie wpycha ją do pokoju.

– Wpuście mnie. Muszę wam coś powiedzieć. Musicie mnie wysłuchać!

Ogolona głowa połyskuje od deszczu, a może potu, odbijając światło lampy. Również dziś ma na sobie obszerną puchową kurtkę. Od razu rozpoznaję Henrika, mężczyznę, który być może zabił swoją kobietę. Tego, który wyłonił się z ciemności na Medborgarplatsen.

Staje w drzwiach i widzę, że się chwieje. Oczy mu błyszczą gorączkowo, w pokoju rozchodzi się słaba, niemniej wyraźna woń alkoholu.

Kłęcząca na podłodze Elin wygląda jak lalka.

– Musicie... mnie... wysłuchać!

Mówi głośno, jest wyraźnie zdesperowany. Dawna opalenizna zszarzała i wygląda jak brud. Wymizerowaną twarz pokrywa kilkudniowy zarost.

– Bardzo mi przykro, ale muszę cię prosić, żebyś wyszedł.

Idę powoli w kierunku Henrika. Staram się wyglądać na spokojną i zdecydowaną. Pewną siebie. A w środku mam strach, jeden wielki strach. Ręce mi drżą, serce wali, żołądek się zaciska. Dźwięk, który rozlega się w moich uszach, nasila się, przechodzi w krzyk, a potem w wycie.

Nasze spojrzenia się spotykają. Ma zaczerwienione powieki. W jasnoniebieskich oczach gniew, rozpacz, ból.

– Tak, tak. Dobrze, wyjdę, ale pozwólcie mi coś powiedzieć. Ona musi mnie wysłuchać.

Wskazuje na Kattis, która skuliła się na krześle, rękoma obejmuje głowę i cała dygoce.

– Kattis, spójrz na mnie! Porozmawiajmy. Przecież chciałaś porozmawiać! No to masz szansę. Jestem. Porozmawiajmy! – Potyka się, nieomal przewraca na Elin, ale w ostatniej chwili łapie się mojego krzesła. – Cholera jasna – mamrocze do siebie. Prostuje się i lekko chwieje.

Napotykam spojrzenie Ainy. Z zaciętą miną właśnie się podnosi ze swego miejsca.

– Przykro mi, ale proszę wyjść, inaczej będziemy musiały wezwać ochronę – mówi władczym, zdecydowanym głosem. Jakbyśmy mogły ściągnąć ochronę myślami, bo przecież nie mamy pilota alarmowego. Vijay miał zamówić, ale albo jeszcze nie przysłali, albo o tym zapomniał.

– Nie będziecie wołać żadnej pieprzonej ochrony, macie mnie wysłuchać! A ja wam powiem, jak jest naprawdę. Rozumiecie? – Nagle wydobywa się z niego szloch, widzę łzy w jego oczach. – Cholera jasna, kurwa, kurwa – powtarza, jakby wściekał się na siebie za to, że jest taki uczuciowy.

Rozglądam się po sali. Sirkka siedzi sztywno i patrzy prosto przed siebie. Jej pomarszczona twarz nic nie wyraża, zero emocji. Sofie płacze, przyciska się do Hillevi, która ostrożnie gładzi ją po głowie. Kattis nadal ma głowę schowaną w ramionach. Malin patrzy na Henrika z nienawiścią. Na podłodze poturbowana Elin kuli się w kłębek czarnych ciuchów i korali.

– Opowiadaj, słuchamy. – Aina idzie w jego kierunku i mówi do niego spokojnie, niemal zwyczajnym tonem. Wyraźnie, jak do dziecka.

– Nie podchodź! Nie podchodź za blisko – warczy Henrik, unosząc rękę. Coś błyska. Metal. Kolba? Pistolet?

– Aino, siadaj na miejsce! Pozwól mu mówić. Henriku, mów. Mów, co chciałeś powiedzieć.

Macham ręką, żeby się cofnęła. Nie wiem, czy zauważyła broń w ręku Henrika, ale widzę, że mamy do czynienia z zupełnie nową sytuacją. Pijany, agresywny przemocowiec, a może i morderca, zjawiał się z bronią i chce się policzyć. Jednego tylko nie rozumiem: po co przyszedł? Może chce zrobić coś złego Kattis, ale dlaczego nie z ukrycia, tylko tak otwarcie? Publicznie?

– Musicie mnie wysłuchać! – Henrik przytrzymuje mnie spojrzeniem, jakby prosił o potwierdzenie.

– Słuchamy. Opowiadaj – powtarza Aina tym samym łagodnym głosem.

– Zrozumcie, ona jest szalona! Rozumiecie? Szalona.

Henrik pokazuje na Kattis trzymany w ręku przedmiotem. Ona podnosi na niego wzrok, patrzy mu w oczy. Jej twarz jest naga, bezbronna, maluje się na niej rozpacz.

Ale nie strach.

– Ona udaje. To nie jest tak. – Henrik mówi bełkotliwie. – Nigdy jej nie dotknąłem. Kapujecie. Nigdy jej... nie uderzyłem. Klnę się na Boga. Nigdy nie podniosłem ręki na kobietę. To ona jest... potworem. Prześladuje mnie. Ona jest szalona i was też zmanipuluje. A wy... – Nagle zaczyna się śmiać. Z początku jest to zduszony chichot, który wzbiera i przechodzi w prawdziwy śmiech, głośny i niepowstrzymany, bulgoce, wypełnia całe pomieszczenie. – Już was oszukała. Kapujecie? – Znów wybucha śmiechem, tak się zaśmiewa, że nie może mówić, musi się pochylić i oprzeć jedną rękę na kolanie. – Kapujecie? Wszystkie się nabrałyście. Kurwa, to aż nie do wiary. Już was... *Kapujecie?*

W końcu śmiech wybrzmiewa, zapada cisza. Wszyscy milczą, Henrik też sprawia wrażenie, jakby nie wiedział, co dalej. Patrzy na Kattis i gdy się odzywa, kieruje słowa do niej, nie do nas, my jesteśmy tylko statystkami.

– Susanne nie żyje. Kochałem ją. Kocham. Wszystko zniszczone. Zadowolona jesteś, ty kurwo? – Henrik łka. Nie ulega wątpliwości, że jest zrozpaczony i głęboko cierpi. – Zniszczyłaś mi życie.

Jego głos przechodzi w cichy szept, słyszę szum zmywarki w kuchence i samochody jadące w deszczu po Götgatan. Mam wrażenie, jakby czas wstrzymał oddech. Wskazówki na dużym zegarze ściennym przesuwają się powoli. Mijające sekundy odbijają się echem w pokoju. Nikt się nie rusza, nie odzywa.

Henrik przysuwa sobie krzesło i siada. Ciężko oddycha, rękawem puchowej kurtki, która szeleści przy każdym ruchu, ściera z twarzy łzy. Trzyma broń w taki sposób, że jest doskonale widoczna. Nie znam się na broni i nie wiem, co to jest, pistolet czy rewolwer, ani jaki kaliber. Myślę o Markusie; z bronią służbową obchodzi się jak z dzieckiem i nie pozwala mi jej nawet dotknąć. Zgodnie z regulaminem zawsze przechowuje w zamknięciu.

Nie wiem, co to za broń, ale wiem, co może zrobić. Że może zabić.

Henrik wygląda na wyczerpanego. Jakby życie miał już za sobą. Przed oczami stają mi obrazy z rozmaitych dramatów. Zakładnicy. Zabici i ranni. Sprawcy popełniający samobójstwo. Policjanci negocjatorzy, którzy próbują przekonać porywacza. Mówić do niego spokojnie, nawiązać z nim kontakt, stać się dla niego konkretną osobą.

Jednak policja mogłaby się tu zjawić, pod warunkiem że wiedziałyby o nas, o Henriku, a przecież nikt nie wie. W poradni nie ma dziś nikogo poza naszą grupą. Sven wziął wolne, by pojechać na dach i, jak się domyślam, zmierzyć z kolejną recydywą.

– Dlaczego, Kattis? A w ogóle, co ty robisz między tymi babami?

Znów się rozgląda i podnosi broń. Sofie szlocha i przyciska się do Hillevi.

– Henriku, chcemy ci pomóc. Powiedz, co mamy zrobić, żeby było dobrze. Słuchamy cię.

To znowu Aina. Spokojna. Zrównowazona. Nikt nie dopatrzyłby się u niej strachu czy choćby niepokoju.

– Zrozumcie tylko, ona jest szalona i wszystko skłamała. Nic z tego, co wam powiedziała, nie jest prawdą. Ona jest zła!

Ostatnie zdanie Henrik wykrzykuje. Usiłowania Ainy, by go uspokoić, najwyraźniej zawodzą. Nagle Kattis wstaje. Wyciąga ręce do Henrika.

– Henriku, strasznie mi przykro. To wszystko moja wina. Teraz już rozumiem.

Twarz Kattis jest bez wyrazu, blade policzki, wielkie oczy.

Widzę, że płacze, chciałabym wyciągnąć do niej rękę, pocieszyć.

Ze spuszczoną głową idzie w stronę Henrika. Wygląda, jakby szła na śmierć, zastanawiam się, czy właśnie taki ma zamiar. Złożyć siebie w ofierze.

Chciałabym jej przeszkodzić, zatrzymać ją, ale nie mam odwagi. Gdzieś w środku muszę przyznać, że nie mam odwagi. Nie jestem gotowa oddać życia za kogoś innego.

Chcę do domu. Myślę o życiu, które we mnie kielkuje i może stać się człowiekiem. Dzieckiem.

Myślę o Markusie. Jego ciepłych dłoniach. Ciele. Śmiechu. Markus i dziecko. Niby skomplikowane, lecz teraz nagle wydaje się proste.

– Nie!

Krzyk Hillevi przerywa milczenie. Przecina ciężkie powietrze. Hillevi podnosi się i staje między Kattis a Henrikiem.

– Nie – powtarza. – Zostaw ją. Idź stąd. *Idź stąd.*

Henrik, kompletnie zaskoczony, spogląda na Hillevi, jakby nie rozumiał, co się dzieje. Ona stoi nieporuszona i patrząc mu w oczy, kręci głową.

– Wyjdź stąd. Oddaj mi pistolet. Pomożemy ci. Dopilnujemy, żebyś otrzymał pomoc.

– Nic nie rozumiesz.

Głos Henrika przeszedł w ochrypy szept, przebija z niego przygnębienie. Ma szkliste spojrzenie, patrzy na Hillevi z przestachem.

– Stój, do cholery.

Znów mam to uczucie, jakby czas się zatrzymał i uwięził nas, a my nie potrafimy tego zmienić.

Hillevi podchodzi jeszcze bliżej, robi mi się zimno w środku.

Henrik jest pijany, może szalony. Przypuszczalnie się boi, ma paranoiczne wyobrażenia na temat Kattis. Jeśli czuje się zagrożony przez Hillevi, wszystko jest możliwe. Nie powinna podchodzić tak blisko. Powinna się cofnąć.

Kattis stoi nieruchomo, zamknęła oczy. Sofie siedzi sama, nie ma już Hillevi, o którą mogła się oprzeć. Malin i Sirkka zeszywniały, milczą.

Nagle w kącie pokoju dostrzegam Elin, o której zapomnieliśmy. W rękę trzyma komórkę, ekranik się świeci. Elin patrzy na mnie i porozumiewawczo kiwa głową. Domyślam się, że udało jej się wysłać wiadomość i pomoc już jedzie. Szybko chowa telefon w fałdach ubrania.

Hillevi podnosi ręce do góry, żeby zasignalizować że nie ma złych zamiarów i nie jest dla Henrika żadnym zagrożeniem. Mała Hillevi przeciw napakowanemu olbrzymowi Henrikowi, a on stoi nieruchomo, z bronią w rękę i patrzy na nią ze zdziwieniem.

Tak.

Sekundnik zegara ściennego wykonuje kolejny przeskok. Gdzieś odzywa się klakson samochodu. Zmywarka wydaje pisk, skończył się program. Ktoś głęboko nabiera tchu. Hillevi robi krok do przodu, nieduży i wcale nie nagły, naprawdę mały, choć zdecydowany. Jednak Henrik

wykonuje gwałtowny ruch i pada strzał.

Drobne, ubrane na czarno ciało Hillevi pada do tyłu, na stół otoczony krzesłami, strącając na podłogę talerz z drożdżówkami i pudełko chusteczek. Kątem oka widzę, jak drożdżówki rozrzucone po brązowej wykładzinie powoli nasiąkają krwią, czerwienieją, w końcu wyglądają jak porzrzucone kłębki czerwonej wełny.

Henrik patrzy na swoją rękę, jakby nie rozumiał, co się stało ani co zrobił.

Cisza.

Nigdy bym nie przypuszczała, że strzał w zamkniętym pomieszczeniu powoduje taki huk. Ogłuszający.

A następująca po nim cisza wymazuje go, wypełniając próżnią.

Wypełniając Nicością.

Później. Odgłosy. Ruch. Ludzie biegnący tam i z powrotem. Przesuwające się po ścianach światła kogutów od karetek i radiowozów znajdujących się na placu przed budynkiem. Elin na fotelu, przykryta kocem. Nieruchomy wzrok. Klęcząca koło niej miła kobieta pyta, jak się czuje i czy chce pojechać do szpitala.

Sirkka, Sofie i Malin tkwią w kącie, małe i opuszczone. W drugim kącie Kattis rozmawia z policjantem. Jej twarz jest blada jak ściana, ruchy sztywne, kanciaste. Domyślam się, że musi być w szoku.

Nagle ktoś kładzie mi rękę na ramieniu. Wzdrygam się, wciąż jestem na najwyższych obrotach, ciało sygnalizuje niebezpieczeństwo, mobilizując do walki albo ucieczki. Odwracam się, to Markus, w dzinsach i powyciąganej bluzie z kapturem.

– Dowiedziałem się o strzelaninie w poradni psychologicznej na Medborgarplatsen i od razu przyjechałem. Myślałem, że to ciebie... – Zaczyna się i odwraca twarz, jakby chciał ukryć emocje. – Kurde, Siri, myślałem, że to ciebie...

Nic nie mówię. Pozwalam, by wziął mnie w ramiona i kołysał jak małe dziecko, dotykam zmechaconej bluzy, wdycham zapach Markusa, swojski i dający poczucie bezpieczeństwa.

– Markus, cholera, jak ja się cieszę, że cię widzę! – Aina staje koło nas. Twarz ma zaczerwienioną, ze śladami rozmazanego tuszu do rzęs. Płacze, chociaż sprawia wrażenie, jakby o tym nie wiedziała. – Wiesz, co z Hillevi? – W napięciu patrzy na Markusa.

Puszczam go, chociaż wcale nie chcę, ale rozumiem, że muszę. Cofam się i obserwuję go, szukam wskazówek.

– Wiem tylko to, co słyszałem przez radio. Postrzelona kobieta, sprawca zbiegł, odszedł pieszo z miejsca przestępstwa.

– Gdzie on jest?

Rozglądam się. Pamiętam minę Henrika zaraz po strzale. Twarz jak u obudzonego przed chwilą dziecka: naga, zmęczona i bez wyrazu. Zdziwione spojrzenie na pistolet. Jakby dopiero odkrył, jak działa taka zabawka.

I Hillevi.

Leżała na stole na wznak, jak zwierzę na pieńku rzeźnickim. Ciężkie buty w męskim stylu zwisały nad podłogą, czarna spódnica podwinęła się, odsłaniając drobną, chudą miednicę.

Wyglądała jak dziecko.

Sirkka, pochylona nad nią, próbowała zatamować krew.

Krew.

Wszędzie ta krew spływająca na podłogę, barwiąca wykładzinę na kolor ciemnej czerwieni.

– Jeszcze go nie znaleźliśmy, ale to tylko kwestia czasu. Złapiemy go.

Aina patrzy na Markusa, próbuje opowiedzieć, co widziałyśmy, i wytłumaczyć, co niewytłumaczalne.

– Musimy się nimi zająć.

Pokazuję na Sirkkę, Malin i Sofie, które wciąż siedzą na swoich miejscach. Zastygłe, zapomniane.

– Zaraz będą ratownicy i policja, to się nimi zajmą. One są świadkami, zaopiekują się nimi. Wami też.

Markus już jest spokojniejszy. Jest na własnym terenie. Miejsca przestępstwa i wypadki to jego codzienność.

– Dowiedz się, co z Hillevi.

Aina patrzy prosząco na Markusa. On kiwa głową i podchodzi do mężczyzny, który chyba tu dowodzi. Rozmawiają przez chwilę, widzę, jak Markus odwraca się w naszym kierunku. Pewnie wyjaśnia, kim jesteśmy. Mężczyzna coś mówi, kiwa głową. Jego mina i gesty niczego nie zdradzają. Nie potrafię zgadnąć, co powiedział ani co się stało z Hillevi. Markus wraca. Szukam jego wzroku, ale nie udaje mi się nic z niego wyczytać. Jego spojrzenie jest neutralne, czysto profesjonalne. Nie wiem, nie widzę, nie domyślam się.

Markus prowadzi nas do kuchenki, gdzie jest pusto. Opadamy na krzesła. Ręce mi się trzęsą. Nie wiem dlaczego, ale nagle opada mnie potworne zmęczenie i nie mogę patrzeć na moje drżące dłonie, które przypominają mi, co przeżyliśmy i z czym muszę się zmierzyć, chociaż nie mam siły.

– Hillevi została ranna w brzuch. – Markus patrzy na nas, jakby przekonywał, że to, co mówi, jest prawdą, która zgadza się z tym, co widziałyśmy.

Aina przytakuje.

– Miała krwotok z brzucha, bardzo silny. Nie można stracić tyle krwi i...

– Straciła bardzo dużo krwi. Zgadza się...

Markus chrząka. Widzę jego zakłopotaną minę i nagle mam lód w żołądku. Już wiem, co powie. Nie można stracić tyle krwi i przeżyć.

– Zawieźli ją do szpitala Söder, stwierdzono zgon. Nastąpił prawdopodobnie już w karetce, ale formalnie stwierdzono to dopiero w szpitalu. Takie są procedury, nie można...

Urywa, jakby sobie uzmysłowił, że dla nas to nieistotne szczegóły, do kogo należy stwierdzenie zgonu i gdzie. Patrzymy na siebie z Ainą i powoli do nas dociera.

Hillevi nie żyje.

Siedzę na kanapie skulona, owinięta kołdrą. Mimo to jest mi zimno. Mam wrażenie, że te dreszcze nigdy się nie skończą. Obok na stoliku stoi kubek herbaty zaparzonej przez Markusa. Może w nadziei, że gorący napój przywróci mi spokój.

Słychać wiatr targający koronami drzew za oknem. Mocno wieje, deszcz bębni w szyby, spływając nierównymi kaskadami.

Mam straszną ochotę na kieliszek wina. Karton jest w szafce nad lodówką, bo zawsze mam go w tej szafce, ale myślę o dziecku i wiem, że muszę dać sobie spokój. Już nie mogę sobie pozwolić na popijanie, chociaż dręczący, szarpiący lęk po prostu mnie obezwładnia. Pragnienie, żeby się napić wina, jest znacznie większe, niż przypuszczałam i byłam gotowa przyznać. Wiem jednak, jaki alkohol może mieć wpływ na płód, i nie zrobię tego. Myślę o dziecku, które noszę w sobie, i o tamtym, które utraciłam, i wiem, że nie zaryzykuję. Wino musi poczekać. Mimo palenia w żołądku, lekkich nudności i tętna bijącego za szybko i za mocno. Markus chciał, żebym wzięła Stesolid, zaproponowany przez dyżurnego lekarza, ale również leki uspokajające są dla mnie absolutnym tabu. Żadnego alkoholu, żadnych leków.

Pozostaje tylko mroczny lęk.

Markus chodzi po pokoju w nerwowym podnieceniu. Wiem, że jest rozdarty między poczuciem, że powinien być przy mnie, a pragnieniem, by się urwać z domu i rzucić w wir pracy. Wprawdzie sprawa zabójstwa Hillevi nie trafi na biurko Markusa, jednak dochodzenie w sprawie śmierci partnerki Henrika prowadzi jego kolega z policji w Nacka. I oczywiście policja będzie badać ewentualne związki między tymi zbrodniami.

– Dlaczego go nie zatrzymaliście? – Mówię dziwnym głosem, z trudem wymawiając słowa; jakbym w suchych ustach miała duże, nieforemne kamienie.

– Masz na myśli Henrika? – Markus zatrzymuje się, przerywając niespokojną wędrówkę po pokoju.

– Oczywiście, że jego. Dlaczego nie zatrzymaliście go wcześniej? Zabił swoją kobietę, gdybyście go wtedy zamknęli, to Hillevi... Teraz zniknął. A jeśli nigdy go nie złapiecie?

Milknę. Wciąż mam przed oczami scenę, jak Hillevi chce podejść do Henrika, pada strzał i Hillevi przewraca się na stół. I ta krew. Spływa na dywan i miesza się z odłamkami porcelany i drożdżówkami. Scena wręcz nierealna i jednocześnie nieodwołalna. Nie sposób przed nią uciec.

– Siri, nie wszystko jest takie, jak się pozornie może wydawać. – Markus szuka mojego spojrzenia, ostrożnie dotyka mojego ramienia. – Facet został przesłuchany. Pytałem kolegów. Nie mógł zabić tej kobiety, miał mocne alibi. Był w knajpie razem ze swoimi pracownikami z firmy budowlanej. Dziesięć osób przysięga, że popijał z nimi i śpiewał karaoke. Personel baru potwierdził, że tak było. Pamiętali go, bo był pijany i trochę rozrabiał, obmacywał barmanki.

– Skąd wy możecie być tacy pewni? – Zdaję sobie sprawę, że mówię wrogim, niemal agresywnym tonem. – Wiadomo, że to damski bokser. Kattis mówiła... – Urywam, gdy uzmysławiam sobie, że zaraz wyjawię nazwisko i dane, które powinnam zachować w tajemnicy.

– Kattis to jego była? Która również uczestniczy w tych spotkaniach kobiet ofiar przemocy?

Przytakuję, wiedząc, że i tak wyjdzie to na jaw. Policja ustali, kto wchodził w skład grupy i o czym była mowa podczas spotkań. Wszystko, aby zrozumieć i wyjaśnić, nazwać słowami zachowanie Henrika, odkryć powiązania, zbudować kontekst.

– Okej, możemy powiedzieć tyle, że wersja Henrika jest nie całkiem zgodna z tym, co mówi Kattis. Wszystkiemu zaprzeczył, powiedział, że nigdy jej nie dotknął, że ona zmyśla.

– Przecież zawsze tak jest. Ilu przemocowców przyznaje się do winy i poddaje karze albo terapii? Jak ci się zdaje? Nie rozumiem, jak w ogóle możesz go bronić. Popelniliście cholerny błąd i teraz jeszcze ściemniacie, twierdząc, że facet jest niewinny. – Zaraz się rozplączę. Słone łzy spływają mi po policzkach na szyję. Jestem urażona, bezradna i zrozpaczona.

– Siri, chyba nie słyszysz, co ja do ciebie mówię. Henrik miał alibi. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie mógł zamordować swojej partnerki. Policja nie jest w stanie przewidywać przyszłości, nie możemy zapobiec zbrodni, o której nie wiemy, że się wydarzy. Zresztą... – Markus waha się. Jego również obowiązuje tajemnica i zdaję sobie sprawę, że nie

może mi powiedzieć wszystkiego, co mu wiadomo. Może już powiedział za dużo. – No więc... policjantka, która powiadomiła go o śmierci Susanne, powiedziała, że był zdruzgotany, kompletnie załamany. Że jeśli odstawił teatr, to ona jeszcze nie widziała lepszego przedstawienia. Musieli ściągnąć pielęgniarkę, żeby dała mu coś na uspokojenie.

– I tak mógł to zrobić. Mógł kogoś wynająć. Przecież to szaleniec, czy normalny człowiek chodzi z bronią? I zaczął się na mnie w ciemnościach na Medborgarplatsen. Zresztą on chciał dopaść Kattis, a nie Hillevi.

– Siri, gdy ginie kobieta, pierwszą rzeczą, jaką robi policja, jest określenie jej sytuacji życiowej. Wiemy, że najbardziej prawdopodobnym sprawcą może być mąż, konkubent albo przyjaciel. To paskudne, ale tak już jest. Sprawdziliśmy Henrika i przyjrzelśmy się jego związkowi z Susanne Olsson. I wszystko wskazuje na to, że to raczej zwyczajny gość. Poza doniesieniem jego byłej dziewczyny nic na niego nie mamy. Oprócz paru mandatów za szybką jazdę. Niekarany, dba o swoją firmę i jest lubianym szefem. Żadna z przesłuchanych osób nie zauważyła u niego skłonności do przemocy. Ogólnie lubiany, jedynym wyjątkiem jest sąsiad, któremu nie podoba się, że Henrik ma za duże bmw, a poza tym jest przekonany, że Henrik pracuje na czarno, co na pewno jest prawdą. Stracił furę pieniędzy, grając na wyścigach, ale poza tym to zupełnie normalny gość. Nie mamy nic na niego, Siri, nic konkretnego. Oprócz oskarżenia ze strony Kattis. Nie mogliśmy tego przewidzieć. – Markus rozkłada ręce w geście ubolewania, potem przykuca i chwyta mnie za rękę. Gładzi po włosach.

– A broń? Skąd miał pistolet? Czy zwyczajny, niewinny człowiek trzyma w domu broń? Daj spokój, Markus, facet jest zaburzony, wiesz, że tak jest.

Siedzę wyprostowana na kanapie, odrzuciłam kołdrę. Już mi nie jest zimno, jakby rozpacz i wściekłość przywróciły normalne funkcjonowanie ciała. Wichura za oknem się wzmaga. Nawet natura wydaje się rozjuszona tym, co się stało.

– Tego nie wiem, natomiast wiem, że jest członkiem klubu strzeleckiego. Ma pozwolenie na broń i tak dalej. Kiedyś podobno trenował strzelanie z pistoletu. Przypuszczamy, że użył broni, na którą ma pozwolenie. Jeśli chcesz znać moje zdanie, przypuszczam, że jest tak: Henrik nie zabił Susanne, natomiast na wiadomość o jej śmierci coś się z nim stało. Nie pytaj mnie co, bo znasz się na tym lepiej ode mnie. Załamał się, rozleciał. Jeśli wolisz, oszalał. Kattis jest kozłem ofiarnym, uważa ją za winną wszystkich swoich nieszczęść.

– Kattis? On chyba nie wierzy, że Kattis ma coś wspólnego z morderstwem Susanne?

– Nie wiem, w co wierzy, może uznał, że Kattis rujnuje mu życie oskarżeniami o przemoc. Do tego śmierć Susanne. Wydaje mi się, że zrobiło się tego po prostu za dużo. I odbiło mu. Ty się na tym znasz, myślisz, że mogło tak być?

Wzruszam ramionami.

– Chyba tak. To może być reakcja psychotyczna. To się rzeczywiście zdarza.

Markus ma minę człowieka znużonego, pozbawionego złudzeń.

– Siri, ludzie wygadują straszne brednie, potrafią ubzdurać sobie niestworzone rzeczy.

W zeszłym tygodniu mieliśmy sprawę samobójstwa rozszerzonego. Samotna matka odebrała życie sobie i pięcioletniej córeczce, bo była przekonana, że prześladowuje ją kartel narkotykowy z Ameryki Południowej. Uznała, że nie ma szans. Jej były facet przyszedł zabrać córkę na weekend i znalazł w sypialni oba ciała. Najpierw wmusiła tabletki dziecku, potem sama zażyła. Jej lekarz powiedział, że cierpiała na schizofrenię urojeniową, nad którą da się zapanować dzięki lekom. Problem w tym, że przestała je zażywać... – Kręci głową. – Chcę przez to powiedzieć, że człowiek chory może się na kogoś uwziąć. A ta kobieta z twojej grupy, Kattis, mówi pewnie, że ją prześladował, tak? Może się zafiksował na niej, uważa ją za przyczynę wszelkiego zła. Bo ja wiem?

Patrzy na mnie. Nagły podmuch wiatru, mam wrażenie, że porwie cały dom. Ściany wydają się cienkie i kruche.

– Może oboje cierpią na jakąś niezdrową wzajemną fiksację. W każdym razie nic na niego nie mamy. Nic konkretnego. W ogóle mamy niewiele konkretów. Wiadomo tylko jedno, że to był mężczyzna. Nie ma żadnych świadków poza tą małą dziewczynką. Ale pięć lat... Boże! – Urywa. – I żadnych dowodów materialnych. Koszmar policjanta. Morderstwo bez motywu i podejrzanego.

Przez chwilę milczymy. Markus chrząka.

– Posłuchaj, Siri...

Kręci się. Znam go na tyle, że wiem, co zaraz będzie. Napotykam jego spojrzenie. Spokojne, prostoduszne i szczerze. Markus jest archetypem uczciwego, dobrego policjanta. Dostrzegam również początki worków pod oczami, nieogolone policzki i nieco bardziej niż zwykle niechlujny ubiór. Dręczy go to, co się między nami dzieje. Ta gra, która żyje już własnym życiem, nawet ja nie znam jej reguł i nie mam do niej instrukcji.

– Musimy porozmawiać. O nas.

– Pewnie musimy – odpowiadam szybko.

Wiem, że ma rację. Musimy pogadać. To, co się stało Hillevi, ciągnące się w nieskończoność, straszliwe minuty w poradni z Henrikiem, myśl, że wszystko może się zaraz skończyć. Lęk, strach. W takich sytuacjach nagle widzimy rzeczy takimi, jakie są. Nadal nie wiem, czego chcę, czy chcę żyć z Markusem. Jednak myśl, że mogłabym go stracić, jest nie do zniesienia. I jeszcze to dziecko, które postanowiło we mnie zagościć. To coś nieplanowanego, niespodziewanego i zarazem przytłaczającego.

– Siri... bałam się, że ty zostałam ranna. I cały czas myślałam, że muszę ci to powiedzieć, chcę, żebyśmy jednak spróbowali. Bo to również moje dziecko. Wierzę, że cię kocham i... chcę z tobą być. Siri, kochanie, nie wykluczaj mnie ze swojego życia.

– Nie mogę ci niczego obiecać – mówię, patrząc Markusowi w oczy. – Niczego nie obiecuję, ale spróbujmy.

15 E18 – europejska trasa biorąca początek w Irlandii Północnej, przecinająca Szkocję, biegnąca przez Norwegię i Szwecję, Finlandię do Sankt Petersburga.

**komenda policji,
Värdö**

—
paždziernik

Pokój przesłuchań jest nieduży, kwadratowy, to samo co przedtem spartańskie umeblowanie: stół, kilka krzeseł, na suficie nieosłonięta jarzeniówka. Już nie ma zabawek, kredek i bloków do rysowania, które policyjna psycholożka przyniosła dla Tilde, żeby ją trochę oswoić. Na stole mikrofony. Żadnych obrazków ani ozdóbek. Niczego, co mogłoby posłużyć jako narzędzie walki. Wielkie lustro na jednej ścianie nie jest lustrem, tylko oknem do przyległego pokoju, skąd koledzy mogą obserwować przesłuchanie. Stoi tam Roger Johnsson, jedną ręką opiera się o szybę, drugą trzyma na biodrze.

Marek Długosz siedzi na krześle twarzą do lustra. Nie próbuje się stawiać. Nie tak jak wtedy, gdy go zgarniali i pyskował ile wlezie. Niewiele brakowało, a oskarżyliby gówniarza o stawianie oporu podczas zatrzymania.

Niedawno skończył szesnaście lat, czyli może już być pociągnięty do odpowiedzialności karnej. Powinien podziękować losowi, że akurat im się nie chciało.

Roger Johnsson przesuwa dłonią po włosach przerzedzonych nad czołem, wzdycha ciężko i siada na krześle. Wyjmuje tabletkę Losecu na zgagę. Mówi sobie, że mimo coraz większego zmęczenia dziś już nie będzie pić więcej kawy. Po raz kolejny obiecuje sobie, że ograniczy palenie albo chociaż przejdzie na słabsze papierosy. Piekący ból zmusza go do zmiany pozycji, prostuje się na krześle i wypycha klatkę piersiową do przodu.

Dawniej nie dawał się prowokować takim drobnym łobuzom jak Marek, nawet słuchał, co mają do powiedzenia, i próbował zrozumieć.

Jakby tu było coś do rozumienia.

Dawniej wolał darować winnemu, niż karać, i na niejedno patrzył przez palce. Wierzył, że może pomóc i coś zmienić.

Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Chodził po centrum Gustavsbergu, niczym Tato w mieście¹⁶, z co drugim dzieciakiem był na „cześć” i starał się rozumieć łobuziaków. Chciał ratować tych, którzy jeszcze nie wpadli po uszy, i ostrzegał najbardziej zagrożonych.

Ale.

Skończył z tym szajsem. Człowiek dociera do punktu, a właściwie rozdroża, gdy zdaje sobie sprawę, że musi wybrać między sobą a nimi, żeby nie zgłupieć i nie dać się zwariować.

Ile razy stawał na zawołanie i był wystawiany do wiatru? Ile razy gówniarze kłamali mu prosto w oczy? Ile razy przyrzekali, że nigdy więcej nie będą palić, kraść ani wdawać się w bijatyki?

Pieczenie powraca z jeszcze większą siłą, musi wstać i zrobić parę kroków przed lustrem, żeby odwrócić uwagę od bólu.

Obrazy przesuwiają się pod powiekami. Johnny Lanto w małym, rozsypującym się oplu.

Boże, dlaczego o nim myśli? Przecież to było tak dawno temu.

Johnny Lanto też obiecywał. Obiecał, że już nigdy nie podprowadzi ojcu samochodu, byle Roger nie zawiadamiał ojca, bo ten spuści mu takie manto, że Johnny nie będzie mógł ruszyć ręką ani nogą.

Następny obraz.

Tego, co kiedyś było twarzą Johnny’ego Lanto. Krwawa miazga. Jeszcze zanim go odwrócili i wyjęli legitymację z portfela, już wiedział, że to Johnny. Jasne, przydługie włosy. Pikowana, krótka kurtka do pasa. Zdemolowany opel, który dachował na zmarzniętym polu, a teraz przypominał martwego żuka.

Widział tylu martwych gnojzków. Tylu cholernych opryszków. Żadnego nie udało mu się uratować.

Hanna przysięgała, że już jest czysta i nawet cieszy się z ciąży, chociaż rzeczywiście jest na nią zdecydowanie za młoda. Uwierzył, pogładził po miękkich, długich, rudych włosach, nieporadnie życząc jej wszystkiego najlepszego.

Następny obraz: Hanna na podłodze toalety w centrum handlowym. Drobnie ciało wygięte w dziwnej pozycji. Jedna dłoń oparta o białe kafelki, jakby je głaskała. Twarz biała jak ściana, sine wargi. Sztynna jakby kij połknęła. Brzuch wystający spod T-shirta. Obok na brudnej podłodze

igła.

Pa, pa, Hanno. *Goodbye, adios, adieu*. Może byś jeszcze żyła, gdybym nie był taki cholernie naiwny. Twój dzieciak może grałby dziś w piłkę z moimi bliźniakami. Byliby w tym samym wieku.

I właśnie dlatego Roger Johnsson przestał cackać się z żulerią, ceregielić się z łobuzami.

Do pokoju przesłuchań wchodzi Sonja Askenfeldt. Siada naprzeciw Marka, tyłem do Rogera. Kościstymi palcami chwyta długopis i przystępuje do przesłuchania. Zaczyna od wymienienia daty i nazwisk. Ciemne, zniszczone włosy ściągnęła w obwisły ogonek. Do gumki jest coś przyklejone, wygląda ja motylek. Pożyczyła gumkę od córek?

Sonja jest w porządku. Solidna, dokładna i kompetentna w sposób dziś już rzadko spotykany. I zna się na ludziach, kapitalnie przesłuchuje. Młodzi prosto po szkole policyjnej mają dużą wiedzę na temat badań kryminalistycznych, syntetycznych narkotyków i zabójstw honorowych, ale nie potrafią przesłuchać podejrzanego, choćby nawet był to szesnastolatek.

Zwłaszcza szesnastolatek.

– Wczorom dwudziestego drugiego października znalazłeś się w budynku przy Blåsippevägen. Co tam robiłeś?

– Mówiłem już. Roznosiłem ulotki reklamowe. Przecież wiecie. Dlaczego znowu mnie o to pytacie?

Marek wygląda na zdenerwowanego; przybrał obronną postawę, ramiona skrzyżował na piersi, lekko postukuje podszwami o podłogę.

– Co to były za ulotki?

– Że co? Zwykłe ulotki reklamowe.

– Co reklamowały?

– Eee, sklepy Ica, jeszcze coś. Nie pamiętam.

– Dla jakiej firmy pracujesz?

– Jak to firmy?

– No, chyba z własnej inicjatywy nie wzięłeś ulotek ze sklepu w rynku?

– Aha, o to chodzi. Firma nazywa się Szwedzka Dystrybucja Reklam. Chyba.

Sonja notuje i odgarnia ciemne kosmyki opadające na twarz.

– Doszedłeś do drzwi Susanne Olsson i co?

– Były otwarte.

– Otwarte? Jak? Na oścież czy tylko uchylone?

– Jakoś tak lekko przymknięte. Zauważyłem to, gdy miałem wrzucić ulotki.

– I co wtedy zrobiłeś?

– Otworzyłem je.

Sonja niecierpliwie bębni długopisem o papiery.

– Dlaczego?

– Żeby... wrzucić ulotki.

– Nie mogłeś tego zrobić przez otwór wrzutowy?

– Nie chciałem, żeby...

– Co?

– Drzwi mogłyby się same zatrzasnąć i...

– Aha, i co?

– Może ktoś specjalnie je tak zostawił.

Sonja milczy i znów coś notuje na kartkach leżących przed nią, ściboli swoim drobnym, kanciastym pismem, dobrze znanym Rogerowi.

Dawniej mu się podobała. Ale to było, zanim się zrobiła taka chuda, jej włosy straciły blask, a cera na kościach policzkowych stała się skórzasta. Teraz patrzy na nią i nic nie czuje. Nie ma ochoty otrzeć się o kościsty tyłek ani pocałować wąskich warg pachnących nikotyną.

Wiesz głosiła, że facet rzucił ją dla dwudziestotrzyletniej higienistki stomatologicznej z Rygi. Nie wiedział, jak jest naprawdę. Nie pytał. Pracowali ze sobą od dziesięciu lat, ale nigdy nie pytał. Pewne sprawy muszą pozostać prywatne. Zwłaszcza w takiej pracy.

- I co zobaczyłeś, gdy otworzyłeś drzwi?
- Właśnie wtedy go zobaczyłem. Znaczy portfel.
- Nic innego? Nic nie słyszałeś?
- Ciemno było. Poza tym słuchałem muzyki.

Sonja kiwa głową.

- I wtedy wziąłeś ten portfel.
 - Tak, już mówiłem. Dlaczego pani znów pyta?
 - Tutaj ja zadaję pytania. Odpowiadaj. Dlaczego wziąłeś portfel?
- Marek mamrocze coś niewyraźnie.
- Mów tak, żebym słyszała, nie jesteś u swojej polskiej mamusi.
 - Chciałem tylko sprawdzić.
 - Co sprawdzić?

Marek wzrusza ramionami.

- Odpowiadaj na pytanie.
- No dobra, pomyślałem, że może w środku są pieniądze.
- Które postanowiłeś sobie wziąć.
- Nie wiem. W ogóle nie myślałem. No dobra, zabrałem. Jakoś tak.

Marek podnosi głos, który brzmi ostro, ochryple, Roger dostrzega przez szybę słaby rumieniec na jego policzkach.

- Dziewczynka mówi, że człowiek, który zabił jej mamę, zabrał pieniądze. Co ty na to?

Marek rozkłada ręce z rezygnacją.

– A co mam powiedzieć? Nic nie wiem. Nie zabiłem jej, ja ją tylko znalazłem. Mogłem ją zostawić, ale pomogłem tej małej. I teraz dostaję za to wycisk. Co pani myśli, że jak ja się z tym czuję?

– A my podejrzewamy, że dwudziestego drugiego przyszedłeś wieczorem do Susanne, zabrałeś portfel i śmiertelnie ją pobiłeś. Mamy świadka, który to potwierdza.

- To chore. Ja nie... ja nigdy... nikomu nic nie zrobiłem...

Sonja kartkuje papiery.

– Wiesz co, przeczytam ci. Zaraz... w zeszłym roku pobicie, również w zeszłym kradzież w sklepie. W lipcu tego roku...

- Ale nigdy nikogo NIE ZABIŁEM! Zrozum wreszcie, KURWO jedna!

Jego słowa nie robią wrażenia na Sonji Askenfeldt. Wystudiowanym gestem nachyla się do mikrofonu, patrzy na zegarek, spokojnie zapowiada krótką przerwę w przesłuchaniu i wyłącza nagrywanie. W następnej chwili tak mocno wali dłońią w stół, że Marek aż podskakuje na krześle, a potem chowa twarz w dłoniach.

Roger uśmiecha się do siebie.

Sonja raz-dwa sobie poradzi z tym polskim szczeniakiem.

16 Farsor o morsor på stan – pol. Tatusiowie i mamusie w mieście – nieformalna organizacja wolontariuszy, którzy w weekendy chodzą nocą po Sztokholmie, aby pomagać młodym ludziom w kłopotach.



Siedzę w poradni, w moim pokoju zwanym zielonym gabinetem.

Aina trzyma mnie za rękę. Kurczowo.

Dzisiaj, choć raz, ona jest słaba, strumienie łez spływają jej po zaczerwienionych policzkach. Rękawem fioletowego mohеровego swetra wyciera łzy.

– Dlaczego właśnie Hillevi? To niesprawiedliwe. Kto się teraz zaopiekuje jej dziećmi? Ojciec? Ten, który je bije?

Ściskam jej rękę, nie odpowiadam, bo co miałabym powiedzieć? To była zresztą moja pierwsza myśl, gdy już ustąpił szok. Dzieci Hillevi, jej trzech chłopcy, którzy tak się bali taty, jeden się nawet posusiał, gdy tata miał go odebrać ze szkoły. Co z nimi będzie?

W drugiej ręce miętoszę wilgotną karteczkę, patrzę na Ainę, a ona na mnie.

– No dzwoń!

Kiwam głową i rozwijam karteczkę z nabazgranym numerem telefonu kierowniczkii schroniska dla kobiet Solgården, gdzie Hillevi mieszkała razem z dziećmi.

Pięć sygnałów bez odpowiedzi, wreszcie wysoki głos odzywa się z akcentem bodajże hiszpańskim.

– Schronisko Solgården, Mirta przy telefonii.

Spokojnie, może trochę pośpiesznie wyjaśniam, o co mi chodzi, mówię, że Hillevi przychodziła na spotkania grupy wsparcia, na których opowiadała o przemocy w swojej rodzinie, że byłam przy jej śmierci i teraz się zastanawiam, co dalej.

– Chodzi mi o dzieci, martwię się, co z nimi będzie. Ciągłe o tym myślę. Przecież jej mąż bił również jednego z synów. Chyba wiedzieliście o tym, prawda? Dzieci nie powinny do niego trafić.

– To tragiczne – mówi Mirta, jakby nie słyszała, co do niej mówię. – Tyle lat tu pracuję i jeszcze nie straciłam żadnej kobiety. Ani jednej. Dziewczyny bywały bite i gwałcone, ale nie mordowane. *Dios mío*, nie potrafiliśmy jej uchronić.

– Ale to nie mąż ją zabił.

– Przemoc mężczyzn wobec kobiet – zaczyna Mirta, urywa i wzdycha głęboko. – Co mogę dla pani zrobić?

– Co z dziećmi?

– Dziećmi zajęła się opieka społeczna. Przebywają w pogotowiu opiekuńczym w Nacka, gdzie pozostaną do zakończenia dochodzenia.

– Dochodzenia?

– No tak, najstarszy syn, chyba ma na imię Lucas, mówił, że ojciec go bił. Więc poinformowaliśmy o tym opiekę społeczną, jak zawsze, gdy dziecku dzieje się krzywda. Zgodnie z prawem. Wydział do spraw rodzinnych w zarządzie opieki społecznej prowadzi teraz coś w rodzaju przyspieszonego dochodzenia. Ale skoro pani pyta, przypuszczam, że za parę tygodni dzieci trafią z powrotem do ojca. Zwykle tak jest. Bardzo trudno będzie udowodnić, że oskarżenie chłopca jest prawdziwe. A ojciec... siłą rzeczy jest teraz ich jedynym opiekunem. Może wydam się pani cyniczna, ale sądzę, że tak właśnie będzie.

Nagle w tle słyszę tak przeraźliwy wrzask dziecka, że słuchawka prawie wypada mi z ręki. Słyszę, jak Mirta łaje kogoś po hiszpańsku, zapewne dziecko.

– Przepraszam, straszne tu zamieszanie. Właśnie przyjęliśmy trzy nowe dziewczyny. Życie musi się toczyć dalej. – W słuchawce zapada milczenie, żadna z nas nie wie, co powiedzieć.

W końcu Mirta się odzywa: – Hillevi była wyjątkową dziewczyną, prawda?

– Tak, to była rzeczywiście niezwykła osoba.

– Miała w sobie siłę i potrafiła nią natchnąć wszystkie pozostałe dziewczyny. – Głos jej się łamie, nie wiem, co odpowiedzieć. – Istny anioł był z tej dziewczyny. Naprawdę – miękko dodaje Mirta.

– Zgadza się – szepczę. – Istny anioł.

Krótki odcinek od hal Söder do mieszkanek Ainy przy Blekingegatan 27 pokonujemy piechotą. Zimny deszczyk padający w ciemności sprawia, że liście, których całe sterty leżą wokół Allhelgonakyrkan, są niebezpiecznie śliskie. Aina nic nie mówi, kuli się przed deszczem i wiatrem.

Czerwony szalik ma kilkakrotnie owinięty wokół szyi, ręce głęboko wsunięte do kieszeni, wzrok utkwiony w mokrym asfalcie.

Dotarłszy do domu, zapala świece i wstawia czajnik. Siadamy przy stole w starej kuchni. Milczymy. Mam wrażenie, jakby Hillevi była razem z nami w tym cichym mieszkanku. Niemal czuję zapach jej łagodnych perfum o lekko męskiej nucie, widzę twarz o delikatnych jak u lalki rysach i idealnie wymanikiowane dłonie.

– Co za koszmar.

Aina gryzie paznokieć kciuka i patrzy przez okno na ciemną ulicę, gdzie deszcz spływa brudnymi strumyczkami do rynsztoka.

Przytakuję w milczeniu, popijam gorącą herbatę, drugą ręką delikatnie głaszczę Ainę. Nagle spogląda na mnie, w jej spojrzeniu jest coś mrocznego, tłumiony gniew, który domaga się ujęcia. Są chwile, gdy budzi we mnie lęk; czasem jest w niej tyle mroku, bywa taka ostra.

To mi przypomina inny mroczny gniew.

– Wiesz, ta cała historia z Hillevi... Tak mnie pochłonęła i wykończyła, że prawie zapomniałam o jednej rzeczy. Pamiętasz, co Malin powiedziała podczas tamtej sesji, jeszcze zanim Hillevi została postrzelona?

– Malin?

– To było przed przyjściem Henrika. Powiedziała coś dziwnego, że może Susanne, ta kobieta skopana na śmierć, zasłużyła na to, co ją spotkało. Pamiętasz?

Aina ostrożnie odstawia filiżankę na spodek.

– Pamiętam. O co jej mogło chodzić? Bardzo dziwne stwierdzenie.

Wzdrygam się, czuję mrowienie w okolicy żołądka.

– Czy Malin nie wydaje ci się lekko podejrzana? Całe to gadanie na temat siły i samoobrony, potem jeszcze ta uwaga.

Aina przez chwilę milczy.

– Sama nie wiem. Ja uważam, że Kattis też jest trochę dziwna.

– Kattis? Najnormalniejsza w świecie. Dlaczego tak mówisz?

Aina unosi dłoń, jakby chciała mnie powstrzymać.

– Zaczekaj, Siri. W sprawie Kattis jesteś nieobiektywna. Strasznie się zakumplowałyście. Trzymacie się za ręce w poradni, dzwonicie do siebie, żeby się wypłakać. Uważasz, że to w porządku? Że to etyczne?

Policzki jej płoną, widzę, jak zaciska szczęki.

– No wiesz co... – śmieję się. – Chyba nie jesteś zazdrosna? – wymyka mi się i naraz czuję ciężar tego pytania.

Aina marszczy brwi i odchyła się na rozchybotanym krześle.

– Może. Nie zapominaj, że był okres, kiedy wszystkim się ze sobą dzieliłyśmy.

Odbieram jej słowa jak policzek i odwracam twarz, kiedy to sobie uzmysławiam: Aina ma rację. Utraciłyśmy część dawnej bliskości. Może z powodu tego, co łączy mnie z Markusem. A może nie pielęgnowaliśmy naszej przyjaźni i nie oparła się działaniu czasu, który nadał jej inny kształt.

Sięgam po serwetkę z kupki na stole. Nadruk przedstawia drzewko świętojańskie¹⁷. Z niedowierzaniem pokazuję Ainie, potem wycieram w nią nos.

– Może pora na zmianę dekoracji w kuchni?

Aina uśmiecha się.

– Carl-Johan przyniósł je w zeszłym tygodniu. Nie wiem, skąd on bierze te wszystkie dziwne szpargały.

– Carl-Johan – smakuje to imię. – Zdaje się, że już od dłuższego czasu się z nim spotykasz, prawda?

Aina z zażenowaną miną kręci się na krześle.

– Tak, chyba tak.

– Masz ochotę mi o tym opowiedzieć?

– W żadnym razie.

Romanse Ainy są legendarne. W jej życiu ciągle pojawiają się nowi mężczyźni. Od lat obserwowałam, jak przychodzą i odchodzą. Młodzi i starzy, długowłosi i łysi, brodaci i ogoleni. Śmieciarze i dyrektorzy. Szwedzi i cudzoziemcy. Aina nikogo nie dyskryminuje, wydaje się, że jej hasłem jest różnorodność. Stąd moje zdziwienie, że nadal spotyka się z tym facetem. Powinien być spławiony dawno temu.

– Chyba się nie...?

Aina przecząco macha ręką.

– Oczywiście, że nie.

Ale ucieka wzrokiem i rumieni się.

– O cholera.

Wzdycha głęboko.

– Musimy gadać o moich historiach łóżkowych? Tak się składa, że Hillevi nie żyje.

W milczeniu o tym rozmyślamy, podczas gdy w filiżankach stygnie herbata.

– Cały sens spotkania w cztery oczy polega na tym, żebyś mógł mówić o sprawach, których nie chcesz poruszać w obecności Mii. To nie musi mieć nic wspólnego z waszą relacją, równie dobrze może dotyczyć spraw, które sam chciałbyś przepracować.

Umówiliśmy się z Patrikiem na rozmowę tylko we dwoje. W ostatnich dniach niezbyt wiele pracowałam, co w tych okolicznościach chyba nie dziwi. W moich snach to nie Sirkka, tylko ja pochylam się nad Hillevi, usiłując zatamować krew lejącą się z jej brzucha. Zanurzam dłonie w jej pulsującym, ciepłym ciele. Uzmysławiam sobie beznadziejność sytuacji, gdy budzę się zrana z kołdrą owiniętą wokół mojego pasa jak wielki wąż.

Siedzący naprzeciw mnie Patrik wzdycha głęboko i wymownie krzyżuje ramiona na piersi, całym swoim długim ciałem wyrażając frustrację.

– Oczywiście, ale to nie ja mam problem.

– Rozwala ci się związek i nie masz problemu?

– Ale nie z mojej winy.

– Czyli jednak masz problem, tak?

Patrik znów ostentacyjnie wzdycha, nawykowym ruchem wsuwa prymkę pod spękaną górną wargę i wyciera rękę o wilgotne dżinsy. Potem patrzy w szare okno. Znów pada. Drobną, ale nieustająca mżawka, co pewien czas nasilająca się przez podmuchy wiatru zza węgłów.

Wyczuwam zapach nawilgłego od deszczu wełnianego swetra Patrika i nagle wracają do mnie wonie z dzieciństwa: zapach przemoczonych od śniegu rękawiczek, przepoconych ocieplaczy, które trzeba było ściągać po nartach, macanki na wilgotnym perskim dywanie z przyszczatym kolegą z klasy, z którym pewnego jesiennego wieczoru piliśmy białe wino. Po prostu różne odmiany wełny. Wspomnienia zapachów odcedzone w zakamarkach pamięci.

Chyba zauważył, że jestem rozkojarzona, bo pytająco wzrusza ramionami.

– Moim problemem jest Mia – szepcze w końcu.

– Zależności przyczynowo-skutkowe bywają bardzo złożone. Jeśli jedna z osób w związku ma problemy, wpływa to na cały związek. I na odwrót: można powiedzieć, że główny problem nie zawsze leży po stronie osoby, która się na niego uskarża.

– A według mnie to jest pieprzenie trzy po trzy – oświadcza Patrik beznamiętnie, patrząc na mnie ponad stolikiem, na którym stoi karafka z wodą, szklanki i pudełko chusteczek.

Rozparł się nonszalancko na fotelu. Nie rozebrał się, siedzi w mokrej skórzanej kurtce, jakby nie do końca przyjął, że mamy spędzić ze sobą godzinę, i w ten sposób podkreślał, że zaraz, za chwilę sobie pójdzie.

– Patriku – mówię z wahaniem, namyślając się, jak to ująć – podczas sesji często jesteś pełen złości. I wydajesz się bardzo rozgniewany na Mię. Zastanawia mnie, co wywołuje w tobie aż taki gniew.

– To chyba oczywiste.

– Na pewno?

– Przecież nie można zachowywać się tak jak Mia. Ona... popełniła zradę... wobec dzieci. Decydując się na dziecko, człowiek bierze na siebie odpowiedzialność. Zgadzasz się z tym?

– W jakim sensie uważasz, że Mia was zdradziła?

Patrik ciężko wzdycha, po raz dziesiąty chyba podczas tej rozmowy.

– Mam jeszcze raz powtórzyć? Uzależniła się od tabletek przeciwłękowych. To chyba... skrajny przejaw zdrady. Już bardziej nie da się zaszkodzić swoim najbliższym. Dla niej tabletki są ważniejsze od nas. To proste.

– Czujesz się odrzucony?

– Odrzucony, nieodrzucony, nie o mnie chodzi, tylko o dzieci. I w dodatku sama tak wybrała. Jak można na pierwszym miejscu postawić pudełko tabletek, a nie własne dzieci?

Przecież dziecko jest całkowicie zależne od matki? Tak, przyznaję, że doprowadza mnie to do szału.

Na chwilę zapada milczenie. Patrik lekko stuknął podszewką o podłogę.

Jest w tym niecierpliwość. Rozpacz.

– Zastanawiam się, Patriku, czy kiedyś spotkało cię już coś podobnego? Może ktoś cię zaniedbywał? W dzieciństwie?

Patrik nieruchomieje i zaczyna mrugać powiekami, uzmysławiam sobie, że trafiłam, pochylam się i wbijam w niego wzrok, koncentrując na nim całą uwagę.

– Co to ma do rzeczy?

– Tego jeszcze nie wiemy. A więc spotkało cię coś podobnego?

– Może.

– Co to znaczy?

Patrik znów zaczyna tupać, wydaje z siebie westchnienie i chowa twarz w dłoniach.

– Matka... moja mama popijała.

– Czyli twoja mama była alkoholiczką? Ile miałaś lat, gdy zaczęła mieć problemy z piciem?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że zawsze miała. Ale zdałem sobie z nich sprawę, gdy miałem ze sześć, siedem lat.

– Jak to wpłynęło na wasze stosunki?

– Nie upijała się do nieprzytomności, nie dochodziło do sytuacji, żeby przyjeżdżała opieka społeczna. Wiesz, o co mi chodzi. Ale była cholernie humorzasta. Czasem nie dawała nam jeść. Po szkole prawie zawsze jadałem u kolegów. Wszyscy nam pomagali. Wychowałem się na Domarö, w Archipelagu Sztokholmskim. To mała społeczność, ludzie trzymają ze sobą, nikt na siebie nie donosi. Oczywiście wiedzieli, że matka pije, więc pomagali, jak mogli. Jednak nikt... nic nie mówił. Owszem, zdarzało się, że nas biła. Albo wrzeszczała na nas. Nie wiem, co było gorsze. Brałem wtedy pod skrzydła mojego młodszego brata.

– Jak długo to trwało?

– Wyprowadziłem się z domu, gdy miałem szesnaście lat. Gdy skończyłem osiemnaście, mama umarła. To był wypadek samochodowy, bez związku z jej piciem. Chyba.

– Co czujesz na myśl o matce?

– Nie myślę o niej.

Odpowiedź pada błyskawicznie, Patrik ma zdecydowane spojrzenie, nie ucieka przed moim wzrokiem.

– Oczywiście, że myślisz. Nie udawaj. Postaraj się, nazwij słowami, co wtedy czujesz.

– Jestem... Chyba jestem... wściekły – mówi i po chwili wahania ciągnie: – Sam bym w to nie uwierzył, od bardzo dawna o tym nie myślałem. Ale zgadza się, jestem wściekły. Koniec. Kropka.

– Co cię tak złości?

– No przecież zanieczyściła nas. Uzależnienie było dla niej ważniejsze od nas, jej dzieci.

Pochylam się w przód.

– Czyli tak jak dla Mii?

Patrzy na mnie w milczeniu i ręce mu się trzęsą. Oczy mu zwilgotniały, twarz wydaje się dziecinna, mimo zarostu. Spojrzenie błagalne.

Nie nie mówię, tylko kiwam głową.

Znów pada.

Twarde krople siekają w przednią szybę mojego samochodu. Wycieraczki próbują nadażyć ze zgarnianiem wody. Odgłos pióra przesuwającego się po szybie, usypiający, w jakimś sensie dający poczucie bezpieczeństwa.

Wzięłam dziś wolne. Poprzesuwałam wizyty pacjentów, by mieć jeden dzień wolny. Jadę teraz do miasta, mijam czerniejące zatoczki i domki letnie, które tego szarego, jesiennego dnia są samotne i opuszczone. Latem drogę do miasta znaczy migotanie wody, żaglówki i mrowie turystów. Teraz okolica jest bezludna, autostrada prawie pusta. Jedynie od czasu do czasu spotykam samochód jadący z przeciwka, którego żółte światła odbijają się w mokrej jezdni, a na wysokości Baggensstaket¹⁸ wyprzedza mnie miejscowy autobus, który spryskuje mój samochodzik jeszcze większą ilością wody. Poza tym nic.

Otoczająca mnie pustka daje przestrzeń do rozmyślań. To, co dotychczas usiłowałam od siebie odsunąć, jest już faktem. Dodatkowo udowodnionym przez błąd błękitny plusik na plastikowym patyczku.

Dziecko.

Próbuję sobie przypomnieć, kiedy to się stało. Jestem dorosła, wiem, jak się robi dzieci i jak się przed tym chronić. Jednak nie mam pojęcia, kiedy to się mogło stać. Ani jak. Nie ogarniam tego. Nie rozumiem, ale gdy wzięły mnie w posiadanie nudności, od razu to, co wydawało się nierealne, stało się realne. Bo dokładnie tak samo było poprzednim razem.

Wtedy, ze Stefanem.

To miało być nasze dziecko. W końcu go nie było. A teraz nowe dziecko. Zaskakujące. Dziwne. Niepojęte. Myślę o Markusie. O jego spontanicznej radości, a potem cierpieniu z powodu braku odzewu z mojej strony. Przez chwilę jest mi wstyd. Wstyd, że nie jestem w stanie kochać Markusa tak, jak on mnie, pali mnie głęboko w trzewiach. Nie potrafię, boję się, nie chcę. Nawet nie mam siły się zastanawiać dlaczego. Wiem tylko, że coś mi nie pozwala odpuścić sobie.

Do tego dochodzi moja przesadna wiara, że wszystko, czego się dotknę, ulega zniszczeniu. Wszyscy, których kocham, giną. Jeśli odpuszczę sobie i ustąpię Markusowi, to... No co? Sama myśl jest irytująca i irracjonalna, wiem też, że depresyjna i niekonstruktywna.

Skręcam w stronę Södermalmu i zaczynam szukać miejsca, które jest celem mojej wyprawy. Pojedynczy ludzie idą szybko pod wielkimi, czarnymi parasolami. Od strony Sofia skola¹⁹ idzie grupka dzieciaków, które w ogóle nie zważają na deszcz. Są przemoczone do nitki, włosy lepią im się do twarzy, ale zajmuje je jedynie wytarta piłka, którą kopią, i podawana z rąk do rąk torebka chipsów.

Jeszcze tylko parę przecznic i jestem na miejscu. O dziwo znajduję miejsce do parkowania przed samym wejściem, biegnę potem do oszklonych drzwi prowadzących do budynku z czerwonej cegły licówki. W środku wystarczy podążyć za tabliczkami wskazującymi, gdzie przyjmują położne. Balansując na jednej nodze, wkładam na buty brzydkie plastikowe ochraniacze wzięte z kosza przy wejściu.

W okienku recepcji jest pusto, siadam na jednej ze stojących tu wielkich kanap i zaczynam kartkować jakiś tygodnik, jednocześnie rozglądając się po wnętrzu. Na sąsiedniej kanapie siedzi nieprawdopodobnie gruba kobieta i rozmawia przez komórkę. Słyszę, jak opowiada o swoim wysokim ciśnieniu, hospitalizacji i zatruciu ciążowym i jednocześnie, przypuszczalnie podświadomie, gładzi swój kolosalny brzuch.

Z pewnego oddalenia dochodzi brzęk porcelany i stłumione śmiechy. Ściany zdoobi sztuka z Ikea, afisze informujące o kobiecym telefonie zaufania i wezwania do uczestnictwa w projekcie badawczym dotyczącym doświadczeń bólowych u rodzących.

Wszędzie gazetki o ciąży i dzieciach.

Nagle otwierają się drzwi, wygląda zza nich kobieta około pięćdziesiątki. Ma kręcone włosy, ubrana jest w tunikę haftowaną w kwiatki. Między piersiami duży wisior z brązu. Na mój widok przekrzywia głowę.

– Pani Siri Bergman?

Kiwam głową i w tym momencie mam przyływ nudności. Boję się, że zwimiotuję w tej porządnej poczekalni, ale jednocześnie myślę, że w tym miejscu stworzonym specjalnie dla ciężarnych na pewno byłoby to tolerowane lepiej niż gdzie indziej.

– Dzień dobry, nazywam się Monica Wall i jestem położną. Witam panią serdecznie.

Ciepłą, suchą dłonią chwyta moją wilgotną rękę, następnie prowadzi do swojego gabinetu i wskazuje krzesło naprzeciw dużego biurka. Na ścianie nad biurkiem wisi mnóstwo zdjęć niemowląt. Kartki z podziękowaniami od rodziców i dzieci. Ciekawe, czy na tej ścianie zawisnie również zdjęcie dziecka, które jest w moim brzuchu, ale wydaje mi się to tak abstrakcyjne, że nie zastanawiam się nad tym dłużej.

Położna mówi, że najpierw musi mnie zarejestrować, potem przejdziemy do innych spraw. Zapisuje mój wzrost i wagę, mówi mi o ciśnieniu krwi i materiałach informacyjnych.

– A tatuś gdzie?

– Tatuś? – Powtarzam po niej jak echo, pozbawione treści.

Monica Wall podnosi na mnie wzrok. Ma wyjątkowo przejrzyste, niebieskie oczy.

– Chyba że jest pani samotna. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Prowadzimy grupy dla mam, które są osobnymi rodzicami. Właśnie tak je nazywamy. Osobne, a nie samotne matki. Przecież nieobecność ojca nie musi oznaczać, że matka jest samotna. – Uśmiecha się, chcąc mi dodać otuchy, a ja raz za razem przełykam ślinę, żeby pozbyć się kwaśnego smaku w ustach.

– Ojciec jest, ale nie mógł mi dzisiaj towarzyszyć. Nie mieszkamy razem, ale jesteśmy w związku, więc...

– Rozumiem – mówi położna i znów się uśmiecha. – Będzie mile widziany, niezależnie od tego, kiedy się zgłosi. Przecież on też będzie miał dziecko, bardzo zachęcamy ojców do uczestnictwa w naszych zajęciach. Czy to pani pierwsze dziecko? – pyta pogodnie. Coraz bardziej drażni mnie ta spokojna, zrównoważona i uśmiechnięta kobieta. Wydaje się, że znajduje odpowiedź na każde pytanie.

– Miałam kiedyś późną aborcję. Tamto dziecko... płód... był uszkodzony i nie miał szans na przeżycie. Odkryli to podczas rutynowego badania USG. Ale to było pięć lat temu.

Położna podsuwa mi chusteczki, uzmysławiam sobie, że płaczę, nawet tego nie zauważyłam. Hormony, wszystko przez te cholerne hormony.

Monica Wall ma niewzruszoną minę, jakby płaczące ciężarne były częścią jej codzienności, i na pewno tak jest. Po chwili pyta dalej. Ostatnia miesiączka, przebyte choroby, pigułki antykoncepcyjne. Odpowiadam, jak potrafię, stwierdza, że tylko badanie USG pozwoli stwierdzić, od jak dawna jestem w ciąży, ponieważ mimo ciąży miałam krwawienia przypominające miesiączkę.

– Czy pani pali? – Podnosi wzrok znad komputera, na którym wypełnia formularz dotyczący stanu mojego zdrowia.

Zwlekam chwilę z odpowiedzią.

– Jeśli tak, pomożemy pani rzucić. Współpracujemy z przychodnią, która oferuje odwyk za pomocą hipnozy.

– Palę tylko sporadycznie – odpowiadam. – Nie nałogowo.

Z zadowoloną miną zapisuje to w formularzu, a mnie znów robi się niedobrze. Wiem, o co teraz spyta. Nie wiem tylko, jak odpowiedzieć na pytanie, którego się boję, bo nada nazwę moim obawom. Od razu przychodzi mi wtedy na myśl uszkodzenia płodu, wady wrodzone, drobne i delikatne komórki nerwowe.

– A co z alkoholem?

– Dopiero co się dowiedziałam, że jestem w ciąży, przedtem, owszem, piłam... Ale bardzo niewiele. Naprawdę. – Patrzę w jej przejrzyste niebieskie oczy i uśmiecham się. – W zasadzie nigdy nie piję mocnego alkoholu, najwyżej trochę wina z uroczystej okazji.

Monica Wall odpowiada mi promiennym uśmiechem.

– To doskonale, w takim razie pora się zważyć – mówi, wskazując elektroniczną wagę stojącą w kącie pokoju.

Notatka w dzienniku Poradni Psychiatrycznej dla Dzieci i Młodzieży

Pierwsza wizyta:

Wizyta jedenastoletniego chłopca z rodzicami. Chłopiec ma problemy w szkole. Bywa agresywny. Z relacji rodziców wynika, że syn, który jest mocnej postury i silny, często wdaje się w bójkę, ponieważ nie panuje nad złością, gdy koledzy się z nim drażnią. Chłopiec się żali, że dzieci są dla niego niedobre, wolałby nie chodzić do szkoły. Codziennie trzeba pokonywać jego opór, co jest bardzo trudne.

Rodzice opisują syna jako dziecko w gruncie rzeczy spokojne i harmonijne, chociaż od początku nieco odmienne. Nie potrafią jednak sprecyzować, na czym miałyby to polegać. Mówią o trudnościach w przyswajaniu wiedzy, że zawsze był samotnikiem i wolał towarzystwo rodziców od kontaktów z innymi dziećmi. Lubi dłużej przy samochodach razem z ojcem, który ma warsztat samochodowy. Rodzice uważają, że ich wzajemne relacje są dobre mimo pewnych tarć związanych z problemami syna. Ojciec przyznaje, że czasami ma pretensje do żony o zbyt uległość wobec syna, którego należałoby krócej trzymać, wyznaczając wyraźne granice. Matka gotowa jest przyznać mężowi rację, ale tłumaczy, że trudno jej zachować surowość, widząc, jak syn cierpi.

Chłopiec sprawia wrażenie nieśmiałego. Unika patrzenia w oczy, wbijając wzrok we własne ręce. O tym, co się stało, opowiada monosylabami, bez emocji. Sprawia wrażenie, jakby powstrzymywał agresję, broniąc się w ten sposób przed swoją skłonnością do autodestrukcji. Mówi, że koledzy są głupi i nie chcą się z nim bawić. Niedawno dwaj koledzy zrobili mu „brzydki kawał”, ściągając mu spodnie przed dziewczynką, w której się kocha, i pokazując jego „tłustego fiuta”, jak mówili. Powiedział, że zrobiło mu się aż gorąco i chciał „rozkwasić” tamtych. Ponieważ jest duży i silny, udało mu się ich obezwładnić, a jednemu tak poharatał twarz, że trzeba było mu założyć osiem szwów. Chłopiec nie żałuje tego, co zrobił, i uważa, że kolega dostał „za swoje”. Mówi również, że inne dzieci są dla niego niedobre, dlatego nie chce chodzić do szkoły. Na pytanie, co w takim razie chciałby robić, odpowiada, że pracować w warsztacie z tatą.

Podsumowanie:

Jedenastoletni chłopiec na przemian agresywny i impulsywny, następnie pasywny i zamknięty w sobie. Jedynek. Ojciec jest mechanikiem samochodowym, właścicielem warsztatu, matka ma kwiaciarnię. Rodzice wydają się nadopiekuńczy i nadmiernie kontrolujący syna, impulsywne zachowanie chłopca jest przypuszczalnie reakcją na to. Problemy w szkole prawdopodobnie wynikają stąd, że rodzice niechętnie wypuszczają go z domu. Hipotezę tę może potwierdzać jego wysoka absencja w szkole.

Trudności chłopca mogą wynikać z patologicznych stosunków rodzinnych, dlatego zalecam terapię rodzinną. Wyznaczam rodzicom następną wizytę za dwa tygodnie.

Anders Krepp, psycholog, terapeuta rodzinny

Markus nakrywa do kolacji. Na wysłużonym stole z opuszczanym blatem stawia talerze, obok rząd kieliszków i sztuce ułożone w dwie porządne kupki.

– Tak będzie dobrze?

– Jasne, sami sobie będą nakładali. Nie ma potrzeby nikogo usadzać, w końcu to tylko Vijay i Aina.

Markus się uśmiecha, wyciąga długie, muskularne ramię i łapie mnie w biegu, przytula z oczywistą pewnością siebie. Ładnie pachnie po prysznicu, wtulam nos w rękaw jego szarej bluzy.

Trudno mi określić uczucie, które we mnie narasta. Jakaś nadzieja i ufność, nieznana mi od lat. I jeszcze coś: miękkie, ciepłe poczucie szczęścia promieniujące na całe ciało. Jakby w ciemnym listopadowym Sztokholmie zaświeciło na mnie słońce.

Markus odkorkowuje wino Amarone i niemal w tym samym momencie rozlega się pukanie do drzwi. Idę na palcach do przedpokoju i nachyliwszy się, zerkam przez wizjer zainstalowany przez Markusa po tym, gdy zostałam napadnięta we własnym domu.

Twarze Ainy i Vijaya uśmiechają się do mnie groteskowo, wykrzywione przez soczewkę.

Vijay trzyma w ręku butelkę wina.

Otwieram, wpuszczając wilgotne, zimne powietrze, i ściskam ich na powitanie.

Chwilę później siedzimy już przy stole w kuchni, zjadając bœf bourguignon przygotowany przez Markusa. Z pokoju dochodzi trzask ognia na kominku. W domu unosi się słaby zapach dymu. Aina jest w wełnianym swetrze i grubych wełnianych skarpetkach. Musi jej być jeszcze zimno, bo podciągnęła kolana pod sweter, przez co wygląda jak żaba. Policzki jej płoną w słabym świetle świec.

Za oknem ciemno choć oko wykol. Ciemność jest tak nieprzejrzana, że nie da się dostrzec nawet konturów drzew nad zatoką ani błysków nieba odbijającego się w niespokojnym morzu. Przez cienkie, pojedyncze szyby dochodzi szum fal.

Vijay podchodzi do tematu ostrożnie i z wahaniem pyta:

– No i jak się teraz czujecie? Po wszystkim, co się stało?

Aina wypija spory łyk wina, patrzy w okno i wzrusza ramionami.

– Sama nie wiem. Dziwnie. To nadal wywołuje wiele emocji, cały czas o tym myślę. Bez przesady mogę powiedzieć, że budzę się i zasypiam z tym.

– A mnie się to śni – wtrącam i od razu żałuję moich słów, bo dostrzegam niepokój w ich oczach.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – miękko, ale podchwytliwie pyta Vijay.

Wiem, co sobie pomyślał. Co oni wszyscy myślą. Że wciąż jestem bardzo delikatna i nie potrafię sprostać takim sytuacjom, kiedy w najlepszym razie cierpi na tym mój profesjonalizm, a w najgorszym moja psychika.

Vijay strzepuje kilka ziarenek ryżu z bluzy, na której ma znajome logo hardrockowego zespołu z lat siedemdziesiątych. Z Vijayem nigdy nie wiadomo, może to autentyczna miłość do tej muzyki, a może nowy, nieznany mi trend, który nie dociera do moich tradycyjnych sklepów.

– E tam, nieważne – zbywam lekceważącym machnięciem, ale widzę na ich twarzach niedowierzanie, więc dodaję: – No dobrze, faktycznie mi się śniło, że nie Sirkka, tylko ja próbuję ratować Hillevi, tamując dłońmi krwotok.

W tym momencie sen przypomina mi się tak wyraźnie, jakby rzeczywiście tak było: krew bucha z drobnego ciała Hillevi, a ja zanurzam ręce w ciepłych, pulsujących trzewiach. Życie uchodzi z niej, w miarę jak kałuża na podłodze się powiększa, a rozrzucone drożdżówki chłoną krew i czerwienieją, przypominając ogromne róże.

Krwawe róże.

– I jak to się skończyło? – pyta Markus. – Uratowałaś ją?

– Zbędne pytanie – odpowiadam. Chyba trochę za ostro.

– Może masz wyrzuty sumienia w związku z jej śmiercią – ciągnie Markus, a ja czuję wzbierającą irytację.

– Myślę, że dopisujesz do mojego snu rzeczy, których w nim nie ma – mówię cicho,

starając się zapanować nad głosem. Nie chciałabym zepsuć wieczoru, który zaczął się tak obiecująco.

Aina najwyraźniej wychwyciła napięcie między nami, bo rusza mi na odsiecz.

– Co o tym sądzisz, Vijay? Myślisz, że Henrik zabił również Susanne?

– Kochana. Nie powiem ci. Byłbym niepoważny, wypowiadając się w tej kwestii bez pogłębionej wiedzy na temat tej zbrodni.

– Jednak mógłbyś powiedzieć cokolwiek. Choćby jakiego rodzaju osoby dopuszczają się takich rzeczy?

Vijay porusza się niespokojnie i wzdycha.

– Spróbuję – zaczyna. – Sprawca lub sprawczyni zastał ją w domu razem z córeczką.

O ile nam wiadomo, sama otworzyła drzwi. Została skopana na śmierć, następnie sprawca wyszedł. Siedząca pod stołem córeczka była świadkiem zbrodni, ale nie rozpoznaje sprawcy. Zgadza się?

– Tak jest – mówi Markus. – Według dziewczynki to był mężczyzna, widziała go, ale nie zna. I nie umie opisać.

Vijay gładzi zarost na podbródku, zastanawia się.

– Co jeszcze powiedziała?

Markus robi zrezygnowaną minę, lekko wzrusza ramionami.

– Po prawdzie niewiele dało się z niej wyciągnąć. Ściągnęli policyjną psycholożkę i z tego, co słyszałem, naprawdę się starała...

Vijay podnosi rękę, by mu przerwać.

– To nie wasza wina, twoi koledzy zrobili to, co trzeba. Dziecko jest po prostu za małe, nie da się wyciągnąć nic sensownego z pięciolatka. Co nam jeszcze wiadomo? Sprawca był wyjątkowo brutalny, kopał ofiarę głównie w twarz. Nie użył broni ani żadnych narzędzi. Zgadza się? – Markus potakuje. – Czy na miejscu znaleźliście jakieś dowody materialne?

– Niewiele, technicy kryminalistyki przyjęli, że sprawcą musiał być mężczyzna, wnioskuje zarówno z siły kopnięć, jak i znalezionych na miejscu śladów rąk i stóp. Podejrzewają, że był w rękawiczkach. Są po nich odciski. Oprócz tego znaleziono ślady talku, takiego jak z rękawiczek chirurgicznych. Poza tym nic znaczącego. Cała masa rozmaitych włókien i sierści: psa, kota, królika, chomika; musieli tam mieć istną Arkę Noego. Znaleźli również resztki jedzenia i rodzaj drobnych, metalowych wiórków, przypuszczalnie powstałych podczas spawania.

– Hm, ciekawe. Bardzo ciekawe. – Vijay odchyła się na krześle i wpatruje w sufit.

– Co jest ciekawe? – pyta Aina.

– Rękawiczki. To świadczy o tym, że się przygotował, co z kolei wskazuje na inny typ zbrodni niż opisany przez ciebie.

– Musisz mi to wytłumaczyć – mówi Markus.

– Istnieje całe mnóstwo modeli, według których klasyfikujemy morderców i innych sprawców przemocy, ale najprostszy i pewnie najużyteczniejszy dzieli przemoc na dwie kategorie: reaktywną i instrumentalną. W pierwszym przypadku sprawca zabija w reakcji na jakąś prowokację, osobę albo zachowanie, które wzbudza u niego zadawnioną traumę. Nie jest to zaplanowane, a jeśli użyje broni albo narzędzia, często jest to coś, co znalazł na miejscu, na przykład kamień lub nóż kuchenny. Często również zostawia ten przedmiot na miejscu zbrodni. Użyje bardzo brutalnej przemocy, na miejscu przestępstwa zostawi bałagan i mnóstwo śladów materialnych, ponieważ nie planował zbrodni. Do tej kategorii zalicza się większość morderstw. Przemoc domowa albo burdy knajpiane są przykładem typowej przemocy reaktywnej. Sprawca i ofiara najczęściej się znają. Na pierwszy rzut oka mogłaby to być właśnie taka zbrodnia. Jednak...

Vijay robi teatralną przerwę i toczy wokół wzrokiem, rozkoszuje się tym, że jest ośrodkiem zainteresowania i może się popisać swoją wiedzą. Uśmiecha się i powoli składa dłonie, jak zawsze, gdy ma powiedzieć coś ważnego.

– No co? – niecierpliwi się Aina.

– Coś tu się nie zgadza. Rękawiczki. Sprawca nosił rękawiczki. To odbiega od zachowania

sprawcy reaktywnego, który nie planuje swojego czynu. Choć – mamrocze pod nosem – instrumentalna przemoc oczywiście może się przekształcić w reaktywną. Do tego dochodzi nieuzasadniona brutalność, z jaką działał. Może świadczyć o tym, że sprawca doświadczył wielu traum, które odżywiają, gdy sam używa przemocy, co prowadzi do jej dodatkowego wzmożenia. Mogłoby tak być. Początkowa przemoc instrumentalna przeszła w przemoc reaktywną.

Markus zerka na mnie, dyskretnie unosząc brwi. Uśmiecham się, wiem, że według niego Vijay intelektualizuje, grzęźnie w teoretycznych modelach, które nie mają zastosowania w rzeczywistości. Ale to Aina ma odwagę pytać.

– Dobrze, ale co to wszystko znaczy? Uważasz, że Henrik był sprawcą czy nie był?

Vijay się zastanawia, jak to ująć w słowa.

– Sądzę, że zbrodnia została zaplanowana. Świadczy o tym choćby użycie rękawiczek.

Myślę również, że w pewnym sensie ma charakter osobisty, świadczy o tym to, że kopał w twarz. Na podstawie mojej ograniczonej wiedzy o tym przypadku myślę, że to mógłby być ten Henrik.

– Przecież on ma alibi – odzywa się Markus.

– Tak... – Vijay znów się namyśla. – Ale to alibi dają mu jego pracownicy, tak?

– Tak, to ludzie zatrudnieni w jego firmie budowlanej. Bo co?

– Są od niego zależni. Mogą kłamać, żeby mu pomóc. Nie byłby to pierwszy taki przypadek. A fakt, że Henrik istotnie strzelał do kobiety z waszej grupy, świadczy, że jest zdolny zabić. Właściwie mało prawdopodobne, aby sprawcą był kto inny, nie Henrik. To znaczy z punktu widzenia statystyki. Mało prawdopodobne, ale niewykluczone.

– Dlaczego mało prawdopodobne? – pyta Markus.

– To proste, bo w takim razie chodziłoby o dwóch morderców, co jest raczej nieprawdopodobne statystycznie, a jednak możliwe. Całkiem... możliwe. – Vijay znów się namyśla i po chwili mówi dalej: – Załóżmy, że tę Susanne zabił ktoś zupełnie obcy. Postawcie się teraz w sytuacji Henrika. Ktoś zabija twoją partnerkę. Potem ciebie oskarżają o dokonanie tego morderstwa. Odbierają ci dziecko, wprawdzie nie twoje, ale jest ci bardzo bliskie. Nie takie urazy doprowadzały ludzi na skraj psychozy, prawda? To by zresztą tłumaczyło zabójstwo w poradni, prawda? Tak czy inaczej... to bardzo ważne, aby dopóki nie ma dowodów, policja nie uznała, że sprawcą jest Henrik. Przypominam sobie pewien przypadek, do którego doszło w Gävle w 2005 roku. Dwudziestodwuletni mężczyzna mieszkający w ogrodowej szopie u swoich rodziców adopcyjnych zabił dwie siostry w odstępie kilku miesięcy. Zarówno policja, jak i prokuratura były tak przekonane, że pierwsze morderstwo popełnił partner ofiary, że w ogóle nie wzięli pod uwagę innego sprawcy, chociaż wiele na to wskazywało. Gdyby przyjęli inną postawę, być może druga kobieta jeszcze by żyła.

– Więc uważasz, że to nie Henrik? – pyta Markus.

Vijay ponownie wzdycha głęboko, bo nadal nie rozumieją.

– Mówię tylko, że to może być ktoś inny. Choć z punktu widzenia statystyki jest bardziej prawdopodobne, że to on.

– Wspomniałeś o podziale na przemoc reaktywną i instrumentalną. Jeśli sprawca to zaplanował i była to przemoc instrumentalna, to jaki mógł mieć motyw? – pytam.

– To może być cokolwiek: pieniądze, zemsta, skłonności seksualne. Jednak w tym przypadku nic nie wskazuje na przemoc na tle seksualnym, więc nie przypuszczam. Co Henrik mówił na przesłuchaniu? Bo chyba zdążyli go przesłuchać, zanim zabił tę kobietę z waszej grupy i zniknął?

– Twierdził, że jest całkowicie niewinny. Że nigdy nie bił ani Kattis, ani Susanne. Mówił, że Kattis wszystko zmyśliła, żeby go zniszczyć. Tamtego wieczoru, gdy została zamordowana Susanne, był w knajpie, co potwierdzają świadkowie.

– Więc może jednak zrobił to kto inny – mówi Aina. – Jakiś stalker. Ktoś, kto sobie ją upatrzył i prześladował? Ukradkiem chodził za nią po Gustavsbergu?

– Ostatnio tyle się mówi o stalkerach. Jaki jest typowy stalker? – pyta Markus.

– Zacznijmy od definicji, kto to jest stalker.

Vijay z triumfującym wyrazem twarzy bierze do ust kęs bœf bourguignon. Markus kiwa głową ze zdziwioną miną.

– Okej, a w ogóle istnieje jakaś definicja?

Vijay uśmiecha się wyrozumiale, jakby Markus był jednym z jego mniej zdolnych studentów.

– Nawet kilka, ale ja uważam, że najlepsza jest ta, którą w 1998 sformułował Meloy. Według niego stalking to świadome, złośliwe i uporczywe nękanie oraz prześladowanie drugiej osoby. Jeśli zaś chodzi o sprawców stalkingu, najczęściej są to mężczyźni o udokumentowanej przeszłości kryminalnej i z problemami natury psychicznej lub związanymi z narkotykami. Mają przeciętnie wyższą inteligencję niż inni przestępcy, aczkolwiek są też stalkerzy o niższej inteligencji i bez kompetencji społecznych.

– A więc mogą być zarówno inteligentniejsi, jak i głupszy od przeciętnego zjadacza chleba. Czyli brak punktu zaczepienia – mówi Markus z powątpiewaniem.

Vijay wzrusza ramionami i uśmiecha się.

– To nie jest wiedza absolutna. Te osoby mają przeważnie jakieś inne zaburzenia psychiczne: borderline, narcyzm, schizofrenię, zaburzenia zachowania. Do tego dochodzą rzecz jasna czynniki środowiskowe. Często takie zachowanie jest poprzedzone stratą emocjonalną, na przykład rozpadem związku, śmiercią albo utratą pracy.

– I od tego się wariuje? – pyta Markus.

– Jeśli się jest podatnym.

Vijay macza kawałek bagietki w brązowym sosie i uśmiecha się szeroko.

Markus kręci głową, że ma inne zdanie i nie wierzy w to, co mówi Vijay.

– Oczywiście. – Vijay nadal odsłania w uśmiechu białe zęby, które lśnią na tle jego ciemnej skóry – ty byś nie zwariował, gdybyś stracił pracę. Pewnie byś zabijał czas, grając całymi dniami w gry komputerowe. Zgadza się?

Markus z zażenowaną miną dolewa wina Ainie i sobie.

– Czy są kobiety-stalkerzy? – pyta Aina.

– Oczywiście są, ale bardzo rzadko. Czytałem niedawno studium na temat osiemdziesięciu kilku kobiet-stalkerów w Stanach, Kanadzie i Australii. Bardzo ciekawe, bo wynikało z niego, że ich profil nieco się różni od mężczyzn-stalkerów. Były to w przeważającej liczbie kobiety niezamężne, heteroseksualne, dobrze wykształcone, około trzydziestki. Podobnie jak u mężczyzn-stalkerów, zwykle towarzyszyło temu jakieś zaburzenie osobowości, najczęściej typu borderline. Kobiety-stalkerzy mają mniejszą skłonność do przemocy niż mężczyźni, ale ryzyko zwiększa się znacznie, jeśli wcześniej łączyła je z ofiarą relacja miłosna.

Owiewa mnie zimny podmuch z nieuszczelnionego okna i wzdrygam się, aż niedobrze mi się robi od tej rozmowy o zabijaniu i nienawiści.

– Czy jest pewność, że zabójcą Susanne był mężczyzna? – pyta Aina.

– Według techników kryminalistyki raczej tak, zresztą dziewczynka też to powiedziała – mówi Markus.

– Biorąc czysto statystycznie, sprawcami tego typu zbrodni są niemal wyłącznie mężczyźni. W dziewięciu przypadkach na dziesięć – dodaje Vijay.

– Czy w grę może wchodzić morderstwo na tle rabunkowym? Ta mała zdaje się powiedziała, że sprawca zabrał pieniądze, wcześniej o tym nie pomyślałem – ciągnie Markus.

– A pamiętasz, co dokładnie powiedziała?

– Nie bardzo. Coś o tym, że wziął pieniądze, że robił czary.

Vijay uśmiecha się smutno.

– No tak, ale fakt, że tak powiedziała, jeszcze nie daje pewności, że rzeczywiście wziął pieniądze. Z dziećmi nigdy nic nie wiadomo. Mają żywą wyobraźnię, prawda? Bardzo bym się zdziwił, gdyby się okazało, że to morderstwo popełniono na tle rabunkowym. – Przerzywa i wkłada do ust prymkę snusu. – Chociaż ludzie robią tyle dziwnych, chorych rzeczy, że teoretycznie jest to możliwe. Jednak przemoc, jakiej użył, była na to zbyt brutalna... – Znów przerywa, drapie się po szyi, zastanawia się, patrzy w sufit. – Kopniaki w twarz to jednak bardzo osobista rzecz,

świadcząca o zapiekłej nienawiści. Morderstwa na tle rabunkowym zwykle wyglądają inaczej. Ktoś dostaje w mordę, bo nie chce oddać portfela, kluczyków do samochodu albo torebki. Z drugiej strony, są wyjątki. Gdyby sprawca był pod działaniem prochów, mogłoby to tłumaczyć jego brutalność. Rohypnol, czy też flunitrazepam, bo tak nazywa się substancja czynna, może na przykład powodować obniżenie świadomości emocjonalnej, przez co sprawca staje się zdolny do niezwykle brutalnych zbrodni. Przestępcy chętnie ją stosują, nazywają „przytępiaczem”. Wiedzieliście o tym? Na forach internetowych polecają ją jako skuteczny środek na wytłumienie niepokoju i lęku przed włamaniem, rabunkiem albo planowanym pobiciem. Dziewczynka powiedziała, że sprawca wziął pieniądze, ale to, że coś zabrał, nie musi znaczyć, że mamy do czynienia z morderstwem na tle rabunkowym. Mordercy innego typu często zabierają ze sobą jakieś rzeczy należące do ofiary: pieniądze lub pamiątki.

W tym momencie opanowują mnie mdłości. Bez słowa zrywam się od stołu i wybiegam z pokoju, czując na plecach wzrok Ainy i Vijaya. Znow udaje mi się dobiec do małego domku, zanim zwymiotuję do starej miski klozetowej.

Przez dłuższą chwilę siedzę na podłodze.

Bowie uśmiecha się do mnie ze ściany, ale jeśli się nie mylę, dostrzegam niepokój w spojrzeniu jego oczu okolonych zielonymi cieniami.

Listopadowa noc.

Leżę przytulona do Markusa. Jego ręce na moim brzuchu.

– Umówiłaś się już na wizytę?

– Przyszły czwartek. Idziesz ze mną?

– Oczywiście. Przecież mam zobaczyć nasze dziecko. Coś niesamowitego. A tak w ogóle, kiedy powiesz Ainie? Będzie jej przykro, jeśli jej nie powiesz.

Nie odpowiadam, bo wiem, że ma rację. Przytulam się jeszcze mocniej i słucham szumu fal i wiatru.

– Kocham cię – mówi Markus, całując mnie lekko w kark.

Na to też nie odpowiadam, ale tej nocy, pierwszy raz od tygodnia, już mi się nie śni Hillevi. Śpię głęboko i spokojnie jak dziecko, nie budząc się ani razu.

W poradni wydarza się coś niezwykłego.

Mam wrażenie, jakby światło z nieosłoniętych świetlówek w moim gabinecie nabrało cieplejszej barwy. Bładozielone ściany wydają się rozświetlone od środka. Uzmysławiam sobie, że na tę niespodziewaną zmianę atmosfery pomieszczenia wpłynęła para siedząca naprzeciw mnie. Są jacyś inni niż zwykle. Patrik siedzi wyprostowany, na ustach uśmiech, czyżby zadowolenia? Mia, całkiem odmieniona od ostatniego spotkania. Swoją drogą minęło trochę czasu, odkąd byli u mnie we dwoje, parę razy musieliśmy odłożyć sesję z powodu chorób ich dzieci albo ze względu na pracę Patrika. Zmiana jest uderzająca, włosy Mii układają się miękko wokół jej twarzy, umalowała się – choć nie nazwałabym jej makijażu gustownym, jakoś nigdy mi nie podchodziły zielone cienie do oczu – ale chciało jej się, co samo w sobie dodało jej życia. Jeszcze ubranie. Granatowe dzinsy i czarna bluzka z dekoltem zamiast nieodłącznego dresu w rozmiarze XL.

I co chyba najważniejsze: Mia siedzi na fotelu, a Patrik na krześle. Sama nie wiem, dlaczego tak mnie zajmuje ten szczegół, ale dla mnie to ważny sygnał. Rodzaj pokojowego gestu ze strony Patrika. Tym razem to jego kościsty tyłek męczy się na twardym drewnianym siedzisku w nagrodę za jej starania.

– Wyglądacie na niezwykle... ożywionych. Mam nadzieję, że czujecie się tak samo dobrze, jak wyglądacie.

Mia chichocze i przez moment ma lekko zażenowaną minę, jakbym pytała o intymne sprawy.

– Właśnie, zdarzył się mały cud – odpowiada głosem, którego nie znam. Jest to dźwięczny alt zamiast ochryplego szeptu.

Zerka badawczo na Patrika, który wciąż ma na twarzy ten sam figlarny uśmiech. Wyglądają jak para nastolatków, którzy przed chwilą uprawiali seks w toalecie. Kto wie, może i uprawiali?

Patrik drapie się po utlenionych włosach, odsłaniając czarne odrosty, i poprawia okulary w rogowej oprawie.

– Mia mówi prawdę. To... rzeczywiście fantastyczne. Czuję, że znów jesteśmy na właściwej ścieżce.

– Opowiedzcie, co się stało, że nagle wszystko zafunkcjonowało.

Mia patrzy w sufit, namyśla się.

– Faktem jest, że zgodnie z ustaleniami zrobiliśmy grafik i podzieliliśmy się obowiązkami w domu. Oprócz tego spróbowaliśmy tego wzorcowego rozwiązywania problemów. To działa. Naprawdę. Jednak...

– Co takiego?

– Mia odstawiła tabletki – wtrąca cicho Patrik i mocno ściska rękę Mii.

Kobieta potakuje, rumieniec spływa jej aż na szyję. Przez moment milczymy.

– Ciężko było? – pytam w końcu.

Mia najpierw nie odpowiada, jakby nie była w stanie, i tylko kręci głową.

– Nie i właśnie to jest... dziwne. Wcale nie było trudno. Wystarczyło, że Patrik przestał się złościć. Otworzył się przede mną. Sama nie wiem. Wydaje mi się, że tak naprawdę nie potrzebowałam tych tabletek.

– I jak się teraz czujesz?

– Dawno nie czułam się tak dobrze. Dziwna rzecz. Czuję się... silna. Mogłabym się wdrapać na wielką górę, lulać po nocach chore dzieci, pobiec w maratonie... Nie wiem, co jeszcze. Śmieszne, co?

– Wcale nie – mówię i lekko dotykam jej ramienia. Cienki, syntetyczny materiał ucieka mi pod palcami. Zimny i śliski jak ryba.

Oboje się uśmiechają. Są lekko zmieszani. Przez dłuższą chwilę nie mówię, muszę się zastanowić, bo coś to za proste. Kryzys w związku, matka zażywa benzodiazepiny, żeby jakoś sobie z tym poradzić, i po upływie zaledwie kilku tygodni wszystko znowu jest jak trzeba: nie ma uzależnienia, żadnych nieporozumień, jest wzajemne dotykanie się i rozognione policzki podczas mijania się w kuchni. Wzajemne porozumienie i pożądanie. Współpraca. Nagła gotowość do zrozumienia sytuacji partnera. Empatia. Czyżby było to aż tak proste? Wręcz banalnie?

– Musicie mi pomóc to ogarnąć – mówię ostrożnie, bo nie chcę kwestionować ich świeżego, kruchego porozumienia. – Jak to się stało, że nagle potrafiliście dotrzeć do siebie nawzajem? Chyba nie było to aż tak proste, że wyrzuciłaś pigułki do ubikacji i już, co, Mia?

– Owszem, właśnie było. – Mia przeczesuje palcami umyte włosy i zakłada je za ucho.

– Nie, nie. Zaczęło się od tego, że wziąłem się w garść – oponuje Patrik. – Wydaje mi się, że gdy zrozumiałem, dlaczego cały czas jestem taki wściekły na Mię, nagle mi puściło. Pogadaliśmy, opowiedziałem jej o matce i tak dalej.

– A ja wtedy poczułam, że dla Patrika muszę odstawić Sobril – dopowiada Mia. – Mówi z zapalem, żywo gestykulując. Jej pulchne dłonie machają szybko; przypominają mi tłuste wróble.

– Okej, jesteście nadzwyczaj dzielni, jeśli mogę tak powiedzieć, w końcu to nie szkółka. Naprawdę się postaraliście. Jednak pamiętajcie, że bardzo łatwo wpaść w stare koleiny, jeśli zdarzy się coś przykrego, pokłóćcie się albo będziecie przewrażliwieni. Warto o tym wiedzieć. Nie będzie w tym nic nienormalnego. Najważniejsze, żebyśmy razem przygotowali plan, jak podtrzymać wasze postępy.

– Nie będzie żadnych problemów – oznajmia spokojnie Mia. – Jak mówiłam, czuję się bardzo silna. Mam wrażenie, że wszystkiemu dałabym radę.

Patrzę na Patrika, nic nie mówi, tylko energicznie potakuje, ciągnąc za swój T-shirt z nadrukiem „The Smiths”.

Piątkowy poranek.

Budzi mnie głośny huk, zrywam się i siadam na łóżku, ale słyszę tylko zwykle odgłosy domu, burczenie lodówki, deszcz tłukący o dach i wycie wiatru.

Ciemność za oknem jest tak gęsta, że przywodzi mi na myśl ogromne czarne zwierzę, które zwinęło się do snu wokół mojego domku.

Wstaję, wkładam zmechacony szlafrok i cicho idę do dużego pokoju, czując na podłodze podmuch zimnego powietrza. Wzdrygam się i patrzę na zegarek: pół do siódmej, wkrótce pora wstawać.

W salonie panuje spokój, ale prawie od razu zauważam, że coś się stało ze środkowym oknem – długie pęknięcie biegnie w poprzek, od ramy do ramy, jakby ktoś rzucił w szybę czymś ciężkim.

Przez dłuższą chwilę stoję przy oknie. Jest tak ciemno, że widzę jedynie błysk od zatoki. Wiatr się wzmógł, gałęzie sosen tłuką o fasadę. Domyślam się, że to złamana gałąź uderzyła w szybę. To się już zdarzało, chociaż szyba nigdy wcześniej nie pękła.

Na dworze jest jeszcze ciemno, gdy między bezlistnymi krzakami dzikiej róży przemykam się do małego domku. Lodowaty podmuch podwiewa mi T-shirt, moją koszulę nocną.

Markus pojechał do Västerås, na kurs z zarządzania kryzysowego, źle spałam, wielokrotnie budziłam się zlna potem, z walącym sercem. Nie pamiętam, żeby mi się coś śniło, miałam tylko dojmujące poczucie panicznego lęku. I jeszcze poczucie, że wszystko za późno, szkoda już się stała, dzieje się coś, czego się nie da zatrzymać.

Łatnista ścieżka nie całkiem zamarzła, ale prawie. Ziemia ugina się na parę milimetrów pod moimi kaloszami. Snop światła wielkiej latarki, którą zawsze przy sobie noszę, oświetla podmokły trawnik i skały zaraz za nim. Dawniej cierpiałam na autentyczny lęk ciemności, teraz jest to tylko niemiłe uczucie w rodzaju zawrotów głowy. Nie paraliżuje mnie, choć jest nieprzyjemne.

Gdy chwytam za klamkę małego domku, słyszę jakiś odgłos. Najpierw myślę, że to ranne zwierzę, bo brzmi tak, jakby wlokło się po ziemi.

Odwracam się, kierując światło latarki na dom, drzwi i odrapaną ścianę, którą należałoby odmalować. Potem omiatam światłem ziemię: kępki zrudziałej trawy, sękaty gałązki, które wiatr zerwał z sosen, sterty zmarzniętych igieł sosnowych wzdłuż podmurówki. Nie dostrzegam niczego niezwykłego. Jedyny odgłos, który teraz dociera do mnie, to rytmiczne uderzenia fal o skały.

– Markus, to ty?

Bez odpowiedzi.

Uznaję, że to tylko zwierzę, nic innego.

Wraca myśl, że powinniśmy przeprowadzić się do miasta. Niepraktycznie jest mieszkać tutaj, jednak coś mnie tu zatrzymuje.

Stefan?

Jakbym myślała, że przeprowadzka jeszcze zwiększy oddalenie.

Nasz dom.

Markus ma w tej sprawie mieszane uczucia. Najchętniej zamieszkałby na Söder, ale ponieważ pracuje w Nacka, stąd ma dość blisko. Poza tym wie, że nie mam większej ochoty się stąd wyprowadzać.

Drzwi do małego domku otwierają się ze zgrzytem, pośpiesznie wchodzę do ciepłego wnętrza. Osuwam się na sedes, siusiam, jednocześnie szcztokując zęby, i myślę sobie, że jeśli kiedykolwiek się wyprowadzę, chcę mieć prawdziwą łazienkę, taką z kafelkami na ścianach, ogrzewaniem podłogowym i wanną.

Wymarzony luksus.

Wracam do domu przez ogródek, powietrze jest, o ile to możliwe, jeszcze surowsze i zimniejsze. Okna domu świecą w ciemnościach jak żółte oczy. Jednym susem przesadzam błotniste bajoro, które utworzyło się dokładnie u stóp schodków. Słyszę zbliżającą się z oddali motorówkę.

Już w domu wkładam drwa do kominka i rozpalam ogień, potem idę do kuchni wstawić

wodę. I gdy stoję, trzymając w ręku pistacjowy czajnik w stylu retro, który dostałam w prezencie gwiazdkowym od moich sióstr, słyszę ten odgłos, jakby ktoś pukał w dużym pokoju.

Ostrożnie zakradam się z kuchni. Sękaty deski podłogowe wydają się zimniejsze niż zwykle, ale po pokoju już się rozchodzi ciepło od kominka, słychać trzaskanie płonących szczap.

Nie od razu ją spostrzegam. Najpierw tylko domyślam się konturów bladej twarzy za drzwiami prowadzącymi na taras. Jakby przyglądała mi się, jak stoję na środku podłogi, zastygła ze strachu. Twarz przybliżyła się, przyciska do szyby i już widzę kto to.

Malin.

Uchylam drzwi tarasowe. Jest bez kurtki, w samym swetrze i tenisówkach. Oczy podpuchnięte, zaczerwienione, blada jak ściana.

– Mogę wejść?

– Co się stało?

– Proszę, pozwól mi wejść. Pamiętasz, mówiłaś, że gdyby coś się działo, zawsze możemy się do ciebie zwrócić i... już nie mogłam wytrzymać w domu, wsiadłam w samochód i przyjechałam. Przepraszam, że najpierw nie zadzwoniłam, wiem, że powinnam, ale...

Otwieram bez słowa, Malin wślizguje się zwinnie jak kot.

– Wejdz, przemarzłaś na kość.

Malin pociera dłonie, bez wahania podchodzi do podniszczonej, żółto-brązowej kanapy i osuwa się na nią.

Pledem w szkocką kratę otulam jej drżące z zimna ciało.

– Nie włożyłaś nic ciepłego? Co się stało?

– Już dłużej nie wytrzymam. Po prostu nie zniosę tego.

Wzrok tępy, głowa schowana w spiętych ramionach. Jasne, mokre włosy kleją się do głowy.

Siadam obok, biorę ją za rękę, trzęsie się z zimna, a może jeszcze czegoś? Ze strachu?

– Malin, co się stało?

Jakby nie słyszała. Dygoce pod kocem i patrzy pusto przed siebie. Zaczynam się niepokoić, że może się wychłodziła, i powinnam ją zabrać do lekarza.

– Napijesz się herbaty?

Kiwa głową, nie patrząc na mnie, niechętnie idę do kuchni wstawić wodę.

– Może coś jeszcze? Kanapkę?

Kręci głową.

Głupio się czuję. Nie jesteśmy sobie bliskie, w normalnych warunkach nie zaprosiłabym jej do domu. Prawdą jest, że obie z Ainą powiedziałyśmy tym kobietom, aby dzwoniły, gdyby chciały porozmawiać. Ale żeby ni z tego, ni z owego przyjść do mojego domu o siódmej rano? To chyba nie jest całkiem normalne. Wracam do pokoju z filiżanką gorącej herbaty i siadam koło niej.

Drżącymi dłońmi podnosi filiżankę do ust, ochlapuje ręce i kanapę, ale nawet tego nie zauważa.

– Wiesz, przez pewien czas wydawało mi się, że panuję nad tym – szepcze.

– Nad czym?

Patrzy na mnie i lekko się uśmiecha.

– Nad sobą. Po gwałcie świat mi się zawalił. Myślałam, że wariuję. Tracę rozum. Potem... Narzuciłam sobie ostrą dyscyplinę, jeśli chodzi o treningi i jedzenie, zupełnie odstawiłam alkohol, tak się bałam utraty panowania nad sobą. I wiesz co? To naprawdę działało. Wróciłam do dawnego życia, do rozumu. Czasem tylko... wracało. Na przykład gdy w centrum nagle wpadam na niego, znaczy gwałciciela. Dostaję wtedy ataku paniki i znów mam wrażenie, że wariuję i... przecież nie chcę tego, chcę mieć kontrolę nad własnym życiem, nie wpaść znów w tę otchłań, nie wariować.

– Malin, nie sądzę, żeby ci to groziło, chociaż może ci się tak wydawać. Im bardziej uciekasz od tych uczuć, tym są silniejsze. Najlepiej byłoby, gdybyś się z nimi zmierzyła, zamiast iść biegać, gdy tylko pojawia się lęk.

– A teraz wszystko diabli wzięli.

Opiera głowę na kolanach, chowając twarz w kraciastym pledzie. Delikatnie zabieram jej

filiżankę i stawiam na stoliku.

– Co się stało, że tak czujesz?

– Znów wpadłam w tę czarną otchłań i znów mam wrażenie, że wariuję.

– Opowiadaj, Malin. Inaczej nie będę mogła ci pomóc.

– Okej – mówi z westchnieniem, unosi głowę i patrzy na mnie. – Ta babka, którą jej facet skopał na śmierć, no wiesz, Susanne. Była jedną z osób, które dały alibi mojemu gwałcielowi. Na początku się nie połapałam, ale potem Kattis powiedziała, jak się nazywała i gdzie mieszkała. Wtedy od razu wiedziałam. Alibi dało mu pięć osób, więc to nie tylko jej wina. Jednak... wiesz, jak długo podsycalam w sobie nienawiść do tych ludzi, faktycznie życzyłam im śmierci? No i stało się, a ja nie wiem, czy mam się z tego cieszyć, czy uważać, że to okropne. Z jednej strony mogę uważać, że zasłużyła na to, z drugiej strony wiem, że to chora reakcja, a przecież nie chcę być chora. Potem przyszła policja, zaczęli mnie wypytywać o gwałt, czy znałam Susanne i jaki jest mój stosunek do niej, dając do zrozumienia, że jestem w to zamieszana. Jakbym się jeszcze nie dość nacierpiała. Powiedziałam im, że tak się składa, iż jestem ofiarą przestępstwa i chcę tylko, żeby moje życie było takie jak dawniej. Przedtem. Ale to się nie da, bo wszystko wróciło do mnie. Nie śpię po nocach, nie jem, nawet nie mogę się skupić, żeby obejrzeć zwyczajny program telewizyjny, i stale mam to poczucie, że zwariuję. Na serio.

Wreszcie przestało padać. Ciężkie chmury rozeszły się, odsłaniając bladobłękitne listopadowe niebo. Wiatr ucichł, zatoka lśni, woda tylko trochę się marszczy. Kilka ptaków kołysze się na powierzchni, nurkują w czarnej wodzie, a potem znów wypływają.

Nie znam się na ptakach. Nie wiem, co to za gatunek, czym się żywi ani gdzie gniazduje. Gdyby był Markus, mógłby mnie oświecić, jest bardziej ode mnie za pan brat z przyrodą. Zna się na roślinach i zwierzętach. Umie rozpalić ognisko, pocierając dwa patyczki, i wydaje się, jakby miał wmontowany kompas.

Prawdziwy harcerz.

Ale Markus nadal siedzi w Västerås i jestem w domu sama. Z moimi myślami i decyzjami.

Malin już wróciła do domu. Przespała kilka godzin na mojej kanapie i poszła, zawstydzona, że narobiła mi kłopotu. Siedzę teraz przy komputerze, mój jedyny dzisiejszy pacjent odwołał wizytę i postanowiłam popracować w domu.

Myślę nad tym, co opowiedziała Malin. Zastanawiam się, czy mogłaby mieć coś wspólnego z tym, co przydarzyło się Susanne, i usiłuję zrozumieć sposób jej reagowania, myśl, że dyscyplina może być ucieczką przed poczuciem bezsilności, upokorzenia i strachu.

Mimo starań nie mogę przestać o niej myśleć. Sprzątam, zmywam i kolejny raz mierzę ściany w sypialni, sprawdzając, czy naprawdę zmieści się tu łóżeczko dziecka.

W końcu zapada zmrok i mija kolejny dzień.

Następnego ranka w poczcie głosowej znajduję pięć wiadomości. Cztery od Elin z recepcji, w sprawie przełożenia wizyt pacjentów, ale tak to zagmatwała, że nie rozumiem, o co jej chodzi. Notuję sobie, żeby w poniedziałek zadzwonić do niej i wyjaśnić sytuację.

Piąta wiadomość jest od niejakiego Rogera Johnssona, policjanta prowadzącego śledztwo w sprawie morderstwa Susanne Olsson, partnerki Henrika. Prosi o telefon, jak najprędzej.

Roger Johnsson odpowiada natychmiast, jakby cały sobotni ranek czekał na mój telefon. Mówi prosto z mostu, że chciałby się ze mną spotkać, najlepiej dziś. Mówię, że wolałabym w poniedziałek, ale odpowiada, że to ważne, i byłby wdzięczny, gdybym wpadła na chwilę. Pytam, o co chodzi, ale unika odpowiedzi, stosując dobrze mi znaną strategię Markusa. Chce, żebym była nieprzygotowana, bo będzie obserwować moje reakcje. Spontaniczne reakcje. Umawiamy się na popołudnie, w komisariacie w Nacka Strand.

Jest to również miejsce pracy Markusa.

Są kolegami, o czym Roger od razu mnie poinformował. Znają się, czasem piją razem kawę, ale nie współpracują ze sobą przy tej sprawie.

Otwieram drzwi tarasowe. Ptaków już nie ma, nad moją zatoczką zapadła niezwykła cisza. Jest niemal bezwietrznie, woda gładka, ołowiana. Z północy nadciągnęły ciemne chmury, ochłodziło się.

Chyba zbiera się na burzę.

Roger Johnsson jest mężczyzną w średnim wieku. Ubrany w dżinsy, koszulę i marynarkę. Ma skórzany pasek z dużą, mosiężną klamrą. Jest też jednym z nielicznych Szwedów noszących wąsy. Z jakiegoś powodu kojarzy mi się z mężczyznami z serialu *Dallas*. Wygląda jak jeden z kumpli Bobby'ego Ewinga, tyle że bez kowbojskiego kapelusza. Anachronizm w kowbojskiej koszuli, zrzucony z Teksasu lat osiemdziesiątych prosto do Nacka Strand.

– Pewnie się pani zastanawia, o co chodzi. – Patrzy na mnie, pod sumiastym wąsem dostrzegam cień uśmiechu, jakby go powstrzymywał. – Chciałbym z panią porozmawiać o Malin Lindbladh. Była pani świadkiem śmiertelnego postrzału przy Medborgarplatsen, mam pytania, które w jakimś sensie dotyczą tej sprawy, jak również innej zbrodni. Może Markus opowiadał pani o dochodzeniu?

Roger pochyla się i przygląda mi się intensywnie. Robi mi się nieprzyjemnie. Jakbym siedziała przed nim goła. Cieszę się, że przyszedłam tu z własnej woli, a nie w charakterze podejrzanej. Domyślam się, że Roger potrafi być wyjątkowo niemiły. Taki typ, co to lepiej z nim nie zadzierać.

Siedzimy w jego gabinecie. Za oknem już zapadł zmrok, choć dopiero trzecia. Światło latarni odbija się w wilgotnym asfalcie, pojedynczy przechodnie zmierzają na dworzec autobusowy albo na prom, kuląc się przed ulewnym deszczem, który nadszedł z północy. Gabinet Rogera jest mały, zawałony książkami, papierami i segregatorami. Cicho gra Radio Wolne Przeboje, właśnie lecą *Trzy przeboje o trzeciej*. Jakaś Monica pozdrawia swego ukochanego, potem śpiewa Ronan Keating.

– Czy to przypadkiem nie pani była zamieszana w sprawę sprzed roku czy dwóch? Jakiś pacjent został chyba zamordowany w pani ogrodzie. Okazuje się, że to niebezpieczna sprawa być pani pacjentem. Nie wiedziałem, że terapia może być śmiertelna.

Śmieje się krótko, brzmi to jak rżenie, a mnie jest coraz bardziej nieswojo. Roger Johnsson musi znać moją przeszłość, wie, przez co przeszedłam, a mimo to stroi sobie żarty z tego, co przydarzyło się i mnie, i moim pacjentom. To wręcz niepojęte, a na pewno bardzo nieprzyjemne. W dodatku wypytuje mnie o moją pacjentkę. Wzbiera we mnie irytacja.

– Słucham? – mówię pytającym tonem.

– Właśnie, ta Malin jest w jakiejś prowadzonej przez panią grupie dla kobiet ofiar przemocy domowej. Zgadza się?

Patrzy na mnie ze współczuciem pomieszanim z poczuciem wyższości. Czuję się nieważna, zagrożona. Czy istnienie policji nie polega na udzielaniu pomocy takim jak ja? Na służeniu i ochranianiu? A może tak jest tylko w amerykańskich serialach policyjnych?

– To grupa dla ofiar nie tylko domowej przemocy. Co do Malin, nie mogę o niej rozmawiać. Obowiązuje mnie tajemnica. To, kto jest moim pacjentem, również jest poufne.

– Poufne. Jasne. Tylko że ona sama nam powiedziała o terapii u pani i że możemy z panią porozmawiać. Faktem jest, że przesłuchaliśmy ją po postrzeleniu... – namyśla się, jakby nie mógł sobie przypomnieć nazwiska Hillevi – ...pacjentki, która też była w tej grupie. Tak czy inaczej, zależałoby nam na potwierdzeniu kilku faktów. Mogłaby pani opowiedzieć coś o tej grupie? – mówi, patrząc na mnie wyczekująco.

– No cóż... Jest to grupa wsparcia dla kobiet z gminy Värmdö, które padły ofiarą przemocy. Chodzi o to, aby uczestniczki mogły samodzielnie pracować nad swoimi problemami także po zakończeniu spotkań grupy.

– Aha, brzmi to... sensownie, tak myślę. Pracując w policji, nieczęsto mamy czas, by poświęcić ofiarom tyle uwagi, ile im się należy.

Dostrzegam w jego spojrzeniu jakiś przebłysk, niezbyt mocny, ale jednak. Wzniosłość? Empatię? Domyślam się, że pod fasadą gliniarza z wielgachnym wąsem jest jednak nieobojętny facet.

– Malin Lindbladh została dwa lata temu zgwałcona w Gustavsbergu. Czy pani wiedziała o tym?

– Oczywiście, był to jeden z tematów omawianych podczas spotkań grupy.

– Powiedziała, co się stało?

– Tak, opowiedziała szczegółowo, co jej się przydarzyło. Jak również o tym, że pozwoliliście, aby sprawcy uszło to na sucho.

– Nie my decydujemy o winie sprawcy ani o konsekwencjach, jakie powinien ponieść. Sąd go uniewinnił.

– Tak, bo kilku kumpli dało mu alibi.

Roger wzrusza ramionami.

– Takie rzeczy się zdarzają. Nie da się przymknąć całej chuliganerii. Pani na pewno też to rozumie. Ale jeśli pani jest taka zorientowana w tym, co przydarzyło się Malin, może wie pani również, że Susanne Olsson była jedną z pięciu osób, które dały alibi gwałcicielowi?

– Tak, powiedziała mi. Nie mówiła tego pozostałym osobom z grupy, ale mnie tak.

– I co powiedziała?

– Tylko tyle, że Susanne Olsson dała mu alibi i że ją przesłuchaliście. Była wzburzona.

– Wzburzona? Czym?

– Chyba nie ma w tym nic dziwnego. Wszystkie te wydarzenia, również przesłuchanie przez policję, obudziły wspomnienia gwałtu i procesu; źle się z tym czuje.

Policjant kiwa głową, że rozumie, i przesuwa dłonią po siwiejących wąsach.

– A co pani sądzi o Malin Lindbladh? Jaki ma pani jej obraz kliniczny? Czy jest poczytalna, jak się kiedyś mówiło? Prawdopodobna?

Mam przed oczami jej znużoną twarz, skuloną postać. Jej strach, rezygnację.

– Uważam ją za absolutnie poczytalną, może nieco specyficzną, ale zdecydowanie poczytalną.

– Specyficzną? W jakim sensie?

Zaczynam się wiercić na niewygodnym krześle, nie chciałabym się źle wyrazić i nieopacznie skierować podejrzania na Malin.

– Po gwałcie czuła się fatalnie. Postanowiła narzucić sobie, swojemu ciału, ostry reżim, wyczerpujące treningi, dietę i rozmaite ograniczenia, a wszystko po to, by okiełznać swoje lęki. Takie odnoszę wrażenie. To moje wnioski kliniczne – mówię, przekrzywiając głowę.

Roger się uśmiecha.

– A co z jej prawdopodobnością? Wierzy jej pani?

Przez chwilę się zastanawiam nad tym, co mi opowiedziała. Nie wydaje mi się, żeby kłamała ani przesadzała. Nie widzę powodu, aby jej nie wierzyć.

– Tak, uważam, że mówi prawdę. Oczywiście nigdy nie wie się na pewno, jednak... tak, wierzę jej.

Roger Johnsson szczyrzy zęby w uśmiechu.

– To ciekawe, że pani tak mówi. Wielu pani kolegów, biegłych sądowych jest gotowych przysięgać na niejedno. Wystarczy wymienić sprawę Qvicka²⁰.

Kręci głowę, jakby ubolewał, że należę do żalosnej grupy zawodowej, składającej się z naiwnych przemądrzalców albo szarlatanów.

– W mojej ocenie ona mówi prawdę, inna rzecz, że nigdy nie wiadomo do końca.

Roger Johnsson ponownie kiwa głową, patrząc mi w oczy, i zamyka notes. Koniec rozmowy.

Wypis z raportu sporządzonego na podstawie Ustawy o opiece społecznej w części dotyczącej dzieci i młodzieży

Czternastoletni chłopiec oskarżony o ciężkie pobicie trzydziestoczteroletniego właściciela sklepu, który zarzucił mu dokonywanie drobnych kradzieży w sklepie. Po doniesieniu na policję jest prowadzone dochodzenie w sprawie. Chłopiec przyznaje, że uderzył właściciela sklepu, ponieważ wpadł w panikę, gdy mężczyzna przytrzymał go i zagroził wezwaniem policji. Przyznaje również, że wszedł do sklepu ze sprzętem sportowym, aby ukraść pulsometr, ale odmawia dalszych wyjaśnień.

Rodzice twierdzą, że syn od początku miał problemy w szkole. Ostatnio rzadko tam chodzi i zamiast tego szwenda się w centrum razem z grupą starszych chłopców. Młodzież ta jest podejrzewana o zażywanie narkotyków i działalność przestępczą. Rodzice już wcześniej zgłaszali się z synem do poradni psychiatrycznej dla dzieci i młodzieży, ale według nich wizyty nic nie dały. Również starania podejmowane przez szkołę nie wpłynęły na zmianę zachowania chłopca.

Rodzice są zdesperowani i nie wiedzą, co robić. Z niepokojem obserwują postępującą demoralizację syna. Według nich te problemy odbijają się również na ich wzajemnych stosunkach, w związku z czym rozważają separację. Boją się jednak, że mogłaby jeszcze nasilić problemy syna, który źle znosi zmiany. Matka przyznaje, że boi się być z nim sama, ponieważ syn miewa napady furii, gdy coś dzieje się nie po jego myśli. Kilka dni temu rzucił się na nią, gdy po kolejnym przypomnieniu, że miał już przestać grać, wyłączyła mu komputer. Szarpał ją i nazywał wredną babą. Rodzice sugerują, że chłopiec powinien zamieszkać w innych warunkach.

Jovana Stagovic, referentka ds. młodzieży

Zebranie w poradni.

Elin trzyma na kolanach plik faktur, ma nieszczęśliwą minę. Gdy rano przyszła do pracy, nagle się okazało, że już nie ma czarnych włosów, tylko rude, czarne ciuchy zastąpiła sukienka z lat pięćdziesiątych, a do tego glany.

– Ale kto w takim razie ma zatwierdzić faktury?

– Nie ma znaczenia – odpowiada Sven znużonym głosem. – Byle był to ktoś z nas. Nie możesz tak po prostu sama dokonywać przelewów, powinnaś to zrozumieć.

Elin się czerwieni i bez słowa patrzy w stół.

Aina rzuca Svenowi chłodne spojrzenie i matczynym gestem kładzie dłoń na ręce Elin.

– Elin, chodzi o zaledwie tysiąc koron. Zapomnijmy o tym.

– Szwedzki Spis Adresowy SA? Jak mogłaś zgłupieć do tego stopnia, żeby to zapłacić?

Przecież dla każdego byłoby oczywiste, że to firma krzak.

Sven przeciąga dłońią po nieumytych, przetkanych siwizną włosach, w pokoju rozchodzi się woń potu. Obie z Ainą martwimy się, że Sven się stacza, pije coraz więcej.

Przypomina mi się rozmowa, którą odbyliśmy kilka tygodni temu. Powiedział wtedy, że skończył z miłością. I z alkoholem. Że już nie tknie gorzały. Stwierdzam, że nie wytrzymał zbyt długo. Ale pewnie tak z tym jest.

– Sven – mówi Aina ostrzegawczo.

– Powinniśmy ci potrać z pensji – ciągnie Sven.

Elin wypuszcza z rąk papiery, które z hałasem spadają na podłogę, kładzie rękę na ustach, jakby się powstrzymywała przed powiedzeniem czegoś, i wypada z pokoju.

– Nie za dobrze wyszło, prawda? Jak masz problemy, to jeszcze nie znaczy, że możesz się odgrywać na innych.

Aina wygląda na spokojną, ale ostry ton w jej głosie świadczy, że jest autentycznie zdenerwowana.

– Moje problemy nie mają z tym nic wspólnego.

– Twoje problemy mają z tym bardzo dużo wspólnego, wszystko, i ty wiesz o tym – spokojnie odpowiada Aina.

– Aha, ale to nie ja ściągam tu uzbrojonych szaleńców.

– No wiesz – odzywam się, bo też mam dość humorów Svena. – To nie jest nasza wina.

Sven mamrocze coś o Vijayu.

– Co takiego? – pyta Aina. – Jeśli ci przeszkadza, że współpracujemy z Vijajem, to powiedz otwarcie, zamiast mamrotać pod nosem.

– Gdybyście się nie uparli wziąć udziału w tym badaniu, nigdy by się to nie stało. Jeśli chcecie znać moje zdanie, on pracuje z wami tylko po to, żeby być ważny.

Mówi to cicho, wrogim tonem. Znów czuję woń potu.

– Wiesz równie dobrze jak my, że potrzebujemy tych pieniędzy – odpowiada Aina.

Sven milczy, zaciska szczęki, chwyta przewieszoną przez oparcie sztruksową marynarkę w kolorze mchu i tak samo nagle jak Elin wychodzi z pokoju.

Bez słowa patrzymy na siebie z Ainą.

Od dnia, gdy zginęła Hillevi, Sven otwarcie okazuje nam wrogość. Jakby winił nas za to, co się stało.

Nigdy nie lubił Vijaya, który odnosi sukcesy, jest profesorem, chociaż nie ma jeszcze czterdziestki. Vijay jest tym, kim chciał być Sven, ale nie został. Jest dla Svena nieustannym i bolesnym przypomnieniem jego własnych porażek.

– On śmierdzi – stwierdza Aina.

– Zauważyłam. Musimy z nim pogadać. Dłużej tak nie może być. Nawet przestał dbać o higienę.

Dzwoni telefon. Patrzą na wyświetlacz, nie znam tego numeru.

– Odbierz – mówi Aina. – I tak już nie będzie żadnego zebrania. Cholera, wszyscy zrobili się dziś jacyś uczuciowi.

– A ty byś nie mogła odebrać? Zamieniłabym kilka słów ze Svenem.

Aina wzrusza ramionami i przytakuje.

Sven siedzi w swoim gabinecie. Lampa się nie pali, w ciemności widzę żar papierosa, chociaż się umówiliśmy, że ma nie palić w poradni.

Stopniowo z ciemności wyłaniają się kontury mebli. Na podłodze leżą sterty papierów. Na biurku pełno plastikowych torebek i pustych opakowań z McDonalda. W kącie leży krzesło, prawdopodobnie przewróciło się pod ciężarem granatowego palta, które leży obok.

W pokoju unosi się zapach dymu papierosowego i jakby zepsutego jedzenia. Starego sera?

– Boże, Sven...

Nie odpowiada. Zaciąga się, żarzące się oczko nabiera nowego życia.

Kucam koło niego, kładę mu rękę na ramieniu. Czuję drżenie przez rękaw swetra.

– Nie myślałam... że jest aż tak źle.

Sven pochyla się, opiera głowę o puste opakowanie po Big Macu i głośno szlocha.

– Strasznie mi jej brakuje. Dlaczego miłość musi być taka strasznie trudna?

Nie odpowiadam, bo na to pytanie nie ma odpowiedzi. Gładzę go po gęstych, falujących włosach i wychodzę z pokoju równie cicho, jak przyszłam.

Aina siedzi naprzeciw mnie w jednym z ciasnych boksów w Pelikanie. Przed nią na ciemnym, porysowanym blacie stoi duży kufel spienionego piwa. Ja piję colę, chociaż wolałabym piwo. A jeszcze lepiej kieliszek wina.

Aina łączywie pociąga z kufła, ja sączę małymi łydkami.

– Obdzwoniłam wszystkie... – odzywa się.

Kiwam głową i rozglądam się po lokalu. Mam przed sobą mieszanię złożoną z młodych, modnie ubranych mieszkańców Söder, zwykłych robotników, którzy w drodze do domu wstąpili na jednego, i stałych wycierusów, którzy w milczeniu, konsekwentnie oddają się picciu.

Ciemne, polakierowane deski boazerii odbijają światło świec. Przez wypukłe szybki gęsto poprzecinane szprosami widać pojedynczych przechodniów przemykających w ciemności.

– Chcą się spotkać jeszcze parę razy. Pewnie chciałyby jakiegoś podsumowania. Poza tym wydaje mi się, że wszystkie odczuwają potrzebę, żeby porozmawiać o tym, co się stało.

– Czyli tak robimy. Słuchaj... coś się stało.

Aina podnosi na mnie wzrok. Wydaje się zmartwiona.

– Co takiego?

– Malin przyjechała do mnie do domu.

– Przyjechała do domu? Dlaczego? – pyta ze zdumieniem.

– Żeby mi coś opowiedzieć. Wiedziałaś, że jedną z osób, które jej gwałcicielowi dały fałszywe alibi, była Susanne Olsson?

– Susanne Olsson? Ta zamordowana?

– Właśnie.

– Żartujesz?

– Ani trochę. Byłam wezwana na policję w tej sprawie.

– Na policję? Dlaczego?

– Zakładają, że mogła mieć motyw, aby zabić Susanne. W każdym razie w teorii.

– Boże, oni tak naprawdę myślą?

– Facet nie powiedział tego wprost, ale to oczywiste, że muszą ją sprawdzić.

– Przecież sprawcą był mężczyzna.

– Nic więcej nie wiem. Pomyślałam tylko, że zechcesz wiedzieć.

– Czy pozostałe osoby z grupy wiedzą o tym? Kattis wie?

– Raczej nie. Ciężko było jej o tym mówić.

– Mówiłam ci przecież, że ona jest niezrównoważona.

Przyglądam się Ainie, siedzi z ramionami skrzyżowanymi na piersi, zaciśniętymi szczękami.

– Czasem wydajesz mi się...

– No jaka? Powiedz. Ostra?

– Coś w tym rodzaju.

Czuję, że się czerwienię. Nie mam ochoty na colę, zdecydowanym gestem odsuwam szklankę. Nie mam też ochoty rozmawiać o Malin ani myśleć o tym, co się wydarzyło od momentu, gdy pojawiła się w naszym życiu wraz z pozostałymi kobietami z grupy.

– A co z twoim facetem? – pytam.

Aina się rozluźnia, kładzie ręce na kolanach i lekko się uśmiecha.

– Z facetem, czy ja wiem... chyba dobrze. Nigdy byś mnie nie podejrzewała o coś takiego, prawda?

Mówi niemal triumfującym tonem. Kręcę głową, rzeczywiście już zwątpiłam, że potrafi stworzyć w miarę trwały związek.

– Bardzo się cieszę ze względu na ciebie.

Aina uśmiecha się niepewnie i patrzy na mnie wielkimi, szarymi oczami.

– Szczerze mówiąc...

– To co?

– Trochę się boję zdawać na drugiego człowieka. A gdyby mu się coś stało? – Wzrok jej ciemnieje.

– Przecież o to chodzi, nie?

– A z tym, to o co chodzi? – Pokazuje na moją szklankę z colą. Widzę, że się domyśla, może nawet od dłuższego czasu. Aina dobrze mnie zna, wie, że po osiemnastej nie piłabym niczego innego, jak tylko wino. Zna również wszystkie tłumaczenia, które mają uzasadnić, że pozwolę sobie na to, czego domaga się moje ciało.

Patrzę na nią. Aina ma poważny wyraz twarzy.

– To prawda?

Czuję, że niezależnie od mojej woli uśmiecham się coraz szerzej.

– O cholera, jak fajnie!

Zrywa się, nachyla przez stół i prawie wylewa piwo, gdy mnie obejmuje, a ja wdycham znajomy miodowy zapach jej włosów.

– Gdzieś tak na wiosnę – mówię niemal bez tchu.

Aina, wciąż uśmiechnięta, szybko siada z powrotem.

– To super. Naprawdę. Słuchaj, ale co teraz będzie z poradnią?

Nie rozumiem. Do tej pory nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby się nad tym zastanawiać. Poradnia wydaje się odległą i nieważną sprawą w porównaniu z żywą istotą, która we mnie rośnie.

– Z poradnią?

– Co będzie z twoimi pacjentami? Chyba nie zamierzasz pracować tak jak dotąd, co?

– Nie wiem jeszcze...

– Jest też sprawa czynszu; jeśli nie będziesz pracować, chyba będziemy ze Svenem musieli się nim podzielić? Czy masz inny pomysł?

Między jej brwiami pojawia się zmarszczka, wygląda na zatroskaną.

– Jeszcze niczego nie postanowiłam.

– Elin też nie pracuje za darmo – ciągnie Aina, jakby nie usłyszała, co mówię.

Ogarnia mnie coraz większe rozczarowanie. Uzmysławiam sobie, że wydarzenie, które dla mnie oznacza życiowy przewrót, dla niej stanowi przede wszystkim problem domagający się praktycznego rozwiązania. Zerkam na stojącą na stole szklankę z colą i myślę sobie, że dałabym wszystko za kieliszek wina.

Chociaż jeden.

W nocy znów śni mi się Hillevi.

Siedzi na łóżku koło mnie, światło księżycy srebrzy się na jej włosach. Zamiast pięknej czarnej sukni, w którą była ubrana, gdy widziałam ją ostatni raz, ma na sobie długą białą koszulę. Na wysokości talii niebezpiecznie powiększa się czerwono-czarna plama, od której bije słodkawy zapach krwi.

Jest boso, drobne stopy są brudne, jakby przyszła z dworu, idąc po skałach wzdłuż wybrzeża.

Drętwię pod kołdrą, gdy ze smutnym wyrazem w ciemnych oczach przesuwa po mnie spojrzeniem.

– To twoja wina – mówi. – To twoja wina twoja wina twoja wina.

Nie jestem w stanie odpowiedzieć, ściska mnie w gardle ze strachu i żalu. Chciałabym jej dotknąć, pocieszyć dotknięciem. To jedyne pocieszenie, jakie mogę jej dać, ale moje członki mnie nie słuchają.

Z wyrazem zastanowienia patrzy w okno na księżyc i morze zalegające ciężko wokół skał. Wpatruje się w szron na szybie, jakby studiowała jego wzór przypominający liść paproci.

– Gdybym nie przyszła do ciebie – szepcze, przesuając po brzuchu dłonią, która barwi się krwią wypływającą z jej ciała. – Gdybym nie przyszła do ciebie, byłabym teraz z moimi dziećmi, prawda? One mnie potrzebują. Co z nimi teraz będzie?

Spojrzenie jej oczu, czarnych i matowych jak węgielki, spotyka się z moim, krzyczę raz po raz, ale z ust nie wydobywa się żaden dźwięk. Czuję chłód od jej krwi, która spływa po moim ciele, tworząc pod nim niewielką kałużę.

– Przymknij, że pomożesz moim dzieciom – mówi i nagle odrętwienie puszcza, potakuję głową.

Odpowiada kiwnięciem i znika.

Wzniesienie, na którym znajduje się szpital, wydaje mi się wyjątkowo strome i trudne do pokonania. Szybko mijają nas dwie starsze panie z kijkami, zmierzające w kierunku kliniki dziecięcej. Mam coraz gorszą kondycję. Jakby mnie dopadła ciężka choroba. Położna zapewniła mnie, że to normalne w ciąży.

Że wszystko w porządku.

Markus jest ożywiony, pełen nadziei i bez przerwy mówi, przeskakując z tematu na temat. Praca, święta Bożego Narodzenia, dom rodziców w Skellefteå, gdzie ojciec właśnie instaluje ogrzewanie geotermalne. Odpowiadam monosylabami i staram się słuchać, ale nie potrafię się skupić. Ciągłe wracam myślami do tamtego badania w szpitalnym gabinecie USG i zaszepionej miny lekarza. Wada tak ciężka, że nie daje szans na przeżycie.

Niepojęte.

To, co miało być naszą, moją i Stefana, pierwszą wspólną chwilą z naszym nienarodzonym dzieckiem, zamieniło się w koszmar łacińskich terminów, diagnoz i prób wyjaśnienia przyczyn. Dlaczego nasze dziecko zostało dotknięte taką wadą. Dlaczego nie będzie żyło.

Teraz idę tą samą drogą z innym mężczyzną. Tym samym chodnikiem, wzdłuż tych samych budynków o tych samych szarych fasadach. Wszystko to samo, a jednak świat jest inny. Nic nie jest takie, jak było.

Markus przestaje mówić i patrzy na mnie uważnie. Wygląda rozpaczliwie młodo z tymi swoimi przydługimi, potarganymi włosami mokrymi od deszczu, który niezmordowanie leje się z nabrzmiałych chmur.

– Ciężko ci iść? – Jego spojrzenie wyraża niepokój i troskę.

Wzrusza mnie, doceniam to, ale nie potrafię się odnaleźć wobec jego opiekuńczości. Nie chcę być osobą słabą i potrzebującą wsparcia.

– Tak, trochę.

Wchodzimy przez szklane drzwi prowadzące do oddziału ginekologiczno-położniczego. Kobieta w okienku pyta, czy chodzi o USG czy o poród. Mam coraz silniejsze poczucie nierzeczywistości. Serce wali mi w piersi, mam wrażenie, że się duszę, jakbym nie mogła złapać powietrza. Marzy mi się kieliszek wina. Co oczywiście jest niemożliwe. Żadnego wina. Tak sobie obiecałam. Żadnego wina, żadnego alkoholu. Nawet piwa.

Opadamy na fotele w poczekalni i rozglądam się po oczekujących. Kobieta w zaawansowanej ciąży je jabłko i czyta kolorowy tygodnik. Zdjęła buty, nogi oparła na stojącym naprzeciw krześle. Ma bardzo spuchnięte stopy, aż dziw, że w ogóle może chodzić. Młodzi rodzice z dzieckiem na kolanach czytają mu książeczki. Dziecko pokazuje jakiś obrazek i śmieje się z wyraźnym zachwytem. Rodzice patrzą na siebie i również się śmieją. Łączy ich oczywista, wręcz namacalna więź rodzinna.

Podchodzi do nas wysoka kobieta w zielonym szpitalnym ubraniu. Ciemne włosy zaczesane do tyłu, spięte klamrą w kolorze szylkretu. Na szyi cienki rzemyk z czarną zawieszka, która wygląda na afrykańską. Zastanawiam się, czy wszystkie położne muszą być zwolenniczkami porodów naturalnych i medycyny alternatywnej, wolą być nazywane akuszerkami i zajmować się psychoprofilaktyką, czy może jednak są również położne, które kochają nowoczesne techniki porodu i chętnie stosują znieczulenie.

Kobieta się przedstawia, ma na imię Helena, to ona przeprowadzi badanie. Idziemy za nią korytarzem do małego, dusznego gabinetu. Jest tak ciasno, że ledwo się mieścimy we troje. Ciepło, za ciepło. Jest mi coraz duszniej, czuję, że ogarnia mnie panika.

Mam się położyć na leżance przykrytej papierem o marszczonej fakturze i zsunąć dzinsy do bioder. Markus siada na krześle przy wezłowi.

Przed nami na ścianie monitor.

Helena obszernie wyjaśnia, że celem badania USG jest przyjrzenie się narządom płodu i pomiar obwodu głowy, aby oszacować wiek i masę ciała.

– Czy to państwa pierwsze dziecko? – pyta Helena z uśmiechem i rozsmarowuje mi na brzuchu przezroczysty żel. Nie zdaje sobie sprawy, jak brzemiennie jest to pytanie.

– To moje pierwsze dziecko, jestem nowicjuszem. Po co ta pacia na brzuchu Siri? –
przychodzi mi na ratunek Markus.

Gawędzi z położną, podczas gdy ja zamykam oczy i liczę oddechy, usiłując się skupić na tym, co tu i teraz. Ignorować lęk. Słyszę głos Heleny; wyjaśnia, co widzi na monitorze zwróconym do niej w ten sposób, żebyśmy opacznie nie zinterpretowali tego, co na nim widać. Rejestruję słowa, spokojny ton. Słyszę, ale nie potrafię połączyć tego w zrozumiałe zdania.

– Może państwo również chcą spojrzeć? – Helena delikatnie dotyka mojego ramienia i wtedy otwieram oczy.

Na monitorze na ścianie widać czarne i białe pola. Białe nagle się łączą, tworząc ciało. Nierówne cienie przekształcają się w korpus, rączki i nóżki. Wyłania się główka. Już nie słyszę Heleny. Patrzę tylko na dziecko, które porusza się niecierpliwie, nerwowo.

– Zmierzę teraz obwód główki i kość udową, żeby się zorientować, jaki jest wiek płodu. Wygląda na to, że jest pani w osiemnastym tygodniu ciąży.

Helena uśmiecha się i patrzy na mnie pytająco. Uzmysławiam sobie, że od chwili, gdy się sobie przedstawiłyśmy, nie odezwałam się ani jednym słowem.

– W osiemnastym tygodniu? – Jestem zdumiona. To prawie połowa ciąży, chociaż z trudem przyjąłam to do wiadomości. I poza Markusem i Ainą nikomu nie powiedziałam, ani rodzicom, ani siostrze. Byłam przekonana, że również ta ciąża skończy się cierpieniem i pustką, więc wołałam udawać, że jej nie ma.

– W osiemnastym. – Helena patrzy na ekran swojego monitora, stuka w klawisze, znów podnosi wzrok. – To znaczy, że zostanieie rodzicami około dwudziestego dziewiątego kwietnia przyszłego roku.

Ponownie patrzę na ekran i sylwetkę dziecka. Potem na Markusa. Serce mi wciąż wali, ale strach osłabł. Zastąpiło go coś innego.

Nadzieja?

Markus siedzi w fotelu przysuniętym do telewizora, w ręku dżojstik, na ekranie odbywa się jakaś walka. Trudno mi pojąć, na czym ma polegać urok tego grania. Czasem wydaje mi się, że to przejaw jego niedojrzałości, ale zdaję sobie sprawę, że skoro Markus akceptuje moje dziwactwa, muszę dać mu przestrzeń dla jego zainteresowań.

Wzdłuż ściany w dużym pokoju stoi kilka opróżnionych kartonów, rozumiem, że Markus przywiózł więcej rzeczy ze swojego mieszkania. Zaczyna się zadowalać. Zdejmuję wysokie buty, w niewielkim przedpokoju rzucam na krzesło przemoczoną kurtkę i szal.

– Zaraz skończę... – Markus w skupieniu strzela do wirtualnego wroga na ekranie.

– Jasne. – Zabieram do kuchni papierowe torby z zakupami, wkładam jedzenie do lodówki i zamrażarki. Uderza mnie poczucie powszedniości tego zajęcia i czuję, że dobrze mi z tym. Słyszę, jak Markus klnie, najwyraźniej przegrał.

– Pomóc ci?

Wchodzi do kuchni i daje mi lekkiego całusa w policzek. Już zapomniał o grze. Gładzi mnie po ramieniu.

Coś się między nami zmieniło. Markus jest spokojniejszy, mniej uparty, może dlatego, że czuje się pewniej. Dzięki temu nie odczuwam już takiej presji jak poprzednio. Takie to proste, a jednocześnie takie trudne. Kręcąc głową, wstawiam resztę zakupów do spizarki. Markus siada przy stole kuchennym, opiera łokcie na stole i chwyta twarz w dłonie. Ma zmartwioną minę.

– Co ty właściwie wiesz o dzieciach? Znasz się na psychologii dziecięcej? – Widzę, że jest nieogolony i ma czerwone oczy. Ostatnio pracuje więcej niż zwykle. Zajmuje się jakimiś odpryskami śledztwa w sprawie zabójstwa Susanne Olsson, ale przede wszystkim dwoma gwałtami na terenie Hellasgården²¹. Były wyjątkowo brutalne i są obawy, że chodzi o seryjnego gwałtocięla. Wiem, że bardzo się przejmuje tą sprawą.

– O dzieciach? Boisz się, że nie potrafię wychować dziecka? Że będę kiepską matką?

– Nie wszystko kręci się wokół ciebie, kochanie. – Markus uśmiecha się ze znużeniem i choć wiem, że żartuje, robi mi się głupio. – Ta mała dziewczynka, Tilde, mieszka teraz z ojcem. Na stałe. Przedtem nocowała u niego co drugi weekend, a mieszkała u matki. Jej ojciec mówi, że Tilde prawie się nie odzywa. Cały czas tylko rysuje. Od czasu zabójstwa ani razu nie wspomniała o matce, nawet nie zapytała o nią. Jakby się wyłączyła, zamknęła. A on nie wie, jak ją otworzyć.

– Ktoś się nią zajmuje? Jakiś psycholog?

Myślę o dziewczynce, która przez kilka godzin rysowała, siedząc pod stołem, obok zwłok mamy, i jak potem była przesłuchiwana przez policyjną psycholożkę.

– Tak, chodzi do psychologa w poradni dla dzieci i młodzieży, ale nie wiem, co z nią robią. Ty się na tym znasz.

– Prawdę mówiąc, nie mam o tym żadnego wyobrażenia. Nigdy nie pracowałam z dziećmi z urazami psychicznymi. Może próbują pomóc jej wyrazić swoje uczucia poprzez rysowanie, malowanie... czy ja wiem.

Zdaję sobie sprawę, że moja wiedza na temat terapii dla dzieci, które były świadkami przemocy, jest bardzo ograniczona. Nagle przypomina mi się wykład, w którym uczestniczyłam podczas studiów. Wygłaszała go blondynka z wielkimi srebrnymi kolczykami w uszach i w pięknym, kaszmirowym szalu. Opowiadała o pracy z dziećmi uchodźców w ośrodku na północ od Sztokholmu. Dzieci rysowały żołnierzy, a potem darły rysunki.

– A co z waszą teorią, że to było morderstwo na tle rabunkowym?

– Uważają, że to mogło być pospolite morderstwo na tle rabunkowym. Przypadkowe.

– A Henrik? Co on ma z tym wspólnego? Miałby być sprawcą rozboju, czy co?

Markus krzywi się i przewraca oczami.

– No dobrze, ja nie wierzę w tę wersję. Nie pasuje mi do tego furiackiego pobicia.

Przesłuchali roznosięla reklam, który ją znalazł. Faktem jest, że korzystając z okazji, buchnął jej portfel, dlatego został uznany za podejrzanego. Szesnastolatek, który w ogóle nie miał z nią nic wspólnego! Po prostu nie wierzę w to. Nadal poszukujemy Henrika. Profiler, z którym współpracujemy, uważa, że facet jest największym zagrożeniem dla samego siebie. Obawia się, że Henrik popełni samobójstwo, jeśli uświadomi sobie, jaką zbrodnię popełnił. Jakby to mogło

cokolwiek pomóc. Jego była, Kattis, dzwoni do nas kilka razy dziennie. Śmiertelnie się boi, że ją dopadnie, i jest całkowicie przekonana, że to on zamordował Susanne Olsson. W każdym razie tak mówi.

Widzę, że Markus jest zrezygnowany, zmęczony i zły, chociaż prawie nigdy nie okazuje złości.

– A co z Malin?

Kręci głową.

– Niezły zbieg okoliczności, prawda? Że trafiła do tej samej grupy co była dziewczyna Henrika Fastha. Jeśli to rzeczywiście przypadek. Jednak wierzę, że tak, bo sprawcą był najprawdopodobniej mężczyzna, poza tym Malin ma alibi. W dniu, gdy została zamordowana Susanne, biegła w jakimś półmaratonie w Skanii.

– Czyli jednak przypadek?

– Skąd ja mogę wiedzieć? Gustavsberg jest małą miejscowością, a one są w tym samym wieku, więc nie da się wykluczyć, że to rzeczywiście przypadek. – Markus wzrusza ramionami i masuje skronie. – Całe to dochodzenie to jeden burdel na kółkach – ciągnie. – Gazety nas niszczą za Henrika, za to, że od razu go nie zamknęliśmy. Każdy ma jakiś pogląd na sprawę i musi się wypowiedzieć, a w gruncie rzeczy sprowadza się do tego, że policja jest beznadziejna.

Stoimy obok siebie w ciasnej kuchni. On zmęczony i zły. Ja – pełna niepokoju. Myślę o Henriku, jego niezrozumiałym, gwałtownym zachowaniu. Czuję strach na myśl, że ukrywa się gdzieś w pobliżu i czeka na właściwy moment, a jednocześnie zdaję sobie sprawę, że Markus ma rację. Henrik jest największym zagrożeniem dla samego siebie.

Dzwoni komórka Markusa. Czuję zawód. Przecież mieliśmy spędzić ten wieczór razem. Telefon oznacza prawdopodobnie, że musi jechać, może przesłuchać świadka albo potencjalnego sprawcę. Odpowiada monosylabami, mruczy pod nosem i kiwa głową. Mam wrażenie, że zdenerwował się otrzymaną informacją. Przechodzi do dużego pokoju, włącza laptop leżący na szafce przy oknie i stuka w klawiaturę. Po paru sekundach otwiera się nowa strona i widzę czarny tytuł na portalu „Aftonbladet”: „Czy pomoże złapać mordercę swojej mamy? Policja ma nowego świadka zabójstwa Susanne. To jej pięcioletnia córka Tilde”.

Patrik płacze.

Łzy płyną strumieniami po jego krostowatych policzkach. Tworzą mokre plamy na poszarpanych, rurkowatych nogawkach dzinsów.

Cała wiara w przyszłość, jaką okazywał podczas ostatniej sesji, wszystkie jego nadzieje rozwiały się jak jesienne liście koło jego domu.

Patrik zgina się wóół i pochyla nad żółtym linoleum w ciapki. Jest przygnieciony, pokonany przez życie, przez miłość.

Bezradnie podsuwam mu chusteczki. Próbuję sobie wszystko uporządkować w głowie.

– Odeszła. Chyba się pieprzy z innym facetem. *Kurwa jedna.*

Głos jest tak samo bezsilny jak ciało.

– Okej, mów od początku. Co się stało?

Wzdycha ciężko. Teraz leży na fotelu, jakby miał gorączkę i brakowało mu siły by usiąść.

Każdy mięsień wyczerpany do cna.

– To było przedwczoraj. Nie do wiary. Wróciłem do domu... A ona się pakuje. Po prostu. Potem wyszła. Tak po prostu. Zostawiła mnie i dzieci. Po prostu. *Kurwa.*

Drży na całym ciele.

– Co powiedziała?

– Nienawidzę jej! – wykrzykuje Patrik.

Rozumiem go. Tak bardzo boli, gdy odchodzi ktoś kochany. Wbrew naszej woli. Bardzo mu współczuję. Chciałabym objąć i utulić tego brodatego, chudego chłopca.

To oczywiście niemożliwe.

On jest moim pacjentem, ja jego terapeutką.

Nasze role są precyzyjnie wyznaczone: on siedzi na jednym fotelu, ja na drugim.

On płacze, ja podsuwam kleeneksy.

On płaci, ja słucham.

– Okej, okej. No więc powiedziała tak: pomogłem jej, super, znów jest silna, bla, bla, bla. Takie tam pierdoły. *Teraz* zdała sobie sprawę, że mnie nie kocha. *Teraz* jest na tyle silna, że może ode mnie odejść. Dzięki mojemu wsparciu. Cholerne dzięki!

Wyciera twarz, zwija chusteczkę w mokrą kulkę i rzuca w stronę kosza na śmieci. Nie trafia, chusteczka ląduje na mojej klinicznie czystej podłodze.

Żadne z nas nie reaguje.

– W dodatku to całkowicie nielogiczne. To *ja* powinienem od niej odejść. Ja musiałem zarabiać pieniądze i jeszcze opiekować się dziećmi, podczas gdy ona miała lęki. Leżała na kanapie. Jadła. Jak tłusta, głupia krowa. Nadużywała leków. Jeśli już ktoś miał odejść, to ja. Nie ona. To niesprawiedliwe.

– Jak się poczułeś, gdy ci powiedziała, że odchodzi?

– Jeśli jeszcze raz zadasz mi takie głupie pytanie, to wyjdę. Kapujesz? – odwarkuje przez zęby, ale brzmi to bezsilnie, nawet niemrawo. Wzdycha i patrzy w sufit. – Okej, okej. Jakbym umierał. Jakby mi odbierała życie. Mieliśmy kawałek wspólnego życia, mamy ze sobą dwoje dzieci. Jak ona może? To nie w porządku. Wbrew... naturze. Matka nie może tak po prostu zostawić swoich dzieci.

Zza drzwi słyhać klótnię Ainy ze Svenem. Jej głos ostry, jego głuchy, zacięty. Nie daje się.

– Tak jak twoja? W pewnym sensie też cię opuściła.

– Przestań głądzić o mojej mamie! – wrzeszczy Patrik. – Do cholery, przecież tu nie chodzi o nią, tylko o Mię.

– Oczywiście, o ciebie i Mię, ale twój ból w jakiejś części na pewno bierze się z wcześniejszych przeżyć.

Patrik nie słucha. Myślami jest gdzieś daleko. Wpatruje się w podłogę i mruży coś niezrozumiale.

– Co powiedziałeś? – pytam.

– Miłość – szepcze.

– Co miłość?

– *Love fucks you up.*

W odpowiedzi mogę tylko kiwnąć głową.

Mokrym butem robi krechę na podłodze, rozmazuje brudną wodę. Jak dziecko. Wygląda też jak dziecko. Zrezygnowane i opuszczone.

– Co teraz?

Patrzy na mnie. Marszczy czoło, zaczerwienione oczy patrzą tępo. Jakbym odezwała się w obcym języku.

– Teraz?

– Rozmawialiście o tym?

Kręci smutno głową. Z nieobecny wyrazem twarzy patrzy w czarne okno, zaciska wargi w cienką kreseczkę.

Słyszę tylko zgrzyt podeszwy po linoleum.

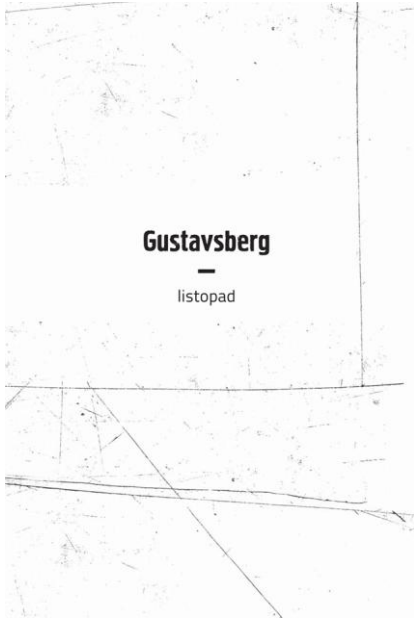
17 Drzewko świętojańskie, po szwedzku *midsommarstång*, barwnie udekorowany słup stawiany przed obchodzoną bardzo uroczyście nocą świętojańską; obecnie jest to święto ruchome, obchodzone w weekend przypadający najbliżej 24 czerwca.

18 Baggensstäket – cieśnina między Värmdö i stałym lądem.

19 Sofia skola – licząca 100 lat szkoła podstawowa w dzielnicy Södermalm.

20 Thomas Qvick, Szwed skazany za serię morderstw jedynie na podstawie jego przyznania się do winy. Policja nie znalazła świadków ani bezpośrednich dowodów. Qvick przyznał się do popełnienia około trzydziestu morderstw, ale później to odwołał.

21 Hellasgården – tereny sportowe i rekreacyjne w gminie Nacka.



Szeregowce zbudowano na środku czegoś, co wygląda na pole, u stóp świerkowego lasu, który na zachodzie ciągnie się aż do jeziora, a na wschodzie do niewielkiego centrum. W listopadowym zmroku drewniane, żółte fronty budynków i niebieskie drzwi przybrały bury kolor pomysł. Przed domami rządkiem porządnie zaparkowanych samochodów. Z fasad jak grzyby wyrastają anteny satelitarne różnej wielkości. Z okien pada ciepłe, żółte światło, odbija się w podmokłej ziemi i sączy się dalej, w ciemność za schludnymi ogródkami, w stronę lasu, gdzie już nikt nie mieszka.

Kent Hallgren jest zmęczony. Do imentu.

Bardziej niżby wynikało z okoliczności, myśli, nalewając sobie porcyjkę whisky do szklanki z duraleksu. Bez lodu. Wolałby z lodem, ale nie ma siły podejść do zamrażarki stojącej w drugim kącie kuchni. Nogi ma jak z kamienia, bolą go plecy, głowa pęka. Podnosząc szklankę do ust, czuje ostry zapach własnego potu.

Wolałby móc wymazać z życia ostatnie dni, jakby kasował z twardego dysku.

Śmierć Susanne mocno nim tępnęła. Źle sypia, w pracy ciężko mu się skupić. Kent uważa, że nie zasłużył sobie na coś takiego. Należy mu się lepsze życie, bez długów, bez byłej żony wariatki, która dała się zamordować, i bez dzieciaka na karku.

Nie chodzi o to, że mu nie żał Susanne, bo oczywiście żał. Spędzili ze sobą trzy lata i na pewno nie zasłużyła na śmierć, chociaż pod koniec zachowywała się jak ostatnia zdzira. Jednak miała również zalety. Była dobrą mamą dla Tilde, zdrowo ją karmiła, dbała, żeby była ładnie ubrana, i plotła warkocze. Była mamą, która nawiązuje dobry kontakt z personelem w przedszkolu i w ośrodku zdrowia.

A teraz wszystko spada na niego.

Jasne, że go to nie bawi, to niesprawiedliwe. Kent nie jest przygotowany do sprawowania pełnej opieki nad dzieckiem, nie wie, jak postępować. Nie umie zaplatać warkoczy, nie wie, czym się bawią takie małe dziewczynki.

W kącie, koło kociej miski na wodę, leżą puste opakowania po kebabach i pizzy. Tilde pokolorowała kilka pudełek po pizzy. Z zatłuszczonego, burego kartonu spogląda na niego twarz o okrągłych oczach i długich, ostrych zębach.

Nieprzyjemna twarz, wręcz zła. Dlaczego ona ją narysowała? Czy to portret... mordercy? Może powinien zanieść ten karton na policję? Co ona właściwie widziała wtedy? Czy widziała...? Nie, nie wolno mu o tym myśleć. Musi się trzymać. Postanawia, że nie zanieś kartonu na policję, i tak się nie nadaje na portret pamięciowy.

Tilde siedzi przy stole w kuchni, nawleka drewniane koraliki na żyłkę wędkarską. Innej nie miał, bo dawniej Tilde nie zostawiała u niego tak długo, chociaż faktem jest, że nie domaga się wielu zabawek. Zazwyczaj wystarczy nastawić jej *Bolibompe* albo dać blok rysunkowy. Jednak tym razem kupił jej koraliki w sklepie zabawkarskim w centrum. Powiedzieli, że to świetna zabawka dla pięciolatki, chyba mieli rację, bo od godziny siedzi i nawleka.

Kent wypija łyżeczkę whisky o lekko wędzonym smaku, od którego trochę go mdli. Na policji powiedzieli, że wciąż nie wiedzą, kto był sprawcą. Że nie da się oskarżyć Henrika, bo ma alibi. Jednak policja chyba musi go podejrzewać? Nie trzeba być mózgowcem, by rozumieć, że z tym facetem musi być coś nie w porządku. Te mięśnie... Tego nie da się uzyskać samym podnoszeniem ciężarów. Musi coś brać. Dziwne, że Susanne na niego polecała. I to chodzenie na strzelnicę, jeszcze jeden sposób, żeby rozładować agresję. Mówi się również, choć to akurat nie jego sprawa, że Henrik prawie wszystko, co zarobi, przegrywa na wyścigach.

A teraz, choć wcale nie zamierzał, Kent siedzi w domu z pięcioletnią córką na karku. Wyjazd z kumplami na Phuket musiał, rzecz jasna, odwołać.

Wypija spory łyk letniej whisky, opary alkoholu szczypią go w oczy.

Wszyscy okazali zrozumienie, gdy odwoływał. Mówili, że to straszne, co się stało z Susanne. Wśród swoich znajomych stał się kimś w rodzaju celebryty. Człowiekiem, do którego odnoszą się ze szczególnym szacunkiem i zainteresowaniem. Poszukiwanym towarzystwem. Jest mu z tym całkiem dobrze.

Nagle staje przed nim, chudziutkimi ramionkami obejmuje za nogawki dżinsów i patrzy

wielkimi, niebieskimi oczami, które są również oczami Susanne. Kentowi robi się jakoś miękko w brzuchu. Nie potrafiłby nazwać tego uczucia i nie wie, jak się do tego odnieść.

– Córeńko, tatusiowa córeczko.

Nachyla się i całuje ją w policzek.

– Fuj, tatusiu, pachniesz jak nasza pani.

– Jak pani? – pyta zdezorientowany.

– Tak, kiedy sobie upačka ręce tym niebieskim.

– Upačka niebieskim?

Już mu się przypomina. W przedszkolnej toalecie stoi duża butelka alkożelu, którego personel używa po myciu rąk. Podobno chroni przed grypą. Czyżby tak pachniał? Alkożelem? Odstawia szklankę z bursztynowym płynem i bierze małą na ręce.

– Pora spać, kochanie.

Tilde przytakuje z poważną miną. Znow uderza go myśl, jaka jest posłuszna, ciekawe, czy tak jej zostanie, czy tylko przechodzi taki okres. Czy doznała trwałego urazu psychicznego, a jeśli tak, jak się będzie objawiał?

Kładąc córkę do łóżka, wtula nos w jej brązowe włoski pachnące jedzeniem i mydłem.

– Dobranoc, moja księżniczko.

– Musisz mi jeszcze umyć zęby. Trzeba myć zęby.

Tilde robi okrągłe oczy i patrzy na niego poważnie, a Kent wzdycha.

– Ojej, tatuś zapomniał. Zaraz przyniosę, dobrze?

Córka kiwa głową.

Ojciec idzie do łazienki, wśród rzeczy kłębiących się na pralce szuka szczoteczki w kształcie żyrafy. W końcu znajduje pod pudełkiem snusu, ale nadal nie może znaleźć jej pasty do zębów o smaku słodczy. Wyciska na szczoteczkę trochę pasty Colgate i wraca do prowizorycznego pokoju dzieciennego. Trzeba będzie go urządzić, pomalować ściany na jakiś weselszy kolor. Może żółty? Ustawić dzieciinne meble – Ikea ma dobre i niedrogie, oglądał je w sieci – wyrzucić gry wideo i kije do gry w bandy.

Delikatnie szczotkuje drobne, równiutkie ząbki w posłusznie otwartej buzi.

– Już dobrze. A teraz śpij.

Tilde patrzy na niego i robi wstrząśniętą minę.

– Tatusiu, zapomniałeś o koszulce nocnej.

– Ojej, rzeczywiście, to niedobrze.

Wkłada jej koszulkę, z Dorą, która poznaje świat²³. Znow całuje w policzek i wymyka się z pokoju.

Jeszcze jedną szklaneczkę, myśli Kent. Jeśli ktoś zasłużył na whisky, to na pewno ja.

Staje przed oknem i patrzy w stronę ciemnego, podmokłego pola, rosnącego za nim lasu i rysujących się na tle nieba sylwetek sosen i świerków. Wzdycha głęboko, gdy wyobraża sobie drobnutki biały piasek na plażach Phuket i bary w Patong. Brązową, delikatną skórę kobiet, ich wąskie biodra pod zdecydowanie za krótkimi spódniczkami.

Przydałby mu się ten wyjazd na urlop, zasłużony i bardzo potrzebny.

Przysuwa czoło do szyby, nasłuchuje odgłosu wiatru. Patrzy na opadające za oknem lśniące liście.

– Tatuusiuu!

Kent w pierwszej chwili nie odpowiada. Nie ma siły nawet otworzyć oczu i całym ciężarem opiera się o zimną szybę.

– Tatuusiuu!

Tilde stoi na środku pokoju z twarzą zwróconą do okna. Cienka zasłona powiewa lekko od przeciągu.

– Córeńko, przecież miałaś spać.

Chce wziąć ją na ręce, wyslizguje się z jego objęć i głośno krzyczy:

– Tatusiu, tam za oknem był lew!

– Ależ kochanie... – Wyciąga rękę, żeby ją podnieść, ale jest szybsza i wybiega do dużego

pokoju. On biegnie za nią. – Kochanie, nie ma żadnych lwów.

– Właśnie, że są. Sama widziałam.

– Ale nie tu, w Gustavsbergu. Ani w Szwecji. U nas jest za zimno... nie dałyby rady...

Ciągle się boi, odkąd obejrzała w telewizji film przyrodniczy o lwach. Jak oni mogą pokazywać takie filmy w porze największej oglądalności? W głowie się nie mieści. Zwierzęta, które rozdzierają się nawzajem na strzępy, czy to jest odpowiednia rozrywka dla dzieci?

Tilde siada na skórzanej kanapie, obejmuje nogi ramionkami i wciska nos między kolana.

– Widziałam w oknie lwa. Widziałam go widziałam go widziałam go.

– Już dobrze. Może razem sprawdzimy, czy sobie poszedł? Spojrzymy razem?

Tilde podnosi wzrok i w milczeniu kiwa głową.

Stają przed ciemnym oknem. Kent posadził ją sobie na biodrze. Jaka lekka. Dziecko, takie ważne, choć takie lekkie.

Podmuch zimnego, wilgotnego powietrza wpada przez zepsute, niedomykające się okno. Musi naprawić, gdy tylko zrobi się trochę cieplej i jaśniej.

– Widzisz? Nie ma żadnych lwów.

Tilde podejrzliwie patrzy za okno, nachyla się, jej oddech osadza się na szybie wilgotną mgielką.

– Zgadza się?

Tilde waha się, drapie po głowie brudną rączką. Na paznokciach ma jeszcze resztki różowego lakieru Susanne.

Kent się zastanawia, czy kiedykolwiek będzie potrafił robić razem z nią takie dziewczynskie rzeczy. Malować paznokietki, wiązać włosy w ogonki. Czy będzie wiedział, które dzinsy są odpowiednie.

– No już, musisz iść spać.

– Tato.

– Słucham?

– Obiecuj, że nigdy mnie nie kopniesz.

Kent zastyga.

– Ależ kochanie, co ty opowiadasz? Nigdy w życiu bym cię nie kopnął. Przecież to oczywiste. Śpij już.

Serce mu wali w piersi, na skronie występują krople potu.

Delikatnie układa ją w łóżku, które jest jednocześnie kanapą.

Które *właściwie* jest kanapą.

Wymyka się z pokoju na drżących nogach i zamyka za sobą drzwi. Wraca do szklanki z bursztynowym płynem i włącza sport w telewizorze, by obejrzeć, jak Federer zamiata kort Söderlingiem. Stwierdza, że szwedzki tenis się skończył. Potem myśli o Phuket, o cieplej, słonej wodzie morskiej i o wszystkim, czego musiał się wyrzec.

Dochodzi do wniosku, że powinien pozwolić sobie na jeszcze jedną szklaneczkę whisky.

Budzi się drżący z zimna. Telewizor jest nadal włączony, na ekranie kobieta i mężczyzna z uśmiechem wypijają jakiś brązowy dietetyczny napój. Są szczupli, opaleni, pełni radości i zadowolenia z siebie.

Przez pokój płynie powiew zimnego powietrza, Kent podnosi się, ale ma dziwnie zdrętwiałe kończyny. W głowie łomot, jest mu niedobrze.

Czyżby drzwi były otwarte?

Sięga po pilota i wyłącza telewizor. W ciszy, która zapada, słyszy odgłos stukania. Jakby wiatr targał otwartymi drzwiami.

Powoli wychodzi do przedpokoju.

Co jest, do cholery?

Czuje podmuch powietrza koło nóg, patrzy, jakby tam szukał wyjaśnienia. Albo w zimnej ceramicznej posadzce.

Stuk, stuk.

Nagle w jego głowie pojawia się myśl, może rodzaj przecucia.

Podchodzi do drzwi pokoju Tilde, otwiera je. W tym momencie do pokoju wpadają odgłosy lasu, zagłuszając jego myśli, wypełniając świadomość.

Lodowate powietrze porusza zasłonami, unosząc je jak rozdarte żagle. Liście padają na parkiet, lepią mu się do nóg.

Skrzydło okna stuka o ścianę.

Stuk, stuk.

Kent spogląda na kanapę, w jednym kącie leży skopany śpiwór w kolorze khaki.

Nie ma Tilde.

22 *Bolibompa* – codzienny program dziecięcy w szwedzkiej telewizji publicznej.

23 *Dora poznaje świat* – amerykański serial animowany.



Medborgarplatsen

listopad

Gdy przygotowuję kolejne spotkanie grupy, towarzyszy mi dziwne uczucie. Aina choć raz przyszła punktualnie, razem ustawiamy stół i krzesła. O jedno mniej. Będziemy dziś rozmawiać o tym, co się stało. Nazwiemy to słowami, aby zrozumieć, wytłumaczyć.

– Chwilami mam tego wszystkiego dość. Naszej pracy. Naprawdę wierzysz, że ma sens, że czemuś służy? Że jesteśmy w stanie zmienić cokolwiek? Nic tylko słowa, słowa, słowa.

Ze zdziwieniem spoglądam na Ainę; pochyła się nad stolikiem, ustawiając na nim karafkę z wodą, szklanki i termos z kawą. Aina raczej nie należy do osób, które popadają w zwątpienie albo zniechęcenie.

– Oczywiście, że ma sens. Doskonale o tym wiesz. Pomogłaś bardzo wielu osobom. Jesteś dobra w tym, co robisz. Nawet bardzo dobra.

Aina patrzy na mnie, widzę, że ma zaczerwienione, podpuchnięte oczy. Płakała.

– Ach, te słowa. – Kręci głową. – Mam wrażenie, że wypełniamy rzeczywistość słowami, by tłumaczyć sobie to, czego nie potrafimy zrozumieć. By poskromić nasze demony, trzymać je w szachu. W istocie niczego jednak nie zmieniamy, po prostu trzymamy te rzeczy na dystans. Przecież niczego nie jesteśmy w stanie zmienić. Jesteśmy, kim jesteśmy, a świat jest, jaki jest. Co się stało, to się nie odstanie. – Kręci głową, z jej oczu płyną łzy. Stoi bez ruchu, jej twarz nie zdradza żadnych emocji. Tylko te łzy. – Kurde, Siri, nie mogę znieść myśli o dzieciach Hillevi. Że mają teraz być z ojcem, który je bije. Matka zginęła, a jedyną bliską osobą jest ten przemocowiec. To jest szaleństwo.

Wierzchem dłoni wyciera oczy, trze, jak małe dziecko. Dorosła kobieta, a wygląda jak dziewczynka. Zraniona, opuszczona pięciolatka. Podchodzę i obejmuję ją. Ściskam mocno i czuję, jak się cała trzęsie od płaczu. Stoimy tak długo, dopóki Aina nie przestanie płakać.

Wszystkie już są: Malin, Sofie, Kattis i Sirkka. Jest też uczucie pustki, wyraźnie kogoś brakuje. Hillevi była silną, bardzo wyrazistą osobowością. Trudno uwierzyć, że jej nie ma. Jakby w każdej chwili miała stanąć w drzwiach, z uśmiechem przeprosić za spóźnienie, a potem usiąść na swoim miejscu.

– Dlaczego zabraliście jej krzesło? – pyta Sofie gniewnym, nieco wyzywającym tonem.

– Bo pomyślałyśmy, że jej odejście jest faktem i nie ma sensu temu zaprzeczać – odpowiada Aina, patrząc jej w oczy.

Sofie kiwa głową i odwraca wzrok.

Aina zaczyna mówić o śmierci Hillevi. O tym, co się wydarzyło podczas naszego poprzedniego spotkania. Z początku mówi z wahaniem, potem słowa płyną coraz szybciej. Opisuje scenę, gdy oszalały ze złości Henrik trzyma pistolet, a Hillevi stara się go uspokoić.

Aina mówi, z uwagą słuchamy jej słów.

W pewnej chwili włącza się Sofie, przytakuje Ainie, utożsamia się z jej odczuciami. Grupa się ożywia. Bierne dotąd słuchaczki roztrzęsają własne odczucia, strach, ból. W ich słowach jest wielka siła. Udaje nam się poprowadzić je we właściwym kierunku, utrzymać kontrolę i jednocześnie zadbać, aby wszystkie mogły się wypowiedzieć i zostać wysłuchane. Wychwytyjemy strach Kattis, złość Malin, smutek Sofie i cichą powagę Sirkki. Rejestrujemy emocje, aby można było pójść dalej.

– Dziwna rzecz. Sporo wiem o was wszystkich, poza tobą, Sirkka. Chciałabym się dowiedzieć, jak to się stało, że trafiłaś tutaj. Do naszej grupy.

Malin odgarnia grzywkę, zakłada za ucho. Całą grupę ogarnia spokój, emocje znalazły ujście i budzi się potrzeba porozmawiania o czymś innym. Obserwuję Sirkkę, skubie skórki przy paznokciach i szuka ubytków w lakierze, ale nie znajduje.

– Niewiele jest do opowiedzenia. Miałam złego chłopca, który mnie bił, gdy był wściekły, czyli stale.

Wzdycha ciężko, ze znużeniem.

– Jak się poznałyście? – pyta Sofie. Przygląda się znacznie starszej kobiecie, chce zrozumieć, kim ona jest, co ją spotkało w życiu.

– Nie ma w mojej historii nic szczególnego. – Sirkka rozgląda się po grupie. Z jakiegoś powodu zatrzymuje wzrok na mnie. Lekko, nieznacznie się uśmiecha. – Poznałam Tima na

początku lat siedemdziesiątych. W siedemdziesiątym pierwszym. Byliśmy wtedy młodzi. Oboje przyjechaliśmy z Finlandii do Szwecji za pracą. Wtedy się jeździło do Szwecji, gdzie była praca. Spotkaliśmy się na promie. Silja Line.

Uśmiecha się ironicznie, Sofie chichocze.

– Serio? Na promie? I przeżyliście razem prawie czterdzieści lat? To chyba jakiś wyjątek, myślałam, że odchodzi tam tylko pijaństwo i jednorazowe numerki.

Sofie wygląda na zaskoczoną i lekko podnieconą. Jakby nagle zdała sobie sprawę, że Sirkka nie zawsze była taka jak dziś.

– Fakt, że na statkach się sporo imprezowało. I tańczyło, mój Boże... – Znow się uśmiecha. Tym razem weselej. Ma wzrok zwrócony do wewnątrz, pograża się we wspomnieniach z dawnych czasów.

– I co? – Malin przygląda jej się z ciekawością. – Co było potem?

– Zaczęliśmy się spotykać, chodzić ze sobą. Timo był elegancki i wesoły. Z początku było fantastycznie. Byliśmy naprawdę szczęśliwi. Gdy wszystko było nadal zabawą. Mieszkaliśmy w kawalerce w Solna, potem w Råsunda. Wynajmowaliśmy z drugiej ręki, trzeba było utrzymywać to w tajemnicy, więc skradaliśmy się na klatce schodowej. Mieszkanie było maleńkie, z wnęką zamiast kuchni. Prysznic był w piwnicy. Ale dla nas to był pałac. Pracowałam jako salowa w szpitalu Karolinska, wystarczyło przejść przez cmentarz i już byłam na miejscu. Timo pracował w zakładach Scania w Södertälje, musiał dojeżdżać kolejką. Tak czy inaczej, zaszłam w ciążę. Nie planowaliśmy, ale stało się. Nie cieszyliśmy się specjalnie, ale co było robić. Starsza córka urodziła się w kwietniu siedemdziesiątego drugiego.

– Dlaczego nie usunęliście ciąży, skoro nie chcieliście dziecka? – pyta Sofie.

– Wtedy to było niemożliwe. Niektóre kobiety wyjeżdżały za granicę, żeby przerwać ciążę, na przykład do Polski. U nas można było ubiegać się o aborcję, jeśli był jakiś szczególny powód, ale myśmy nie mieli takiego powodu. Zrobiliśmy to samo co większość naszych znajomych w tej sytuacji, czyli wzięliśmy ślub. W latach siedemdziesiątych pod wieloma względami była spora tolerancja, ale wciąż wiele osób uważało, że pozamażeńskie dziecko to wstyd. Trzeba było wziąć ślub, ustatkować się, bo co ludzie powiedzą? – Sirkka rozkłada ręce w geście rezygnacji. Domyślam się, że nieraz musiała rozmyślać nad swoim losem. – W każdym razie po urodzeniu córki cieszyliśmy się. Była ładnym dzieckiem. No i dostaliśmy większe mieszkanie. W Södertälje. Timo miał teraz bliżej do pracy, ja siedziałam w domu z Heleną. Rok później przyszedł na świat Mikael.

– I co się stało? – Sofie patrzy na nią wielkimi, okrągłymi oczami, z nabożnym skupieniem, jak dziecko, które słucha bajki.

– Trudno wytłumaczyć – wzdycha Sirkka. – Timo był wiecznie niezadowolony i zazdrosny. Zaczął mnie obserwować, pilnować. Teraz wiem, że to się właśnie tak zaczyna, ale wtedy myślałam, że widocznie popełniam jakiś błąd. Próbowалам się zmienić, starałam się być wesejsza, lepiej sprzątać, smaczniej gotować, pilnować, żeby dzieci były grzeczne, gdy tata przychodzi do domu. Stałam się mniej uprzejma dla obcych, odsunęłam od przyjaciół. Nie pomogło. Nic nie pomagało. Złościł się, szalał. Wściekał się, że dzieci hałasują podczas zabawy. Gdy miałam skwaszoną minę i gdy byłam wesoła. Ciskał się, gdy jedzenie mu nie smakowało. Pamiętam, jak mnie uderzył po raz pierwszy. To było w Boże Narodzenie, przygotowałam Pokusę Janssona według przepisu jego mamy. Powiedział, że jest za słona, wstydzi się przed swoją rodziną, że ożenił się z brzydką babą, która nie umie gotować. A potem mnie spoliczkował. – Sirkka zamyka oczy. Przez pomarszczoną twarz przechodzi skurcz. Boli ją to wspomnienie. Po tylu latach. – Wydawał się bardzo zadowolony z siebie. Nie pamiętam, żeby przeproszał albo chciał się tłumaczyć. Po prostu zrobił to, do czego miał prawo. Zmienił się, stał się kimś innym. Nie potrafiłam tego zrozumieć. Okazało się, że znalazłam się w piekle i kompletnie nie pojmowałam, jak to się stało. Zachowywał się jak diabeł wcielony.

Ból wykrzywia jej twarz.

– Nie mogłaś go rzucić? – Aina mówi to miękko, nie tyle pyta, ile stwierdza.

– Nie miałam dokąd pójść, żadnej pracy, żadnych pieniędzy ani przyjaciół. Moja rodzina

została w Finlandii, rodzice się starzeli, mama zachorowała na raka. Pół roku i już jej nie było. Został mi tylko ten chłop. I dzieciaki. Dla nich żyłam. – Znów cień uśmiechu, jest nauczona nieokazywania uczuć. Siedzi nieruchomo, opowiada rzeczowo i spokojnie, jakby ta historia jej nie dotyczyła. O kłębiących się emocjach świadczą tylko prawie niedostrzegalne drżenia przebiegające przez jej twarz. – Z początku bił tylko od czasu do czasu. Głównie wrzeszczał. Wymyślał, gdy coś mu się nie spodobało. Wymierzał policzek, uderzenie w głowę otwartą dłonią. Potem było gorzej. Groził. Mówił, że mnie zabije, jeśli się nie nauczę, jeśli nie będę robić tak, jak mi każe. Wydaje mi się, że odczuwał przyjemność z poniżania mnie. Straszyl. Wiedział, że nie mam ruchu. Miał mnie. Zastanawiałam się, dlaczego mnie nie rzucił, skoro byłam taka do niczego, brzydka... odpychająca. Ale chyba właśnie o to mu chodziło, że miał mnie i czuł się wszechwładny. Tak to sobie tłumaczę. – Sirkka uśmiecha się przepaszająco do mnie i do Ainy, jakby za to, że wraca na nasz teren. Bo to do nas należy tłumaczenie i wyjaśnianie. – Dzieci, tylko one trzymały mnie przy życiu. Bywały chwile, kiedy marzyłam o śmierci, wydawała mi się jedynym wyjściem, ale wtedy zbierałam siły dla dzieci.

– Opowiesz o czymś, co było przeszło trzydzieści lat temu. Chcesz powiedzieć, że cały czas z nim byłaś i dalej było tak samo? Przez te wszystkie lata? Całe twoje dorosłe życie? – Kattis ma przerażoną minę. Patrzy na Sirkkę wzrokiem pełnym współczucia.

– Dokładnie tak, jak mówisz, przez całe moje dorosłe życie. Najpierw chodziło o dzieci, były małe, a potem... Człowiek się przyzwyczaja. Nie umiem tego wytłumaczyć inaczej jak w ten sposób. Nawet koszmar staje się codziennością. Wiadomo, czego się spodziewać. Z czasem zwątpiłam w siebie. Może Timo ma rację, może jestem głupią babą, która nie poradzi sobie bez niego. A tak przynajmniej wiedziałam, co mam. Złego chłopca, to prawda, ale również dach nad głową i pieniądze na życie. Dzieciaki urosły, wyprowadziły się z domu. Bywało, że namawiała mnie, żebym od niego odeszła. Przecież wiedziały, jak jest, choć i tak widziały tylko część tego, co było. Nawet Timo miał tyle oleju w głowie, żeby z tym najgorszym nie zdradzać się przed dziećmi. A ja go broniłam, tłumaczyłam, łagodziłam. Wydaje się głupie, ale tak było. I w pewnym sensie mieliśmy siebie. Nie umiem tego wytłumaczyć za dobrze, ale... przez te wszystkie lata byliśmy parą. Czasem bywało prawie przyjemnie, choćby wydawało się to dziwne. Nastąpiło coś w rodzaju zawieszenia broni. A czas płynął. Lata mijają tak szybko, nagle człowiek jest stary, dzieci wyleciały z gniazda i okazuje się, że wszystko, o czym człowiek kiedyś marzył, zniknęło. Wszystko za późno. Życie odeszło. Chyba najgorsze było, gdy zdałam sobie sprawę, że okradł mnie niemal z całego życia. Myślałam, że nie mógłby mi zabrać więcej nawet, gdyby mnie zabił. I dopiero wtedy...

Sirkka milknie i zamyśla się, jakby sama sobie coś tłumaczyła. Niespodziewana cisza wydaje się ciężka, napięta. Każdy odgłos dziwnie wzmocniony. Szmer wentylacji, tykanie zegara. Deszcz bijący o szyby. Nikt nic nie mówi. Jakbyśmy czekały na następne zdanie. Jakbyśmy wiedziały, że coś domaga się wyjścia na jaw.

– Był wtorek. Miałam iść na nocną zmianę w szpitalu, jak zwykle stałam w kuchni, szykowałam obiad, żebyśmy razem zjedli, bo potem musiałam wyjść. Timo siedział na kanapie i oglądał jakiś dokumentalny kanał, jak miał w zwyczaju, bo potem lubił się popisywać nową wiedzą. Od kilku dni kiepsko się czuł, nie chodził do pracy. I nagle mnie woła. Najpierw myślałam, że chce, żeby mu coś przynieść, ale potem... Zrozumiałam, że coś jest nie tak. Miał jakiś nieswój głos. Weszłam do pokoju i zobaczyłam, że siedzi na kanapie i obejmuje się ramionami. Dziwnie wyglądał. Zupełnie blady na twarzy, taką szarą bladością, i spocony. Bolało go w ramieniu i w piersi. Chciał, żebym wezwała karetkę. Tyle lat pracowałam w szpitalu, więc wiem, gdy serce nawala. Zresztą wiedziałam, że ma wysokie ciśnienie i lekką nadwagę. Na dodatek palił. Stałam i patrzyłam na niego, wiedziałam, że może z nim być źle. Naprawdę źle. I nagle... Wszystkie te lata... Stały mi przed oczyma. Bicie, wyzwiska. Poniżenie. A teraz on był słaby, a ja silna. Wiedziałam, że trzeba pójść do telefonu, zadzwonić. Boże, przecież wiedziałam, że jest chory. Jednak nie potrafiłam się zmusić. Wszystko mi zabrał. Całe moje życie. A teraz siedzi na tej kanapie i chce, żebym mu pomogła. Patrzyłam na niego, kiwnęłam głową i wyszeptałam, że idę zadzwonić. Wróciłam do kuchni. Zdjęłam z kuchenki garnek

z ziemniakami, kotlety wieprzowe włożyłam z powrotem do lodówki, talerze i szklanki odstawiłam do szafek. Jak na filmie wyświetlanym od końca. Posprzątałam po obiedzie, którego nie jedliśmy. Wyszłam do przedpokoju, ubrałam się, wzięłam torebkę. Potem telefon, mieliśmy taki przenośny. Włożyłam go do torebki i poszłam. Do pracy. Gdy wróciłam następnego dnia, wciąż siedział na tej kanapie. W tym samym miejscu, prawie w tej samej pozycji. Tylko martwy. I gdy się przekonałam, że nie żyje, usiadłam na podłodze i się rozplakałam. Z ulgi.

W nocy znów śni mi się Stefan.

Zawsze Stefan.

Kochamy się w ciemności, jego zimne, mokre ciało porusza się energicznie na moim.

Wiem, że on należy teraz do morza, spoczywa wśród fal, ale nie chcę go puścić. Chciałabym go zatrzymać jeszcze chwilę. Po raz ostatni poczuć go w sobie.

Myślę, że to doznanie jest silniejsze i lepsze niż seks z Markusem.

Chociaż Stefan nie żyje.

A więc kocham się z moim nieżyjącym mężem. Czerpię z tego rozkosz. Mocno ściskam jego kościste biodra, czuję smak wody morskiej, której strużka spływa z jego pleców i ramion prosto do moich ust.

Potem on kładzie się koło mnie, z ręką na moim brzuchu. Widzę, jak jego pierś podnosi się i opada, jakby rzeczywiście oddychał, w ciemnościach widzę błysk jego czarnych oczu.

– Dobrze – odzywa się cicho i delikatnie gładzi mnie po brzuchu mokrą, zimną dłonią. – Teraz to dziecko jest również moje.

Właśnie mam mu odpowiedzieć, gdy czuję, że ktoś mnie szarpie, przywracając do rzeczywistości. Kontury ciała Stefana rozmazują się, rozpadają w nicość, pozostaje tylko wilgotne tchnienie wiatru.

Domyślam się, że Markus mnie budzi, i boję się, że mówiłam przez sen. Może imię Stefana albo coś jeszcze.

Coś gorszego.

– Siri, obudź się!

Patrzę na niego. Na mojego mężczyznę, którego powinnam kochać naprawdę. Który zasługuje na moją miłość i potrzebuje jej.

W sypialni panuje mrok, ale na jego twarz pada żółtawy odblask od kominka w dużym pokoju. Włosy sterczą mu na wszystkie strony, na czole dostrzegam kropelki potu.

– Siri, nie ma jej. Ktoś ją porwał.

– Kto? O czym ty mówisz? Kogo nie ma?

– Tilde. Tej dziewczynki, która była świadkiem morderstwa Susanne. Wczoraj wieczorem została porwana z mieszkania swego ojca.

Jestem już całkiem rozbudzona i mimo panującego w domu ciepła robi mi się zimno. Czuję ściskanie w żołądku, jest mi niedobrze.

Tilde. Dziewczynka, która rysowała, siedząc w kałuży krwi swojej mamy.

Straumatyzowana mała Tilde, która umiała powiedzieć tylko tyle, że morderca był mężczyzną.

Ktoś ją uprowadził.

Wypis z listu kuratora ośrodka terapeutycznego Säby do opieki społecznej

Podopieczny to osiemnastoletni chłopiec, który przebywa w Säby od czternastego roku życia. Okresowo mieszkał również w rodzinach zastępczych, ale te pobyty nie były zbyt udane i kończyły się powrotem do Säby. Podczas jego pobytu w naszym ośrodku koncentrowaliśmy się głównie na metodach terapii zajęciowej. Na przykład odpowiadał za nasz ogród warzywny i miał bardzo dobre wyniki. Brał również udział w zajęciach kółka teatralnego i plastycznego. Mieliśmy problemy z zachęceniem go do nauki, dlatego trudno ocenić jego możliwości intelektualne, jednak wielu pracowników ośrodka ocenia, że jest nieco opóźniony w rozwoju i ma kłopot ze zrozumieniem dłuższych informacji. Zdecydowanie najlepiej funkcjonuje w jasno określonych sytuacjach, gdy ma do wykonania konkretne zadanie. Jest również wyjątkowo uzdolniony plastycznie, lubi rysować i malować. Podczas pobytów w rodzinach zastępczych często wchodził w konflikty, wdawał się nawet w bójkę. Oceniamy, że ma trudności w dostosowaniu się do nowych sytuacji, wyraźnie widać też, że najlepiej czuje się w spokojnym środowisku. W relacjach z innymi młodymi ludźmi przebywającymi w Säby zachowywał dystans i był mało komunikatywny. Jednak łączy się do rówieśników i cieszy się, gdy zapraszają go do swego towarzystwa. Jednocześnie nie wie, jak się wtedy zachować. Łatwo się denerwuje i zachowuje się niepewnie, a nawet agresywnie, zwłaszcza gdy opacznie odczytuje ich zamiary. Obecnie powinien zostać wypisany z Säby i wrócić do stałego miejsca zamieszkania. Najprawdopodobniej zamieszka w domu rodzinnym, odziedziczonym po zmarłych rodzicach. W naszej opinii powinien zostać objęty opieką ze strony gminy, ponieważ nie jest całkowicie samodzielny. Zaleca się przyznanie mu asystenta rodzinnego. Według naszego przekonania korzystne dla niego byłoby również podjęcie pracy zarobkowej, dlatego wskazane jest nawiązanie kontaktu z biurem pośrednictwa pracy.

Peter Runfeldt,

kurator odpowiedzialny ośrodka terapeutycznego Säby

Przysiadłam na stosie jakichś prac naukowych w gabinecie Vijaya i płaczę.

Zalewam się łzami, które spływają mi po policzkach.

Vijay tkwi w swoim fotelu i ma zmartwioną minę. Wiem, myśli, że popełnił błąd, powierzając mi prowadzenie grupy wsparcia, bo widać, że nie mam dość siły i nie potrafię oddzielić własnych urazów od urazów moich pacjentów. Że przeszłość mnie w końcu dopadła.

Rozpaczliwie chciałam udowodnić, że jest wprost przeciwnie, ale teraz siedzę tu i płaczę.

Vijay chrząka, biorąc prymkę snusu.

– Przecież to nie twoja wina, że ktoś uprowadził tę dziewczynkę, prawda? Chyba to rozumiesz?

Nie umiem mu odpowiedzieć, kręcę głową i głośno smarkam w dużą, papierową serwetkę, którą mi dał. Która zaraz zamieni się w wilgotną kulkę.

– Jest naocznym świadkiem – ciągnie w zamyśleniu – i było o tym nawet w gazetach. Sprawca najprawdopodobniej chce ją... usunąć.

Wycieram nos i patrzę na niego.

– To może być ktokolwiek. Markus mówi, że nie mają żadnego tropu. Pod oknem nie znaleźli śladów, tak padało, że się rozmyły. Henrik nadal się ukrywa i oczywiście mógłby to zrobić, ale właściwie brak mu motywu, a na czas morderstwa Susanne ma alibi. Więc po co miałby porywać Tilde? Skoro nie mógł być mordercą jej matki. Jakkolwiek na to spojrzeć, wydaje się, że wszystko kręci się wokół pierwszego morderstwa, czyli śmierci Susanne.

Vijay bierze kolejną serwetkę, zgniata w kulkę i rzuca w moim kierunku. Łapię i mówię dalej:

– Policja sprawdza osoby z całego otoczenia Susanne. Kolegów z pracy, jej krewnych. Nie wierzę, by coś znaleźli.

– Mam wrażenie, że coś nam umyka – odpowiada Vijay. – Z czysto statystycznego punktu widzenia mordercą Susanne powinien być ktoś bliski. Wskazuje na to również charakter zbrodni. Została skopana na śmierć. W twarz. To bardzo brutalne i bardzo osobiste. Świadczy o tym, że sprawca kierował się bardzo gwałtownym uczuciem nienawiści wobec niej.

Jeszcze raz smarkam w chustkę.

– Co o tym myślisz?

Stuka długopisem o blat biurka.

– Wydaje mi się, że trzeba zacząć od motywu.

– No i?

– Jeśli jest prawdą, co mówi Kattis, że Henrik jest damskim bokserem, to są powody podejrzewać, że to on.

– Przecież był wtedy w restauracji.

– To on tak mówi. I jego kumple.

Muszę to przemyśleć. Jeśli alibi Henrika jest fałszywe. Jeśli jego kumple kłamią... To by się zgadzało. Niezwykła, nieuzasadniona brutalność. Nienawiść. Zgadzałoby się z tego rodzaju sprawą.

– Ale przecież policja chyba sprawdziła, czy jego alibi jest prawdziwe?

– Oczywiście. Staram się tylko znaleźć wytłumaczenie tego, co się stało. Jest jeszcze ta teoria z napadem rabunkowym. Zupełnie w nią nie wierzę. Sposób działania sprawcy w ogóle się w niej nie mieści. Chyba że w grę wchodziłyby narkotyki. Następnie jest biologiczny ojciec Tilde. Czy ja wiem, może miał powód, by nienawidzić bylej żony? Zakładam, że policja przyjrzała mu się bliżej?

– Nic o tym nie wiem.

– Na pewno go prześwietlili. Facet jest oczywistym podejrzanym.

– Nie wydaje się, żeby Tilde uprowadził ojciec. Przecież zniknęła z jego domu.

– To on tak mówi. Zdarza się, że rodzice, którzy zabili własne dziecko, twierdzą, że zostało ono porwane.

– Boże drogi...

Vijay rozkłada ręce w geście rezygnacji.

– Przykro mi Siri, ale świat już taki jest. Im szybciej przyjmimy to do świadomości, podobnie jak sposób myślenia i działania tych ludzi, tym łatwiej będzie ich zatrzymać. Nawiasem mówiąc, kto powiedział, że została uprowadzona?

– Przecież zniknęła przez okno. W środku nocy.

Vijay uśmiecha się lekko.

– A może uciekła?

– Dlaczego miałyby uciekać? Pięcioletnie dziecko nie wychodzi przez okno w środku nocy.

– Chyba że...

– Że co?

– Chyba że chciała uciec od swojego taty. Może się go boi z jakiegoś powodu?

Zastanawiam się przez dłuższą chwilę nad słowami Vijaya. Czy to możliwe, że Tilde wyszła z domu dobrowolnie? W ciemność, na zimno, w samej koszuli nocnej? Trudno mi w to uwierzyć.

Przelatuje mi przez myśl, aby opowiedzieć Vijayowi o Malin, ale dochodzę do wniosku, że to nie ma związku ze sprawą. Przecież biegła wtedy w maratonie, poza tym sprawca był mężczyzną. Śmierć jest mężczyzną²⁴.

Vijay wierci się na fotelu, naciąga poły swetra, odchyła się do tyłu i opiera nogi na biurku. Jego tenisówki lądują na albumie o sztuce afrykańskiej, ale nie zwraca na to uwagi.

Ze smutną miną przesuwa dłonią po nieogolonym podbródku.

– Myślisz, że ona żyje?

– Kto wie? Jeśli ten ktoś chce ją uciszyć, policja ma niewiele czasu. W takim razie należy się śpieszyć. I to bardzo. Jeśli już nie jest za późno. Jeżeli porwał ją Henrik i rzeczywiście to nie on zabił Susanne, tylko zareagował w sposób psychotyczny, jest zdezorientowany i uważa, że Tilde powinna być u niego, jej szanse są znacznie większe.

Łzy znów płyną mi po policzkach. Uprowadzono niewinne dziecko. Grozi mu śmierć. Nic nie poradzę, ale myślę o życiu, które rośnie w moim ciele. I o tym, że świat jest nieprzewidywalny i nieskończenie okrutny.

– Jest jedna rzecz... – odzywam się – nie mówiłam ci. Chodzi o mnie.

– Wiem – odpowiada, uśmiechając się tajemniczo. – Chyba powinienem ci pogratulować.

– Skąd...?

Vijay szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Moja kochana. Nie pijesz ani kropli, zazwyczaj chłoniesz wino jak gąbka. A Markus lepi się do ciebie jak plaster. – Urywa. – Wiesz, cholernie ci zazdroścę.

– Naprawdę?

– Tak.

Nagle na jego twarzy pojawia się wyraz zażenowania, patrzy na bałagan na biurku, zauważa, że trzyma brudne tenisówki na pięknym albumie, zabiera go, strzepuje, znów patrzy mi w oczy.

– Olle nie chce mieć dzieci. Ja bym chciał, ale on jest strasznie zafiksowany analnie.

Uwielbia czystość i porządek, nie chce, żeby jakieś dziecko wyróciło mu życie do góry nogami. Przynajmniej tak mówi.

Znów robi smutną minę, zupełnie jak nie on. Widzę, że odsłania się przede mną bardziej niż kiedykolwiek. Pytam ostrożnie:

– Tak mówi? Ale... ty myślisz, że chodzi o coś innego, tak?

Vijay z rezygnacją wzrusza ramionami i zapala kolejnego papierosa. Kątem oka widzę, że lekko drży mu ręka.

– Wydaje mi się...

– Co?

Waha się, potem się decyduje.

– Wydaje mi się, że on mnie już nie kocha.

Nasze spojrzenia spotykają się, Vijay ma w oczach mrok i rozpacz. Powoli kiwa głową.

– Teraz już wiesz – szepcze.

Jest prawie ciemno, choć to dopiero druga po południu. Rynsztokiem płynie rwący potok burej wody, niosąc pojedyncze liście i śmieci. Przepływa koło moich stóp, by z głośnym siorbnięciem zostać zassany do studzienki.

Zaraz za McDonalodem dostrzegam szyld „Arbetscentrum”. Tu pracuje.

Kattis zaprosiła mnie na kawę. Stoję teraz przed jej biurkiem, chociaż wiem, że za bardzo się do siebie zbliżyłyśmy, za bardzo ją lubię i od dawna nie utrzymuję dystansu niezbędnego w relacji terapeuta–pacjent. Razem wypijemy kawę i zjemy drożdżówkę, jakby to mogło zmienić sytuację na lepsze. Łapię się na tym, że myślę, co by powiedziała Aina, i robi mi się wstyd, bo wiem, że miałyby sporo uwag. Nie mogłabym z nią polemizować, ponieważ wiem, że miałyby rację.

Kattis uśmiecha się szeroko, otwierając drzwi do biura, ściska mnie długo i serdecznie.

– Wchodź. Boże, masz ręce jak sople lodu.

Ściera mi z czoła kilka kropel deszczu, śmiejąc się, tym razem z lekkim zażenowaniem. Odkładam torebkę i palto, wchodzę do jasnego pomieszczenia. Jest bardzo wysokie, co najmniej na pięć metrów, wzdłuż ściany od strony S:t Eriksgatan ciągną się ogromne okna ze szprosami. W otwartej przestrzeni biurowej siedzi około dziesięciu osób, kobiet i mężczyzn, w naszym wieku. Wygląda to, jakby biurka zostały rozstawione na chybił trafił. Niektórzy machają do mnie dyskretnie, odpowiadam tak samo.

– Jak tu ładnie!

– Prawda? To budynek fabryki rowerów z przełomu wieków. Jest nas tutaj piętnaście osób, ale nie wszyscy są obecni. Niektórzy wizytują zakłady pracy i tak dalej.

Kattis prowadzi mnie do kuchenki znajdującej się w prawym, najdalszym końcu lokalu.

– Nie wiem, co lubisz, kupiłam bułeczki cytrynowe, mam nadzieję, że będą ci smakowały.

Na twarzy wyraz niepokoju, jakby jej szczególnie zależało, aby wszystko było dopracowane w najdrobniejszych szczegółach. Kiwam głową i siadam.

– To super.

Siedzimy w wielkim białym pomieszczeniu, na białych krzesłach wokół białego stołu. Gawędzimy, jemy świeże bułeczki cytrynowe i chichoczymy, gdy Kattis opowiada o swoim byłym szefie.

– Mam coś dla ciebie – mówi Kattis, kładąc rękę na mojej dłoni. Idzie do kuchenki i sięga po coś. – Proszę, to dla ciebie.

Uśmiecham się lekko.

– Kattis, nie trzeba.

– Rozwiń!

Mówi to z zapalem.

Spoglądam na śliczne opakowanie na moich kolanach. Na etykiecie napis „Blås&Knåda”. Ściągam czarny, smołowany sznurek pachnący jak pomost w pełni lata i rozwijam papier. Ceramiczny wazonik w kolorze błękitu Kleina. Podobny do tego, który stłukła w dniu, gdy wpadła do przychodni z wiadomością, że Susanne nie żyje. Nieruchomieję, nie bardzo wiem, jak zareagować.

– Dlaczego...?

Kattis unosi obie dłonie, jakby chciała mnie powstrzymać.

– Proszę, dla mnie to ważne. Rozumiesz?

Kiwam głową. Siedzi naprzeciw mnie w grubym szarym swetrze z kapturem, wygląda na zmartwioną. Ostrożnie stawiam wazonik na stole, odbija się w błyszczącym blacie.

Nagle Kattis podnosi wzrok i z wyrazem skrępowania, marszcząc brwi, patrzy nad moim prawym ramieniem.

– Tak? Słucham?

Odwracam się i widzę chłopaka około dwudziestki, w wytartych dżinsach i bluzie z kapturem, z włosami do ramion, które opadają mu na twarz jak zasłona. Nie patrzy w oczy, w palcach jednej ręki obraca monetę.

– Możemy pogadać?

Ma niski, ochrypliły głos, jakby całą noc śpiewał rockowe kawałki i palił papierosy. Wzrok wbity w podłogę.

– To niezbyt odpowiednia chwila, Tobias. Musisz trochę poczekać. Mam teraz gościa.

– E... Dobra.

Ale nie odchodzi, tylko siada na jednym z krzeseł przy stole. Zapada kłopotliwe milczenie. Zbieram kryształki cukru, które spadły z bułeczek, i wkładam do ust.

– Tobias... – odzywa się Kattis.

– W porządku – mówię, ale ona kręci głową.

– Rozmawiam teraz z panią. Poczekać na kanapie przy wejściu, dobrze?

Chłopak po raz pierwszy patrzy jej w oczy, w jego spojrzeniu dostrzegam jakiś żal do niej, urazę. Jakby obraziła go odmową. W następnej chwili ponownie patrzy w stół i wzrusza ramionami. Prostuje chudą postać i nie oglądając się za siebie, wlecze się w kierunku wejścia.

– Przepraszam – zaczyna Kattis.

– Nie musisz przepraszać, przecież jesteś w pracy.

Kattis mówi dalej, jakby nie słyszała:

– Tobias to jeden z moich podopiecznych. Jest przemiły, naprawdę. I coś mi się wydaje, że się we mnie podkochuje. – Chichocze. – Może powinnam postawić na niego, przynajmniej miałabym dobrego faceta.

Uśmiecha się z czułością. Jak matka albo starsza siostra.

Ciekawi mnie, na czym polega praca Kattis.

– Wiem, że jesteś pośredniczką pracy, ale jak to wygląda od strony praktycznej?

– Ośrodek aktywizacji zawodowej pomaga młodym dorosłym, którym z różnych powodów jest trudno odnaleźć się na rynku pracy. Z powodu niepełnosprawności, dłuższego przebywania na bezrobociu albo zwolnieniu lekarskim. Wspólnie z klientem dokonujemy oceny jego umiejętności i sporządzamy plan działania, na przykład w postaci dalszego kształcenia albo listy posad, o które mógłby się ubiegać. Następnie pomagamy w samym szukaniu pracy: napisaniu CV, listów itp. Nasz ośrodek jest finansowany przez państwo, ale właścicielem jest pewna fundacja.

Koło naszego stołu staje młoda ciemnoskóra kobieta w batikowej sukni i upiętych na głowie dredach. Ma zaciętą, ponurą minę.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale coś się stało.

– Co takiego? – Kattis unosi brwi.

Kobieta wzdycha, patrzy na mnie z zakłopotaniem, potem szepcze, jednak na tyle głośno, że wszystko słyszę:

– Chodzi o Muhammeda...

– No i? – mówi Kattis władcym tonem, widocznie jest przełożoną kobiety.

– Spalił ten cały kram.

– Co? Co się stało?

– Podobno coś było nie tak ze zgrzewarką. Nie wiem, może to nie jego wina, jednak mówią, że zrobił to specjalnie. Już tu jedzie.

– Oczywiście, że jego wina. – Kattis wzdycha ciężko, podnosi się i lekko ściska ramię kobiety. – Zaraz to załatwimy, zajmę się tym. Masz telefon do zakładu blacharskiego Asplunda?

Kobieta kiwa głową i uśmiecha się z ulgą.

– Dziękuję, kochana jesteś. Jestem ci bardzo wdzięczna. Naprawdę.

Kattis uśmiecha się szeroko.

– To moja praca. Pogadam z Muhammedem, gdy się zjawi. – Odwraca się do mnie. – To jeden z naszych podopiecznych. Mamy z nim sporo problemów. Sama słyszałaś. Ma – chwilę się zastanawia – nieprzyjemny zwyczaj podpalania różnych rzeczy. To się dzieje nie pierwszy raz.

Może mogłybyśmy o tym kiedyś porozmawiać. Jako psycholog mogłabyś mi wyjaśnić, dlaczego tak się zachowuje. – Milknie i przez chwilę bawi się swoimi włosami. – Przykro mi, ale muszę się tym zająć. I jeszcze Tobias czeka, więc...

– Bardzo dobrze. I tak muszę wracać do pracy.

Dopiero po wyjściu na deszcz uprzytamniam sobie, że zapomniałam o wazoniku stojącym na stole w kuchence. Zawracam, wchodzę na klatkę schodową i otwieram drzwi do ośrodka.

Naprzeciw wejścia, na czerwonej kanapie, Kattis siedzi bardzo blisko ciemnego, długowłosego faceta w kombinezonie i olśniewająco białych tenisówkach. Trzyma go za rękę.

On, zaskoczony, wrywa rękę.

– Zapomniałam o wazoniku – mamroczę pod nosem. Czuję się skrępowana, że przeszkadzam, zastawszy ich w dziwnie intymnej sytuacji.

– To właśnie Muhammed – wyjaśnia Kattis.

Długowłosa nie wita się, demonstracyjnie wbija wzrok w buty i krzyżuje ramiona na piersi. Patrzę na niego i w tyle głowy przemyka mi jakieś skojarzenie związane z tym mężczyzną, ze spawaniem i pożarami, ale nie mogę sobie przypomnieć. Myśl odpływa, przecieka mi przez umysł jak woda przez palce. Nie do zatrzymania.

Kattis się uśmiecha i bez słowa idzie po wazonik. Uderza mnie pewność i spokój, jakie okazuje w pracy. Wydaje się, że i klienci, i pracownicy bardzo ją cenią.

Obejmujemy się jeszcze raz i wychodzę w jesienny mrok, zmierzając w kierunku Medborgarplatsen.

24 W języku szwedzkim śmierć – *döden* – jest rodzaju męskiego.



Siedzi koło niego na kanapie w tym śmiesznym pokoju ze starymi, zakurzonymi meblami. Przypomina jej się domek dla lalek, ten u mamy. Meble stoją porozstawiane byle jak, niektóre podwracane albo jeden na drugim, jak puszeki w szafce. Dał jej loda na patyku, je w ciszy, starając się nie siorbać, żeby się na nią nie złościł. On nie lubi, jak się wydaje jakieś dźwięki. I nie lubi, jak się coś rozlewa. Albo jak ona rozmawia. Najlepiej być cicho i nie ruszać się, żeby się nie złościł.

Przypomina jej się Henrik, on pozwala jeść lody, gdy się siedzi u niego na kolanach, i nie gniewa się, gdy mu nakapie na spodnie albo na sweter. Nawet gdyby spadły całe lody. Śmieje się tylko i daje jej nowego loda, chociaż mama się nie zgadza. Bo lody nie są zdrowe na brzusek. Tak samo jak piwo.

Podciąga nóżki pod koszulę nocną, żeby nie marznąć, ale nie pomaga. Chłód i tak zakrada się pod cienki materiał, owija wokół ciała jak jakieś zimne zwierzątko. Okręca się na brzuchu, nogach, na piersi.

Palce jej się lepią od topniejącego, kapiącego loda. Dziewczynka, zanim odważy się je wytrzeć o koszulkę z Dorą, przygląda mu się uważnie. Jednak on nie widzi, pali papierosa i patrzy w ciemne okno, na deszcz.

Na zewnątrz jest tylko las.

Dziewczynka wie o tym, bo pozwolił jej wyjrzeć i powiedział, że las ciągnie się dziesiątki kilometrów, zgubiłaby się, gdyby do niego weszła. Nikt by jej nigdy nie znalazł, w końcu zjadłyby ją lisy i wrony, są zawsze głodne, zresztą lubią zjadać małe dzieci.

Z telewizorka w kącie pokoju płynie muzyka, dwaj panowie w okularach słonecznych, czapkach i złotych łańcuchach na piersi jeżdżą w kółko długim, białym samochodem, śpiewają i jednocześnie machają rękami, jakby mówili w języku migowym. Zupełnie jak Fadime z przedszkola, która nic nie słyszy. On chyba nie patrzy w telewizor ani nie słucha muzyki, tylko patrząc na deszcz, pali i pali.

Na podłodze u jej nóg śpi na boku wielki biały pies. On nie pozwala głaskać psa. Pies jest łagodny, już to zauważyła, bo podchodzi do niej i liże ją po twarzy i po rękach długim, lepkiem językiem, który obrzydliwie pachnie.

Dawniej chciała mieć psa. Na urodziny albo pod choinkę zawsze chciała dostać psa, ale nie dostawała, bo mama mówiła, że za dużo z tym roboty.

A teraz ma psa.

Tylko mamy nie ma.

Dziewczynka myśli, że o wiele bardziej wolałaby znowu mieć mamę. On może sobie zachować tego głupiego psa, któremu z pyska śmierdzi kupą. Gdyby tylko mama wróciła, to ona naprawdę nie potrzebuje psa. Już nigdy nie poprosi o żadnego psa, w ogóle o nic.

Gdyby tylko...

Dzyyyyń!

Dzwonek jest tak przeraźliwy, że uszy bołą. Przez moment wydaje jej się, że to jej wina, bo znów coś zrobiła, czego nie powinna, rozmawiała, choć miała być cicho, albo kopała nogami, gdy miała siedzieć spokojnie.

Zwija się w kłębek na kanapie, stara się być taka mała, żeby jej nie widział. Nie uderzył. Czy mogłaby się stać taka malutka, że aż niewidzialna? Siłą woli? Czy to możliwe?

Jednak on nie wydaje się zły, tylko zdenerwowany. Patrzy w kierunku przedpokoju, gdzie pies już jest i szczeka, zeskakuje z kanapy i podbiega do drzwi, nogą odpędza psa i zerka w małe oczko, które widzi wszystko, co się dzieje na zewnątrz.

Szpiegowskie oczko.

Potem wraca na palcach, kuca przed nią i mocno chwyta ją za ramiona.

– Posłuchaj uważnie.

Ona powoli kiwa głową, bojąc się na niego spojrzeć. Patrzy w dół, choć on jest tak blisko, że czuje jego oddech pachnący popielniczką.

– Masz się schować za kanapą. Rozumiesz?

Pokazuje na oparcie kanapy. Dziewczynka znów kiwa głową.

– Nie wolno ci stamtąd wyjść. Okej?

Dziewczynka patrzy na kłęby kurzu na podłodze między papierkami po lodach, spod kanapy wystają słuchawki i zerwany kabel, zwinął się wokół nogi od kanapy, jakby był wężem, który szuka towarzystwa.

– Już. Połóż się za kanapą.

Dziewczynka szybko przelazi przez aksamitne oparcie i zsuwa się na zimną podłogę. Kładzie się płasko, z głową zwróconą do pokoju. Pod kanapą widzi jego nogi, gdy wraca do drzwi i otwiera.

Stoi tam kobieta. Dziewczynka nie wie tego na pewno, bo nogi w dżinsach i gumowych kaloszach mogłyby należeć zarówno do mężczyzny, jak i kobiety, gdyby nie głos – to głos kobiety. W dodatku brzmi jakoś znajomo. Kobieta mówi szybko, szybko i cicho, on od czasu do czasu odpowiada mruknięciem.

Potem dziewczynka widzi jego nogi idące do kuchni. Nogi kobiety zostały w przedpokoju, stoją nieruchomo, jak przyrośnięte do podłogi. Słychać odgłos otwierania i zamykania szafek, brzęk garnków. Jego nogi wracają, idą do drzwi wejściowych i zatrzymują się przed kaloszami.

– O, dziękuję. To miło z twojej strony. Do zobaczenia – mówi kobieta.

Kalosze odwracają się i znikają w ciemności. Drzwi się zatrząskują, ale on jeszcze stoi przed szpiegowskim oknem.

Patrzy w ciemność.

Wraca do pokoju, gdy znów odzywa się przeraźliwy dźwięk dzwonka.

– *Shit* – mamrocze i zawraca.

Ponowne otwarcie drzwi, dziewczynka czuje zimny powiew idący po podłodze.

– Słucham?

– Właśnie, zapomniałam...

Nagle już wie, do kogo podobny jest ten głos: do głosu mamy. Nie w tym sensie, że to głos mamy, ale jest do niego bardzo podobny i od razu przypomina jej się, jak mama mówi i jak pachnie, gdy wtulić nos w jej bok, jaki ma miękki brzuch, ciepły w dotyku.

Ogarnia ją strach, większy niż przed tym mężczyzną. A jeśli to rzeczywiście mama i się nie spotkają? A jeśli mama przyszła po nią i nie może jej znaleźć? Od samej myśli robi jej się niedobrze, serce szybko pika w piersi. Moment zastanowienia i wydostaje się zza kanapy, przeskakuje sterty gazet na dywanie i pędzi do drzwi.

– Maaaama!

Zderza się z murem zimnego powietrza. On się odwraca, wybałusza na nią oczy, zaciska pięści.

– Maaaama!

W drzwiach stoi siwa, krótko ostrzyżona pani w okularach. W rękę trzyma tarkę. Ma otwarte usta, jakby czekała, że ktoś włoży do nich jakiś kęs. Cofa się niepewnie, z wciąż otwartymi ustami.

– Cholera jasna! – wrzeszczy mężczyzna, łapie ją i przygniata do zimnej podłogi, coś ostrego wciska jej się w policzek. – Przecież ci mówiłem, gówniaro jedna. Mówiłem! – Zwraca się do kobiety w drzwiach, która nie jest mamą, tylko nieznaną, durną siwą babą. – Przepraszam, Gunillo. To nie jest...

Ona jednak nie słucha, nie przestaje się cofać, aż na schodki, jakby zobaczyła ducha. Wtedy on wypuszcza dziewczynkę, podchodzi do pani, wciąga ją do środka i zamyka drzwi.

– Gunillo, proszę...

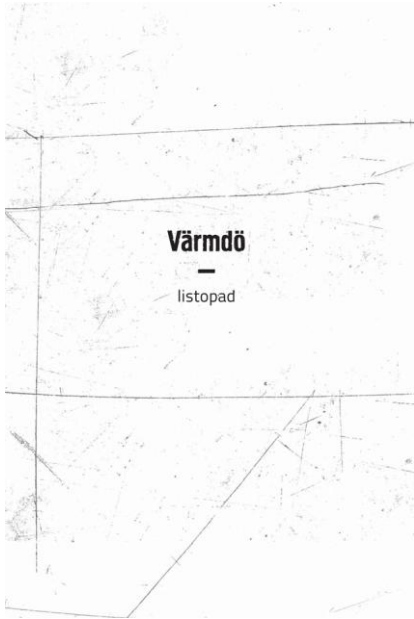
Ale pani nie słucha. Widać to po jej oczach, które zrobiły się takie duże, błyszczące i jeszcze dziwnie puste.

– Boże, co tu się właściwie dzieje? – szepcze, przyciskając do piersi tarkę, jakby tuliła misia.

Dziewczynka znów się kuli, stara zmniejszyć, zwijając w niewidzialny kłębek w kącie przedpokoju. Zatyka uszy palcami i pod nosem mamrocze rymowanek, której nauczył ją dziadek: „Ele mele dudki, gospodarz malutki, gospodyni garbata, a ich córka smarkata”. Jednak choć

zatkala uszy i mruży, to słyszy odgłos uderzeń i głuchy łoskot o podłogę. Mówi coraz głośniej: „Ele mele hyc, gdzie się mamy kryć, czy pod słomę, czy pod dach, wszędzie mamy strach!”.

Coś zimnego dotyka jej nogi. Dziewczynka zerka ostrożnie przez palce. Samotny kalosz. Przesuwa po nim wzrokiem i widzi, że w kaloszu nadal tkwi noga tej pani, a pani leży na podłodze, wyciągnięta na płask, jak naleśnik, jakby się opalała na plaży.



Idziemy z Aina wzdłuż brzegu, balansując na śliskich kamieniach i kuląc się przed wiatrem. Patrzymy na ciemne, spienione fale.

– Uważaj, ślisko – ostrzegam ją.

Nie odpowiada, głębiej wsuwa ręce do kieszeni parki. Jej włosy tańczą na wietrze.

Ostrożnie zmierzamy do dużej, gładkiej skały, na której latem zwykle się opalamy.

W innym czasie, w innym życiu, przynajmniej teraz tak się wydaje, bo nie ma wielkiego podobieństwa między moją zatoczką dziś i nęcącym, rozgrzanym morzem w sierpniu.

Aina jest milcząca i skwaszona. Byłam mile zaskoczona, gdy zadzwoniła, że chce mnie odwiedzić. Dawniej, zanim pojawił się Markus, często do mnie przychodziła. Teraz prawie nigdy.

– Elin była w piątek bliska płaczu, że tablety ciągle telefonują i pacjenci nie mogą się dodzwonić – stwierdza.

– Dopóki nie podaje im naszych prywatnych telefonów... Nie rozumiem, dlaczego tak ich to interesuje.

– A ja nawet rozumiem. Matka trójki dzieci zastrzelona w poradni psychologicznej w centrum Sztokholmu to spektakularne wydarzenie. Najważniejsze, że media nie wpadły na ewentualny związek między jej śmiercią i morderstwem Susanne. Całe szczęście. Czy ciebie policja też przesłuchała? – pyta. Ledwo słyszę, bo zagłusza ją wycie wiatru i huk fal.

– Tak. Wszystkich przesłuchali. Mówił Markus.

Aina uśmiecha się lekko, przelotnie.

– I co jeszcze mówił ten twój Markus?

Mój Markus? Trochę mnie irytuje takie sformułowanie, ale postanawiam się nie czepiać.

Aina bywa uparta, nie ma co zwracać uwagi.

– Mówił, że przesłuchali wszystkich pracowników poradni i wszystkie osoby z grupy wsparcia. Nadal nie wytypowali żadnego podejrzanego o morderstwo Susanne ani o uprowadzenie Tilde. Henrik wciąż jest na wolności. Nie wiedzą też, w jaki sposób ani czy w ogóle zabójstwo Hillevi łączy się z morderstwem Susanne.

– Coś więcej? – pyta Aina.

– Markus wspomniał wczoraj, że Henrik ćwiczył w tej samej siłowni co facet, który zgwałcił Malin.

– I co z tego wynika?

– Prawdopodobnie nic. W Gustavsbergu nie ma wielu siłowni, więc to pewnie przypadek. Niemniej jednak akurat ta siłownia ma złą opinię, podobno rozprawdzają prochy.

– I co?

– Nie wiem. To znaczy, że Henrik również mógł mieć dostęp do prochów, co by tłumaczyło jego agresywne zachowanie. Co o tym myślisz?

– Sama nie wiem – mówi Aina z wahaniem. – Ciągle myślę o tym, co nam opowiedziała Sirkka. Nie mogę przestać.

– Sirkka?

– W praktyce przyznała się, że zabiła swojego męża. I nie ma z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia.

Aina odgarnia z twarzy i z ust wilgotne kosmyki rozwianych jasnych włosów i odwraca się, by wiatr zdmuchnął je do tyłu.

– Ja tego tak nie widzę. Ona tylko nie wezwała pomocy. A on potem umarł.

Aina uśmiecha się krzywo.

– O nie. Jesteś naiwna, kochana. Dokładnie wiedziała, co robi. Zabiła go i nie czuje się winna z tego powodu. Nie przeszkadza ci to?

Wzruszam ramionami, nie wiem, co powiedzieć.

– Do czego zmierzasz?

– Po prostu się zastanawiam. Czy jeśli człowiek już raz zrobi coś takiego... to jest zdolny zrobić to samo jeszcze raz?

Znów nie wiem, co powiedzieć. Aina spogląda na ląd, jakby przypatrywała się mojemu domkowi przykucniętemu między skałkami i sosnami.

– Wejdziemy? – pyta. Przytakuję.

Powoli idziemy w górę ścieżką. Oświetlam drogę moją wielką latarką, żeby nie potykać się o korzenie albo nie wpaść w dziurę pełną mokrych liści.

W domu jest ciepło. Z kominka w dużym pokoju dochodzą trzaski, w powietrzu unosi się słaby, ale wyczuwalny zapach dymu.

– Chcesz herbaty? – pytam.

– Chcę wina – odpowiada, nie patrząc na mnie, opada na kanapę, podciąga nogi i ramionami obejmuje kolana.

Idę do kuchni sprawdzić, czy jest. Jeszcze niedawno byłoby nie do pomyślenia, żebym nie miała w domu wina, ale ku mojemu zdziwieniu stwierdzam, że naprawdę się skończyło. W szafkach, w których trzymałam butelki i kartony z winem, jest pusto.

– Nie ma wina! – wołam z kuchni.

– Może masz wódkę?

– Wódkę? Poważnie pytasz?

– Jak najbardziej.

Kręcąc głową z niedowierzaniem, stoję w drzwiach i patrzę na nią, potem wracam do kuchni i szukam dalej. Nigdy nie byłam za wódką, ale może Markus coś tu przywłókł? Pod zlewem znajduję niebieską butelkę dżinu.

– Jest dżin. Co do niego dolać? Nie mam toniku.

– Nic.

Nalewam przezroczysty płyn do połowy szklanki i myślę sobie, że Aina jest wyraźnie wytracona z równowagi. Od oparów alkoholu ściska mnie w żołądku, pojawia się znajome, obrzydliwe uczucie. Opieram się o zlew i odwracam twarz, aby nie czuć zapachu.

Aina dziękuje szeptem i jednym haustem opróżnia szklankę.

– Carl-Johan jest żonaty – odzywa się nagle. Nareszcie patrzy mi w oczy. Już rozumiem, dlaczego przyjechała taka ponura, dlaczego potrzebowała napić się letniej wódki ze szklanki. Z krzywym uśmiechem ciągnie: – Żonaty, kapujesz? Ostatnia rzecz, której się po nim spodziewałam. A ja całkiem poważnie się zastanawiałam, czy potrafiłabym emocjonalnie skupić się na jednym facecie. Wyobraziłam sobie, że on mnie naprawdę chce. Dotąd zawsze chcieli. To ja ich zostawiałam. Rozumiesz?

– Tak, wiem.

Dotychczas miała wielu mężczyzn i zawsze kończyło się tak, że Aina odchodziła.

– Właśnie. I teraz, gdy pierwszy raz...

Nie może wydusić z siebie tego słowa, w milczeniu kiwam głową. Ma kurczowo zaciśnięte szczęki, między brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Jak się dowiedziałaś?

Ponownie krzywy uśmiech.

– Zadzwoiła. Jego żona zadzwoniła. Do mnie.

– Jego żona? A skąd miała twój numer?

– Wiesz, to tak banalne, że aż się nie chce mówić. Sprawdziła jego komórkę i znalazła moje esemesy, widocznie nie miał dość rozumu, żeby je wykasować. No i zadzwoniła do mnie.

– Boże, i co ci powiedziała?

Aina ściera łzę, która spływa jej na podbródek.

– Była bardzo opanowana. Jakby dzwoniła po taksówkę albo zamawiała jedzenie w restauracji, czy coś w tym rodzaju. Powiedziała, że to nie pierwszy raz, że już tak robił. Że wykorzystuje uczuciowo. Najpierw ją. Teraz mnie. Potem powiedziała, żebym się nie zamartwiała, że mi przejdzie, mogę do niej zadzwonić, gdybym chciała pogadać. Wszystko odbywało się bardzo... kulturalnie. Wydało mi się to tak absurdalne, że z początku jej nie uwierzyłam. Zadzwoiłam do niego. Od razu się przyznał. Mają dwoje dzieci. I dom na Mälarhöjden.

Rozmyślałam nad tym, co usłyszałam. Miłość nie musi być pięknym, jasnym uczuciem, czasem bywa paskudną bestią: stale głodna i stale w pogoni czatuje gdzieś na obrzeżach naszej egzystencji.

Czai się.

Nie ma miłości bez cierpienia. Zawsze jest tak, że ktoś chce jeszcze więcej. I zawsze ktoś inny zostaje oszukany. Wiecznie ten ból.

I żadnej sprawiedliwości, myślę.

Nie ma sprawiedliwości.

Tej nocy Aina śpi ze mną w łóżku, a Markus na kanapie.

Słyszę po jej oddechu, że nie śpi.

Chwytam w ciemności jej rękę i ściskam lekko. Jest wilgotna i zimna, ale odwzajemnia uścisk.

Ainy już nie ma, gdy się budzę. Miejsce w łóżku obok mnie jest puste.

W sypialni panuje ciemność, unosi się nieco duszący, słodki zapach dymu z kominka. Wiatr za oknem chyba jeszcze się wzmógł, wyje chciwie zza węgła. Słysząc też, jak wzburzone fale rozbijają się o skały.

Z dużego pokoju dochodzą przyciszone głosy. Macam w ciemności, szukając budzika na stoliku nocnym. Pół do szóstej. Co Markus robi o tej porze, dlaczego już nie śpi?

Siadam na łóżku i natychmiast mam przyływ mdłości, ściska mnie w żołądku, odruchowo kładę rękę na ustach. Pod skronią czai się ból, pulsuje lekko, ale wyczuwalnie, jak na świeżym kacu.

Ciągle te nudności, nie chcą przejść, wbrew temu, co piszą w książkach, natrętne zapachy, zmęczenie, to cholerne, obezwładniające zmęczenie, które odczuwam wszystkimi komórkami ciała. I jeszcze to, czego muszę sobie odmówić. W momencie, gdy tylko pojawia się ta myśl, ssanie wraca, i to z niewyobrażalną siłą. Kieliszek wina. Tylko jeden kieliszeczek. Odgłos wyciągania korka z butelki, bulgot przy nalewaniu. Rytualne smakowanie, mające sygnalizować innym, że jest się osobą dobrze wychowaną, interesującą się winem, która pozwala sobie na jeden kieliszek. A nie żalosną pijaczką, która nie może się oprzeć, gdy szepcze i woła do niej butelka.

Wstaję i od razu czuję, że w pokoju jest naprawdę zimno. Wkładam kapcie i szlafrok, wciąż – na szczęście – za duży na mnie.

Markus siedzi w półmroku, odwrócony do mnie tyłem. Przed nim, na stole pełnym okruchów i plam po wczorajszej kolacji, laptop. W ręku trzyma filiżankę z niedopitą kawą.

Cicho podchodzę, staję za nim i kładę ręce na jego barkach. Bez słowa przykrywa moją dłoń swoją i ściska.

Na monitorze widzę chłopaka w T-shircie i czapce. Siedzi przy wielkim biurku, odchyłony do tyłu, prawie leży. Po drugiej stronie biurka również ktoś siedzi, ale nie widać kto. Obiektyw jest skierowany na chłopaka. Kogoś mi przypomina, ale nie wiem kogo. To chude ciało, upór na twarzy, ochrypli głos.

– Nigdy jej nie dotknąłem. Dlaczego miałbym to zrobić? – mówi chłopak.

– Dwa razy doniosła na ciebie na policję, tu są zgłoszenia – odzywa się drugi głos, kobiecy, ale androginiczny i tak samo ochrypli. Przepalony od dziesiątków tysięcy papierosów, zdarty od pokrzykiwania na niegrzeczne dzieci.

Chłopak wzrusza obojętnie ramionami i jeszcze bardziej zagłębia się w fotelu.

– O rany, już mówiłem, że ona kłamie.

– Chcesz powiedzieć, kłamała?

Kolejne wzruszenie ramionami, tym razem bez słowa.

Słysząc westchnienie kobiety, potem stukanie piórem o blat biurka.

– Czy jej śmierć w ogóle zrobiła na tobie jakieś wrażenie?

Drgnienie chudego ciała.

– Odbiło pani? Oczywiście, że zrobiła. Tak się składa, że to moja matka.

Markus lewą ręką naciska klawisz i zatrzymuje odtwarzanie w chwili, gdy chłopak zrywa się z krzesła, które przewraca się na ścianę. Na ekranie znów widzę tę znajomą twarz.

– Nie powinnaś tego oglądać, to poufne. Ale... co tam.

– Co robisz?

– Pracuję. Nie mogłem spać. Sonja prosiła, żebym obejrzał nagrania z paru przesłuchań.

– Gdzie Aina?

– Poszła pół godziny temu. Prosiła, żeby cię pozdrowić.

– Kto to jest? Jakbym go kiedyś widziała.

– Nie sądzę. To syn tej zamordowanej Susanne.

– No właśnie, miała również syna. Mówiła jedna z dziewczyn z grupy.

Markus kiwa głową i podnosi na mnie wzrok. Ma czerwone oczy ze zmęczenia.

– Urodziła go jako nastolatka. Były z nim same problemy, od kołyski, w przedszkolu, potem w szkole. Narkoman, przebywa w ośrodku opiekuńczo-wychowawczym. Wcześniej składała na niego doniesienia o pobicie. Zdaje się, że kłócili się o pieniądze i tak dalej.

– Narkoman... ile on ma lat? Wygląda bardzo młodo.

– Szesnaście.

– Szesnaście?

– Tak jest.

– *Shit*.

– Właśnie.

Markus zamyka laptop i wzdycha ciężko. Ze zmęczenia, a może z innego powodu.

– Powiedziałaś, że wydał ci się znajomy?

Nie wiem, jak to ująć, żeby nie zabrzmiało mętnie.

– Kogoś mi przypomina. Pamiętasz tamten wieczór, gdy Henrik Fasth zaskoczył mnie na Medborgarplatsen? Tam był jeszcze jeden facet. Wcześniej. E, nieważne.

– No mów. To był on?

Masuję skronie, usiłując sobie przypomnieć. Boli mnie głowa, jakby ból przytupywał pod moim czołem. Opadam na krzesło koło Markusa, nachylam się i całuję jego kłujący policzek. Wdycham dobrze znajomy zapach ciepłej skóry.

– Chyba nie, ale jest bardzo podobny. Też narkoman. Strasznie młody. Tak samo jak ten chłopak. Jest podejrzany?

Markus wzrusza ramionami.

– Musiałabyś spytać kogoś innego. Ja tylko pomagam Sonji.

Widzę, jak siedzi ze spuszczonego wzrokiem, i domyślam się, że musi być sfrustrowany. Nagle ogarnia mnie wielka czułość. Ten mężczyzna, ojciec mojego dziecka, jest po prostu ideałem, choć często nie doceniam go tak, jak na to zasługuje. W świecie zaludnionym przez szesnastoletnich narkomanów, w którym jest tyle samotności i nienazwanego smutku, my mamy siebie.

– Chodź – mówię, biorąc go za rękę.

Ma dezorientowaną minę.

– Co...?

– Chodźmy się położyć. Jeszcze nawet szóstej nie ma.

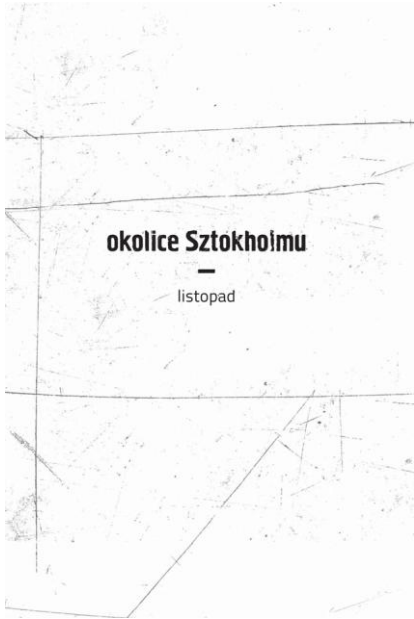
Markus uśmiecha się ostrożnie. Ostatnio nie bywałam chętna do zbliżeń, pewnie odczuwa niepewność. Wstaje jednak i idzie za mną do sypialni, trzymając ręce na moich barkach, jakby chciał zaznaczyć, że należę do niego. A ja odkrywam, że to całkiem miłe i podoba mi się.

Że do niego należę.

Naciągamy na głowę grubą puchową kołdrę, jakbyśmy chcieli uciec do innego świata. Jego pocałunki mają smak kanapki z serem i kawy, chichoczę, kiedy Markus ściąga mi majtki i wtacza się na mnie. Sekunda i jest po prostu perfekcyjnie. Markus pieści moje piersi, całuje w szyję, gdzieś w środku kiełkuje we mnie dziecko, wcielenie naszej miłości. Nadal niewidoczne, nieruchome. Jawi się bardziej jako wyobrażenie niż rzeczywistość, jak niejasne wspomnienie ze snu.

Pozwalam sobie na myśl, że to chyba to.

Uczucie szczęścia.



okolice Sztokholmu

—
listopad

W ciasnym pomieszczeniu panuje zupełna ciemność. Jeśli oprzeć się plecami o ścianę i wyprostować nogi, sięga się do drzwi. Z obu stron wilgotne ściany z desek. W dotyku przypominają ściany boksów w stajni, do której czasem zabierała ją mama: twarde, wilgotne i kłujące.

Na podłodze sterty gazet z wypłowiałymi zdjęciami gołych, głupio uśmiechniętych pań, tłuste piersi zwisają im aż na brzuch. Wie, bo widziała, gdy otwierał drzwi, żeby na podłodze postawić tackę z bułeczkami i sokiem.

Chciała się napić soku i od razu przewróciła dużą szklankę, więc teraz siedzi w lepkiej kałuży soku i tak jej zimno, i chce się pić jak nigdy.

Wokół nadgarstka jednej ręki ma zawiązany sznur, jego drugi koniec jest uczepiony gdzieś w górze, w ciemności, nie pozwala sięgnąć ręką do podłogi. Kiedy śpi, zdrętwiała ręka unosi się nad nią jak balonik.

Zimno jej.

W rogu pokoiku stoi nocnik, on go wstawił. Dziewczynka nie wie, jak z niego korzystać. Zresztą w ciemnościach boi się ściągnąć majtki, a nuż ktoś lub coś złapie ją zębami za pupkę. Dlatego wysusiała się, siedząc w majtkach; krótkie, ciepłe wspomnienie lata. Potem zimno, mokro i nogi szczypią od siuszków.

Na podłodze są miękkie kłębuszki kurzu i jakieś twarde drobinki, może kamyczki, martwe owady albo coś jeszcze gorszego. Myśli o tych wszystkich potworach, które – wie o tym – czyhają w ciemnościach. Czają się, wisząc nad nią, wyciągając długie, owadzie odnóża, obnażając ostre zęby i długasne pazury. Tylko czekają, żeby ją połknąć, gdy się zagapi i zapomni, że ma myśleć o niej. Bo myśli o mamie trzymając potwory na odległość.

Mama.

Dziewczynka się zastanawia, kiedy mama uratuje ją z rąk tego mężczyzny, który być może też jest potworem. I jeszcze, czy pozna mamę, gdy już po nią przyjdzie, czy twarz będzie już zagojona. Może włożą jej z powrotem to różowe i czerwone, co z niej wyciekło? Tata mówił, że tak. Zrobią tak, żeby ładnie wyglądała na pogrzeb. Tylko że wtedy będzie leżała w pudełku. Jak lalka, którą jej kupił. Ale mamy pudełko nie jest przezroczyste, bo jest z drewna i zostanie zakopane w ziemi. Dziewczynka uważa, że to okropne, że mama ma leżeć sama w małym, ciasnym pudełku, z którego już nigdy nie wyjdzie.

Z głodu boli ją brzuszek. Bułki, które jej dał, były twarde i zimne, jakby były prosto z zamrażarki i ani chwili nie stały w mikrofalówce. Ssała i żuła, dopóki nie udało jej się ich pogryźć na małe, mączyste kęski o smaku cynamonu.

O tacie też myśli. I o Henriku. I paniach w przedszkolu.

A jednak.

Jeśli mocno zaciśnie powieki, tak mocno, że zobaczy żarzące się mroczki, to zawsze widzi ją.

Mamę.

Czasem czuje również jej zapach, taką śmieszoną mieszankę słodkich perfum, potu i dymu z papierosów. Ale gdy tylko próbuje wyczuć, co tak pachnie, już go nie ma, zostaje jedynie woń pleśni i siuszków.

Słyszy odgłos kroków na schodach, gdzieś pod podłogą. Kuli się w kącie, wprawdzie boi się ciemności, ale jeszcze bardziej boi się mężczyzny, który jest na zewnątrz. Małe, ciemne pomieszczenie nagle wydaje jej się bezpieczne, chciałaby, żeby drzwi już nigdy się nie otworzyły, woli siedzieć w kałuży siuszków i soku, czując w nosie zapach mamy.

Drzwi otwierają się, białe, ostre światło tnie po oczach jak tysiące noży.

Dziewczynka zakrywa głowę wolną ręką. Zwija się kłębek w kącie.

– Idziemy – mówi głos z góry, ale dziewczynka się nie rusza, leży skulona, z jedną ręką nad głową, przywiązaną sznurem. – Nie słyszałaś? Wychodź.

Mówi to gniewnym głosem. Gniewnym i zdecydowanym. Jak pani w przedszkolu, gdy dziecko było niegrzeczne. Dziewczynka boi się poruszyć. Zaciska powieki i myśli o mamie. O jej policzku z dołeczkami, wesołych oczach. Brzuchu, tak miękkim, że w jego fałdach można

schować rękę.

– Co za cholerny dzieciak. Nie słyszysz, co do ciebie mówię?

Mocną dłonią chwyta ją pod pachę i stawia na nogi, popycha w kierunku białego światła. Dziewczynka opiera się, obraca na sznurze jak małpka, w kółko, w kółko, aż jej się robi słabo i niedobrze.

– Mamo – krzyczy. – Mamomamo!

– Zamknij się.

Piekące uderzenie w twarz, aż pali. Łzy mieszają się ze smarkami i spływają słonymi strużkami do buzi.

– Ja chcę do mojej maaamy!

Wtedy słyszy melodyjkę. Widocznie on też, puszcza ją i z kieszeni wyjmuje komórkę.

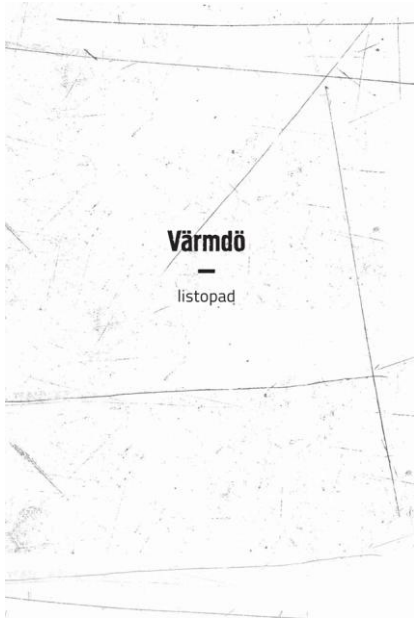
– Słucham?

Mówi coś cicho i szybko, pochylając się nad telefonem, jakby kołysał małe dziecko i mówił do niego. Potem odwraca się i wpycha ją z powrotem w ciemność. Z hukiem zamyka drzwi.

– Wrócę jeszcze – mówi.

Dziewczynka siada na stercie gazet i wolną ręką ściera łzy z policzka. Znowu czuje ten zapach: perfum, potu i dymu.

Wtedy wie, że ona tam jest, czuwa nad nią i chroni przed potworami i tym, co jest na zewnątrz.



Moje śniadanie jest równie beznadziejne jak ten jesienny poranek za oknem. Zawilgły, sflaczały kawałek chrupkiego chlebka i kubek herbaty.

Markus kolejny raz przynosi do domu naręcze drewna i starannie układa na piętrzącym się już stosie koło kominka.

– Robisz zapasy na wypadek trzeciej wojny światowej, czy co?

Markusa to nie śmieszy, jego rozdrażnienie jest wyczuwalne w całym pokoju. Jak nadchodząca nawałnica.

– Wieczorem ma być burza. Ale ty się pewnie nie przejmujesz takimi przyziemnymi sprawami, co? Gdyby od ciebie zależało, lodówka zostałaby pusta, a drwa w drewni.

Wzruszam ramionami i patrzę na szybę. Czarna jak polerowany granit, równie nieprzenikniony jak ciemność przed domem.

– Ale jesteś naburmuszony – mówię.

Nie odpowiada, w milczeniu układa drwa.

– Będzie burza śnieżna – odzywa się w końcu. – Uważam, że dziś nie powinnaś jechać do pracy samochodem.

– Pojadę autobusem, jak zwykle, nigdy nie jeżdżę do miasta samochodem. A zresztą, jakie to ma dla ciebie znaczenie?

Znów milczy. Napotykam jego spojrzenie, w którym jest ból.

– Nie możesz zrozumieć, że się o ciebie martwię?

Mięknę, ogarnia mnie ciepło. Wstaję, obciążam długi T-shirt opinający mi brzuch, podchodzę do Markusa i obejmuję go. Czuję chłód pikowanej kurtki, a we włosach lekki zapach dymu z kominka.

– Wiesz co – mówię. – Kocham cię.

On zastyga, nic nie mówi. Słyszać tylko jego oddech i trzaski rozchodzące się z kominka. Długo tak stoimy.

– Ja zawsze daję radę. Jestem jak korek, który stale wypływa na powierzchnię. Albo zostaje wyrzucony na ląd. Rozumiesz?

Patrik mówi cichym, spokojnym głosem, ale wzrok ma rozbiegany, a pod oczami sińce z niedospania i smutku. Spotkanie końcowe. Terapia jest zakończona, ich związek również. Zastanawiam się, czy oznacza to, że poniosłam porażkę, bo oczywiście chciałam naprawić ich związek. Posklejać odłamki, jakby chodziło o rozbitą doniczkę.

– A Mia?

– Spokojna. Prawie wesoła.

– Jak się z tym czujesz?

– Cholera, a jak ci się zdaje?

Gromi mnie spojrzeniem, ale pod gniewem majaczy smutek i uzmysławiam sobie, jak banalne było moje pytanie.

– Powiem ci, jak się czuję. Paskudnie. Byłoby mi łatwiej, gdyby mnie zostawiła dla innego.

– Łatwiej?

– Tak, przecież nie odeszła do innego, tylko... do nikogo. Rozumiesz?

Pewnie, że rozumiem. Smutek, upokorzenie, że się zostało odrzuconym. Nagle robi mi się wstyd, zdaję sobie sprawę, że zrobiłam to Markusowi.

Oczywiście, że cię kocham, ale potrzebuję wolności. Chcę dziecka, ale nie ciebie. Nie chcę ciebie w moim domu, w moim łóżku. W moim ciele. Za duża bliskość.

– A jak rozwiązaście problemy praktyczne?

Wzrusza ramionami i palcami przeczesuje zmatowiałe włosy przypominające kępki obumarłej trawy sterczące z kałuż przed moim domem.

– Chyba dobrze.

– Co to znaczy?

– Dzieci co drugi tydzień mieszkają u mnie. Mia wynajęła dwupokojowe mieszkanie na Brännkyrkagatan. Zabrała prawie wszystkie meble, w domu zrobiło się pustawo. Jednak najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że nagle łączy nas coś w rodzaju... nie wiem, jak to nazwać, może relacji biznesowej? Jakbyśmy wspólnie prowadzili jakiś interes. Negocjujemy: „Jeśli weźmiesz stół, to ja wezmę krzesła. Aha, już kupiłeś krzesła, to może wolisz fotel? Świetnie, to ustalone”. Strasznie to dziwaczne. Kulturalne, ale... nieprawdopodobnie smutne i bolesne. Człowiek umawia się, kto zawiezie i odbierze dzieci, pójdzie do szkoły na rozmowę, i udaje, że jest normalnie, chociaż ma się ochotę krzyknąć. Pani w szkole mówimy, że owszem, jesteśmy w separacji, ale wszystko gra. Naprawdę. „Mamy ze sobą świetny kontakt. Oczywiście, gdyby coś się działo, może pani dzwonić do kogokolwiek z nas, informujemy się nawzajem o wszystkim”. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Na pewno?

Patrik patrzy na mnie znużonym wzrokiem, widzę, że mi nie wierzy. Czasem w relacji z pacjentem powstaje sytuacja, gdy byłoby wskazane podzielić się z nim własnymi doświadczeniami, aby przekonać, że rozumiemy. Mogłabym Patrikowi opowiedzieć o Stefanie, jego śmierci i o tym, jak bardzo byłam przekonana, że to koniec mojego życia. Mogłabym szeptem wyznać, że nie potrafię kochać Markusa równie mocno jak wspomnienia o zmarłym mężu. Podzielić się wyznaniem, że nie jestem zdolna do prawdziwej miłości. Wspaniałej, pełnej poświęcenia miłości, która jest osnową dla wielodzietnej rodziny.

Nie robię tego, bez słowa obserwuję go, jak zgarbiony siedzi na fotelu, wyciągając przed siebie długie, cięłe nogi w dżinsach. Nie mam w zwyczaju dzielić się takimi doświadczeniami z pacjentami.

– Czy nie dostrzegasz żadnych zalet w tym, że udało wam się ułożyć sprawy praktyczne?

Znów wzrusza chudymi ramionami, towarzyszy temu chrzęst łańcuszków skórzanej kurtki.

– W dalszej perspektywie? – dodaję na próbę.

Patrik odchyła się do tyłu, jakby obserwował rysę biegnącą w poprzek sufitu.

– Mówiłem. Dam sobie radę. Faktem jest, że już nie czuję do niej takiej złości jak przedtem.

– To bardzo dobrze. Nie uważasz?

Patrzy na mnie tym samym spojrzeniem co przedtem. Jest w nim i smutek, i pogarda.

– Trochę przeczytałem. Można powiedzieć, poszerzałem horyzonty.

– Tak?

Wierci się, znów ten głuchy chrzęst łańcuszków. Złowieszczy odgłos, jak ze starego filmowego dreszczowca.

– Przecież miłość to tylko skutek działania hormonów, neuroprzekazników i innego podobnego gówna. Dzieli się na różne fazy. Najpierw przychodzi pożądanie, pociąg seksualny. Następuje wtedy zwiększone wydzielanie testosteronu, estrogenów itp. Ta faza trwa najwyżej kilka miesięcy. Potem przychodzi zakochanie. Wydziela się wtedy mnóstwo serotoniny, dopaminy i całej reszty. Efekt dla mózgu jest taki sam jak po amfetaminie. Nadążasz? Można powiedzieć, że gdy jesteśmy zakochani, wszyscy jesteśmy po trosze ćpunami, dopóki to nie minie. Bo wszystkim mija. Tak jest, i już. Stan zakochania utrzymuje się do trzech lat.

– A potem? Przecież ludzie zostają ze sobą znacznie dłużej niż trzy lata. Wystarczy się rozejrzeć.

– Potem przychodzi inna faza. Ludzi trzymają ze sobą dzieci, ślub, wspólne plany i zainteresowania. I inne hormony. Jak oksytocyna i...

– Zaraz, zaraz. Chwileczkę. Nie wiem, co czytałeś, ale mówisz mi o tak zwanym modelu biologicznym. Przedstawiłeś go poprawnie, ale nie wydaje mi się, aby model biologiczny wystarczył do wyjaśniania ludzkich zachowań. Przede wszystkim dlatego, że nie mówi, co znaczy być człowiekiem. O emocjach z tym związanych.

– Uważam, że ten model całkiem dobrze oddaje sytuację – mamrocze pod nosem Patrik.

– Zważywszy na twoją sytuację, to zrozumiałe.

– Bo co?

– Ależ Patriku. – Urywam, szukam dobrego sformułowania, które wyjaśnia, ale bez poniżania czy urażania. – Niedawno zostałeś porzucony. Czujesz się zawiedziony, upokorzony i rozczarowany. To oczywiście, że odpowiada ci teoria opisująca nas jako zwierzęta, którymi rządzą popędy.

– Uważasz, że to nieprawda?

– Tego nie powiedziałam. Uważam, że to niecała prawda. Miłość można tłumaczyć na wiele sposobów. Interpretacja czysto biologiczna to tylko jeden z wielu poglądów na to zjawisko. Miłość można postrzegać z perspektywy kulturowej, społecznej i kognitywnej. Choćby teologicznej. Akurat o tym mam niewiele do powiedzenia. Ale gdybyś rozmawiał o tym z księdzem, zapewne przedstawiłby ci zupełnie inny obraz. Zgadza się?

– Nawet nie znam żadnego księdza.

– Ja też nie. – Uśmiecham się. – Ale nie o to chodzi.

– A jakie jest twoje zdanie?

Czuję, że się czerwienię. Co ja właściwie wiem o miłości? Co wiąże mnie i Markusa? Moja samotność i lęk? Jego wytrwałość i cierpliwość, z jaką traktuje moje obsesje? Dziecko w moim brzuchu? Oksytocyna, serotonina i testosteron?

– Był pewien filozof nazwiskiem Kierkegaard – zaczynam.

– Kurde, wiem, kto to Kierkegaard – odpowiada szorstko Patrik.

Rumienię się, nagle czuję się jak intruz udający terapeutę, który chwilowo korzysta z mojego pokoju ze stolikiem i fotelami obitymi owczym runem. I jeszcze podkradł pudełko kleeneksów i notes, żeby wyglądało prawdziwie.

– Kierkegaard powiedział... – Dotykam rękami policzków, aby je ochłodzić, ale dłonie mam ciepłe, wilgotne, więc tylko sygnalizuję Patrikowi moje zmieszanie. – Mówił o „skoku, czy też „skoku wiary” wykonywanym przez człowieka zakochanego lub wierzącego w Boga. To coś, co nie jest do końca logiczne. Chodzi o akt wiary w coś, czego nie da się poprzeć racjonalnymi dowodami. I odwrotnie: gdy wierzymy, zawsze pojawiają się wątpliwości, dba o to nasza racjonalna strona. Czyli nie ma wiary bez wątpliwości. Jak nie ma miłości bez zawierzenia. Chociaż rozum mówi nam, że możemy sobie zrobić krzywdę.

Patrik przygląda mi się ponuro. Zagłębia się w fotelu i w palcach skręca kosmyk włosów koloru siana. Usta ma zaciśnięte w cienką, bezbarwną kreseczkę.

– Sama wierzysz w te dyrdymały?

Po raz pierwszy w tej rozmowie nie wiem, co powiedzieć. Punkt dla niego. Przecież gdybym wierzyła, odważyłabym się.

Skoczyć. Zawierzyć.

Nie odrywając oczu ode mnie, z tylnej kieszeni spodni wyjmuję pudełko snusu, nawykłym gestem wkłada prymkę pod górną wargę i szepcze:

– Tak przypuszczałem.

Powoli odzyskuję równowagę.

– Mam tylko na myśli, że...

– Wiem, co masz na myśli, ale ja w to nie wierzę. Uważam, że to wszystko jest dokładnie tak banalne i gówniane, jak się zdaje. Uczucie miłości służy temu, żebyśmy się rozmnażali... z odpowiednim osobnikiem. To, co ludzi wiąże ze sobą, to sprawy praktyczne, pieniądze, dzieci, majątek. A miłość... czasem służy raczej jako usprawiedliwienie, że człowiek robi, co chce. Rani, kontroluje, bije... Ludzie robią straszne rzeczy i potem mówią, że to z miłości. Nawet facet, który bije swoją kobietę, też twierdzi, że robi to z miłości, może nie? Ludzie zabijają i mówią, że z miłości. Czy wiesz, że człowiek zakochany balansuje na granicy psychozy? – Patrzy na mnie zaczepnie, oczekując potwierdzenia. – W mózgu człowieka zakochanego występują te same neuroprzekaźniki co u wariata. Rozumiesz? Miłość jest śmiertelnie niebezpieczna. Strzeżcie się miłości.

Otwieram usta, żeby odeprzeć jego twierdzenie i bronić miłości, jednak milczę. Może ma rację. Za oknem widzę wielkie płatki śniegu opadające na Medborgarplatsen. Wirują w świetle latarni, tańczą w powietrzu i pokrywają plac białym, puszystym dywanem.

– Śnieg pada – mówię. Ale Patrik nie odpowiada.

Mamy się spotkać w jednej z wielu kawiarenek w halach Söder. Aina na pewno robiłaby mi uwagi, że spotykamy się poza grupą, ale nie mam siły się tym przejmować. Stała się niedostępna i pełna złości. Od zerwania z Carlem-Johanem nie da się z nią rozmawiać, najczęściej tylko burczy na mnie.

W hali jest ciasno i pachnie mokrymi kocami. Odbywa się jakaś impreza, chyba jubileusz, i ludzie tłoczą się, żeby kupić kawałek gospodarskiego prosiaka po promocyjnej cenie albo sery deserowe szwedzkiej produkcji. Siadam przy jakimś stoliku i obserwuję iluzjonistę, który wykonuje rozmaite sztuczki karciane przed grupką dzieci, które przyglądają mu się z szeroko otwartymi oczami. Nawet nie zauważam, gdy Kattis siada koło mnie.

Włosy ma jak zwykle związane w koński ogon. Błada, umęczona twarz. Wychudła i ogólnie wygląda na wycieńczoną. Zauważa moje spojrzenie i uśmiecha się krzywo.

– Wiem. Koszmarnie wyglądam. Znów.

Kręcę głową, bo jej uroda i tak jest niemal hipnotyczna. Jakby rozświetlał ją jakiś wewnętrzny blask.

– Słyszałaś coś? Mają jakiś ślad Henrika?

W odpowiedzi z rezygnacją wzrusza ramionami.

– Żadnego. Nic nie wiedzą, w każdym razie nic nie mówią. Zupełnie nie rozumiem, jak mógł zniknąć tak po prostu. Ktoś musi mu pomagać. Ukrywać go. Czasem mam wrażenie, że jest gdzieś w pobliżu. Że mnie śledzi, ale to już chyba szaleństwo?

– Powiedziałaś o tym policji? O swoim podejrzeniu, że cię śledzi?

– Powiedziałam, zainstalowali mi w domu alarm, bezpośrednie połączenie na 112 i cholera wie, co jeszcze. W każdym razie teraz traktują mnie poważnie. Po tym, jak Hillevi...

Milknie i patrzy w stół, jakby go studiowała, przesuwa palcem po rysie biegnącej przez blat.

– Sądzisz, że mógł porwać Tilde?

Kattis podnosi wzrok.

– Nie wiem, ale to raczej do niego niepodobne.

Zapada milczenie. Myślę o Tilde, o gazetowym zdjęciu zaginionej pięciolatki. Cienkie, brązowe warkoczyki, pogodna buzia. Dziewczynka, która najpierw była świadkiem, jak zamordowano jej mamę, a potem sama zaginęła. Zastanawiam się, czy jeszcze żyje.

– Wzięłam kilka dni wolnego. Nie mam siły chodzić do pracy. Trudno dawać z siebie innym, gdy człowiek sam czuje się pusty w środku. Uważasz, że to źle? – Kattis patrzy na mnie pytająco, czeka na moją ocenę.

– Nie widzę w tym nic złego. W końcu to ekstremalna sytuacja.

– Jadą dziś na wycieczkę, z nocowaniem. Do Universeum w Göteborgu²⁵. To znaczy jadą z Arbetscentrum. Czasem organizujemy takie wyjazdy. Część naszych podopiecznych to ludzie dość specyficzni, mający kiepskie kontakty z otoczeniem. Jesteśmy dla nich jednocześnie rodzicami, kumplami i pracodawcami. Czasem jest to bardzo męczące... – Znów patrzy na stół, miesza w szklance latte i obserwuje czarodzieja, który właśnie wyczarowuje błyszczące srebrem pieniążki zza ucha dziecka.

Nagle czuję w żołądku lód. Trwa chwilę, zanim moja świadomość sformułuje tę myśl.

– Słuchaj, ten chłopak, który był u ciebie, gdy odwiedziłam cię w pracy? Facet z monetą? Kattis kiwa głową, rozglądając się obojętnie po kawiarni.

– Tobias? Bo co?

Przypomina mi się rozmowa Vijaya z Markusem. Mówili o Tilde i o pieniążku zabranym przez mordercę. Że morderca umiał czarować. Widzę, jak dzieci tłoczą się wokół iluzjonisty z monetami.

– Wspomniałaś, że ma do ciebie słabość, może nawet się w tobie kocha?

– Zaraz się kocha... e tam. Zauroczony, i tyle. Wiesz, ciągle się przy mnie szwenda, przynosi drobne prezenty, chce się umawiać. Kręci się w pobliżu. Chodzi za mną jak pies, dosłownie. Czasem mam wrażenie, że wszystko o mnie wie. Zapisuje w zeszytiku, co mówię.

Chichocze i upija łyk kawy.

– Notuje, co mówisz?

Robi mi się nieswojo. Opis Kattis nie wskazuje na niewinne zauroczenie, tylko na coś zupełnie innego. Ciągłe mam w uszach głos Patrika podczas dopiero co skończonej rozmowy. Mówił o miłości, ale nie tej pięknej, romantycznej, tylko mrocznej i gwałtownej, która popycha nas do złych czynów, do utraty kontroli. Miłości, która rani i zadaje ból.

– Ojej, no wiesz. O czym rozmawialiśmy i takie tam. Właśnie on należy do tych, którzy nikogo nie mają, ani przyjaciół, ani rodziny. Z początku przygarnęłam go, tak to ujmę. Zostaliśmy... przyjaciółmi. Potem poczułam, jakbyśmy za bardzo się ze sobą zbliżyli, rozumiesz? Przyłapałam go, jak mnie podsłuchuje, gdy rozmawiam przez telefon. A pewnego razu, gdy po pracy poszłam z kolegami w miasto, poszedł za mną.

– Według mnie to nie wygląda dobrze.

Kattis się uśmiecha i zbywa mnie machnięciem szczupłej ręki.

– Tobias jest nieszkodliwy. Słowo.

– Czy on wie o tej historii z Henrikiem?

Kattis siedzi nieruchomo i patrzy pusto, jakby nie rozumiała pytania.

– Z Henrikiem?

– Że byliście ze sobą. Że cię bił.

Teraz przytakuje, rumieniec występuje na jej porcelanowobiałe policzki.

– Wie, ale nie pytaj skąd. Ja mu nie mówiłam. Przypuszczalnie dowiedział się od kogoś w pracy. Powiedział, że mnie uratuje. To nawet miłe. Moim obrońcą jest dwudziestolatek, który ma nie całkiem po kolei.

Na niewielkiej estradzie właśnie zakończyło się przedstawienie. Iluzjonista zdejmuje kapelusz, publiczność się rozchodzi. Zesztywniałam z zimna i napięcia. W głowie mi ćmi, czuję nudności. Ludzie, odgłosy. Wonie. Swąd z kuchni zmieszany z zapachem świeżego chleba, a w tle przytępiony zapaszek surowego mięsa i krwi. Połykam ślinę, żeby nie wymiotować na stół.

– Kattis, to może dziwnie zabrzmiało, ale czy on byłby zdolny do gwałtownych czynów? Czy może być niebezpieczny?

– Niebezpieczny? Pytasz, czy mógłby mi grozić? – mówi z wyraźnym rozbawieniem. – Eee, wydaje mi się, że potrafię sobie z nim radzić. Mówiłam, że jest potulny jak jagnię.

– Chodzi mi o to, czy mógłby być niebezpieczny dla innych? Na przykład dla Henrika albo Susanne?

Kattis patrzy na mnie z niedowierzaniem, zmarszczka między brwiami staje się coraz głębsza.

– Dlaczego miałby zrobić coś złego Susanne? To... chore. Już prędzej napadłby na Henrika, ale na Susanne? To nielogiczne.

– Czy mógł słyszeć, jak o niej mówiłaś? Coś, co mógłby przekręcić albo wziąć zbyt dosłownie?

Kattis milczy. Zamyka oczy. Kręci głową.

– Niemożliwe. Czy masz na myśli to, co mi się wydaje?

– Czy powiedziałaś o Susanne coś takiego, co mógł opacznie zinterpretować? Jako człowiek naiwny, który jest do ciebie bardzo, bardzo przywiązany?

Kattis spogląda na mnie. Oczy czarne, błyszczące. Nagle dostrzegam w nich strach.

– To nie do pomyślenia, niemożliwe.

– Co powiedziałaś?

– Nie mogę w to uwierzyć.

Ma pobladłą twarz, gwałtownie kręci głową, koński ogon lata jak bat.

– Kattis, proszę cię, zastanów się. Co powiedziałaś?

Wzdycha głęboko, wierci się i znów patrzy w stół, wodzi palcem wśród okruchów.

– Nazwałam ją dziwką – szepcze w końcu. – Mówiłam, że zabrała mi Henrika i że biła tę małą, Tilde. Życzyłam jej, żeby zdechła. Ale nie mówiłam do niego. Rozmawiałam z jedną dziewczyną w pracy i z paroma osobami przez telefon. To było na początku. Zaraz po zerwaniu.

Jeszcze się w nim kochałam. Jednak nie mówiłam poważnie. Byłam zupełnie rozbita. Kiedy człowiek jest nieszczęśliwy, mówi takie rzeczy, ale przecież ja nigdy... nigdy!

– Czy uważasz, że Tobias mógł uprowadzić Tilde?

Kattis podnosi wzrok znad stołu, w jej ciemnych oczach czytam skruchę.

– Wiesz... dziwna rzecz. – W głosie Kattis słyszę wahanie. Niepokój. – No więc pytał mnie w tym tygodniu, jakie są ulubione płatki śniadaniowe małych dzieci. I czym się bawią.

Znów przed oczami mam zdjęcie tej małej na pierwszych stronach gazet. Groteskowe powiększenie fotografii z przedszkola. Wesoła dziewczynka z warkoczami. Czy to możliwe?

– Opowiedz mi o nim coś jeszcze. Czy był agresywny?

Kattis spuszcza wzrok, chowa twarz w dłoniach, jakby musiała się skupić, a może płakała. Pociera twarz i patrzy załamionym wzrokiem.

– Tak. Bywał. Chociaż odkąd przyszedł do nas, do Arbetscentrum, to nie. Myślałam, że już jest na dobrej drodze. – Przerzywa i nagle łapie się stołu, jakby miała się przewrócić. – Boże, a jeśli ona tam jest, u niego w domu? Może powinniśmy zadzwonić na policję? Albo pojechać tam? Do Tobiasa. Przecież jego nie ma, pojechał do Göteborga na tę wycieczkę z naszej firmy. Jeśli, powtarzam, jeśli jest, jak mówisz... możemy pojechać i poszukać jej. Mam nadzieję, że się mylisz. Według mnie Tobias jest nieszkodliwy. Owszem, trochę dziwny, ale niegroźny. Jeśli jednak jest tak, jak myślisz... musimy jej pomóc, co?

– Długo zostanie w tym Göteborgu?

– Jutro wracają.

Za oknem pada coraz gęstszy śnieg. Widzę, jak dzieci tarzają się w świeżym puchu, kładą się na wznak, robią orła i rzucają śnieżkami w fasadę biblioteki. Patrząc na te maluchy, odczuwam niemal fizyczny ból.

– Zróbmy tak, jak powiedziałaś. Z drogi zadzwonimy na policję.

Idąc do samochodu Kattis, przecinamy Medborgarplatsen i nagle uderza mnie cisza panująca wokół. Nie słychać ani samochodów, ani ludzi śpieszących w ciemności. Śnieg wpada mi za kołnierz palta i zbyt krótkie, znoszone i niepraktyczne botki. Zaciągam szalik, przystaję na moment, by odpocząć. Odkąd jestem w ciąży, stale dostaję zadyszki. Mam mdłości i ciągle chce mi się sikać. Na pewno nie jest to stan błogosławiony ani romantyczny, tylko prosta droga do życia rodzinnego, czego dotąd desperacko próbowałam uniknąć.

Ruch na Götgatan jest niemrawy. Biały śnieg zamienił się już w bure błocko.

Kattis manewruje wśród pojazdów, zmienia pasy i trąbi na samochód, który stoi, zamiast jechać.

– Mam nadzieję, że się mylisz. Jeśli jednak w tym, co mówisz, jest ziarno prawdy, cała wina spada na mnie

Głos ma zduszony, ręce aż zbieleły od zaciskania na kierownicy. Przejeżdżamy przez most przy Skanstull²⁶. Pod nami, pod śnieżną kołderką śpi kąpielisko Eriksdal. Dojeżdżając do Gullmarsplan, Kattis waha się przez chwilę, po czym skręca na E4.

– Dobrze go znasz. Jak myślisz, mógł to zrobić? Czy mógł uprowadzić Tilde?

Kattis kręci się niespokojnie. Zaciąga suwak obszytej futrem, grubej puchowej kurtki, jakby jej było zimno mimo ciepła panującego w samochodzie, w jej oczach widzę strach.

– Nie wiem.

– A gdybyś miała się domyślać?

Kręci się, widzę, że rozmowa jest dla niej nieprzyjemna.

– Może i mógł – mówi w końcu. – Jest wystarczająco... naiwny, niezrównoważony. I jak mówiłam, był agresywny. Uczestniczył w bójkach i tak dalej. Jednak nie wierzę...

Pochyliłam się i szukam komórki, grzebiąc w torebce wśród papierów, monet i gumy do żucia.

– Zadzwonię do Markusa.

Kattis kiwa głową, ale sprawia wrażenie, jakby nie słyszała.

Markus ma wyłączony telefon. W poczcie głosowej zostawiam wiadomość z prośbą o oddzwonienie.

– To co robimy? – pytam szeptem.

– Jedziemy. Jeśli Tilde tam jest, sprawa może być pilna.

– Gdzie on mieszka?

– Na zupełnej wsi, za Gnesta, jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt kilometrów na południe od Sztokholmu. Mam GPS-a.

Jedziemy małym samochodem Kattis i w milczeniu mijamy kolejne przedmieścia: Älvsjö, Fruängen, Sättra, Skärholmen. We wszystkich tych betonowych dzielnicach mieszkają ludzie tacy jak my: siedzą na kanapie, leżą skuleni na łóżku, brnąc przez śnieg, wracają do domu z zakupami. Samotnicy pośród zwartych zimowych ciemności Skandynawii. Każdy z jakimiś marzeniami i problemami, nadziejami i rozczarowaniami. Nagle dociera do mnie świadomość, co jest prawdziwą przyczyną tego wszystkiego.

– *Love fucks you up* – mamrocze pod nosem.

– Co?

Kattis patrzy na mnie zaskoczona, jakbym właśnie powiedziała coś, co kwalifikuje mnie do natychmiastowego zamknięcia u czubków. Śmieję się dla niepoznaki.

– To wszystko przez miłość – mówię, nie wdając się w dalsze wyjaśnienia.

Myślę o Patriku, jak siedział u mnie zdruzgotany, odrzucony i upokorzony. I o Svenie, porzuconym przez żonę po trzydziestu latach małżeństwa. Jego tępym spojrzeniu, nieświeżym oddechu śmierdzącym alkoholem, trzęsących się rękach. I o Ainie, gdy z udręczoną, nieruchomą twarzą opowiadała mi, że Carl-Johan jest żonaty, ma dzieci i dom na Mälärhøjden.

Gdyby można było żyć bez miłości, gdybyśmy potrafili polegać jedynie na sobie, czy bylibyśmy wtedy wolni? Czy ból byłby mniejszy, czy nie byłoby go w ogóle? Czy Hillevi nadal żyłaby z mężczyzną, który ją bił? Czy Sirkka poświęciłaby całe dorosłe życie dla wiecznie niezadowolonego faceta, który ją maltretował? Czy matka Sofie godziłaby się na to, że drugi mąż bije jej córkę?

Przypomina mi się, co Vijay powiedział parę tygodni temu, że nie chodzi o miłość, tylko żądzę władzy. Chyba się jednak mylił, a w każdym razie to nie wyczerpuje problemu, bo właśnie miłość daje władzę nad drugim człowiekiem, który akceptuje rzeczy nie do zaakceptowania i znosi to, co jest nie do zniesienia.

Zamykam powieki i widzę przed sobą Tobiasa, ciemne, prawie czarne włosy, głęboko osadzone oczy. Pieniążek tańczący na jego knykciach. Przypuszczam, że jego miłość ma charakter obsesyjny, jest to silna, słodko-gorzka namiętność. Kattis jawi mu się jako niedosiężna, nieosiągalna. Jest jego instruktorką, a więc jest to taka sama relacja jak między mną i moimi pacjentami. Być może zrobił to, aby się do niej zbliżyć, zasłużyć się.

Stefan, wciąż ten Stefan.

Nie żyje, a ja nie mogę przestać go kochać. Co to za cholerna miłość, która narzuca mi się z tamtej strony. Jest jak rysa na mojej duszy, tkwi jak klin między jawą i snem, dlatego przeszłość przecieka do mojego życia jak ścieki z nieszczelnej kanalizacji.

Znów robi mi się niedobrze, na skronie występują krople potu. Kołnierza palta wydaje się za ciasny. Rozpinam je, szarpiąc za guziki, i odwracam się do Kattis.

– Zatrzymaj się. Muszę...

– Tutaj? Na środku autostrady?

– Proszę.

Chyba widać po mnie, że źle się czuję, bo zjeżdża na pobocze i włącza światła awaryjne.

– Pośpiesz się, tu nie bardzo można stać.

Gwałtownie otwieram drzwi samochodu i wychodzę w ciemność, w padający gęsto śnieg, na mróz. Brnę do rowu, kucam i wsadzam dłonie w śnieg. Wymiotuję, trudno określić czym, odpoczywam, aż ręce zaczynają mnie boleć z zimna. Lepię ze śniegu kulę, pocieram nią czoło i okolice ust, powoli wstaję i wracam do czerwonego samochodziku.

Siadam koło Kattis, która nastawiła radio. Ciasne wewnątrz wypełnia głęboki soul. Kattis patrzy na mnie z niepokojem i ścisza muzykę.

– Dobrze się czujesz?

Nie. Zdecydowanie. Moje ciało się buntuje, najwyraźniej nie potrafię już pomóc ani swoim pacjentom, ani przyjaciółom, poza tym męczy mnie świadomość, że powinnam była wcześniej wpaść na to, że to Tobias. Może Tilde byłaby teraz w domu ze swoim tatą?

– Jestem w ciąży – odpowiadam tak cicho, że ledwo słyhać.

Jednak Kattis usłyszała. Dostrzegam zdziwienie w jej oczach. Uśmiecha się, ale drętwo, nienaturalnie, jakby ją coś bolało.

– Gratulacje, to... fantastyczne. Z tym policjantem?

Przytakuję i myślę o Markusie. O jego ciepłych dłoniach, policzku, na którym widać jeszcze ślad poduszki, i zaspanych niebieskich oczach. O tym, jak w nocy obejmuje mój brzuch, jakby chciał osłonić dziecko przed złem tego świata. Jakby rzeczywiście mógł to zrobić.

– Nie planowałam tej ciąży – mówię i natychmiast żałuję tych słów, jakbym zdradziła Markusa, opowiadając, że nie zamierzałam mieć z nim dziecka.

Kattis raptownie hamuje, samochód zarzuca na śnieżnej brei.

– Cholera jasna.

W ciemnościach przed nami dostrzegam niebieskie światła kogutów i długi sznur samochodów na górcie w kierunku Vårby. Kattis włącza wycieraczki na najszybszy bieg, mimo to widoczność jest tylko na dziesięć metrów. Znów pogłównia muzykę, jakby zaznaczała, że nie chce rozmawiać, i wpatruje się w zbliżające się światła radiowozów.

Przyglądam się jej profilowi, niebieskie światło przesuwają się po delikatnie zarysowanych kościach policzkowych i wyrazistych brwiach. Zastanawiam się, co się dzieje w jej głowie. Co ona sądzi o mnie i o Ainie, o tym, co się zdarzyło Susanne i Hillevi. Co myśli o Henriku i o Tilde.

Dotarliśmy do miejsca wypadku. Na środkowym pasie stoi – na pierwszy rzut oka – nieuszkodzona ciężarówka, ale gdy ją mijamy, dostrzegam zaklinowany przed nią mały samochód osobowy, kłębek zgniecionej blachy jak kulka cynfolii. Czuję ściskanie w brzuchu.

– Jedź dalej prosto – odzywa się brzęczący jak z puszek głos GPS-u.

– *Shit* – mówi Kattis. – Mam nadzieję, że wyszli z tego cało.

Nie jestem w stanie mówić, jak zahipnotyzowana patrzę na strażaków i policjantów poruszających się na miejscu wypadku. Stojący obok policjant ze złością macha ręką, żeby jechać, słyszę, jak krzyczy:

– Co za ludzie, wszyscy muszą się zatrzymywać, żeby się pogapić!

Kattis dodaje gazu tak gwałtownie, że samochód wykonuje skok naprzód.

Nie wiem dlaczego, ale nagle budzi się we mnie ciekawość. Kattis opowiadała o związku z Henrikiem, jak się poznali i jak od gorącej miłości przeszli do destrukcji. Nadal jednak niewiele o niej wiem.

– Jacy byli twoi faceci przed Henrikiem?

– Przed Henrikiem?

Patrzy na mnie zdziwiona, otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie znajduje słów.

– Chyba miałaś...?

Kattis uśmiecha się szeroko, robi się wtedy bardzo ładna.

– I to niejednego.

Odpowiadam uśmiechem. Przypomina mi się Aina. Jednak zaraz powraca wyraz cierpienia.

– Nie mogłam wytrzymać, żeby nie flirtować. Może potrafisz mi wytłumaczyć dlaczego. Powinnam się chyba nad tym poważnie zastanowić. Bo jeśli jest tak, jak myślisz, może to wszystko stało się dlatego, że byłam wobec Tobiasa zbyt... zalotna. Powinnam okazać mu większą rezerwę, trzymać dystans.

Patrzy przed siebie, ma nieprzenikniony wyraz twarzy. Rozpętała się prawdziwa zamieć. Jedziemy bardzo powoli. Sunący przed nami w ślimaczym tempie rząd samochodów przypomina ogromnego robaka świętojańskiego.

Wpatruję się w śnieżycę, słyhać jedynie płynący z radia soul i zgrzyt wycieraczek o szybę. Mam wrażenie, jakbyśmy były na świecie tylko we dwie, Kattis i ja. Realny jest jeszcze

jej czerwony golf zarzucający na świeżym śniegu. Markus wydaje się taki daleki, Aina i poradnia też. Nawet dziecko, które noszę w sobie, jest jak odległy sen. Śnieg, który napadał mi do butów i za kołnierz, już stopniał, i teraz czuję tylko wilgoć.

– Został jeszcze kawałek drogi – mruczy Kattis, nie patrząc na mnie.

Przy zjeździe na Gnesta i Mölnbo zauważam, że jedzie za nami samochód z zepsutym reflektorem. Wydaje mi się, że widziałam go wcześniej, na miejscu wypadku w Vårberg.

Zaczynam wątpić, czy to był dobry pomysł, może wybujała wyobraźnia płata mi figle. Straciłam rozeznanie przez ciężę i hormony. Już mam krzyknąć do Kattis, aby zatrzymała samochód i zawróciła do Sztokholmu, ale przed oczami staje mi Tilde i przypominam sobie dziwne pytania Tobiasa o płatki śniadaniowe i zabawki.

– Przy następnym skrzyżowaniu skręć w prawo.

Już nie widać żadnych domów, ledwo mającą sylwetki rosłych świerków po obu stronach drogi. Jest bardzo ciemno, światła samochodu odbijają się w śnieżnej zamieci. Słychać tylko muzykę i od czasu do czasu mechaniczne instrukcje z GPS-u. Gdzieś po lewej prześwitują jakieś zabudowania, nagle pojawiają się latarnie uliczne wyskakujące ze śnieżycy jak sztuczne ognie. Znak, że zbliżamy się do jakiejś miejscowości.

– Gnesta – mruczy Kattis.

Samochód pełźnie przez ciemne, opustoszałe centrum, jeśli można tak nazwać jedyne skrzyżowanie, przy którym jest wypożyczalnia wideo, kebab i pizzeria. Nad miejscową knajpą kołysze się na wietrze samotny szyld informujący, że duże mocne kosztuje trzydzieści dziewięć koron. Miasteczko jest jak wymarłe.

Kattis skręca w niewielką drogę, która zdaje się prowadzić w głąb lasu, z dala od zabudowań. Oglądam się za siebie, gdzieś w dali mającą światła samochodu, jedno świeci chyba trochę słabiej, ale widoczność jest na tyle zła, że nie potrafię stwierdzić, czy to ten sam samochód co przedtem.

Kattis mruży powieki, wpatrując się w drogę, widoczność właściwie żadna, świat zdaje się składać z wirujących płatków. Nawierzchnia zrobiła się nierówna, musimy zwolnić. Trzęsąc samochodem, słyszę, jak coś uderza o podwozie, chyba kamień.

– Już blisko – szepcze Kattis.

– Przy następnym skrzyżowaniu skręć w lewo.

Dodaje gazu, wjeżdżając na niewielki pagórek. Samochód przelatuje nad nim, zjeżdża w dół, jest bardzo stromo, droga skręca w prawo. Kattis hamuje, ale wpadamy w poślizg i lecimy na szpaler gęsto rosnących potężnych świerków.

– *Shit!* – krzyczy ochryple.

Z dużą szybkością uderzamy w potężny pień. Huk jest ogłuszający. Wnętrze wypełnia trzask pękającego szkła i gniecionej blachy. Potem zapada cisza, w której słychać tylko zgrzyt wycieraczki poruszającej się po rozbitej szybie; przypomina spastyczny ruch odnóża umierającego owada.

Śnieg wpada do samochodu. Strącam z kolan odłamki szkła i odwracam się, Kattis ma głowę opartą o kierownicę.

– W porządku? – Kładę jej rękę na ramieniu.

W odpowiedzi tylko cicho jęczy.

Chwytam mocniej i potrząsam.

– Powiedz coś.

– Moja noga – stęka.

– Jedź dalej prosto – odzywa się metaliczny głos, obojętny na to, co się właśnie stało.

Pochylam się, by wyłączyć silnik, i orientuję się, że jest inaczej niż zwykle, jakby jej siedzenie przesunęło się w przód i zabrakło miejsca na nogi albo jakby przód samochodu został wgnieciony i przyciął jej nogi.

– Czeka, zaraz ci pomogę.

Zapinam palto, głowę i szyję owijam szalikiem. Otwieram drzwi i od razu zapadam się w zaspę. Znów mam buty pełne śnieżnego puchu.

Brnę przez śnieg, po omacku przesuwam ręką po karoserii, by stwierdzić, że samochód wpadł do głębokiego dołu. Schodzę ostrożnie, rozlega się trzask, jakby rozbijanego szkła, gdy cienka warstwa lodu pęka pod moimi butami, które w następnej chwili napęniają się wodą. Odwracam się, oślepia mnie światło ocalałego reflektora. Wydostaję się z dołu i oglądam samochód, mrużąc powieki. Nie ma możliwości, by jechać dalej. Mogę tylko spróbować wyciągnąć Kattis i ostatni odcinek drogi przebyć na piechotę.

Obchodzę samochód, by dostać się do drzwi po stronie kierowcy, są wgniecione. Szarpnięciem klamkę, ale jedyny skutek jest taki, że Kattis krzyczy. Widocznie szarpnięcia wprawiają w drgania karoserię, co sprawia jej wielki ból. Ogarnia mnie niepokój. A jeśli jest ranna? I to poważnie?

Owijam rękę szalikiem, wybijam resztę odłamków szkła z okna i zaglądam do środka. Ostrożnie odchylam ją do tyłu, patrzę na jej nogi. Kattis jęczy cicho.

Ledwo co widać, ale kiedy oczy przyzwyczajają się do ciemności, dostrzegam, że blacha trzyma jej nogę jak w imadle. Krew sączy się tuż nad kolanem, tworząc ciemne i coraz większe plamy na nogawce dżinsów.

– Możesz ruszyć nogą?

– Nie – pada zdecydowana, głośna odpowiedź. Nagle jest całkowicie przytomna. – Nie dotykaj jej, rozumiesz?

Słyszac w jej głosie panikę, uspokajająco kładę jej rękę na ramieniu.

– Okej, zadzwonię po pomoc.

Kiwa głową i zamyka oczy. Ma wargi równie białe jak śnieg wpadający do wnętrza samochodu.

Wybieram numer alarmowy i ze zdumieniem stwierdzam, że muszę czekać w kolejce. Kompletny absurd. Niecierpliwie bębnię palcami w telefon i patrzę w las. Jak można tutaj mieszkać? W środku lasu?

Nagle w telefonie odzywa się głos i ku własnemu zaskoczeniu zaczynam płakać. Zacinam się, muszę powtarzać, w końcu udaje mi się powiedzieć, że miałyśmy wypadek, moja koleżanka jest ranna. Kobieta w słuchawce pyta, czy oddycha i czy krwawi. Podaję jej współrzędne z GPS-u, żeby mogli nas namierzyć, mówi, że wskutek zamieci było wiele wypadków. Karetka przyjedzie, ale to może trochę potrwać. Dodaje, że powinnam dopilnować, by rannej było ciepło, i obserwować jej reakcje. Rozłączam się i mówię do Kattis:

– Chcą, żebym została z tobą.

Patrzy na mnie i oblizuje blade wargi.

– Słuchaj, nie mam zawału, tylko uwięzła mi noga. Poza tym jest porządku. Czuję się okej. Zdejmuję palto i przez rozbite okno nakrywam ją jak kołdrą.

– Idź, szukaj jej, ja się i tak stąd nie ruszę. Według GPS-u to jest kawałek niżej.

Waham się, ale Kattis jest spokojna.

– Halo, przecież mam komórkę. Zadzwonię jakby co. Bez obaw.

Brnę przez las. Jest cicho, słyszę tylko zawodzenie wiatru, który jeszcze się wzmógł, skrzywienie śniegu pod moimi cieniutkimi podeszwami i własny oddech. Dookoła mam sięgający pod niebo gęsty las świerkowy. Nogi tak mi ścierpły, że już nawet nie czuję zimna. Podłóża też.

Dom jest położony wśród gęstych zarośli. Wprawdzie teraz ich nie widać spod śniegu, jednak wrażenie jest takie, jakby ogród był zaniedbany od wielu lat.

Podchodzę bliżej i widzę, że to nie tylko zarośla. Na prawo dostrzegam wraki paru samochodów. Wyglądają jak przywleczone skądś ścierwo. Obok sterty opon. Kształt po lewej to chyba przewrócony wózek sklepowy. Spod śniegu wystają same kółka. Przed schodami do domu wznosi się zaśnieżony pagórek, ale zaraz przekonuję się, że to kawałek brezentu, który coś zakrywa, może drwa, może inne rupiecie. Na schodach tłoczą się pralki, mikrofalówki i koła od roweru. O fasadę stoi oparta połamana drabina.

Dom, przypuszczalnie z lat pięćdziesiątych, jest zbudowany z żółtej cegły licówki. Od okien na parterze bije ciepłe światło, złocąc smugi na śniegu.

Wszędzie cisza.

Śnieg wiruje, powoli otulając kołderką ten smutny zbiór martwego sprzętu AGD

i emerytowanych samochodów. Drżącymi palcami strzepuję śnieg z czegoś, co przypomina starą maglownicę, i przysiadam na niej, by zaczerpnąć tchu. Jest straszny ziąb. Wolałabym, żeby ktoś mi towarzyszył: Aina, Markus, Vijay, Hillevi.

Z jakiegoś powodu myślę właśnie o Hillevi. Jej spokój i optymizm przydałyby mi się w tym lesie.

W ciemności za sobą słyszę jakiś dźwięk. Jakby się przewróciło wiadro. Metaliczny, głuchy odgłos. Odwracam się za siebie i wpatruję w ciemność, ale widzę jedynie wirujące płatki śniegu. Czy to możliwe, że nie jestem tutaj sama? Tobias? Na śniegu koło domu nie ma żadnych śladów. Zresztą Tobias jest w Göteborgu. Daleko stąd.

Po chwili wahania decyduję się, pokonuję ostatni kawałek, potem skradam się wzdłuż ściany domu. Bez problemu zaglądam do środka przez rozświetlone okna, sama nie będąc widziana.

Wnętrze kuchni. Błaty zastawione garnkami, rondlami i miskami. Wszędzie brudne naczynia. Na podłodze wyłożonej linoleum w biało-żółtą kratkę porozrzucane pudełka po pizzy. Nikogo nie widać. Chyba rzeczywiście nikogo nie ma, więc ostrożnie wchodzę po schodkach, chwytam klamkę, drzwi otwierają się bez oporu.

W przedpokoju zawalonym pudłami z makulaturą jest ciemno. Zapach dymu z papierosów i jeszcze czegoś: smażeniny, oleju, kawy i starych, niepranych ubrań. Często spotykana woń w mieszkaniach bardzo starych ludzi. Mdlący odór niewietrzonego wnętrza, budzący wspomnienie długich obiadów u starej, niezamężnej ciotki taty. Pieczeń wołowa w sosie własnym z ogórkiem w zalewie octowej. Ciasteczka migdałowe. I unoszący się nad tym wszystkim stęchły zapach niemytego kobiecego ciała i wrośniętego brudu.

Tuż za drzwiami na podłodze leży tarka i dwa damskie kalosze. Pochylam się, żeby się przyjrzeć, ale zanim zdążę wziąć do ręki jeden, kątem oka widzę, że coś pędzi w moim kierunku. Musi upłynąć sekunda, dwie, zanim do mnie dotrze, że to pies. Gruby stary golden retriever. Pies wydaje się szczęśliwy, że mnie widzi, skacze koło mnie i liże po rękach, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi.

Na drżących nogach idę dalej przez przedpokój. Przez otwarte drzwi na prawo zaglądam do jadalni. Cała zastawiona pudełkami i gazetami, ale poukładanymi w porządne kupki. Jakby osoba, która tu mieszka, usiłowała zaprowadzić jakiś ład w chaosie panującym w całym domu.

Nagle rozlega się przeraźliwy dźwięk. Przypomina fujarkę, w którą dziecko dmucha z całej siły. Serce mi wali, mam miękkie nogi.

Z wiszącego nad stołem starego zegara z kukułką wyskakują małe figurki. Komunikują, że jest szósta. Ciężko oddycham, czuję narastającą falę nudności. Odwracam się i wychodzę z pokoju.

Na drugim końcu przedpokoju jest pokój dzienny. Drzwi są niemal całkowicie zastawione różnymi przedmiotami, widzę stare narty, wędki, maskę spawalniczą, skrzynki pełne butelek po napojach, które pamiętam z dzieciństwa: Trocadero, Sockerdricka, Pommac. Idę powoli, potykając się o plastikowe paczki, których na podłodze są całe stosy, i ratując się przed upadkiem, łapię za kotarę. Unoszący się z niej kurz wypełnia cały pokój, aż trudno oddychać. Kaszlę. Czuję ściskanie w krtani.

Pokój jest pełen ciężkich i ciemnych mebli stylowych, ustawionych czasem jeden na drugim. Krzesła stoją na stołach. Na ścianach reprodukcje krajobrazów, płaczących dzieci i żaglówek. We wszystkich oknach zasłony z żółtego aksamitu, przez które nic nie widać.

Słyszę, jak pies idzie za mną. Jego łapy stukają o wytartą podłogę. Nigdzie ani śladu dziecka. Głupio mi, znów mam wątpliwości, po co ja tu przyszłam. Bez sensu. Tilde tu nie ma.

Pada cios, na który jestem zupełnie nieprzygotowana. Ostre, przenikliwy ból, płatki latają mi przed oczami. Czyjeś ramiona chwytają mnie od tyłu, dłoń na moich ustach. Szczególna mieszanina zapachu wody po goleniu i potu. Usiłuję odwrócić głowę, kątem oka widzę ciemne włosy i krostowatą cerę.

Tobias.

– Ty kurwo jedna, więc jednak się zjawiłaś – chrypi mi do ucha.

– Tilde – bełkoce.

– Dzieciak? Chcesz do dzieciaka?

Usiłuję kiwnąć głową.

– Masz szczęście, że jeszcze tu jest. Pewnie, możesz do niej iść.

Ciągnie mnie z powrotem do przedpokoju, koło stosów papierzysek i mebli zwalonych jeden na drugim. Chcę postawić stopy na ziemi, żeby móc iść, ale od razu pada następny cios i więcej już nie próbuję. Nagle pchnięcie, tracę równowagę i padam na podłogę. Kopnięcie w bok, niedbałe, nawet niemrawe, ale wystarczająco mocne, by mnie jeszcze bardziej nastraszyć. Przypomina mi się Susanne i jej twarz zmiażdżona kopniakami.

Z tyłu rozlega się zgrzyt zawiasów, Tobiasz szarpnięciem podnosi mnie z podłogi i wpycha przez otwarte drzwi.

– Jest na górze. W garderobie.

Sekunda wahania, ale chyba powiedział prawdę. Wierzę, że Tilde tam jest.

– No idź. – Popycha mnie na schody, potykam się w ciemnościach i w tym samym momencie słyszę, jak drzwi się zatraskują, a potem następuje metaliczny zgrzyt.

Ciemność.

Jestem na strychu. Macam ręką po ścianie nad podłogą i natrafiam na jakiś kabel wijący się jak wąż w głąb pomieszczenia. Z dworu dochodzi wycie wiatru. Podłoga skrzypi pod moimi stopami, gdy posuwam się ostrożnie naprzód wśród jakichś miękkich zawiniątek. Może ubrań. Starych pism?

Nagle trafiam ręką na coś innego. Obły kształt na końcu kabla. Żarówka. W takim razie powinien też być jakiś wyłącznik. Nie puszczać kabla, przechodzę powoli nad zawiniątkami na podłodze, cofam się do miejsca, z którego wyszłam. Czuję ostrą woń pleśni i kurzu.

Wreszcie znajduję.

Wyłącznik. Przekręcając go, słyszę suchy trzask i nagle cały strych jest skąpany w świetle. Teraz ją widzę.

Oparta o ścianę jak szmaciana lalka, wciśnięta między dwie stare walizki, na wpół siedzi kobieta około sześćdziesiątki. Ma dziwnie obrzmiałą twarz, całą w sinych wybroczynach. Dłonie zastygłe w skurczonej, szponiastej pozycji. Palto poplamione i pobrudzone, jakby ktoś włókł ją po podłodze. Jest bez butów, jedna stopa w skarpetce, druga goła.

Wyrywa mi się krzyk, cofam się, nadeptuję coś i padam w tył na miękką stertę gazet i starych ubrań.

Wzbija się tuman kurzu, od którego zaczynam kaszleć.

Nawet padając, nie mogę przestać na nią patrzeć. Jest coś hipnotycznego w widoku martwego ciała, bo przecież zdaję sobie sprawę, że ona nie żyje.

Zmuszam się, żeby odwrócić wzrok i rozejrzeć się po pomieszczeniu.

Okazuje się mniejsze, niż sądziłam, domyślałam się, że znajduję się bezpośrednio pod dachem. Na podłodze wśród stert starych gazet walają się pikowane kurtki i dzinsy. Kucam przed stołem „Dagens Nyheter” z 1989 roku. Obok inne pozółkłe gazety, wszystkie z 1989, są świadectwem wydarzeń z tamtego roku. Zerkam na leżącą z wierzchu: 14 marca, „Kerstin Ekman i Lars Gyllensten w proteście opuszczają Akademię Szwedzką”. Biorę do ręki gazetę. Papier twardy, sklejonny, jakby leżał w wodzie. Pod nią gazeta z 25 marca 1989, „Tu urywają się ślady po dziesięcioletniej Helene Nilsson” oraz „Katastrofalny wyciek ropy na Alasce”.

Z trudem staję na nogi i rozglądam się. W jednym końcu podłużnego pomieszczenia znajduje się okienko z zakurzonymi szybami, w drugim jakieś drzwi.

Garderoba.

Posuwam się ostrożnie między stertami gazet i śmieci, szerokim łukiem obchodząc martwą kobietę, by się nie potknąć o nią, nie trafić w szponiaste objęcia i nie dotknąć zimnego ciała.

– Tilde, jesteś tam?

Walę mocno w nieheblowane deski, drzazgi wbijają mi się w dłonie.

Nikt nie odpowiada. Żaden dziecięcy głosik nie woła zza drzwi.

W drzwiach jest zamek, ale brakuje klamki. Macam wzdłuż krawędzi, wreszcie znajduję szparę, dostatecznie szeroką, by włożyć palce. Ciągnę z całych sił, zapierając się nogą o ścianę,

i po chwili drzwi się poddają i stają otworem.

W środku jest Tilde.

Jest zdecydowanie chudsza niż na zdjęciach, które widziałam w tabloidach. Jedno ramię zwisa nienaturalnie, przywiązane do sznura nad jej głową. Ma brudną buzię, wyraźnie widzę wielkie, czarne oczy. Patrzy na mnie i nie rozumie, co się dzieje. Pomieszczenie wypełnia słaba woń moczu. Na podłodze leży brudny koc i kilka papierowych foremek po bułeczkach.

Odwiązuję sznur zaczepiony o hak na ścianie garderoby, pochylam się i biorę na ręce drobne ciało.

Jakie leciutkie.

A więc tak mało waży życie ludzkie, myślę, idąc przez strych do schodów. Mała nie stawia oporu. Nic nie mówi. Oparła główkę na moim ramieniu, jakby spała.

Delikatnie zakrywam jej oczy dłonią, żeby nie musiała patrzeć na zwłoki kobiety. Widziała już wystarczająco dużo śmierci i zła.

Przez cienką podłogę z desek dochodzą odgłosy ciężkich kroków, łoskot i przekleństwa Tobiasa. Nie wiem, dlaczego tak łatwo zgodził się wpuścić mnie do Tilde, ale jestem pełna najgorszych obaw. Zaraz się coś stanie. Coś okropnego. Ostrożnie siadam na jakichś ubraniach, wciąż trzymając małą w ramionach. Słucham jej równego oddechu. Zamykam oczy, poddając się bólowi i coraz mocniejszemu zawrotom głowy.

Nagle słyszę słaby szmer, jakby w ścianach siedziały szczury i nadgryzły izolację. Jednocześnie czuję ostrą woń. Benzyna. Szmer się nasila, już wiem, co się dzieje.

Pali się. Tobiasz podpalił dom.

Przez szpary między nieheblowanymi deskami przedzierają się siwe kłęby dymu. Rozumiem, że nie ma czasu, bo znajdujące się na parterze meble i pudła pełne gromadzonych przez lata rupieci musiały podsycić ogień.

Na schodach jest ciemno, ale dochodzi światło ze strychu. Chwytam za klamkę, jest gorąca, więc odruchowo cofam rękę. Owijam dłoń szalikiem i ponownie próbuję nacisnąć klamkę, krztusząc się dymem buchającym spod drzwi. Nic z tego. Jeszcze raz próbuję i w końcu przypominam sobie metaliczny zgrzyt, który słyszałam, idąc na górę.

Zamknął je na klucz.

Trzymając Tilde w ramionach, pędzę z powrotem na strych. Trzask ognia buzującego pod nami jest już całkiem głośny, przypomina przeciągłe, ochryple wycie. Co pewien czas towarzyszy mu huk pękającego szkła. Skądś dochodzi szczekanie psa. Donośne i niestrudzone, jakby chciał zwrócić czyjąś uwagę.

Przedemną jedyne okno, odcinające się czernią od drewnianych ścian.

Bardzo ostrożnie sadzam Tilde na podłodze. Przecieram szybę własnym swetrem i wyglądam na zewnątrz. Wirujące płatki śniegu uniemożliwiają zobaczenie czegokolwiek. Podnoszę haczyk i naciskam całym ciałem, w końcu okno otwiera się na oścież. Zimne powietrze wpada do środka, wychylam się i patrzę w dół.

Znajdujemy się około pięciu metrów nad ziemią. W pierwszej chwili nie widzę, co leży pod nami, bo wszystko pokrywa gruba warstwa śniegu. Potem dostrzegam jakieś kształty, dopiero po dłuższej chwili domyślam się, co to za sterczące ostre żelastwo. Okazuje się, że pod oknem leży sterta starych rowerów, a raczej ram rowerowych.

Nie można tu skoczyć.

Wtedy widzę wysoką, chudą postać brnącą przez śnieg. Za nią pies.

– Tobias! – krzyczę. – Nie możesz nas tutaj zostawić. Nie rozumiesz?!

Postać przystaje, odwraca się i patrzy na mnie, ale nie odpowiada. Znów się odwraca i odchodzi nieśpiesznie.

– Wracaj, draniu!

Tobiasz nie reaguje, jego sylwetka znika w padającym śniegu.

Osuwam się na podłogę koło Tilde. Mimo otwartego okna na strychu jest coraz więcej dymu. Mała kaszle, chwytam jej zimną rączkę i słyszę, że mamrocze coś pod nosem.

– Co mówisz, kochanie?

– Chcę do mamy – mówi.

Nie odpowiadam, ściskam ją za rączkę, trwa to kilka sekund. Nagle czuję kopnięcie. Leciutkie, jakby pisklę wywinęło koziołka. Kładę rękę na brzuchu i znów to czuję. Tym razem jeszcze wyraźniej. Jeszcze jedno kopnięcie. Jeszcze jedno życie.

Musimy wydostać się z tego przeklętego domu.

Rozglądam się ponownie po strychu. Może da się związać te ciuchy i zejść jak po linie?

– Zaczekaj – mówię.

Chodzę po strychu i zbieram ciuchy z podłogi, omijając wzrokiem bezwładne ciało oparte o ścianę. Dym wdziera się przez wszystkie szpary, ogień pod podłogą wyje jak głodne zwierzę.

Szybko związuję ubrania w prowizoryczny sznur. Zaczepiam go o jedną z belek nad oknem i sprawdzam wytrzymałość, wieszając się na nim całym ciężarem. Od razu pęka. Nie wytrzymała para sparciałych dżinsów nadwątlonych długoletnim leżeniem na wilgotnym strychu.

Odwiązuję dżinsy, przywiązuję płaszcz, pod nim sweter i znów uwieszam się na tej linie. Trzask.

Płaszcz się rozrywa, wzbijając tuman kurzu, który miesza się z coraz gęstszym dymem.

– Cholera.

Łzy napływają mi do oczu, już nie wiem, czy to przez ten dym, czy przez sytuację. Osuwam się na podłogę koło Tilde.

– Mama niedługo przyjdzie – kłamię.

Dziewczynka nie odpowiada.

Siedzimy nieruchomo pod oknem, na parterze rozlegają się kolejne huki pękających szyb.

Nagle słyszę jakiś głos, wydaje mi się, że dochodzi ze środka domu. Przynajmniej takie odnoszę wrażenie, ale potem uzmysławiam sobie, że jednak z zewnątrz.

Wyglądam przez okno i widzę go wśród gęsto padającego śniegu. Stoi w rozkroku i patrzy w moją stronę.

– Ratunku! – wołam ochryple, bezsilnie, ale on słyszy.

Podbiega bliżej, wydaje mi się, że dostrzegam coś znajomego w jego ruchach, potężnej sylwetce i ogolonej głowie.

– Skacz!

– Nie da się, na dole leży mnóstwo żelastwa.

Szukam w myślach, przypomina mi się, że widziałam coś koło drzwi wejściowych, zanim jeszcze weszłam do środka.

– Drabina, koło drzwi wejściowych jest drabina.

Bez słowa odwraca się i biegnie do drzwi frontowych, znika za zasłoną śniegu. Za mną rozlega się trzask, jakby załamał się sam szkielet domu. Czuję wstrząs pod stopami, omal się nie przewracam, podłoga przechyla się jak pokład żaglówek. Muszę się złapać parapetu, żeby nie zjechać na schody.

– Mamo!

W ostatnim momencie łapię dziewczynkę za rękę, powstrzymując ją przed ześlizgnięciem się w dół. Jej ciało, przed chwilą takie leciutkie, teraz wydaje się ciężkie jak ołów. Resztką siły udaje mi się wciągnąć ją z powrotem pod okno.

– Musisz się trzymać tutaj, rozumiesz?

Patrzy na mnie swoimi błyszczącymi oczami i nie odpowiada, ale posłusznie łapie się parapetu.

Kartony, sterty gazet i śmieci zjeżdżają po nachylonej podłodze prosto w ogień. Kątem oka widzę, jak zwłoki kobiety i stojące po obu stronach walizki zsuwają się i z sykiem znikają w płomieniach.

Wrócił, odciąga kilka zawadzających szkieletów rowerowych i opiera drabinę o fasadę. Bez słowa wchodzi na pierwszy szczebel, który pęka. Mężczyzna pada na ziemię i leżąc na wznak patrzy na nas, jak prawie zwisamy z okna.

Teraz go poznaję.

Henrik.

Mdłości atakują mnie z niewyobrażalną siłą, opadam na kolana.

Już wiem, jak to było.

Rozumiem, dlaczego samochód z zepsutym reflektorem jechał za nami w zamieci. Henrik ścigał Kattis. Myśli, że to ona zabiła Susanne i uprowadziła Tilde.

Nagle pojawia się w oknie. Jego twarz na wysokości mojej. Oczy wytrzeszczone, wyciąga ramiona.

– Podaj mi Tilde. Najpierw ją zniosę.

– Henrik! – krzyczy Tilde, wyciągając do niego rączki.

Przytrzymuję ją, skąd mam wiedzieć, czy chce ją ratować? Przecież na moich oczach zastrzelił kobietę.

Henrik napotyka moje spojrzenie i patrzy, jakbym zwariowała.

– Chyba sama w to nie wierzysz? Ona jest dla mnie jak własna córka.

W oczach ma desperację. Wewnątrz domu rozlega się przeraźliwy trzask, podłoga przekrzywia się jeszcze bardziej. Czuję gorąco od spodu. Jakbyśmy się znajdowały na ogromnym piecu. Dokładnie tak.

– Ona jedna mi została. Kocham ją, nie rozumiesz?

Patrzy mi w oczy, jego słowa zapadają we mnie. Po tym wszystkim, co się stało, on ją jeszcze kocha? Znow ta miłość. Co to właściwie znaczy? Mogę mu zaufać? A jeśli nie, co mi pozostaje? Pewna śmierć w płonącym domu? Upadek z pięciu metrów na stertę żelastwa?

Pomagam Tilde stanąć na parapecie, Henrik delikatnie odbiera ją ode mnie. Mówi, żeby mocno, mocno trzymała go za szyję. Schodzą. Czekam chwilę, potem sama wydostaję się przez okno, nogami do przodu. Ostrożnie schodzę po chybottliwej drabinie. Na ziemi padam i leżę na wznak na śniegu.

Oddycham. Za sobą słyszę głosy.

Ktoś płacze. Henrik. Tilde go pociesza. Mówi, że wszystko będzie dobrze, nie musi się bać, bo ona już sprawdziła, że tu nie ma żadnych lwów.

Fragment opinii sądowo-psychiatrycznej

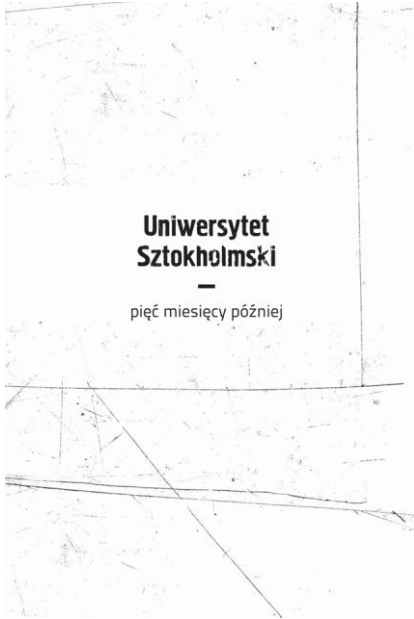
Wyniki badania neuropsychologicznego wskazują, że Tobias Lundwall cierpi na zaburzenie rozwojowe objawiające się upośledzeniem umysłowym w stopniu lekkim do umiarkowanego. Oznacza to, że pod pewnymi względami Tobias Lundwall zachowuje się i funkcjonuje nie jak człowiek dorosły, ale raczej jak dziecko w wieku przed okresem dojrzewania.

Ma obniżony poziom funkcjonowania intelektualnego, co wpływa na jego zdolność abstrakcyjnego myślenia i przyswajania informacji z otoczenia. Zdumiewa fakt, że jego niepełnosprawność nie została wcześniej zdiagnozowana. Stwierdzam u niego pewne cechy autystyczne, ale nie na tyle wyraźne, by rozpoznać autyzm. Ocena psychiatryczna wskazuje również na pewne cechy osobowości aspołecznej, schizoidalnej i paranoidalnej, ale również w tym przypadku pacjent nie spełnia wszystkich kryteriów tej diagnozy. Z badania nie wynika, aby mimo zaburzenia Tobias Lundwall miał zakłócony ogląd rzeczywistości, zachwianą możliwość jej oceny lub brak zdolności rozróżnienia między dobrem a złem. Mimo że popełnione przez niego zbrodnie są bardzo ciężkie, nie można uznać, by Tobias Lundwall cierpiał na poważne zaburzenia psychiatryczne. Nie ma zatem przesłanek do skierowania na leczenie w zakładzie zamkniętym zgodnie z rozdziałem 31 § 3 kodeksu karnego.

Antonio Waezlaw, lekarz, biegły psychiatra sądowy

25 Universeum – otwarte dla publiczności centrum nauki.

26 Skanstull – dawna roгатka w dzielnicy Söder.



– Jezus Maria...

– Nic nie mów!

Rzucam ostrzegawcze spojrzenie Vijayowi, który uśmiecha się szeroko, odsłaniając równy rząd białych zębów. Prawą ręką lekko głaszcząc mnie po ogromnym brzuchu. W lewej trzyma papierosa, ale na moje spojrzenie błyskawicznie gasi go w wazonie z przywiedłymi kwiatkami.

– Przepraszam, tylu rzeczy nie wolno robić w obecności ciężarnej kobiety.

Ostrożnie przekładam stertę studenckich referatów leżącą na jedynym krześle w gabinecie Vijaya i ścieram pot z czoła. Dopiero kwiecień, ale od tygodnia jest przeszło dwadzieścia stopni ciepła.

– Jak się czujesz?

Vijay obserwuje mnie, przekrzywiając głowę, i rzuca się na swój fotel, który trzeszczy złowieszczo. Następnie kładzie wielkie stopy na biurku. Dziś ma na nogach pomarańczowo-zielone adidasy, które wyglądają na oryginały z lat siedemdziesiątych. Odwraca się na obrotowym krześle, by na półkę za biurkiem wstawić kilka książek grubości cegły, widzę, że szpakowate loki związał w ogonek na karku.

– Dobrze się czuję – mówię. – Chociaż zaczynam mieć serdecznie dość.

Klepię się po brzuchu, który przeży się jak piłka pod starą dzinsową koszulą Markusa.

– Ile ci jeszcze zostało?

– Mówią, że tydzień.

– Mówią...?

– Zobaczymy. Gadałam z juniorem i powiedziałam mu, że już najwyższy czas.

– Na dłoni jest punkt akupresurowy... – zaczyna Vijay.

Zatrzymuję go podniesieniem ręki.

– Kochany, nie wierzę w te bzdury.

Jednak Vijay już jest koło mnie, siada na biurku, lekko chwyta moją lewą rękę i mocno naciska punkt między kciukiem i palcem wskazującym.

– Pewnie mi to nie zaszkodzi – mamrocę pod nosem i ścieram pot z czoła. – Co tam w domu?

Vijay milczy chwilę. Nie patrząc na mnie, dalej masuje i naciska.

– Pusto – mówi potem.

I nic więcej. Tylko jedno, żalosne słowo.

Kiwam głową i nie mówię, że miasto jest pełne przystojnych facetów, że jest wiosna, że sam jest przystojny i godny pożądania, bo wiem, że on to wszystko wie. Myślę, że Vijay ma prawo do smutku, skoro odszedł od niego ukochany. Proponowanie, aby zostawił to za sobą jak skasowany ciuch, byłoby niewłaściwe.

Vijay chrząka, puszcza moją dłoń, ale wciąż siedzi na biurku naprzeciw mnie.

– Jak tam Markus?

Wzruszam ramionami.

– Jak zwykle.

Kiwa głową i już nie drąży tego tematu.

– Słyszałaś o wczorajszym wyroku, co?

– Trudno nie słyszeć, doniosły o tym wszystkie media. Nie rozumiem, jak można skazać upośledzonego umysłowo na dziesięć lat więzienia.

– Dziesięć lat to standardowa kara za morderstwo. Ale można również dostać dożywocie w przypadku szczególnie ciężkiej zbrodni. Cokolwiek miałyby to znaczyć. Chodzi mi o to, czy może być cięższa zbrodnia od tych, które popełnił? Morderstwo na Susanne Olsson było niezwykle brutalne, do tego dochodzi ta kobieta, sąsiadka, której szczątki znaleźli w zgliszcach domu. Cóż, ja nie jestem prawnikiem, tylko specjalistą od czubków.

Odchylam się do tyłu, bo nie mogę złapać tchu od kopniaków w brzuchu. Nie udaje mi się znaleźć wygodnej pozycji.

– Ale Tobiasz jest upośledzony umysłowo. Owszem, w stopniu lekkim, jednak jego iloraz inteligencji wynosi mniej więcej pięćdziesiąt pięć punktów, czyli mentalnie jest na poziomie

dziesięciolatka. Nie można kogoś takiego posyłać za kratki. Jak on sobie da radę w więzieniu? Co to za społeczeństwo, które sankcjonuje takie postępowanie?

Vijay kręci głową i uśmiecha się tajemniczo.

– Czasem zupełnie cię nie rozumiem.

– Dlaczego?

– Ten rzekomy dziesięciolatek omal nie zabił ciebie i twojego nienarodzonego dziecka, a ty chciałabyś widzieć go na wolności, żeby znowu chodził po ulicy?

– Tego nie powiedziałam. Uważam tylko, że zamykanie w więzieniu upośledzonych umysłowo jest niewłaściwe, niecywilizowane, barbarzyńskie. Równie dobrze można przywrócić karę śmierci.

Vijay przybiera tajemniczy wyraz twarzy, domyślam się, że przygotowuje się do wygłoszenia jednego ze swoich wykładów.

– Na pewno wiesz, że dla szwedzkiego kodeksu karnego właściwie nie ma różnicy, czy przestępca jest zdrowy, czy ma psychiczną dysfunkcję. Dawniej upośledzeni umysłowo mogli być skazywani na kary specjalne, ale dziś nie ma takiej możliwości. Zamknięte szpitale dla skazanych zostały zlikwidowane w latach dziewięćdziesiątych, jednocześnie wycofano się z określenia „niepoczytalny”. Teraz w grę wchodzi przymusowe leczenie w systemie zamkniętym, ale jedynie w odniesieniu do skazanych z ciężkimi zaburzeniami psychicznymi. Większość przestępców podpadających pod tę kategorię to osobnicy w stanie psychozy. Bywają też dotknięci demencją albo ciężkim uszkodzeniem mózgu. Nie wystarczy mieć lekkiego kręćka, by trafić do psychiatrika zamiast do więzienia. Psychiczne zaburzenie rozwojowe to również za mało. Pozostaje zatem zwykle więzienie.

– Czy nie jest to przypadkiem sprzeczne z zasadami ONZ?

– Owszem, jest. U nas w Szwecji chętnie krytykuje się Stany Zjednoczone za skazywanie na śmierć przestępców, którzy ewidentnie są psychicznie upośledzeni albo wręcz chorzy. Ale sami zamykamy ich do więzienia. Wiesz, kilka lat temu było badanie, z którego wynika, że od pięciu do dziesięciu procent osadzonych w szwedzkich więzieniach to ludzie upośledzeni umysłowo, mający IQ poniżej siedemdziesięciu. To znaczy, że co roku skazuje się na więzienie kilkuset upośledzonych. Niektórzy więźniowie mają poziom umysłowy przedszkolaka. Jest też spora ciemna liczba, bo trudno ocenić poziom rozwoju umysłowego u osobników innego pochodzenia etnicznego. Na nic nasze znakomite ankiety, jeśli ankietowany mówi tylko po kurdyjsku, prawda? Czyli przypuszczalnie takich ludzi jest znacznie więcej.

– Według mnie to barbarzyństwo. Cała sprawa jest chora. Henrik, którego inteligencja jest na normalnym poziomie, został skazany na leczenie w zakładzie zamkniętym na podstawie orzeczenia, że w chwili popełnienia zbrodni cierpiał na poważne zaburzenie psychiczne. Jednocześnie mówi się, że w zasadzie już jest zdrowy, więc na pewno szybko wyjdzie na wolność. A Tobias, który jest upośledzony psychicznie, ma siedzieć w więzieniu. Przez dziesięć lat. W jakim my państwie żyjemy?

Vijay wzrusza ramionami.

– Witaj w rzeczywistości, kwiatuszku.

– Problemem nie jest moja naiwność, tylko rozwiązanie niegodne państwa prawa. Tobias, taki infantylny, zawsze oszukiwany i wykorzystywany przez starsze dzieci, jak on sobie poradzi w więzieniu?

– Podobno istnieje coś takiego jak indywidualny tok odbywania kary. Żeby zaspokoić potrzeby wszystkich osadzonych.

W głosie Vijaya słychać sarkazm.

– *Sure.*

– Swoją drogą ciekawe, że nikt wcześniej nie dostrzegł jego niepełnosprawności. Jeśli dobrze zrozumiałem, to pierwsze problemy pojawiły się już w osiemnastym miesiącu życia i zarówno rodzice, jak i nauczyciele wielokrotnie kontaktowali się z psychologami i psychiatrami. Dlaczego nikt się nie zorientował wcześniej, co jest z nim nie tak? Może dałoby się mu pomóc. I nie doszłoby do tego wszystkiego.

Nie wiem, co powiedzieć, jestem zniechęcona i zrezygnowana.

– Czy Tobiasz powiedział kiedykolwiek, dlaczego to zrobił?

– Nie. Odmówił zeznań. Milczał jak kamień i do niczego się nie przyznał. Złapali go, gdy próbował pomóc Kattis wydostać się z samochodu. Krzyczał wtedy, że muszą jej pomóc, bo tylko to jest ważne. Tylko to się liczy. W zasadzie tylko tyle powiedział. Potem... milczał. Podczas wszystkich przesłuchań. Nie dałoby się udowodnić mu morderstwa Susanne, gdyby nie dowody materialne. Na tylnym siedzeniu jego samochodu znaleźli zakrwawione rękawiczki chirurgiczne z jego odciskami palców w środku. A na butach ślady jej krwi. W dodatku w mieszkaniu Susanne były włosy z sierści jego psa. Przypuszczam, że myślał, że jeśli ją zabije, pomoże Kattis. Strasznie napsioczyła na Henrika i jego nową partnerkę. Tak czy inaczej. Całe szczęście, że nie zdążył zabić tej małej.

Kiwam głową, przypominam sobie obejmujące mnie za szyję brudne rączki. Woń moczu i grzyba w ciasnej garderobie. Smutki dymu wydostające się przez szpary między deskami, wznoszące się pod dach jak wodorosty, żar bijący z parteru.

Vijay obserwuje mnie w milczeniu, zastanawiam się, co myśli, jaki jest jego stosunek do tych wszystkich niesprawiedliwości i nieprawidłowości w naszym wzorcowym skandynawskim społeczeństwie.

– Cholernie mnie to... przygnębia – mówię. – Myślę również o dzieciach Hillevi.

Wiedziałaś, że znów są u ojca?

Vijay smutno kręci głową.

– Nie wiedziałem. Jednak należało się tego spodziewać, prawda?

– Czy ja wiem. Może, ale to bardzo źle. One potrzebują bezpiecznego domu. Nie powinny mieszkać z człowiekiem, który je maltretował.

W tym momencie przypomina mi się sen, który przyśnił mi się jesienią: jak Hillevi przyszła do mnie w zakrwawionej koszuli, prosząc, bym zaopiekowała się jej dziećmi, i jak obiecałam, że to zrobię. A teraz znów są ze swoim ojcem, który je bił. Chciałabym zrobić dla nich coś więcej, pomóc tym dzieciom.

Znów kopniak przywracający mnie do rzeczywistości. Patrę w okno. Wietrzyk porusza jasnozielonymi liśćmi. Podnoszę się z pewnym trudem.

– Słuchaj, muszę już iść. Umówiłam się na kawę z... koleżanką.

Vijay kiwa głową w zamyśleniu.

– Dobrze.

– Dzięki, miły jesteś, że się zgadzasz.

Uśmiecha się.

– Masz moją zgodę, siostró. A właśnie. Książka. Zaraz ci ją przyniosę.

Jego uścisk jest serdeczny, choć trochę nienaturalny, bo przeszkadza mój brzuch, Vijay prawie zgina się wpół, żeby mnie objąć.

– Zadzwoń, jak już... – Gestem pokazuje na brzuch, a ja potakuję, kiwam na pożegnanie i zostawiam go w zagraconym gabinecie.

Na dworze jest ciepło, słońce grzeje mi twarz. Z wielkich, starych drzew rosnących wzdłuż drogi prowadzącej do wydziału psychologii dochodzi śpiew ptaków. Studenci leżą na trawie, palą papierosy, śmieją się i wkuwają do egzaminów.

Sztokholm obudził się do życia.

Uśmiecha się szeroko, gdy wchodzi do kawiarni. Widzę, że dziś dla odmiany rozpuściła włosy, do twarzy jej z tym, wygląda i doroślej, i bardziej kobieco.

W środku jest – o ile to możliwe – jeszcze cieplej niż na dworze. Cały lokalik jest przesycony zapachem wypieków i kawy.

– Ale masz wspaniałą brzuch – mówi marzycielsko.

Śmieję się.

– Gdybyś wiedziała, jak ja mam tego dość.

– Już niedługo. Wytrzymaj jeszcze trochę.

Mam wrażenie, jakbym już niejedno wytrzymała. W moim stanie nie ma nic z błogosławieństwa. Cięża to jednak choroba, wbrew temu, co wmawiają te hiperpoprawne położne w koralach z szyszek. W życiu się tak marnie nie czułam i ciągle myślę tylko o tym, że to się niedługo skończy, wtedy odzyskam swoje ciało. Czasem wydaje się to ważniejsze od dziecka, które na razie jawi się jak czysta abstrakcja. Wprawdzie czuję, jak we mnie żyje, kopie, odwraca się albo ma czkawkę, ale wydaje się nierzeczywiste. Jak sen.

– A ty jak się czujesz?

Lekko się uśmiecha, kręcąc kosmyk włosów.

– Dobrze. Bardzo mi ulżyło, że proces Tobiasa już się skończył. Wczoraj przespałam cały dzień, taka byłam wykończona. Jakbym przebiegła maraton. Czy to normalne?

– Absolutnie. Puściło napięcie.

W milczeniu popija kawę, zerkając na mnie znad filiżanki.

– Przyniosłaś...?

– Oczywiście.

Nachylam się, grzebię w mojej starej, podniszczonej torebce i w końcu wyławiam książkę. *A General Theory of Love*²⁷. Nie mam pojęcia, dlaczego Kattis chce pożyczyć właśnie tę książkę, choć pamiętam, że kiedyś o niej rozmawialiśmy. Nie wiedziałam, że lubi czytać, zwłaszcza fachową literaturę po angielsku. Uśmiechając się zagadkowo, bierze ją do ręki i głośno obwołuje ją jak odnalezionego właśnie psiaka.

– No wiesz. Czuję, że muszę zrozumieć, co się wydarzyło w ciągu ostatniego roku.

Kiwam głową i rozglądam się po kawiarni. Goście w szortach i T-shirtach, którzy uwierzyli w wiosnę, tłoczą się wśród starszych pań w futrach i kapeluszach.

– Ta historia z Henrikiem też była dla mnie trudna. Został w końcu skazany na pobyt w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym. Ale...

– No co?

Kattis jest zmieszana, przyciska dłonie do zarumienionych policzków i patrzy w sufit.

– Osoby, z którymi rozmawiałam, twierdzą, że pewnie wkrótce zostanie wypuszczony.

– I co?

Znów kręci na palcu kosmyk włosów i uśmiechając się niepewnie, patrzy mi w oczy. Jej twarz jest gładka, nieumalowana, wygląda bardzo dziewczęco.

– Myślę, że potrafię poczekać.

– Poczekać? Na co?

Ciarki mi przechodzą po plecach, od karku aż do krzyża, jakby mnie ktoś oblał strumieniem zimnej wody. Już wiem, co zaraz powie. Mam wrażenie, jakby w kawiarni nagle zapadła cisza, jakby rozmowy przy stolikach zamarły i nawet ucichł łoskot w kuchni.

– No, na Henrika. Może znów moglibyśmy zostać parą?

²⁷ *A General Theory of Love* – wydana w 2000 r. praca naukowa dotycząca ludzkich emocji i psychologii biologicznej napisana przez trzech profesorów psychologii Uniwersytetu w San Francisco: Thomasa Lewisa, Fariego Amini i Richarda Lannona.



Gnesta

—
osiem miesięcy wcześniej

A więc to jest miłość.

Dobrze, że i jemu dane jest ją przeżywać, chociaż zupełnie się tego nie spodziewał.

Nie on.

A w każdym razie nie z nią.

Tacy jak on nie mogą kochać się z takimi dziewczynami jak ona. Po prostu. Nie może się nadziwić, że naprawdę leży z nią w łóżku. Że właśnie jemu wolno dotykać jej miękkiej, jasnej skóry. Obejmować drobne, różowe sutki. Całować pachwiny i gęstwinę jasnobrązowych włosów porastających łono. Słuchać jej zduszonych pojękiwań, gdy porusza się w niej coraz mocniej. Po głowie błądzą niejasne skojarzenia z rannym zwierzęciem i filmami pornograficznymi, podniecają i jednocześnie niepokoją: Czy robi coś źle? Czy ją to boli?

Jednak ona się uśmiecha, mówi, że jest idealnie, cudnie. Tak cudnie, że o mało się nie rozleci. Tłumaczy mu, że to jest jak ból, który nie jest bólem. A on rozumie, co miała na myśli, gdy to samo przeżywa, gdy eksploduje, będąc w niej, i umiera w jej ramionach. Jakby cierpienie, rozkosz i wszelkie inne uczucia załaty go ogromną falą, porażającą i błogą zarazem.

Nie ma nikogo piękniejszego od niej.

Pomyślał to już za pierwszym razem, gdy na nią spojrział, choć wiedział, że jest to myśl podniecająca, ale i zakazana. Przyzwyczyił się, że tak wygląda rzeczywistość. Pewne rzeczy są nie dla niego, nie dla takich jak on. Są drzwi, których nigdy nie otworzy. Miejsca, których nie zobaczy. Uczucia, których nie doświadczy.

Jak na przykład miłość.

Już pierwszego dnia, gdy tylko przyszedł do Arbetscentrum, zwrócił na nią uwagę. Na jej długie brązowe włosy połyskujące w promieniach słońca, na oczy przechodzące od szarości aż po chmurny fiolet.

Gdy się uśmiechała, chciał się uśmiechać razem z nią, dzielić wypełniającą ją radość. Jednak, co zrozumiałe, nigdy nie uśmiechała się do niego. Bo niby dlaczego? Dlaczego ktoś miałby się do niego uśmiechać?

Później. Rozmawiali o jego przyszłości. A ona siedziała naprzeciw niego na fotelu obrotowym i gryząc żółty ołówek, powiedziała, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie: „Chyba najwyższy czas, żebyś wziął się w garść, prawda? Już dwukrotnie zatrudniali cię na próbę. Powinieneś się postarać, żeby cię zatrudnili tam na stałe, przecież ty jesteś bystry facet”.

Zawstydził się, zrobiło mu się gorąco i spłonął rumieńcem pod zasłoną długich, ciemnych włosów. Nienawidził jej wtedy, że tak siedzi na fotelu obrotowym, gryząc ołówek, jakby to był lizak, i nazywa go byстрыm facetem. Nienawidził cholernego sklepu Ica, gdzie dzień w dzień zbierał z półek nieświeże owoce i warzywa. Spleśniałe pomarańcze i zgniłe śliwki wśród rojów muszek. Nie cierpiał kursu spawania, który okazał się bez sensu, bo nie dał mu żadnej pracy. I nie znosił sortowania poczty w Solna, jak również pracujących tam cudaków. Sami niedorobieni. Albo jąkający się, albo kulawi i kalecy.

Wszyscy tacy jak on.

A najbardziej nienawidził siebie, że nie potrafi być taki jak inni, „zachowywać się po ludzku”, jak mówiła mama, zanim tak samo jak ojciec zabrała się na tamten świat.

Kładzie mu dłoń na brzuchu, ręka unosi się i opada w rytm jego oddechu.

– Słuchaj – mówi. – Czy ty mnie kochasz?

– No pewnie, że Kocham – mruczy w odpowiedzi.

Zażenowany, ale szczęśliwy. O mało go nie rozsadzi ta dorosła miłość, która smakuje inaczej od wszystkiego, czego kiedykolwiek zaznał.

– I zrobiłbyś dla mnie wszystko?

Odwraca się do niej, jej ręka zsuwa się na powalany koc. Przez okno wpadają ostatnie promienie słońca, rozpalając ogień w jej włosach. On odkłada pieniądze na stertę gazet koło łóżka i kładzie rękę na jej piersi.

– Oczywiście, że tak.

– Nawet gdyby to było coś bardzo, bardzo strasznego?

Wzrok jej pociemniał, jakby ją coś bolało. A on już wie, że byłby gotów zrobić wszystko,

byle znów zobaczyć radość na jej twarzy, usunąć z niej cierpienie, wygładzić zmarszczki i jeszcze raz wywołać uśmiech.

– Dla ciebie zrobię wszystko, co zechcesz – mówi. – Absolutnie wszystko.

Podziękowania

Dziękujemy wszystkim, którzy pomogli nam w pracy nad tą książką. Przede wszystkim naszej wspaniałej wydawczyni Helene, która zupełnym przypadkiem mogła nam dostarczyć niezwykle dokładnych informacji, jak to jest być w ciąży. Dziękujemy również naszej fantastycznej redaktorce Katarinie, która jest niezwykle twórcza i niebywale dokładna, oraz naszemu agentowi Joakimowi z Nordin Agency, który otworzył świat przed Siri.

Camilla: Dziękuję moim sztokholmskim przyjaciołom, którzy jakoś ze mną wytrzymali, chociaż na czas pisania książki właściwie wyniosłam się do Hiszpanii. Dziękuję Estelle i Fredrikowi, bo bez waszego wsparcia i pomocy w Hiszpanii chyba nie byłoby tej książki. Chcę również podziękować Joachimowi za pomoc i inspirację, a moim dzieciom: Callemu i Josephine za cierpliwość, którą mi okazali we wszystkie wieczory i weekendy spędzone przeze mnie przed komputerem.

Åsa: Dziękuję kolegom z Inside Team za nieskończoną cierpliwość, chociaż Siri czasem przeszkadza mi w pracy. Pragnę również podziękować przyjaciołom, którzy zachęcają mnie i mobilizują do dalszego pisania. Na koniec kieruję wielkie dzięki do mężczyzn mojego życia: Andreeasa, Maksa i Gustava. Bez was i waszej miłości nie byłoby tej książki.

